

Świat z Bełni z tyłgor  
i jubej mwy  
wzyna na kartach  
opowiesci  
o breny dazycar

Saladin Ahmed

TRON  
Półksiężyc

Przełożył S. L.

# Ahmed Saladin

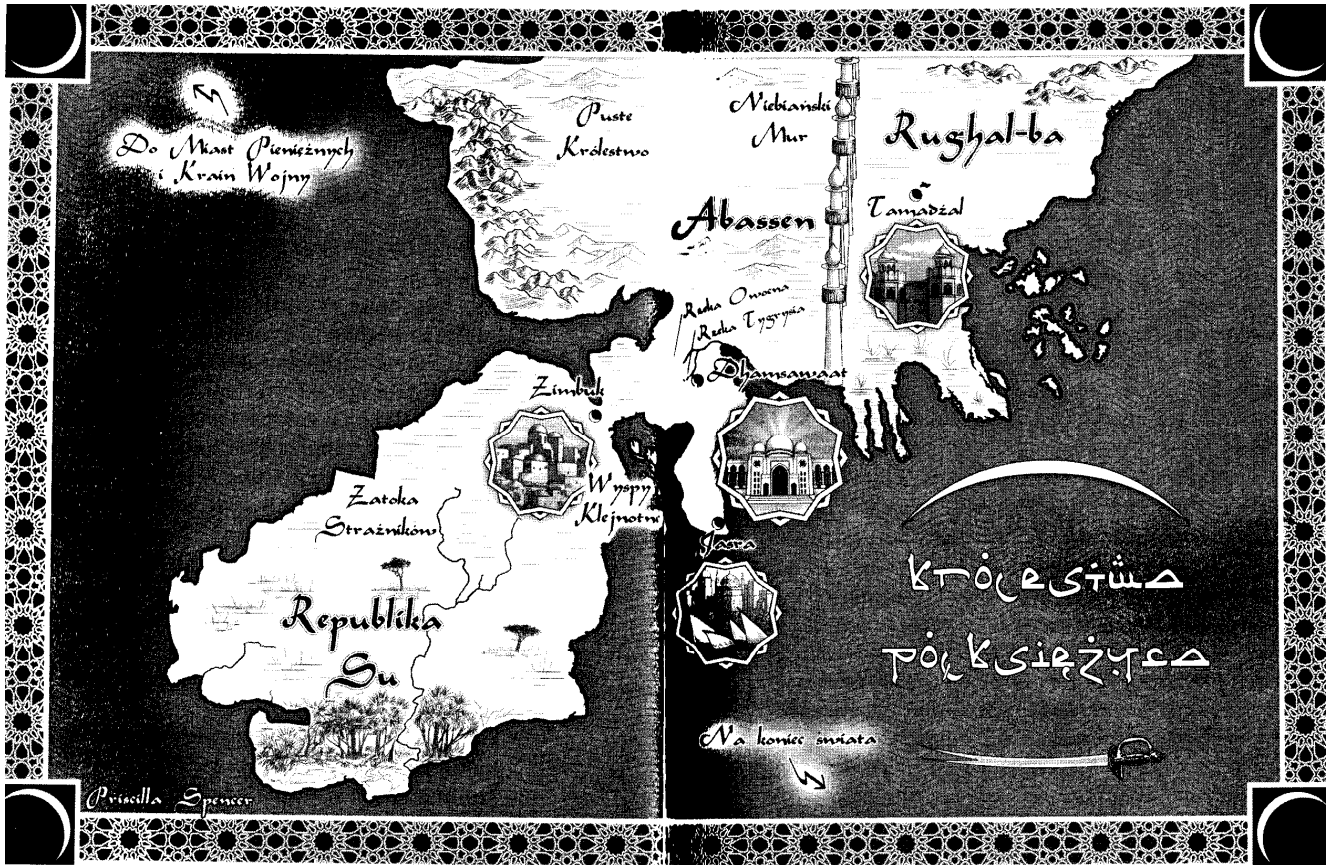
## Tron Półksiężycy

**Świat baśni „Tysiąca i jednej nocy” ożywa na kartach opowieści o łowcy demonów.**

**Królestwa Półksiężycy stoją na skraju rebelii. Krainą ghuli i dżinów, świętych wojowników i heretyków wstrząsa konflikt pomiędzy rządzącym żelazną ręką kalifem a mistrzem złodziei, Księciem Sokołów. Jakby tego było mało, ludzie zaczynają ginąć w dziwnych, nienaturalnych okolicznościach. Ktoś musi powstrzymać mordercę. Tym kimś ma być doktor Adulla Machslud.**

**Sęk w tym, że ostatni prawdziwy łowca ghuli w wielkim mieście Dhamsawaat jest już zmęczony polowaniem na stwory, najchętniej przeszedłby na emeryturę. Gdy jednak ofiarami mordercy padają członkowie rodziny jego byłej kochanki, sprawa staje osobista. Wraz z młodym pomocnikiem Raseedem bas Raseedem i obdarzoną niezwykłą mocą Zamią odkrywają, że coś łączy tajemnicze zabójstwa z rodzącą się rebelią – ktoś próbuje zdobyć Tron Półksiężycy.**





## CZEŚĆ I

„Dziewięć dni. Dobry Boże, błagam, niech to będzie dzień mojej śmierci!”

Gwardzista miał wykrzywiony, nienaturalnie zgięty kręgosłup, ale wciąż żył. Tkwił zamknięty w lakierowanej skrzyni od dziewięciu dni. Przez szparę pod wiekiem widział jaśniejące i gasnące dzienne światło. „Dziewięć dni”.

Trzymał je kurczowo niczym garść dinarów, raz po raz przeliczał. „Dziewięć dni. Dziewięć dni. Dziewięć dni”. Jeśli zapamięta to do chwili śmierci, ocali duszę, która trafi w opiekuńcze objęcia Boga.

Przestał się starać zapamiętać, jak się nazywa.

Usłyszał cichy odgłos zbliżających się kroków i zaczął płakać. Codziennie od dziewięciu dni przychodził do niego chudy, czarnobrody mężczyzna w brudnym białym kaftanie. Codziennie go ciął albo przypalał. Najgorzej jednak było, kiedy kazał mu smakować cierpienia innych.

Chudy mężczyzna oskórował młodą dziewczynę z moczarów, przyszpiliwszy wcześniej gwardziście powieki do czoła, żeby ten musiał oglądać, jak jej skóra zwija się pod ostrzem noża. Spali! żywcem małego

Badawiego i trzymał gwardziście głowę odchyłoną w tył, żeby duszący dym dostawał mu się do nozdrzy. Zmuszał go do patrzenia, jak zmalretowane i popalone ciała są rozrywane na strzępy przez ghule czarnobrodego, karmiące się ich sercami. Gwardzista patrzył, jak służebna istota mężczyzny, zlepek cieni okryty skórą szakala, wysysa coś migotliwego ze świeżych trupów, zostawiając je z wydartymi sercami i rozjarzonymi czerwienią pustymi oczami.

Niewiele brakowało, a postradałby od tego rozum. Niewiele brakowało. Ale będzie pamiętał. „Dziewięć dni. Dziewięć... Litościwy Boże, zabierz mnie z tego świata!”

Próbował się uspokoić. Nigdy nie był człowiekiem, który skamlałby i pragnął śmierci. Bicie i rany od noża przyjmował z zaciśniętymi zębami. Był silnym mężczyzną. Czyż kiedyś nie strzegł samego kalifa? Jakie miało znaczenie, że zapomniał własnego imienia?

„Choć krocę pustkowiec pełnym ghuli i złośliwych džennów, lęk mnie nie... lęk mnie nie...” Nie pamięta! reszty. Zapomniał nawet Niebiańskie Rozdziały.

Skrzynia-klatka otworzyła się w bolesnym rozbłysku światła i zobaczył przed sobą chudego mężczyznę w brudnym kaftanie. Obok niego stał jego sługa, ta istota - po części cień, po części szakal, po części okrutny człowiek - która mówiła na siebie Mouw Awa. Gwardzista wrzasnął.

Chudy mężczyzna jak zwykle nic nie mówił. Ale w głowie gwardzisty rozbrzmiał echem głos istoty z cieni.

*Stysz słowa MouwAwy, który przemawia za swojego błogosławionego przyjaciela. Tyś jest uczczonym gwardzistą. Spłodzonym i zrodzonym w Pałacu Półksiężycy.*

*Tyś zaprzysiężony w imię Boga, aby go bronić. Wszyscy, co pod tobą, mają służyć.*

Słowa rozbrzmiewały powoli, monotonicznie wewnątrz czaszki. Z przerażenia gwardziście zakręciło się w głowie.

*Zaiste, uświęcon twój strach! Ból twój da siłę czarom jego błogosławionego przyjaciela. Bicie serca twego nakarmi ghule jego błogosławionego przyjaciela. A potem Mouw Awa, człek-szakał, wyssie duszę twoją z ciała twego! Zaznałeś krzyków i błagań i krwi cudzej, widziałeś, co ciebie samego wnet spotka.*

Gwardzista przywołał zapamiętany strzęp głosu swojej babki. Stare opowieści o mocy, którą okrutni ludzie czerpali ze strachu pojmanych albo z makabrycznej śmierci niewinnych. Czary strachu. Czary bólu. Próbował się uspokoić, odmówić mężczyźnie w brudnym kaftanie tejże mocy.

Wtedy zobaczył nóż. Gwardzista zaczął postrzegać ofiarny sztylet chudego jak żywą istotę, w krzywiznie jego ostrza widział gniewne oko. Zanieczyścił się i poczuł smród własnych wydaliny, tak jak już wiele razy w ciągu tych dziewięciu dni.

Chudy mężczyzna, wciąż nic nie mówiąc, zaczął robić małe nacięcia. Nóż kasał pierś i szyję gwardzisty, ten znów wrzasnął, napierając na pęta, o których istnieniu zapomniał.

Czarnobrody ciął, a istota z cieni szeptała w głowie gwardzisty. Przypominała mu wszystkich ludzi i miejsca, które kochał, rozwijała całe zwoje pamięci. A potem zaczęła snuć opowieści o tym, co się stanie. Ghule na ulicach. Cała rodzina i wszyscy przyjaciele gwardzisty, cały Dhamsawaat, utopieni w rzece krwi. Gwardzista wiedział, że to nie kłamstwo.

Czul, że chudy mężczyzna karmi się strachem, ale nie potrafił się opanować. Nóż wgryza! się w jego skórę, a on słyszał szeptane plany przejęcia Tronu Półksiężycy i zapominał, ile dni już tu jest. Kim był? Gdzie był? Nie znajdował w sobie już nic oprócz strachu - bał się o siebie i swoje miasto.

A potem była już tylko ciemność.

## ROZDZIAŁ 1

*Dhamsawaacie, Miast Królu, Abasenu Klejnocie,  
Co w murach swych witasz co dzień nieprzebrane krocie,  
Gęsta mozaiko alej, gmachów i uliczek,  
Księgarni i zamtuzów; szkół, kramów nie zliczę.  
Poświęciłem im wszystkim serca swego bicie,  
Bo kogo znużył Dhamsawaat - znużyło go życie.*

Doktor Adulla Machslud, ostatni prawdziwy łowca ghuli w wielkim mieście Dhamsawaat, westchnął, czytając te wersy. Jego własny przypadek zdawał się być ich zaprzeczeniem. Często czuł się znużony życiem, ale Dhamsawaat jeszcze go nie znużył. Po ponad sześćdziesięciu latach na Bożym świecie Adulla odkrył, że jego ukochane rodzinne miasto jest jedną z nielicznych rzeczy, których nie ma dość. Poezja Ismiego Szihaba była drugą.

Czytając znajome wersy wczesnym rankiem ze świeżo oprawionej książki, poczuł się młodszy - i było to przyjemne uczucie. Nieduży tomik oprawiono w brązową jagnięcą skórę, a na okładce wytrawiono dobrym, złotniczym kwasem tytuł *Liście palmowe* Ismiego Szihaba. Książka była bardzo droga, ale Hafi introligator dał mu ją za darmo. Choć minęły dwa lata,



odkąd Adulla uratował jego żonę przed wodnymi ghulami okrutnego maga, Hafi wciąż wylewnie okazywał swoją wdzięczność.

Adulla ostrożnie zamknął tomik i odłożył go na bok. Siedział pod herbaciarnią Jehjeha, swoją ulubioną na całym świecie, sam przy długim, kamiennym stole. Sny zeszłej nocy snił makabryczne i żywe - rzeki krwi, płonące trupy, straszliwe głosy - ale po przebudzeniu ich szczegóły straciły wyrazistość. Siedząc w swoim ulubionym miejscu, z twarzą nad miseczką kardamonowej herbaty, czytając Ismiego Szihaba, Adulla prawie zdołał całkowicie wyprzeć koszmary z pamięci.

Stół niczym rzeczna ostroga wychodził na wielką Główną, najważniejszą drogę Dhamsawaatu, najszerszą i najruchliwszą aleję we wszystkich Królestwach Półksiężycy. Nawet o tak wczesnej porze była na wpół wypełniona ludźmi. Niektórzy zerkali na niemożliwie biały kaftan Adulli, ale większość nie zwracała na niego uwagi. On również ich ignorował. Skupiał się na czymś o wiele ważniejszym.

Na herbacie.

Nachylił się niżej nad małą miseczką i zaciągnął się głęboko; bardzo potrzebował tego aromatycznego lekarstwa na znużenie życiem. Owiała go pachnąca mocno kardamonem para, zwilżyła mu twarz i brodę, i po raz pierwszy tego sennego poranka naprawdę poczuł, że żyje.

Kiedy opuszczał Dhamsawaat i tropił trupie ghule w zarośniętych pajęczynami katakumbach albo ich odmianę piaskową na pylistych równinach, często musiał się zadowalać zuciem słodkiego korzenia herbacianego. Ciężko znosił te pozbawione obozowego ognia czasy, ale jako łowca ghuli był przyzwyczajony do ograniczeń związanych ze swoim zajęciem. „Kiedy stajesz przeciwko dwóm ghulom, nie trać czasu na żałowanie, że nie jest ich mniej” - brzmiało jedno z przykazań tego starożytnego cechu. Tutaj jednak, w domu, w

cywilizowanym Dhamsawaarze, Adulla nie czuł się w pełni częścią świata, dopóki nie napił się kardamonowej herbaty.

Podniósł miseczkę do ust i upił łyk, rozkoszując się ostrą słodyczą. Usłyszał zbliżające się szuranie Jehjeha, poczuł zapach ciastek, które niósł jego przyjaciel. „Oto właśnie - pomyślał - życie takie, jakim zamierzył je łaskawy Bóg”.

Z głośnym brzękiem Jehjeh postawił na kamiennym stole własną miseczkę i tacę z ciastkami, a potem wsunął swoją żylastą postać na ławę obok Adulli. Doktor od lat dziwił się, że zezowaty, utykający właściciel herbaciarni potrafi zbierać i nosić miski i talerze tak sprawnie i tak niewiele z nich tłukąc. Pewnie to kwestia wprawy. Łowca lepiej niż większość ludzi zdawał sobie sprawę, że przyzwyczajenie może nauczyć człowieka wszystkiego.

Jehjeh uśmiechnął się szeroko, ukazując nieliczne zęby.

Wskazał słodycze.

- Kruche ciastka migdałowe, pierwszy dzisiejszy wypiek, zanim jeszcze otworzyłem drzwi. I niech Bóg nas ustrzeże od grubych przyjaciół, którzy budzą nas za wcześnie!

Adulla lekceważąco machnął ręką.

- Kiedy człowiek osiąga mój wiek, przyjacielu, budzi się przed wschodem słońca. Sen za bardzo przypomina nam śmierć.

Jehjeh chrząknął.

-1 to mówi mistrz poobiedniej drzemki! Skąd znów takie mroczne myśli, co? Od powrotu ze swojej ostatniej wyprawy jesteś bardziej ponury niż zwykle.

Adulla wybrał sobie ciastko; odgryzł połowę, schrupał głośno i połknął, wpatrzony w swoją miseczkę z herbatą. Jehjeh czekał na odpowiedź. W końcu doktor odezwał się, choć nie podniósł wzroku.

- Ponury? Hm. Mam powody. Wyprawa, mówisz? Dwa tygodnie temu stałem oko w oko z ożywionym posągiem z brązu, który próbował mnie zabić toporem. Toporem, Jehjehu!  
- Potrząsnął głową do własnego, rozmytego odbicia w herbacie. - Sześćdziesiąt lat, a ja wciąż się angażuję w takie szaleństwo. Dlaczego? - spytał, podnosząc głowę.

Jehjeh wzruszył ramionami.

- Bo tak chciał Bóg Wszechwiedzący. Już wcześniej stawiałeś czoła takim potworom, i jeszcze gorszym, przyjacielu. Może i wyglądasz jak syn niedźwiedzia, który wychędożył myszołowa, ale jesteś ostatnim prawdziwym łowcą ghuli w tym całym opuszczonym przez Boga mieście, o wielki i czcigodny doktorze.

Prowokował go, używając pompatycznych tytułów należnych lekarzowi. Łowcy ghuli dzielili z „wielkimi i czcigodnymi” uzdrowicielami tytuł „doktora”, ale nic poza tym. Żaden przystawiający pijawki szarlatan nie dotrzymałby pola zębatym koszmarom, z którymi wojował Adulla.

- Skąd możesz wiedzieć, jak ja wyglądam, Sześcio-zęby? Ty, którego zezowate oczy widzą co najwyżej czubek własnego nosa!

Mimo ponurych rozmyślań tradycyjna wymiana uszczypliwości z Jehjehem była przyjemnie znajoma,

niczym para starych, dobrze uszytych sandałów. Doktor wytarł palce w swój nieskazitelny kaftan. Okruchy i plamy miodu w czarodziejski sposób opadły z niebrudzącego się ubrania na ziemię.

- Ale masz rację - ciągnął - bywało gorzej. Jednak to... to...

Głośno napił się herbaty. Pojedynek z człowiekiem z brązu wytrącił go z równowagi. Fakt, że uratował się tylko dzięki pomocy swojego asystenta, Rasida, dowodził, że się starzeje. Jeszcze bardziej niepokojące było to, że podczas walki śni! na jawie o swym końcu. Był zmęczony. A kiedy ktoś poluje na potwory, od zmęczenia do śmierci dzieli go zaledwie jeden krok.

- Ten chłopak uratował mój tłusty zad. Gdyby nie on, byłoby już po mnie.

Niełatwo było się do tego przyznać.

- Twój młody asystent? Żaden wstyd. To derwisz Zakonu! Dlatego przecież go przyjąłeś, prawda? Przez jego rozdwojony miecz, to całe „odcinanie dobra od zła” i tak dalej?

- Ostatnio zdarza się to za często - kontynuował Adulla. - Powinienem się wycofać. Jak Dawud i jego żona. - Siorbnął herbaty i na chwilę ucichł. - Ja zamarłem, Jehjehu. Zanim chłopak przyszedł mi na ratunek. Zamarłem. I wiesz, co myślałem? Że nigdy więcej nie będzie mi dane zrobić właśnie tego: siedzieć przy tym stole z twarzą nad miseczką dobrej kardamonowej herbaty.

Jehjeh skłonił głowę i Adulli wydało się, że oczy przyjaciela jakby zwilgotniały.

- Byłbyś opłakiwany. Ale najważniejsze jest to, że tu wróciłeś, Bogu niech będą dzięki.

- Owszem. Ale dlaczego, Sześciozęby, nie powiesz mi

teraz: „Zostań w domu, stary pierdzielu”? To właśnie powiedziałby prawdziwy przyjaciel!

- Potrafisz robić rzeczy, niedźwiedziu z dziobem myszołowa, których nie potrafią inni. A ludzie potrzebują twojej pomocy. Bóg powołał cię do życia, cóż mogę powiedzieć takiego, co by to zmieniło? - Jehjeh zacisnął usta i ściągnął brwi. - Poza tym kto powiedział, że w domu jest bezpiecznie? Ten szaleniec, Książę Sokołów, lada chwila puści całe miasto z dymem. Razem z nami. Zapamiętaj moje słowa.

Już wcześniej poruszali ten temat. Jehjeh nie przepadał za wywrotowymi przedstawieniami tajemniczego mistrza złodziei, który kazał się nazywać Księciem Sokołów. Adulla zgadzał się, że „Książę” najpewniej jest szalony, ale wciąż popierał niedoszłego uzurpatora. Książę Sokołów ukradł dużo złota kalifowi i bogatym kupcom, a duża część tych pieniędzy trafiła w ręce najuboższych Dhamsawaatu - czasami dostarczona przez niego osobiście.

Jehjeh napił się herbaty i kontynuował:

- W zeszłym tygodniu zabił następnego kata kalifa, wiesz? To już drugi. - Potrząsnął głową. - Dwaj przedstawiciele sprawiedliwości kalifa zamordowani.

- „Sprawiedliwość kalifa”? - prychnął Adulla. - Oto dwa słowa, które nie spędzą nocy w jednym namiocie! Ten chłystek nawet w połowie nie dorównuje ojcu mądrością, za to jest dwukrotnie bardziej okrutny. Czy sprawiedliwością jest pozwolić, by pół miasta głodowało, kiedy ten chciwy sukinsyn siedzi na brokatowych poduszkach i zajada się obieranymi winogronami? Czy sprawiedliwością jest...

Jehjeh przewrócił oczami, co wyglądało dość groteskowo.

- Tylko bez przemów, proszę. Nic dziwnego, że lubisz tego łotra: obaj lubicie gadać! Ale mówię ci, przyjacielu, ja nie żartuję. W tym mieście nie ma miejsca jednocześnie dla

takiego człowieka i dla nowego kalifa. Czeka nas bitwa na ulicach. Następna wojna domowa.

Adulla się skrzywił.

- Oby Bóg do tego nie dopuścił.

Jehjeh wstał, przeciągnął się i klepnął go w plecy.

- Tak. Niech łaskawy Bóg położy starców takich jak my spokojnie do grobu, zanim ta burza nadciągnie. - Nie wyglądał, jakby miał na to wielką nadzieję. Ścisnął ramię Adulli. - Cóż. Zostawiam cię z twoją książką, o Gamalu od Złotych Okularów.

Adulla jęknął. Kiedy był jeszcze ulicznym rozrabiaką ze Zdechłego Osła, sam przezywał czytających chłopców imieniem tego bohatera z ludowego podania. Przez lata, które upłynęły od tamtej pory, nauczył się, że to głupie. Opiekuńczym gestem przykrył książkę dłonią.

- Nie powinieneś tak gardzić poezją, przyjacielu. W tych wersach kryje się mądrość. O życiu, śmierci, o ludzkim losie.

- Bez wątpienia! - Jehjeh udał, że trzyma w powietrzu przed sobą książkę i wodząc palcem po nieistniejącej kartce, zaczął naśladować niski głos Adulli: - Och, jakże trudno jest być tak opasłym! Och, jak źle mieć tak wielki nos! O łaskawy Boże, czemu dzieci uciekają z krzykiem, gdy nadchodzę?

Zanim Adulla zdołał wymyślić ripostę złośliwie wskazującą na lęk, jaki wzbudzał u tychże dzieci zez Jehjeha, właściciel herbaciarni odkuśtykał, z rechem mamrocząc pod nosem jakieś bezceństwo.

Miał rację co do jednego: Adulla, chwalić Boga, wciąż żył i kolejny raz zdołał powrócić do domu - do Klejnotu

Abasenu, miasta z najlepszą herbatą na świecie. Sam przy długim, kamiennym stole, znów siedział, popijał i patrzył, jak poranny Dhamsawaat ożywa. Minął go szewc o grubym karku, niosący na ramieniu dwa długie kije obwieszane butami. Przeszła kobieta z Rughal-ba, z bukietem w dłoniach i powiewającym z tyłu długim trenem welonu. Chudy, młody człowiek z książką w rękach i w połatanym kaftanie zmierzał leniwie na wschód.

Adulla patrzył na ulicę i nagle jego nocny koszmar powrócił z taką siłą, że doktor nie mógł się poruszyć i odebrało mu mowę. Szedł - brodził - ulicami Dham-sawaatu po pas w rzece krwi. Jego kaftan był uwalany brudem i posoką. Wszystko miało czerwoną barwę

- kolor Zdradzieckiego Anioła. Jego umysł szarpał głos brzęący jak szakal, który wyje słowa ludzkiej mowy. A wszędzie dookoła leżeli martwi i wypatroszeni mieszkańcy miasta.

„Na Boga!”

Zmusił się, żeby oddychać. Patrzył na mężczyzn i kobiety na Głównej, zupełnie żywych i zajmujących się swoimi sprawami. Nie było żadnej rzeki krwi. Żadnego wycia szakala. Kaftan miał czysty.

Wziął jeszcze jeden głęboki oddech. „To tylko sen. Świat snu wdziera się w moją jamę - powiedział sobie.

- Muszę się zdrzemnąć”.

Wypił przedostatni łyk herbaty, delektując się wszystkimi subtelnymi aromatami kardamonu. Otrząsnął się najlepiej jak umiał z ponurych myśli i rozprostował nogi przed długą wędrówką do domu.

Wciąż je rozprostowywał, kiedy zobaczył, że z zaułka po lewej stronie herbaciarni wyłania się jego asystent, Rasid. Kroczył w stronę Abdulli, jak zwykle

odziany w nieskazitelny, błękitny habit Zakonu Derwiszów. Święty wojownik ciągnął za sobą spory tobołek, coś owiniętego w szare szmaty.

Nie, nie coś. Kogoś. Długowłosego chłopca, może ośmioletniego. Z krwią na ubraniu. „Och, proszę, nie”. Adulli skurczył się żołądek. „Łaskawy Boże dopomóż, co teraz?” Doktor sięgnął w głąb siebie i jakimś cudem znalazł dość siły, by odstawić miseczkę z herbatą i wstać.



## ROZDZIAŁ 2

Adulla patrzył, jak Rasid wymija stoliki, łagodnie ciągnąc za sobą dziecko. Obaj stanęli przed doktorem, plecami do tłumów na Głównej. Rasid skłonił głowę w niebieskim turbanie. Przyjrząwszy się uważniej, Adulla uznał, że przerażone, długowłose dziecko nie jest ranne. Krew na jego ubraniu wydawała się należeć do kogoś innego.

- Pokój Boga z tobą, doktorze - odezwał się Rasid.

- To jest Fejsal. Potrzebuje naszej pomocy.

Dłoń derwisza spoczywała na rękojeści wiszącego mu u biodra zakrzywionego miecza o rozdwojonym sztychu. Smukły mężczyzna miał około czterech stóp wzrostu, niewiele więcej niż dziecko obok niego. Żółtą, drobną twarz o delikatnych rysach rozjaśniały skośne oczy. Adulla wiedział jednak lepiej niż ktokolwiek, że niepozorna sylwetka i gładka, dziecięca twarz Rasida skrywają umiejętności fanatycznego zabójcy.

- Pokój Boga z tobą, chłopcze. I z tobą, Fejsalu. W czym problem? - spytał.

Rasid miał ponurą minę.

- Rodzice tego chłopca zostali zamordowani.

- Rzucił Fejsalowi spojrzenie swoich ciemnych oczu,

ale nie złagodził tonu. - Proszę o wybaczenie, doktorze, moja wiedza jest niewystarczająca. Ale z opisu Fejsala wnoszę, że jego rodzinę zaatakowały ghule. Poza tym...

Minęło ich dwóch tragarzy, którzy głośnym krzykiem kazali sobie nawzajem iść wychędożyć beczkę pikli i zagłuszyli ciche słowa derwisza.

- Co takiego? - spytał Adulla.

- Powiedziałem, że zostałem tu przysłany przez... Fejsal jest... - Zawahał się.

- Co takiego? O co chodzi?

- Ciotka Fejsala jest ci znajoma, doktorze. To ona przyprowadziła go do twojego domu.

Adulla spojrział na Fejsala, ale chłopiec milczał.

- Skończ z tymi zasranymi tajemnicami, ty mamroczący derwiszu! Kim jest ciotka tego dziecka?

Rasid ściągnął ptasie usta w grymasie zniesmaczenia.

- Jego ciotką jest pani Miri Almusa. „A niech mnie”.

- Jej posłaniec przyprowadził chłopca i przyniósł tę wiadomość, doktorze.

Rasid wyciągnął spod niebieskiej, jedwabnej tuniki kartkę grubego papieru i podał ją doktorowi.

*Dulli,*

*wiesz, jak się mają sprawy między nami. Nie zawracałabym ci głowy, gdyby to nie była wielka potrzeba. Ale moja siostrzenica nie żyje, Dulli! Została zamordowana! Ona i jej głupi mąż z moczarów. Jeśli wierzyć Fejsalowi, nie zabił ich ani człowiek, ani zwierzę. To oznacza, że będziesz wiedział, co robić, lepiej niż ktokolwiek inny w tym mieście. Potrzebuję twojej pomocy. Fejsal opowie ci, co się*

*stało. Kiedy dowiesz się od niego, ile musisz, odeślij go z powrotem do mojego domu.*

*Pokój Boga niech będzie z Tobą Miń*

- Pokój Boga z tobą...? - Adulla przeczytał to na głos, z lekkim niedowierzaniem. Tak oficjalne, beznamiętne pozdrowienie od dawnej miłości! Pani Miri Almusa, Sprzedawczyni Jedwabi i Słodkości. Znana nielicznym jako Miri o Stu Uszach. Adulla wyobraził ją sobie, w średnim wieku i wciąż zdolną napęłnić go pożądaniem większym niż dziewczyna o połowę od niej młodsza, siedzącą w kantorze swojego zamtuza wśród setek kartek i w towarzystwie pół tuzina pocztowych gołębi.

Prawda, ich ostatnie spotkanie nie było szczęśliwe. Ale czy naprawdę miała go dość do tego stopnia, by nawet w tak okropnych okolicznościach wysiać list, zamiast przyjść osobiście? W myślach Adulli rozpanoszyło się pachnące wodą różaną wspomnienie o kobiecie, ale odepchnął je na bok. Tu była potrzebna chłodna analiza, a nie łzawe wspominki.

Zaschnięta krew na grubo tkanej koszuli Fejsala musiała należeć do któregoś z jego rodziców. Miri nie traciła czasu nawet na zmienienie mu ubrania, przysłała go od razu.

- A więc jesteś dzieckiem siostrzenicy Miri? Pamiętam, że opowiadała o krewnej, która mieszkała niedaleko doków na mokradłach.

- Tak, doktorze. - Ton głosu chłopca był beznamiętny i ostry, jak u kogoś, kto nie pozwolił, by jego umysł wchłonął to, co widziały oczy.

- A dlaczego, Fejsalu, przyszedłeś po pomoc aż do miasta? W dokach są duże koszary strażników, w końcu kalif ma tam swoje skarbcie. Nie powiedziałaś strażnikom, co się stało?

Twarz chłopca wykrzywiła się w grymasie goryczy, który zadawał kłam jego wiekowi - mógł mieć około dziesięciu lat.

- Próbowałem. Ale strażnicy nie słuchają chłopców z moczarów. Nie obchodzi ich, co się dzieje na zewnątrz za murami skarbcza, dopóki złoto i klejnoty kalifa są bezpieczne. Mama mówiła, że ciocia Miri w mieście ma przyjaciela, który jest prawdziwym łowcą ghuli, jak w bajkach. Dlatego przyszedłem do Dhamsawaatu.

Adulla uśmiechnął się smutno.

- W życiu bardzo rzadko jest tak jak w bajkach, Fejsalu.

- Ale moja mama... i mój tata... - Maska twardego dzieciaka z moczarów opadła i popłynęły łzy.

Adulla nie czuł się swobodnie przy dzieciach. Pogładził długie, czarne włosy chłopca, mając nadzieję, że to właśnie powinien zrobić.

- Wiem, malutki, wiem. Ale teraz musisz być silny. Musisz mi powiedzieć, co się dokładnie stało.

Usiadł z powrotem i usadowił dziecko naprzeciw siebie. Rasid stał z ręką na mieczu, skośnymi oczami obserwując mijający herbaciarnię tłum.

Fajsal opowiedział swoją historię. Adulla odsiewał bełkot, szloch i zrodzoną ze strachu przesadę, usiłując wyłowić użyteczne informacje. Nie było ich wiele. Fajsal mieszkał z rodzicami na mokradłach, dzień jazdy konnej od miasta. Kiedy wraz z inną rodziną udali się łowić ościeniami ryby, napadły ich syczące, szaroskóre potwory, człekokształtne, ale nie ludzie.

Trupie ghule, jeśli Adulla się nie pomylił - silne jak pół tuzina mężczyzn i równie ciężkie do zabicia, w dodatku z makabrycznymi szponami. Fejsal uciekł, ale zdążył jeszcze zobaczyć, jak stwory zaczynają pożerać serca jego wciąż jeszcze żywych rodziców.

Krew na koszuli chłopca należała do jego ojca. Fejsal był jedynym, który uciekł. Adulla widział w swojej pracy różne straszne rzeczy, ale czasami jeszcze gorzej było oglądać, jaki wpływ takie okropieństwa miały na innych.

- Uciekłem i zostawiłem ich... Mama powiedziała „uciekaj”, i uciekłem! To moja wina, że oni nie żyją! - Fejsal znów się rozplakał. - Moja wina!

Adulla niezdarnie objął go ramieniem. Czuł się jak wielka mała tuląca świeżo wyklute pisklę.

- To nie twoja wina, Fejsalu. Te ghule stworzył człowiek. Jeśli wszechmogący Bóg pozwoli, znajdziemy tego człowieka i nie dopuścimy, żeby jego potwory znów kogoś skrzywdziły. Teraz musisz mi jeszcze raz opowiedzieć, co się stało. Wszystko, każdy szczegół, jaki pamiętasz.

Wydobył z chłopca powtórnie opowieść o zajściu. Nie podobało mu się to - zmuszał dziecko, żeby przeżyło grozę napaści po raz kolejny. Ale musiał to zrobić, jeśli miał wykonać zadanie. Przerażeni ludzie często źle zapamiętywali różne rzeczy, nawet jeśli chcieli być uczciwi. Wyczekiwał nowych detali i niespójności, a robi! to nie dlatego, że nie ufał chłopcu, tylko dlatego, że nikt nigdy nie przypomina sobie tej samej rzeczy dwa razy tak samo.

Przy tym wszystkim odkrył, że Fejsal jest lepszym źródłem informacji niż większość dorosłych, którzy kiedykolwiek zobaczyli ghula. W końcu pochodził

z mokradeł, a ich mieszkańcy byli twardzi i spostrzegawczy. Żaden lud, nawet Badawi z pustyni, nie żył w większym ubóstwie. Adulla przypomniał sobie obrzydzenie Miri sprzed kilkunastu lat, kiedy dowiedziała się, że jej siostrzenica wychodzi za moczarnika. „Co ją tam czeka?” - spytała Adullę nad planszą traka. Nie umiał jej odpowiedzieć; był tak samo urodzonym mieszcuchem jak ona. Nie dało się jednak zaprzeczyć, że tam, gdzie przetrwanie zależało od tego, czy trafi się ościeniem zwinną rybę i zdoła wyhodować delikatny, złoty ryż, spostrzegawczość kwitła.

Z kolejnych opowieści chłopaka Adulla dowiedział się, że jego rodzinę zaatakowały trzy stworzenia i że nie było wtedy widać w pobliżu żadnego człowieka. Łowca odwrócił się do Rasida.

- Trzy potwory! Kierowane spoza zasięgu wzroku. To nie jest jakiś zwykły czarownik za pół dinara, któremu uderzyło do głowy pierwsze wywołanie ghula. Niepokojące.

Niebiańskie Rozdziały stwierdzały, że wywołujący ghule będą skazani na Jezioro Ognia. Mówiły o dawnej, zepsutej erze, kiedy okrutni ludzie kierowali całymi legionami takich istot z odległości wielu mil. Owe czasy jednak dawno minęły. Przez wszystkie lata polowania na ghule Adulla nie spotkał nikogo, kto potrafiłby kontrolować więcej niż dwa potwory naraz - a i to z odległości najwyżej kilkuset metrów.

- Niepokojące - powtórzył.

Polecił Rasidowi wyciąć mały skrawek z poplamionej szkarłatem koszuli chłopca. Nie licząc imienia stwórcy, krew ofiary ghula była najlepszym składnikiem czaru tropiącego. Znaleźć same potwory najpewniej nie będzie trudno, ale żeby rzucić skuteczny czar

tropiący, Adulla musiał się znaleźć bliżej miejsca mordy i dalej od kipiącej, przesłaniającej wszystko energii życiowej miasta.

Modlił się tylko o to, by udało się znaleźć te istoty, zanim znów zapolują. W głowie nie zgasło mu jeszcze echo cichej modlitwy, kiedy poczuł wzbierającą w sercu znużoną determinację. Czekala go następna krwawa robota. „O Boże, czemu za każdym razem to muszę być ja?” „Cenę za wstęp na festiwal doczesności”, jak mówią poeci, Adulla zapłacił już wielokrotnie. Pora, żeby takimi rzeczami zajął się ktoś młodszy.

Wiedział jednak, że nie ma nikogo młodszego, kto poradziłby sobie z tym zadaniem sam. Walczył już u boku wielu osób, ale nigdy nie miał głowy, żeby wyuczyć kogoś swojego prawie zapomnianego fachu

- nie potrafił się zmusić, by skierować kogoś na własną niewdzięczną ścieżkę. Dwa lata temu niechętnie zgodził się przyjąć Rasida na asystenta. Chociaż jednak umiejętności bojowe chłopaka nie miały sobie równych, nie posiadał on talentu do inwokacji. Doskonale sprawdzał się jako pomocnik w polowaniach na ghule, ale załatwiał to we własny, inny niż Adulli sposób.

W dawnych czasach zarówno stwórców, jak i łowców ghuli było znacznie więcej. Stary doktor Budżali, nauczyciel Adulli, wyjaśnił mu to na początku jego nauk. „Uczę cię prawie wymarłej sztuki, chłopcze

- powiedział. - Dawniej świat był pełen tworzących ghule i takich jak my potrzebowało więcej. Dzisiaj... cóż, mało kto szkodzi sobie w ten właśnie sposób. Kalif ma swoich żołnierzy i nadwornych magów, którzy utrzymują coś, co on nazywa porządkiem. A jeśli paru okrutników wciąż idzie w ślady Zdradzieckiego Anioła i zdobywa moc przez zabijanie i patroszenie

biednych ludzi, cóż, dla władców Pałacu Półksiężycy to nie zmartwienie. Nawet w innych krajach łowcy ghuli nie są tym, czym byli kiedyś. Paszo wie Su mają swoich najemników i Chwalebny Straż. Najwyższy sułtan Rughalba kontroluje tych nielicznych, którzy znają jeszcze nasze sposoby. Są wcielani do jego Niebiańskiej Armii, czy chcą tego, czy nie. Nasza praca nie przypomina bohaterstwa z dawnych czasów. Nie stoją przed nami ogromne armie ohydy. Dzisiaj ratujemy tu rybaka, tam żonę tragarza. Ale to wciąż dzieło Boże. Nigdy o tym nie zapominaj".

Jednak przez te wszystkie lata, które upłynęły, odkąd doktor Budzali powiedział to Adulli, czasami miało się wrażenie, że dawne czasy wracają. Łowca i jego przyjaciele zgładzili przez te dekady tyle piekielnych stworzeń, że zaczął on podejrzewać, iż dawne zagrożenie znów zaczęło rosnać w siłę. Bóg jednak nie zniżył się do tego, by powołać legiony nowych łowców ghuli. Zamiast tego, z powodów znanych tylko Temu, Który Zna Wszystkie Odpowiedzi, uznał za właściwe spiętrzyć problemy na zgarbionych grzbietach paru starców. Adulla obawiał się, że któregoś dnia - i to bardzo niedługo - jego własny grzbiet pęknie pod tym ciężarem.

Dlaczego musiał dźwigać tak wielkie brzemie sam? Kiedy inni nauczą się bronić przed sługami Zdradzieckiego Anioła? Co będzie, gdy Adulli zabraknie? Zadawał te pytania Wszchemogącemu dziesięć tysięcy razy, ale Ten, Który Zna Wszystkie Odpowiedzi, nigdy nie zniżył się do udzielenia wyjaśnień. Wydawało się, że



umiejętności Adulli za każdym razem wystarczą, by pokonać istoty, którym właśnie stawiał czoła, ale raz po raz łowca zastanawiał się, czemu Bóg uczynił jego życie taką nużącą, samotną harówką.

Jednak choć czasami bywał zmęczony życiem, i choć większość ludzi uważał za głupców, nigdy nie potrafił zostawić ich okrutnemu losowi. Westchnął zrezygnowany i wstał. Jego miseczka z herbatą była pusta. Sięgnąwszy w zdawałoby się bezdenne fałdy białego niczym księżyc kaftana, Adulla wyciągnął miedzianego falsa i rzucił go na stół.

Jakby przyzwany tym dźwiękiem, zjawił się Jehjeh. Wymienił pozdrowienia z Rasidem, a potem zerknął zezem na zakrwawione ubranie Fejsala. Kiedy jednak obejmował Adullę i cmokał go w oba policzki w zwyczajowym geście pożegnania, powiedział tylko:

- Uważaj na siebie, My szotowi Dziobie.

- Postaram się, Sześciozęby - odparł Adulla. Odwrócił się do Rasida i Fejsala. - Wy dwaj, chodźcie.

Rasid bezgłośnie oderwał się od ściany herbaciarni, o którą się opierał. Wyglądało to, jakby od muru z piaskowca odkleił się nagle ożywiony cień. Włączyli się w ścisk Głównej; Adulla i derwisz prowadzili dziecko między sobą.

Na rogu doktor pomachał do Wielbłądniego Garbu, tragarza, którego znał od lat. Był on prawie o stopę niższy od niego, ale miał bary szerokie jak dwóch mężczyzn.

Wymienili pozdrowienia i ucałowali się w policzki. Adulla wcisnął tragarzowi monetę w dłoń.

- Zabierz tego tu Fejsala do domu pani Miri Almusy w Dzielnicy Śpiewaczek.

Musiał mówić głośno, żeby było go słychać przez ryki osła pół przecznicy dalej.

Dziecko znów wpadło w panikę. -Ale... ale... nie potrzebujesz, doktorze, żebym poszedł z tobą? Żeby pokazać drogę?

- Nie, chłopcze - odparł Adulla i pochylił się do niego. - Wyśledzę ghule za pomocą czarów. Tylko byś nas spowalniał. Poza tym nie chcę cię narażać.

- Ja się nie boję.

Adulla popatrzył chłopcu w oczy i uwierzył mu. Gdyby Fejsal znów natknął się na ghule, nie uciekłby po raz drugi. A to mogło oznaczać tylko jego śmierć. Adulla widział już coś takiego i nie miał ochoty na powtórkę.

- Obiecuję ci, że pomścimy twoją rodzinę. Ale twoja matka oddała życie, abyś ty przeżył. Nie odrzucaj tego tak pochopnie. Sprawisz jej największą radość, jeśli będziesz grzeczny i będziesz długo żył.

Adulla zaczekał, aż jego słowa dotrą do Fejsala.

Chłopiec pokiwał głową, choć był wyraźnie nie-przekonany. Poszedł z Wielbłądzim Garbem i po chwili zniknęli w tłumie. Adulla odwrócił się do Rasida i zobaczy!, że derwisz przygląda się mu ze złością.

- Co? Czemu tak się krzywisz, chłopcze?

Gdzieś za nimi ktoś upuścił coś, co stukło się głośno, i zaśmierdziało octem.

Rasid obejrzał się przez ramię, zerknął na Adullę i pociągnął nosem.

- Właśnie wysiałeś dziecko, ledwie dziesięcioletnie, do domu zlej reputacji. - Z dezaprobatą wyduł usta.

Mały fanatyk czasami zupełnie nic nie rozumiał.

- Wysłałem go do domu jego cioci. Do jednego z nielicznych miejsc w mieście, gdzie mała sierota bez grosza będzie dobrze potraktowana, nawet gdyby nie była spokrewniona z właścicielką. Miri i jej dziewczęta

zawsze potrzebują chłopca na posyłki czy kogoś takiego.

- „O wierny! Jeśli mąż, jaki każe ci wybrać między cnotą a bratem twoim, wybierz cnotę!” - Rasid zacytował Niebiańskie Rozdziały. - Są zgromadzenia dobroczynne, w których chłopcu byłoby lepiej. Dorastać wśród takich degeneratów...

Łowca poczuł, że wzbiera w nim wściekłość. Ostatni raz, kiedy ją widział - prawie dwa lata temu - Miri Almusa dała mu jasno do zrozumienia, że nie chce mieć z nim więcej nic wspólnego. Mimo to nie zamierzał pozwalać, by ją bezkarnie obrażano. Przybrał groźny ton.

- O kim konkretnie mówisz, chłopcze?

Derwisz najwyraźniej uznał, że nie warto ciągnąć tematu. Jego niebieski turban zakołysał się w ukłonie.

- Proszę o wybaczenie, doktorze. Chodziło mi tylko o to, że cnotliwe wychowanie w jednym z miejskich sierocińców, gdzie chłopiec mógłby nauczyć się jakiegoś fachu...

- ...skazałoby go na sześć dni w tygodniu łóżkowego wychowania przez jakiegoś pijanego „Bożego sługę dzieciątek”. Zostawialiby go w spokoju tylko w dzień modłów. Pfff, wyuczyłby się fachu, rzeczywiście.

- Doktorze! Nie mogę uwierzyć...

Rasid urwał, kiedy między nimi przepchnęła się ogromna, zwalista baba, przeklinając ich, że stoją na środku ulicy. Adulla wznowi! marsz, a derwisz poszedł za nim.

- Proszę cię, chłopcze - powiedział doktor - oszczędź mi swoich górnołotnych przemów o rzeczach, o których nie masz pojęcia. W tych domach grozy chłopiec miałby większą szansę zostać dziwką, niż gdyby mieszkał u Miri od dnia narodzin. Kiedy sam byłem

małą sierotą, unikałem takich miejsc jak lochów. Nic się nie zmieniło. - Adulla klasnął w ręce, żeby skończyć spór. - Dobrze! Muszę iść do domu po składniki czaru. Potem opuścimy miasto. Ruszajmy się. Jeśli będziemy za długo zwlekać, w końcu się rozmyślę.

Przyspieszyli kroku na tyle, na ile pozwalał im ścisk. Zeszli z ulicy i spomiędzy cieni budynków na otwarty plac Aniołów, gdzie zalało ich światło słońca. Adulla nie przystanął, by po raz któryś podziwiać twarze starożytnych rzeźb Aniołów Opiekuńczych, zwodzące wrażeniem życia. Przepchnął się za to szorstko przez grupę dziwnie ubranych przyjezdnych, którzy wyciągając szyje, gapili się na marmurowe dzieła. „Wieśniaki!” - marudził w duchu, ale tak naprawdę trudno mu było im się dziwić.

Nawet dwieście lat temu, kiedy w mieście szalała wojna domowa, plac Aniołów był swego rodzaju sanktuarium. Wszystkie strony zgodziły się nie rozlewać krwi na jego kamieniach. Choć uciekinierzy tłoczyli się tu niemal warstwami, w powietrzu czuć było atmosferę pokoju - a przynajmniej tak twierdzili historycy i ludowe opowieści. Dziś, nie licząc gromady zwiedzających, plac pozostawał prawie pusty. Gdyby nie czekająca go ponura robota, Adulla mógłby nawet poczuć jego błogą atmosferę. Zamiast tego jednak skupił się na czarach tropiących i krwi na ubraniu dziecka.

On i Rasid opuścili plac i zagłębili się w brudną Mizerną. Na mapach kalifa ta wąska, brudna uliczka, prowadząca z do dzielnicy Adulli, nosiła imię jakiegoś dawno nieżyjącego władcy, ale Dhamsawaatczycy od wieków nazywali ją Mizerną, przez jej nędzę i niegościnne gospody. Omijając kałuże szczyn, Adulla dotarł do skrzyżowania, od którego zaczynała się jego

nieprzyjazna dzielnica, ironicznie nazywana Dzielnicą Mędrców.

Pobożny stary Munesz, ze swoimi kępkami siwych włosów i kramem z prażonymi orzechami, stał na rogu, zachwalając tacki cukrzonych migdałów i solonych pistacji. Od ich aromatu Adulli pociekła ślinka. Przystanął kupić garść pistacji.

- Doktorze!

Rasid milczał przez większość drogi i Adulla prawie zapomniał o jego obecności. Derwisza wyraźnie oburzyła ta zwłoka. Łowca żałował, że nie jest już dość młody, by wciąż wierzyć, że można napełnić sobie brzuch zapalem i chęcią do walki z potworami. Przeżyte lata nauczyły go jednak, że jest inaczej, a przed sobą miał długi dzień.

- Zjadłem tylko pół śniadania, chłopcze. Muszę jeść, żeby jasno myśleć, a ta krótka chwila tutaj niczego nie zmieni. Niebiańskie Rozdziały mówią wszak, że „głodny człek pałacu nie wzniesie”.

- Mówią też, że „dla głodnego modlitwa lepsza od strawy”.

Adulla się poddał. Burknął coś do Rasida, podziękował Muneszowi i poszedł dalej, łupiąc orzechy i głośno mlaszcząc.

Jego asystent był prawdziwym derwiszem Zakonu, gorliwszym niż większość nadętych hipokrytów, którzy nosili niebieski jedwab. Wiele lat ćwiczył drobne ciało, a za jedyny życiowy cel obrał sobie, by stać się jak najsprawniejszą bronią w ręku Boga. Według Adulli nie było to zdrowe podejście u kogoś w wieku siedmiu i dziesięciu lat. Owszem, Bóg obdarzył Rasida nadludzkimi mocami: uzbrojony w rozwidlony miecz swojego Zakonu chłopiec był prawie niepokonany. Nawet bez

niego potrafił poradzić sobie z półtuzinem mężczyzn naraz. Adulla widział go w działaniu. Ale fakt, że Rasid nigdy nawet nie pocałował dziewczyny, znacząco uszczuplał szacunek, który miał dla niego doktor.

Z drugiej strony to właśnie pobożna dyscyplina chłopaka czyniła go tak dobrym towarzyszem w boju. Charakter człowieka przejawia się najwyraźniej w tym, jak ów człowiek korzysta z otrzymanych darów. W ciągu czterdziestu lat spędzonych jako łowca ghuli, Adulla widział mężczyznę, który wyskoczył siedem metrów w powietrze i dziewczynę, która zmieniła wodę w ogień. Widział wojownika, który podzielił się na dwóch wojowników, a potem na czterech. Widział, jak pewna stara kobieta sprawiała, że drzewa zaczynały chodzić. Ludzie wykorzystywali podobne moce tak samo różnie, jak różni byli sami, i z tak odmiennych pobudek, jak i wszystko inne, co czynią mężczyźni i kobiety. Czasami pomagali innym i poświęcali się. Częściej działali samolubnie i krzywdzili bliźnich. Rasid, ze swojej strony, zawsze wybiera! to pierwsze.

Dziecko sąsiada zawołało Adullę po imieniu i pomachało na powitanie z drugiej strony ubitej, pylistej ulicy. Doktor wyrzucił z głowy nieistotne rozważania, oblizał palce z resztek soli i pistacji, odpowiedział machaniem i wszedł na swój kwartał.

Minał mały sklepik z piaskowca, który należał do jego przyjaciół i dawnych towarzyszy podróży, Dawuda i Litaz, pary z Su, która mieszkała w mieście od kilkadziesiąt lat. Najwyraźniej nie było ich w domu - cedrowe okiennice sklepiku były zamknięte. Szkoda. Adulla nigdy nie poprosiłby przyjaciół, którzy się już wycofali, żeby towarzyszyli mu w łowach na ghule, ale Litaz nie zarzuciła alkemii i dobrze byłoby

pożyczyć któryś z jej doskonałych roztworów zamrażających czy mieszanin wybuchowych; przydałyby się doktorowi w pracy.

Były jednak idy i Adulla domyślił się, że para zamierzała spędzić cały dzień, a może i noc, z przyjaciółmi na Zachodnim Rynku, gdzie kupcy z Republiki Su zjeżdżali raz w miesiącu z kością słoniową, złotem i cukierkami yam, które Litaz zawsze trzymała pod ręką, żeby przypominały jej o domu.

W końcu Adulla i Rasid dotarli do jasnego, kamiennego budynku, który od ponad dwudziestu lat był dla doktora osobistym, wąskim wycinkiem Dhamsawaatu. Adulla otworzył bielone drzwi i wszedł przez łagodnie sklepione wejście, derwisz za nim.

Nie był to żaden pałac, ale i tak dom prezentował się o wiele lepiej niż nory, z których doktor się wywodził i w których miał największą szansę skończyć jako sierota ze Zdechłego Osła. To, że w ogóle mógł sobie pozwolić na jego kupno, zawdzięczał kaprysom swojego zawodu, które przynajmniej ten jeden raz wyszły mu na dobre. Wiele lat temu, wraz z Dawudem i Litaz, pokonał złotego węża długiego na piętnaście metrów, z olbrzymimi rubinami zamiast ślepi - starożytnego potwora stworzonego w czasach faronów Kemu i obudzonego przez chciwego poszukiwacza skarbów. Sam widok połyskującego gada budził magiczny strach nawet w najdzielniejszym sercu; potwór zabił już szwadron straży starego kalifa. Ale Adulla i jego przyjaciele zasadzili się na niego i pozbawili go ożywiającej magii.

Wąż na ich oczach rozpadł się na olbrzymie stosy złotego pyłu. Prawie trzydzieści lat później Adulla wciąż z uśmiechem potrafił sobie przypomnieć odgłos, z jakim te rubiny wielkości pięści upadły na ziemię.

„Jestem teraz bogaty” - tak myślał, kiedy wraz z przyjaciółmi radośnie pakował złoty pył do sakw i worków, przerywając co chwilę, żeby odtańczyć zwycięski taniec.

Skarb dorównywał majątkom bogatych, dhamsawaackich kupców. A choć w przeciągu ostatnich dwudziestu kilku lat powołanie zmusiło Adullę do podjęcia kilku kosztownych podróży w dalekie miejsca, wciąż została mu godziwa suma. W końcu nie miał na utrzymaniu żony ani dzieci. Jego wydatki zwiększyły się dwa lata temu, kiedy Rasid, który pomógł mu znacząco w łowach na ghule, spytał, czy może u niego zamieszkać jako asystent. Ale nawet to nie kosztowało doktora zbyt wiele, bo chłopak żywił się bardzo skromnie.

Adulla zajął się przygotowaniami. Moczary leżały niecały dzień jazdy mułem na wschód, więc nie potrzebowali za wiele ekwipunku, ale przed każdymi łowami na ghule trzeba było się przygotować. Doktor zarzucił na ramię duży, wytarty worek z brązowej cielecej skóry i zaczął się kręcić po zagraconych książkami i skrzyniami pokojach. Po drodze ładował do worka przedmioty zabierane z półek, stołów i nieodkurzanych kątów. Kawał drewna aloesowego. Pudełko igieł grawerowanych cytatami z pisma. Fiolka suszonych liści mięty. Sakiewki i pakunki, kartki papieru i zawinięte w materiał, kolorowe buteleczki.

Kwadrans później był gotowy. Rasid czekał już przy drzwiach, czyszcząc miecz. Dobytek derwisza był skromny: broń, niebieska szata, turban z pasa mocnego jedwabiu, który można było wykorzystać jako linę do wspinaczki albo pęta. Na ramionach chłopak miał kwadratowy plecak, a w nim zapas jedzenia, półnamiot i mały kociołek do stawiania na ognisku.



Rasid uważnie przyjrzał się klindze i wsunął ją ostrożnie do pochwy z niebieskiej skóry zdobionej lapis lazuli. Adulla widział go, jak czyścił miecz zaledwie wczoraj i wątpił, by ten od tamtej pory zdążył się zabrudzić. Nauczył się jednak, że w rytuale Rasida nie chodziło jedynie o dbałość o ulubioną broń. Chodziło o skupienie. Przypominanie samemu sobie, każdego dnia, co jest naprawdę ważne.

Doktor rozejrzał się po raz ostatni po półkach i biurkach swojego domu i sam poczuł coś podobnego.

## ROZDZIAŁ 3

Tłum mężczyzn i kobiet wypełniał Główną i boczne ulice, przesuwał się powoli do przodu i na wyścigi przywoływał nieliczne dostępne lektyki i muły. Z tego, co Adulla widział, piesi poruszali się szybciej. Oznaczało to, że czekał ich marsz do stajni na skraju miasta. *Cudownie*. Powinien był się urodzić w plemienu Badawich, tyle się w życiu nachodził. Poszli jednak, przez pół godziny sunąc na zachód.

- I znowu to samo - burknął doktor do Rasida, zmęczony obustronnym milczeniem. - Opuszczamy bezpieczeństwo i wygodę miasta, żeby zabijać potwory. Może samemu zginąć. Wszchemocny Bóg jeden wie, że nie mam już na to siły. Niedługo będziesz musiał zacząć sobie radzić bez mentora...

- Nie mówisz tego poważnie, doktorze. - Chłopak wykrzywił z niesmakiem delikatną twarz, kiedy mijali wózek na odpady, popsuty na środku ulicy i śmierdzący w porannym słońcu.

- Nie mówię poważnie? Hm. Czy muszę ci przypominać naszą ostatnią wyprawę? Omal nie straciłem głowy, chłopcze! Czy tak powinien żyć stary człowiek?

- Uratowaliśmy wiele istnień, doktorze. Dzieci.

Adulla zdołał uśmiechnąć się półgębkiem do derwisza. „Chciałbym, żeby dzięki tej wiedzy przestały mnie boleć nogi, tak jak kiedy byłem w twoim wieku - pomyślał. - Chciałbym, żeby chroniła mnie przed zimnem i myślami o śmierci”.

Ale powiedział tylko:

- Tak, nie da się ukryć.

Szli dalej, mijając pstrokate witryny sklepów wzdłuż Małpiej. Adulla zobaczył sędziwe małżeństwo, siedzące po turecku na długiej, trzcinowej macie przed herbaciarnią. Oboje mieli brudno-siwe włosy i brązową, pomarszczoną skórę, i grali zawzięcie w traka. Mężczyzna przesunął swój pionek po malowanych na planszy mieczach, a potem z głośnym stukotem i zwycięskim uśmiechem postawił go na pierwszym z nich. Staruszka przegrywała. Skrzywiła się i splunęła, omal nie trafiając przechodzących Rasida i Adullę.

Zaraz potem doktor usłyszał grzechot trójkątnych kości w kubku, stukot, z jakim potoczyły się po planszy, i nagle krzyki. Staruszka zarechotała i rozpoczęła kpiącą, niezrozumiałą pieśń zwycięstwa, a jej mąż klął z niedowierzaniem. Wyrzuciła ósemkę!

„To powinniśmy być Miri i ja” - pomyślał odruchowo Adulla. Powinien był poślubić Miri już dawno. Powinien porzucić wariackie życie łowcy ghuli. Zamiast tego, rok po roku, bezmyślnie uznawał, że walka z zębatymi potworami i powstrzymywanie czarów złych ludzi są ważniejsze niż szczęście. Zamiast spokojnego małżeństwa miał koszmary i mnóstwo „powinienem był”, które przygniatały mu duszę.

On i Rasid w końcu zbliżyli się do zachodniej bramy, którą zamierzali opuścić miasto. Kiedy mijali boczny zaułek, jakaś wielkooka dziewczyna w wieku Rasida

rzuciła mu nieskromny uśmiech. Rasid się zakrztusił i wbił wzrok w ziemię, dopóki dziewczyna nie zniknęła mu z oczu.

Choć Adulla wiedział, że to przegrana sprawa, nie mógł się opanować.

- Co z tobą, chłopcze? Nie widziałeś, jak ten kwiatusek na ciebie patrzył? Mogłeś chociaż odwzajemnić jej uśmiech!

- Doktorze, proszę! - Chłopak przerwał. - Ta napaść... Mówiłeś, że stwórca tego stada ghuli ma niezwykle moce. Myślisz, że to jeden z Tysiąca i Jednego, a nie zwykły człowiek?

„Takie skupienie na obowiązku, takie lekceważenie tego, co naprawdę ważne. Nie wie, jaki bolesny jest koniec tej drogi...”

Adulla zaprzestał dobroduszných prób nakłonienia Rasida, by ten zaczął się zachowywać jak zwyczajny młody człowiek. Derwiz wolał myśleć o potworach, zamiast uśmiechnąć się do dziewczyny. I bardzo dobrze. Ale wydawał się za bardzo podeksycytowany perspektywą walki z džennem. „Gdyby kiedyś naprawdę zmierzył się z jednym z Tysiąca i Jednego, zmieniłby zdanie”.

- To nie był dženn, chłopcze. Kiedy uderza któryś ze zrodzonych z ognia, nikt nie ucieka, a już na pewno nie dziecko.

Derwiz w zamyśleniu pokiwał głową. Niezależnie od wszystkiego, co Adullę w nim irytowało, przynajmniej szanował jego doświadczenie.

- Zastanawiam się... - ciągnął doktor, kiedy skręcali za róg, ale jego słowa przeszły w wykrzyczane przekleństwo na widok ogromnego tłumu przed nimi. - Aaaach, na jaja Boga! Wielkie zaparcie!

Adulla wymówił dhamsawaacką nazwę całkowitej blokady ulicznego ruchu ze znajomym obrzydzeniem. Przed nimi ciągnęła się lita ściana ludzi; długa na kilka przecznic masa wozów, wielbłądów i głupców powoli przeciskała się przez zachodnią bramę. Adulla zderzył się z niedomytym, małym człowieczkiem, który szedł przed nimi. Ledwie zwrócił uwagę na głośnie upomnienie, by uważał, gdzie stawia swoje wielkie stopy.

- Jakaś inspekcja na bramie? - spytał Rasid. Adulla prychnął.

- „Kontrola na bramie”, „sprawdzanie taryf”, „sprawa straży”. Zawsze takie same brednie. Z każdym dniem dzieje się tak coraz częściej.

Przy tempie poruszania się kolejki wyszliby z miasta najwcześniej za godzinę.

Na wolności grasowało stado ghuli, co oznaczało, że stawką było ludzkie życie. Ale straż Dhamsawaatu nie spieszyła się dla nikogo. Nie wychodziło się przez bramy miasta jak przez drzwi własnego domu. Najpierw była szara, kamienna brama wewnętrzna, potem plac Inspektorów, potem zaś wielki mur główny, gruby na trzydzieści metrów. Potem jeszcze szło się ulicą między domami za ostatni mur obronny i Mostem Żółtych Róż przechodziło nad wykopem. Nigdy nie trwało to krótko, a teraz, przez kiepsko zarządzającego miastem nowego kalifa, było jeszcze dłuższe niż zwykle.

Dwaj łowcy ghuli przepychali się przez tłum tak szybko, jak tylko się dało bez grubej nieuprzejmości. Adulla nie chciał wszcząć bójki, a w takich sytuacjach bójki były rzeczą pospolitą. Jeszcze kwadrans i udało się im zbliżyć do szerokiej bramy w głównym murze. Teren tam nieco się wznosił i doktor zobaczył, że to coś więcej niż zwykły uliczny korek.

„Egzekucja!” Wielkie, szare, kamienne płyty placu Inspektorów opróżniono z wozów. Na środku leżała wytarta, skórzana mata. Na macie klęczał chłopiec, najwyżej dwu i dziesięcioletni, ze spętanymi rękami i nogami, i z oczami wytrzeszczonymi ze zgrozy. Nad nim stał olbrzymi mężczyzna w kapturze, z mieczem

o szerokim ostrzu.

Adulla stanął, zahipnotyzowany grozą. „W imię Boga! Co dziecko w tym wieku mogło zrobić, żeby zasłużyć na taki los?”

Jakby w odpowiedzi jego uszy zaatakował piskliwy głos. Łowca odwrócił się w jego kierunku i zobaczył herolda w liberii, stojącego we wnęce kamiennego luku bramy. Mężczyzna krzychał skrzekliwie przez metalową tubę.

- O szczęśliwi poddani Boskiego Namiestnika Tego Świata, obrońcy Cnót, Najwspanialszego z Ludzi, Jego Wysokości Kalifa, Bóg uśmiechnął się do was, dając wam takiego władcę! Patrzcie, jak wasz łaskawy monarcha, Dżabbari ach-Chaddari, kalif Abasenu

i wszystkich Królestw Półksiężycy, broni was przed chciwymi łapskami złodziei! Patrzcie, jak karze zło rychło i okrutnie!

Tłum wciąż posuwał się w ślimaczym tempie, ale większość ludzi na drodze gapiła się teraz na plac. Adulla stał nieruchomo, chciał powstrzymać tę potworność, ale wiedział, że nie może. Ktoś z tyłu go popchnął, prąc do przodu w ścisku.

Doktor spojrzał na skórzaną matę. „Boże wszechmogący, dlaczego na to pozwalasz? Dlaczego wysyłasz mnie, bym walczył z potworami za murami mojego miasta, kiedy takie potwory żyją w jego granicach?”

Bóg nie odpowiedział.

Rasid, który również się zatrzymał, popatrzył na Adullę z niepokojem.

- Doktorze, co ty...

Bez ostrzeżenia coś trafiło kata w twarz i oblepiło ją bursztynową mazią. Potem jego pierś eksplodowała czerwienią.

„Bełt z kuszy!” Mężczyźni i kobiety zaczęli wrzeszczeć. Rozległ się dźwięk przypominający uderzenie pioruna i plac nagle zasnęła chmura pomarańczowego dymu. Chwilę później rozviała się i Adulla zobaczył jedynie rozciągniętą na ziemi, nieruchomą sylwetkę martwego kata.

Chłopiec zniknął.

„Co mogło...?”

Znów huknęło, tym razem znad bramy. Pomarańczowy dym wypełnił wnękę, w której stał herold. Rozviał się niemal natychmiast i Adulla zobaczył ciało w liberii, leżące bezwładnie poniżej wysokiego, barczystego mężczyzny. Nieznajomy nosił na sobie kostium z cielejącej skóry i czarnego jedwabiu, wyszywany w sokoły. Ręce miał grube jak niektórzy mężczyźni nogi, ale stając na krawędzi wnęki, poruszał się z gracją tancerza.

„To on! - pomyślał Adulla, który słyszał o mężczyźnie bardzo dużo, ale nigdy dotąd go nie widział. - Faraad Az Hammaz, słynny...”

- Książę Sokołów! - zawołał tuzin ust wokół niego.

„Następne kłopoty”. Wąsatą twarz znanego złodzieja wykrzywił uśmiech. Adulla nie powinien był z tej odległości tak dobrze widzieć jego miny. Działał tu więc jakiś czar... z rodzaju tych, na które rzekomo mógł sobie pozwolić tylko kalif. Wszyscy obecni na placu widzieli Księcia Sokołów tak samo wyraźnie, słyszeli jego słowa, jakby stał obok nich i byliby... nie

tyle zmuszeni do posłuchu jego czarami, co otwarci na wszystko, co miał do powiedzenia. Prawdopodobnie tylko dlatego nie uciekali w panice.

- Przestępca! - warknął Rasid.

Cóż, większość ludzi była przychylna słowom mężczyzny, poprawił się w myślach Adulla. Zasadniczo nie mógł się spierać z określeniem Rasida. Dziesięć lat temu seria zuchwałych napaści na najbogatszych obywateli miasta została teatralnie ogłoszona dziełem jednego, genialnego bandyty, który nazywał samego siebie Księciem Sokołów. Faraad Az Hammaz, jak brzmiało jego wyjawione później imię, nigdy nie powiedział, że w jego żyłach płynie królewska krew, ale nawracająca uparcie plotka twierdziła, że jest ostatnim potomkiem dynastii z zamierzchłej przeszłości Abasenu.

Królewska krew czy nie, Książę Sokołów był jednym z najpotężniejszych ludzi w Dhamsawaacie. On i jego mała armia żebraków i złodziei siłą dorównywali niemal władzy, stali się półoficjalnym głosem biedoty. A choć właściciele ziemskich i kupców, którzy podchwycili hasło „dzielenia się bogactwem”, nie było wielu, Adulla słyszał z wiarygodnych źródeł, że paru najbardziej wpływowych ministrów kalifa, z osobistych przekonań albo dzięki łapówkom, w sekrecie popierało bandytę.

- Pokój Boga z wami, dobrzy mieszkańcy Dhamsawaatu! - zagrzemiał złodziej, wyciągając do tłumu ręce. - Nie mamy wiele czasu! Wysłuchajcie słów księcia, który was kocha!

Z kilku kątów placu dobiegły ciche, ostrożne wiwaty.

- Uwolniłem niewinnego chłopca z rąk kata kalifa. Jego zbrodnia? Był głupcem, bo myślał, że może ukraść parę monet z sakiewki strażnika, by nakarmić chorą



matkę! My, dorośli ludzie, wiemy, że strażnicy są przywiązani do swoich sakiewek tak samo, jak normalni mężczyźni do swoich bukłaczków. - Bandyta chwycił się za krocze, a tłum zaśmiał się niepewnie z jego rubasznego żartu. - Ale czy ten chłopiec zasłużył na śmierć? Czy dla nas, Dhamsawaatczyków, więcej znaczy nieuczciwie zarobiony pieniądz opryszka niż życie dziecka?

Tłum się ośmielił. Ze wszystkich stron rozbrzmiało „Nie, nie!” i „Niech Bóg broni!”

Książę Sokołów stał z rękami na biodrach i chłonał okrzyki.

- Jestem winny, dobrzy ludzie! Uwolniłem chłopca. Trafiłem kata w twarz miodowym plackiem, zanim go zabiłem! Tylko bardzo, bardzo głodny człowiek odrąbałby dziecku głowę za kilka nędznych monet. A ja go nakarmiłem! Miodem i stałą, dobrzy ludzie!

Tłum zaśmiał się, już głośno i bez skrępowania, z wesołego, swobodnego tonu Sokoła, a ten mówił dalej:

- Stary kalif i ja byliśmy wrogami. Nie był on bohaterem, ale przez pięćdziesiąt lat czuwał nad tym miastem, które kochał. Jednak teraz, od trzech lat, jego głupi syn skrwawia Dhamsawaat. Próbował mnie znaleźć i zabić. Nie! Udało! Mu! Się!

Dzięki działaniu czaru każde słowo Sokoła zagrzmiało niczym uderzenie w wielki bęben.

Tłum zaczął głośno wiwatować, a mała grupka mężczyzn zaśpiewała:

*Leć, leć, sokole!*

*Twych skrzydeł nie ima się strzała!*

*Leć, leć, sokole!*

*Co serce i oko masz śmiałe!*

Stara jak piasek przyśpiewka - w której szlachetny sokół wydziobuje oczy okrutnemu królowi - została skojarzona z Księciem Sokołów, a nowy kalif nakazał karać jej śpiewanie chłostą.

„Będą z tego poważne kłopoty”. Tuzin strażników w ćwiekowanych kurtach przepychał się przez tłum w stronę bramy. Dzierżyli w rękach wąskie, metalowe pałki i usiłowali nie spuszczać wzroku jednocześnie z wnęki i z tłumy.

Kiedy ludzie kalifa ruszyli w stronę grupki śpiewających, piosenka ucichła. Natychmiast jednak następna zwrotka *Leć, sokole* rozbrzmiała na przeciwnym końcu placu. Strażnicy jak jeden obrócili się w tamtą stronę, ale postanowili zostawić śpiewających w spokoju i ruszyli do samego Księcia, który przerwał przemowę i na ile pozwalała mu ciasnota wnęki, płąsał do melodii piosenki. Wesołość rozbójnika zachęciła tylko śpiewających do większej śmiałości. Tym razem nie przzerwali, kiedy skierowali się ku nim strażnicy, a Adulla spostrzegł, że ludzie kalifa obserwują tłum z coraz większym zaniepokojeniem. „Ich tuzin przeciw setkom”.

Doktor wyczuł, że stojący obok niego Rasid zeszywniał. Derwisz bezgłośnie dobył miecza, a wszyscy dookoła cofnęli się o krok. Ostrze miało podwójny sztych, by według Tradycji Zakonu „odrabywać dobro od zła”. Adulla obawiał się, że Rasid może spróbować właśnie tego.

- Co ty robisz? - szepnął.
- Idę pomóc strażnikom, doktorze.
- Książę Sokołów nie jest naszym wrogiem, chłopcze.
- Wybacz, doktorze, ale to nie jest żaden książę. Używa czarów do popełniania przestępstw. Dokładnie z czymś takim mamy obowiązek walczyć!

Rasid ruszył naprzód, ale Adulla chwycił go za szczupłe ramię. Nie powstrzymałby derwisza, gdyby ten naprawdę postanowił zainterweniować, ale miał nadzieję, że jego wiek i autorytet przeważą.

- Mamy obowiązek walczyć ze sługami Zdradzieckiego Anioła. Faraad Az Hammaz może i jest przestępcą, ale karmi ubogich i karze pysznych. Chyba nawet twoje fanatyczne oczy widzą w tym cnotę!

Chłopak nie odpowiedział, popatrzył tylko na Adullę, marszcząc brwi. Potem schował miecz do pochwy.

Książę Sokołów we wnęce rozłożył szeroko ramiona, jakby witał zbliżających się strażników.

- Psy kalifa po mnie idą, przyjaciele! Jeśli słyszycie przekleństwa z ich psich jadaczek, to dlatego, że jakiś łajdak uszkodził ich kusze! Ale to dopiero początek, drodzy Dhamsawaatczycy! Bądźcie gotowi! Zbliża się dzień, kiedy odbierzemy to, co nasze! Każdy z nas będzie mógł wybrać, choć niektórzy każą nam wierzyć, że to ich Bóg wyznaczył, by wybierali za nas! Ale czy nas, mieszkańców Dhamsawaatu, pętają kajdany wykute przez tyranów z przeszłości? Czy ktoś może rządzić nami bez granic i bez mądrości tylko dlatego, że władał nami jego ojciec?

Tłum odpowiedział gromkim „NIE!”, a tuzin różnych głosów zaczął wznosić pochlebne okrzyki.

- Niech rządzi Sokół!
- Niech nam Bóg da mądrego kalifa!
- Żadnych kajdan, Sokole!

Adulla postawiłby każde pieniądze, że zuchwały złodziej sam wysłał tych ludzi na plac. Strażnicy byli już pod samą bramą, ale musieli przeciskać się przez coraz bardziej wrogi tłum. Książę mówił dalej:

- My, mieszkańcy Klejnotu Abasenu, kochamy kalifa, który wypełnia swoje obowiązki. Który pomaga

nakarmić swój lud. Który nie zabiera mu pieniędzy. Ale kalifa, który skazuje nas na zagładę swoją chciwością i okrucieństwem? Cóż... - w głosie bandyty pojawiła się groźba - ...cóż, nawet kalif jest tylko człowiekiem, a lepiej, żeby zginął zły człowiek niż nasze dobre miasto!

Dzięki czarowi wszyscy na placu zobaczyli zaraźliwy błysk w oku Księcia Sokołów.

Tłum zaczął krzyczeć. Część ludzi się oburzała, ale dużą grupę wywrotowe słowa Księcia wyraźnie ośmieliły i ci robili dużo hałasu. Na krawędzi placu Adulla zobaczył ekstrawagancko odzianego kupca i miejskiego urzędnika w liberii, którzy przeciskali się do wyjścia z przestachem na twarzach.

Rasid położył dłoń na rękojeści miecza i przestąpił niespokojnie z nogi na nogę.

- Kiedy brakuje jedzenia i pracy, kiedy połowa naszych synów zaznała lochu, a połowę naszych córek pohańbili strażnicy, lud Dhamsawaatu powstaje! Tak było w przeszłości i tak będzie znów, przyjaciele! Bądźcie gotowi! Bądźcie gotowi!

Strażnicy wspinali się po schodach do wnętrza herolda. Następni nadchodzili zza bramy. Ale tymczasem znów rozległ się grzmot, rozeszła się następna chmura pomarańczowego dymu, i Książę znikł.

„Boże Wszchemogący!”

Tłum szybko stracił śmiałość. Mężczyźni i kobiety wrócili do swoich spraw, obchodząc rozjuszonych strażników szerokim łukiem. Stojący obok Adulli Rasid odchrząknął, a doktor przypomniał sobie, jak pilne jest ich zadanie. Podczas wystąpienia Księcia przeciśnięcie się przez ciasno stłoczony tłum było niemożliwe, ale teraz ludzie powoli ruszyli do przodu.

- Chodź, chłopcze, ta brama zakorkuje się teraz na kilka godzin. Może przejdziemy na aleję i wynajmiemy lektykę. Przy całym tym zamieszaniu w Bramie Krzesłonoścy może nam pójść szybciej.

Adulla starał się nie myśleć o tym, ile czasu już stracili. Stracony czas oznaczał następne ofiary kłów ghuli.

Przeszli pół tuzina długich kwartałów i skręcili w pustą uliczkę. Mogli pomyśleć, że znaleźli się w innym mieście. Zaułek był chłodniejszy, ocieniony z obu stron przez wysokie budynki. Na progu swojego domu siedziała kobieta o surowym spojrzeniu; z nad plecionego koszyka popatrzyła podejrzliwie na przechodzących. Ona i chudy jak szkielet zjadacz maku, który leżał rozciągnięty na innym progu, najwyraźniej rozmawiając z chmurami, byli jedynymi ludźmi w zaułku. Czuły nos Adulli wykrył bijący z okna zapach gotowanej koźliny. Łowca chciwie się nim zaciągnął.

- Uważaj, doktorze!

Zanim Rasid zdążył dokończyć, Adulla poczuł, że jego sandał zapada się w ciepłym wzgórku wielbłądziego łajna. Zaklął i wytarł stopę o kamień. Odwrócił się, żeby przekląć jeszcze raz brązową smugę za sobą.

I stanął twarzą w twarz z Księciem Sokołów.

„W imię Boga! Skąd on się tu wziął?” Złodziej miał prawie dwa metry wzrostu; był wyższy nawet niż Adulla i potężnie umięśniony, podczas gdy doktora obrastał galaretowaty tłuszcz. Czarne wąsy miał starannie uczesane, a na przystojnej twarzy widniał szeroki uśmiech.

Kątem oka Adulla zobaczył, że Rasid odwraca się i dobywa miecza. Sokół czujnie dał krok w tył. Popatrzył na Rasida tak, jak się patrzy na niebezpieczne zwierzę, ale kiedy się odezwał, znów się uśmiechał.

- Cóż, czegoś takiego nie widzi się w każdym zaułku! Derwisz Zakonu i łowca ghuli, doktor Adulla Machslud, jak zgaduję.

Książę zachowywał się dziwnie spokojnie, zważywszy na jego niedawną ucieczkę.

Adulla nic nie powiedział, ale pozwolił, by na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie faktem, że poza jego sąsiedztwem ktoś go zna.

- Tak, doktorze, słyszałem o tobie. Gdybyśmy mieli czas, powtórzyłbym wszystkie pochwały, które na twoją cześć wyśpiewują biedni z Dzielnicy Mędrców. Ale kilka przecznic za mną są strażnicy.

- Morderca! - warknął Rasid i dał krok do przodu, ale Adulla zatrzymał go, łapiąc ramieniem przez pierś.

Książę zignorował derwisza.

- Pomożesz mi, wuju? - spytał Adullę. - Moje następne kroki, i życie innych, zależą od tego, czy strażnicy dowiedzą się, którądy naprawdę poszedłem.

„Czyli osierocony zębami ghuli chłopiec nie wystarczył dziś na starego Adullę Machsluda, co, Boże? Nie, musiałeś jeszcze wplątać swojego steranego, grubego sługę w spisek szalonego uzurpatora! Cudownie”.

Doktor popatrzył na Księcia.

Choćby nie wiadomo, ile stęka! i bąkał, decyzję mógł podjąć tylko jedną, więc nie zastanawiał się długo.

- Nie dowiedzą się, którądy naprawdę poszedłeś - mruknął. Rasid obok niego prychnął ze złością.

Książę skłonił głowę.

- Książę Sokołów ci dziękuje, wuju! Może któregoś dnia będę miał sposobność, by ci się odwdzięczyć!

Skoczył w górę, lądując na balkonie pierwszego piętra. Zdumiewające. Adulla widywał już wcześniej czary skakania, ale to, jak gracia Księcia współgrała

z oczywistym magicznym wspomaganie, i tak zrobiło na nim wrażenie. Dwoma następnymi susami złodziej znalazł się na dachu i zniknął. Rasid obok doktora wydal z siebie coś, co zabrzmiało jak mimowolny pomruk podziwu.

Adulla usłyszał krzyki i szczęk broni zbliżających się strażników.

- Widzieliśmy, jak poszedł w drugą stronę, tak? - spytał surowo.

W skośnych oczach chłopca zapłonęła wściekłość.

- Nie będę kłamał, żeby chronić tego łotra, doktorze!

- W takim razie schowaj się, chłopcze, a ja będę mówił! - Ale derwisz ani drgnął. - Proszę! - ponaglił Adulla.

Chłopak potrząsnął głową w turbanie, ale wstąpił w cienie zaułka i jakby rozpułynał się w powietrzu.

Zza rogu wybiegli dwaj strażnicy. „Po hałasie myślałem, że to będzie cały szwadron. Napastliwi głupcy”. Adulla powstrzymywał się od zerkania w cień. Modlił się, żeby chłopak pozostał w ukryciu.

- Ty tam, stary! Stój! Stój, jeśli cenisz sobie życie!

Obaj strażnicy byli wysokimi, młodymi mężczyznami o chłopięcych twarzach. Jeszcze raz krzyknęli na Adullę, żeby stał, chociaż w ogóle się nie poruszył.

Podbiegli do niego z łomotem i poczuł smród ich potu.

- Ty! Widziałeś...

- Tamtędy! - krzyknął doktor, wskazując niewłaściwy kierunek. Przybrał swoją popisową minę zirytowanego wuja. - Pobiegnij tamtą uliczką! Ten przeklęty, podły bandyta! Omal mnie nie przewrócił! Na Boga, co robicie, żeby go złapać, ja pytam? Kiedy byłem w waszym wieku, strażnicy nigdy by nie pozwolili...

Dwaj mężczyźni przepchnęli się obok Adulli i pobiegli we wskazywanym przez niego kierunku. Kiedy zniknęli, Rasid wyszedł z cienia.

Tym razem to Adulla potrząsnął głową.

- Straciliśmy dużo czasu, chłopcze. Wygląda na to, że czeka nas jazda po ciemku.

Rasid przytaknął z ponurym zadowoleniem.

- Nocne łowy na ghule.

Adulla uśmiechnął się mimo woli, trochę pokrzepiony niestrudzonym entuzjazmem swojego asystenta.

- Tak jest. I tylko taki mały wariat z mieczem zamiast mózgu jak ty może się z tego cieszyć.

Nie pragnąc wiedzieć, co wszechmogący Bóg jeszcze dla nich naszykował, Adulla machnął ręką na Rasida i poszli dalej.



## ROZDZIAŁ 4

Na pylistych, zachodnich obrzeżach Dhamsawaatu Rasid bas Rasid patrzył, jak zasapany doktor wysiada z lektyki, którą wynajęli. Powietrze przesyciły smrody z garbarni, dziwnie komponujące się ze śpiewem ptaków. Budynki były tu rzadsze niż w obrębie murów. Wzdłuż drogi stały chaty z suszonego na słońcu błota i małe, zamożniej wyglądające domki z wypalanej cegły. Nawet tu, gdzie tłum był znacznie rzadszy, ulicę zapełniała pstrokata zbieranina ludzi. Rasid, czujny jak zawsze, wszystko to zauważał, ale jego myśli zaprzętało krótkie spotkanie z Księciem Sokołów i jego własne podówczas zachowanie.

„Ukrywać się przed przedstawicielami władzy, żeby chronić łajdaka! Powinieneś być go pojmać, Rasid - karciał się w duchu. - Trzeba było się uprzeć, nieważne, co mówił doktor". Faraad Az Hammaz był ostatecznie przestępcą. I zdrajcą Tronu Półksiężycy, choć doktor upierał się, że bandyta walczy o słuszną sprawę.

Doktor. Rasid pomógł złodziejowi i wywrotowcowi umknąć przed sprawiedliwością, i to dlaczego? Bo poprosił go o to doktor. Po raz wtóry uderzyło go to, jak źle postąpił. Prawda, Rasid zapisał się na swego rodzaju

termin i w związku z tym był doktorowi winien lojalność, ale ta sprawa z Księciem Sokołów... Zastanawiał się, co by powiedzieli szejkowie w Loży Boga, gdyby go teraz widzieli. Martwi! się też - jak codziennie - że jego postęпки smucą Boga Wszechmogącego. W końcu skąd mógł wiedzieć, czy tak nie jest? Co wieczór ćwiczenia medytacyjne pomagały mu ukoić niespokojną duszę na tyle, że mógł zasnąć, ale nigdy nie było to łatwe.

Obok przeszła długowłosa dziewczyna w obcisłej tunice i Rasid wiedział, że Bóg Wszechmogący znów wystawia go na próbę. Odwrócił oczy i zdusi! wstydlive požądanie, które zaczęło wypełniać jego ciało.

W Loży Boga życie było prostsze. Ale w ciągu dwóch lat, odkąd Najwyższy Szejk Aalli - najczcigodniejszy i zarazem najpobłażliwszy z jego nauczycieli - wysłał go na nauki do doktora, Rasid przekonał się, że świat jest skomplikowany. „Kiedy poznasz Adullę Machsluda, wróbelku, zobaczysz, że istnieją prawdy większe niż wszystko, czego nauczyłeś się w Loży. Dowiesz się, że cnota zamieszkuje w bardzo dziwnych miejscach”.

Rasid przez dwa lata odkrywał, jak bardzo prawdziwe były słowa starego mistrza. Wrócił myślami do pierwszego polowania na ghule, na które wyruszy! z doktorem, kiedy to uratowali żonę introligatora Hafiego przed magiem Zudem i jego wodnymi ghula-mi. Rasid rozpoczął łowy zdumiony, że ten bezbożny, niechlujny człowiek jest w istocie wielkim i słynnym łowcą, którego tak wylewnie chwalił Najwyższy Szejk Aalli. Kiedy jednak okrutny Zud legł martwy, Rasid był zmuszony dostrzec prawdę o mocy doktora - a także o jego poświęceniu się swojej służbie.

Mimo to przez kilka pierwszych dni pracy z Adullą Machsludem Rasid tuzin razy myślał o odejściu

- uważał doktora za prostaka bez szacunku dla spraw wyższych. Ale polecenia Najwyższego Szejka Aallego były jasne, a nowo mianowany derwisz nie śmiał się mu przeciwstawić.

I tak, raz po raz, przez ostatnie dwa lata Rasid oglądał dowody, że za całym tym bekaniem, przeklinaniem i luźnym podejściem do zasad doktora krył się nieprzejednany wróg Zdradzieckiego Anioła. Człowiek, który służył Bogu z płynącym z głębi duszy oddaniem, nie tak znów różny od Najwyższego Szejka Aallego. Człowiek pobłogosławiony przez Wszechmiłosiernego i przez Niego umiłowany.

Mimo to Rasid martwił się, co będzie, kiedy któregoś dnia powróci do Łoży, żeby samemu zostać szejkiem. Każdy jego postępek w zewnętrznym świecie będzie osądzony, a kiedy myślał o własnej pobłażliwości w sprawach takich jak ta z Księciem Sokołów, obawiał się, że osąd nie będzie przychylny.

Doktor skończył płacić lektykarzowi, odwrócił się i przeszył Rasida spojrzeniem spod krzaczastych, siwych brwi.

- Martwisz się tą sprawą ze strażą, co? Rasid nie pytał go, skąd wie.

- Tak, doktorze. Po prostu... - Wzburzone słowa posypały się jak grad, zaskakując go samego swoim natężeniem. - Niezależnie od tego, czy jest głupcem, czy nie, musimy szanować naszego kalifa i jego następcę! Musimy ich bronić! Bo jeśli nie, to co jeszcze przestaniemy szanować? Opiekuńcze Anioły? Samego Boga?

Doktor przewrócił oczami i podrapał się w wydatny nos. Objął Rasida ramieniem i poprowadził go ubitą ścieżką do dwóch niskich, długich budynków stajni.

- Wiesz - powiedział - nie ma nic bardziej irytującego niż młodzi ludzie, którzy gadają jak starzy! Czy ty słyszysz, jak histeryzujesz? Myślisz, że zawsze byli jacyś kalifowie, chłopcze? Bóg i człowiek miłowali się, zanim zbudowano pałace dla nadętych władców. A gdyby Pałac Półksiężycy jutro się zawalił, Bóg dalej by nas kochał. „Wiedz bowiem, że są królowie ludzkich ciał, ale Bóg jest królem ludzkich dusz”.

Cytatowi z Niebiańskich Rozdziałów towarzyszyły zapachy zwierząt - mułów, koni i wielbłądów - dochodzące falami ze stajni Krzywego Sajida. Stajenny, nieskazitelnie ubrany, ale kaleki mężczyzna, o grzbiecie wygiętym niemal równolegle do ziemi, wyszedł ich powitać, stukając w ziemię elegancką laską wysadzaną macicą perłową. Doktor wszystko z nim ustalił, Krzywy Sajid bowiem był jednym z jego niezliczonych znajomych.

Rasid wiedział, że nawet gdyby nie znał właściciela stajni, doktor uparłby się, że to on będzie się targował, uważał bowiem chłopaka za zbyt naiwnego, by powierzać mu niektóre zadania. Miesiąc po przybyciu do Dhamsawaatu Rasid poszedł kupić coś na kolację. Doktor wyśmiał nędzny korzec przywędłych warzyw, który chłopak przyniósł do domu, i stwierdził poirytowany, że za połowę tej sumy kupiłby dwa razy więcej jedzenia. Choć od tamtej pory minęły dwa lata, Rasid wiedział, że jego mentor wciąż uważa go za „geniusza miecza, ale durnia na ulicy”, jak to kiedyś ujął, cytując jakiegoś poetę.

Kilka chwil później Adulla ucałował w policzek i pożegnał Krzywego Sajida, a potem wręczył Rasidowi wodze krnąbrnego z wyglądu muła. Prowadząc własnego wierzchowca z powrotem na drogę, doktor

wyglądał na zaniepokojonego. Drapał się w brodę i rozglądał dookoła, jakby czegoś szukał. Rasid domyślił się, że musiało to mieć coś wspólnego z opuszczeniem Dhamsawaatu. Wyjazd poza mury miasta sprawiał, że doktor na zmianę się denerwował i popadał w melancholię.

Rasid nie spotkał chyba nigdy nikogo tak przywiązanego do jednego miejsca. Łowca ghuli często narzekał na życie w mieście, ale Rasid wiedział, że doktor je uwielbia - może dlatego właśnie, że Miasto nad Miastami było miejscem, na które mógł się skarżyć znajomo, wygodnie i bez końca. Rasid miał nadzieję, że zadowoli Boga, szybko sprowadzając do niego z powrotem tego dobrego, choć niepozbawionego wad człowieka. Bezgłośnie ślubował poświęcić temu swój miecz i swoją cnotę.

Dotarli do drogi. Doktor wspiął się na siodło przy wtórze sapania i stękania, zarówno swojego, jak i zwierzęcia. Rasid jeszcze raz spojrział na prowadzonego muła. Podczas swoich samotnych podróży nie potrzebował wierzchowców ani zwierząt jucznych. „Prawdziwy derwisz nie potrzebuje konia” - głosiły Tradycje. A szejkowie w Łoży Boga mówili, że Rasid jest najszybszym derwiszem, jakiego Zakon kiedykolwiek widział. Potrafił biec nieustrudzenie całymi milami. Odnośnie zwierząt jucznych Tradycje wyrażały się równie jasno: „Prawdziwy derwisz nie potrzebuje więcej, niż jest w stanie unieść na grzbiecie”. Mimo to doktor zawsze podróżował wierzchem i kiedy Rasid nalegał, że będzie szedł pieszo obok, nazywał to „popisywaniem się”. Chłopak zatem przywykł do wynajmowania mułów i lektyk razem z nim i akceptował to choćby po to, żeby nie musieć wysłuchiwać marudzenia.

„Tylko dlatego? A może dlatego, że zrobiłeś się wygodny, a on ci daje wymówkę?” - rozbrzmiał w głowie jego własny, karcący głos. Następnym razem pójdzie pieszo, postanowił.

Jechali przez wiele godzin, minęli przedmieścia, potem otaczające miasto gospodarstwa, aż w końcu nic wokół nich już nie zdradzało, że zostawili za sobą największe miasto na świecie. Ubitą twardo drogą poruszało się niewielu podróżnych, tylko jeden czy dwa wózki albo wielbłądy. Odkąd opuścił Lożę, Rasid nie spędzał dużo czasu poza Dhamsawaatem i jadąc, podziwiał po raz któryś, jak niebo wydaje się rozwierać nad nimi swe podwoje.

W końcu, kiedy słońce wisiało już nad horyzontem, a na drodze zostali sami, doktor zatrzymał muła, choć chwilę musiał się z nim szarpać. Rasid stanął obok niego.

- Cóż - na pół krzyknął Adulla - to miejsce dobre jak każde inne, żeby rzucić czar tropiący. Chodź!

Wskazał Rasidowi pobocze drogi i zsiadł ze zwierzęcia z głośnym stęknieniem. Potem sięgnął do torby i z jeszcze głośniejszym stęknieniem przykucnął.

„Ciągle wydaje te wstrętne odgłosy - pomyślał Rasid z irytacją. - Chrząka, drapie się, za głośno się śmieje. Ale moim obowiązkiem jest dbać o jego bezpieczeństwo”. Jednym płynnym ruchem zeskoczył z siodła, chwycił wodze obu mułów i stanął nad doktorem, który pracował przy swoim czarze.

Adulla wyciągnął skrawek papieru, zakrwawiony strzęp ubrania Fejsala, fiolkę i długą, platynową igłę. Napisał coś na kartce, ukłuł się igłą w palec, a potem przyszpilił papier i strzęp tkaniny do ziemi. Wstał, zamknął oczy i wyrecytował fragment Niebiańskich

Rozdziałów, przy każdym Imieniu Boga rozsypując ciemnozielony proszek. Miętę?

- „Bóg jest Tym, Który Widzi Niewidzialne! Bóg jest Tym, Który Zna Nieznane! Bóg jest Tym, Który Ukazuje Rzeczy Ukryte! Bóg jest Tym, Który Naucza Tajemnic!”

Nic się nie stało, a przynajmniej Rasid nic nie zobaczył, ale doktor, spocony już na czole, otworzył oczy, wziął od niego wodze muła, wsiadł i ruszył dalej. Nic nie powiedział, nie obejrzał się nawet, żeby sprawdzić, czy Rasid jedzie za nim. Kiedy chłopak wskoczył na siodło i zrównał się z łowcą, zrozumiał dlaczego. „Nie ma już sił: podróż, czar, wszystko to odciska na nim swoje piętno”. Rasid próbował się tym nie martwić.

Dał towarzyszowi parę minut na złapanie oddechu.

- Znalazłeś trop ghuli, doktorze?

- Owszem - odparł krótko Adulla.

Jechali żwawym tempem mila za milą, kierując się w stronę zachodzącego słońca. Dalej na zachód i bliżej Rzeki Tygrysiej teren gwałtownie opadł i zrobił się bagnisty. W wilgotnym powietrzu latało więcej komarów, wpadających Rasidowi do oczu i nosa. Kiedy słońce dotknęło horyzontu różem i fioletem, chłopak zobaczył idącego w ich stronę chudego, brodatego rolnika -jedyne go podróżnika, jakiego spotkali od wielu godzin. Mężczyzna ominął muły szerokim łukiem i wymamrotał „Pokój Boga”, unikając kontaktu wzrokowego. „Boi się nas? Czy ma coś do ukrycia? Nie po to tu jesteśmy - upomniał się Rasid. - Skup się”.

Okolica usiana była wielkimi głazami, za którymi mogło się kryć cokolwiek. Rasid wypatrywał jakiegokolwiek poruszenia. Rzeka Tygrysia płynęła tuż poza zasięgiem ich wzroku po prawej; jej obecność zwiastował czysty, wilgotny zapach, palmy daktylowe i gęstwiny stalowej trzciny klekoczące na wieczornej bryzie.

- Stój - łowca powiedział to tak głośno, że dwa spłoszone bagienne ptaki zerwały się do lotu. Odezwał się po raz pierwszy od dłuższego czasu. - Trop tu skręca, ale coś się nie zgadza.

- Co masz na myśli, doktorze?

Mentor Rasida wyglądał na autentycznie zagubionego. Był to rzadki widok.

- Nie wiem, chłopcze. Przez wszystkie lata rzucania czarów tropiących nic takiego nigdy się nie stało. Normalnie czuję - może lepiej powiedzieć, że słyszę w głowie - wskazówki Boga, kierujące mnie do mojej ofiary. I tak jest i tym razem. Nasza zwierzyna jest blisko, w tamtym kierunku. - Doktor wskazał wznoszące się na lewo od drogi samotne wzgórze o płaskim wierzchołku i gęste zbiorowisko głązów. - Ale słyszę też teraz Jego ostrzeżenia o zagrożeniu. „Szakał, który pożera dusze”. „Istota, która zabija dumę lwa”. Ja... nie wiem, co to znaczy. Przez wszystkie te lata nigdy...

Doktor puścił wodze i schował twarz w dłoniach. Rasid starał się nie okazać niepokoju.

Adulla wziął głęboki oddech i głośno go wypuścił. Podniósł wzrok, potrząsnął głową i przeczesał dłonią brodę.

- Zniknęło. Cokolwiek to było, zniknęło. - Rozejrzał się jak obudzony ze snu. Następny głęboki wdech i wydech donośny jak u wielbłąda. - Zapomnij o tym, chłopcze, nieważne. Jestem stary, zmęczony i za mało dziś jadłem.

Mentor Rasida sam wyraźnie w to nie wierzył, ale jeśli nie chciał powiedzieć nic więcej, chłopak nie mógł na to nic poradzić.



- Jedźmy dalej - powiedział łowca, zjechał mułem z drogi i ruszył w dół lekkiej pochyłości.

Rasid pojechał za nim.

Po kwadransie zrobiło się ciemno, nie licząc słabego światła gwiazd i księżyca, ukrytych za srebrzystym welonem chmur. Dotarli do podnóża wzniesienia o płaskim wierzchołku, a Rasid zobaczył, że to wcale nie było piaskowe wzgórze, ale pochyła formacja skalna, stercząca na pięćdziesiąt stóp z ziemniczym miniaturowa góra. Doktor poprowadził swojego muła w górę; kopyta zastukały głośno o kamień. Rasid jechał za nim. Pochyłość szybko zrobiła się bardzo stroma. Adulla, kierowany wskazówkami, których chłopak nie widział ani nie słyszał, skręcił i ruszył w poprzek ogromnego, kamiennego klina.

Precyzja trójkątnego kształtu skały i jej gładka powierzchnia nasunęły Rasidowi pytanie, czy pochyłość, po której jechali, nie jest dziełem ludzkich rąk. „A jeśli tak, jacy ludzie po nich chodzili?”

- Doktorze, skąd się wzięła ta skała? Jaki gmach kiedyś tu stał? - spytał cicho. Chlubił się tym, że rzadko odczuwał strach, ale w chodzeniu po posadzkach zmarłych z dawnych wieków było coś, co napawało go niepokojem.

Doktor rozglądał się dookoła.

- Pochodzi z cesarstwa Kem, to na pewno - powiedział z roztargnieniem. - Może to węgiel...

Słowa zgasły mu na ustach. Ściągnął wodze muła, który głośno zaprotestował. Adulla zmrużył oczy i rozejrzał się.

- Zsiadaj! - szepnął i zgramolił się z siodła. Rasid usłuchał. Chwycił wodze obu zwierząt, ale

zaraz je wypuścił, kiedy doktor znów zaczął szeptać:

- Puść je. Nie ma czasu ich u wiązywać.

Rasid znów usłuchał i muły truchtem zbiegły po pochyłości w stronę kępy cierniczyny u jej podnóża.

- Trupie ghule. Więcej niż jeden... niedaleko - powiedział doktor, przekrzywiając głowę. Wyglądało to, jakby nasłuchiwał czegoś wewnątrz swojej czaszki. Raptem wepchnął dłoń do sakwy.

- Na dole zbocza! - warknął.

Rasid nie pytał, skąd Adulla to wie. Dobył miecza i zaczął przepatrywać prawie całkowitą ciemność w dole. Nagle muły zaryczały z przestraczem. Bystre oczy Rasida wypatrzyły ich ciemne kształty uciekające z kamiennej pochyłości.

Potem zobaczył inne stworzenia, człekokształtne -jeden, dwa, trzy - wychodzące zza głazów i ruszające w górę zbocza. I usłyszał syk.

Syk ghuli nie przypominał żadnego innego dźwięku na świecie - brzmiał jak głos tysiąca żmij przemieszany z charkotem ludzkiej nienawiści. Rasid słyszał go już nieraz, ale wciąż dostawał od niego gęsiej skórki.

Wiatr przegonił chmury i scenę w dole zalał blask księżyca. Nawet stare oczy doktora musiały widzieć teraz wszystko wyraźnie. Trzy trupie ghule - same szpony, kły i szara skóra - pięły się po zboczach wielkiego kamiennego bloku.

- Z myśliwych zostaliśmy zwierzyną, doktorze. Adulla chrząknął i wyciągnął coś z torby. Dwa

z trzech ghuli zbliżyły się już na dwadzieścia jardów. Doktor popatrzył na nie spokojnie, podniósł w górę małą, zakorkowaną fiolkę i cisnął ją na ziemię. Szkło się roztrzaskało, powietrze wypełnił zapach octu i kwiatów, a doktor zaryczał cytatem z pisma.

- „Bóg jest Łaskawością, Która Zabija Okrucieństwo!”

Rozległ się dźwięk przypominający schodzącą lawinę i fałszywe dusze dwóch najbliższych ghuli zgasły; istoty straciły ludzkie kształty i rozsypały się w sterty ziemi i cementarnego robactwa. „Dwa potwory za jednym zamachem!” Nie po raz pierwszy Rasida zdumiała moc doktora. Dodało mu otuchy to, że podziwia swojego mentora, a nie się o niego boi.

Ostatni ghul znieruchomiał. Doktor nachylił się do przodu i wsparł dłonie o kolana, wyraźnie wyczerpany czarem.

- Twoja kolej, chłopcze!

Zanim jeszcze te słowa do końca wybrzmiały, Rasid pędził już w stronę ostatniego stwora, wyciągając miecz ku trupiemu ciału. Potwór zasyczał z bezmyślną wrogością i machnął szponami, ale Rasid trzymał go na podwójną długość klingi.

Podskoczył dwa kroki i ciął, czując, że miecz wgryza się w ciało potwora. Rozległ się głośny syk i w powietrzu zatoczyła łuk odrąbana szponiasta łapa; robaki kapały z niej niczym krople krwi. Jeden z nich wylądował na policzku Rasida. Ghul nawet nie zwolnił. Machnął okaleczonym kikutem, a chłopak odskoczył krok w tył, nie śmiejąc strzepnąć łaskoczącego owada.

Potwór nacierał, ale Rasid miał teraz przewagę. Istota nie czuła bólu i nawet z jednym szponem z łatwością zabiłaby większość ludzi, ale derwisz nie był taki jak inni ludzie. Uskoczył w lewo, potem w prawo, cały czas trzymając ghula na dystans. Czekal na okazję i doczekał się jej, kiedy stwór rzucił się na niego, kłapiąc paszczą.

Rasid się odsunął, jego miecz skoczył w górę i opadł w dół. Łeb ghula spadł z karku; ciało zadygotało i rozsypało się w stos robaków i ziemi.

Rasid strzepnął larwę z policzka i wrócił do doktora, który był zdyszany, ale cały i zdrowy.

- Doktorze! Jak myślisz, gdzie...

Znów syk. Słowa zamarły na ustach Rasida.

Przez przeciwległą krawędź stromizny gramoliły się dwa następne trupie ghule. „Litościwy Boże!” Rasid walczył już z takimi, odkąd trafił do doktora, ale zawsze musieli sobie radzić tylko z jednym czy dwoma. Nie wiedział, że da się stworzyć tak duże stado. Doktor wciąż sapał, najpewniej niezdolny do wypowiedzenia tak szybko następnej inwokacji.

Rasid zaszarżował, z wyciągniętym w bok rozdwojonym mieczem przemknął pomiędzy dwoma ghulami. Jego ostrze wgryzło się w szyję jednego potwora, omal nie wypadło mu z dłoni. Wyszarpnął je bez zatrzymywania. Uchylił się przed szponami, odwracał uwagę ghuli od doktora. Potwory spychały go w tył, aż jego pięty znalazły się niecałe trzy stopy od krawędzi kamiennego bloku. Rasid próbował zobaczyć Adullę, ale ghule zasłaniały mu widok.

Z rany na szyi jednego z nich sypały się robaki. Chwiały się; ożywiająca go energia wyraźnie falowała. Drugi gapił się na Rasida pustymi ślepiami. Jakiś zawzięty, martwy instynkt potwora oceniał, kiedy uderzyć.

Zwalista, odziana w biały kaftan postać doktora z krzykiem ruszyła do przodu.

- Bóg jest Nadzieją Pozbawionych Nadziei! - wyrecytował słabnącym głosem.

Zraniony ghul rozsypał się. Drugi skoczył na Rasida. Siła uderzenia wycisnęła chłopakowi powietrze z płuc i pchnęła go dwa kroki w tył.

Pod jego stopami rozwarła się pustka.

Rasid i ghul, w płątaniu kończyn, runęli z krawędzi skały.

Chłopak spał mięśnie i skupił duszę. Skręcił się, wypuścił miecz z dłoni i w locie odepchnął ghul kopnięciem. Kamienisty grunt pędził im na spotkanie, ale Rasid zachował spokój. Dzięki wyszkoleniu czas dla niego wydawał się płynąć wolniej. Zdolności akrobatyczne derwisza były iście Boskim darem, niedostępnym żadnemu linoskoczkowi czy gimnastykowi. Nie bał się upadku.

Zwinał się w kłębek, uderzył w ziemię i potoczył po niej, ledwie tylko stęknawszy. Po kilku metrach, zdyszany, zerwał się na nogi. Jego bystre oczy zauważyły błysk światła księżyca na mieczu kilka kroków od niego; pochwycił broń, a znajomy dotyk rękojeści dodał mu odwagi.

„Gdzie jest ghul?” Rasid rozejrzał się dookoła, gotowy na następne starcie. Zobaczy! stwora trzy metry dalej, podrygującego z szeroko rozrzuconymi łapami. Potwór spadł na łeb i roztrzaskał sobie czaszkę o kanciasty głaz rozmiarów dorosłego mężczyzny. Zasyczał słabo, drgnął jeszcze raz i rozsypał się w stertę martwego robactwa.

„Chwalić Boga!” Dopiero teraz Rasid dopuścił do siebie kłujący ból w piersi. Ghul dosięgnął go swoimi cuchnącymi szponami, rozdarł jedwab i skaleczył ciało. „Ranę trzeba będzie oczyścić ziołami”. Doktor nauczył go jakiś czas temu, że stara legenda o tym, że rany zadane przez ghule zmieniają ludzi w te potwory to bzdura, ale brudne szpony cmentarnych monstrów wciąż mogły człowieka zabić szeregiem jak najbardziej realnych chorób.

Rasid usłyszał krzyki doktora z wierzchołka skały. Następne potwory? Podbiegł do gładkiego urwiska

i zaczął się wspinać z ową sprawnością, która tak zdumiewała zwykłych ludzi. Doktor był już wyczerpany przy ostatniej inwokacji. W takim stanie nie poradziłby sobie ze sługami Zdradzieckiego Anioła. Rasid przyspieszył wspinaczkę. Nie zwracał uwagi na swoje rany i skałę, boleśnie drapiącą opuszki palców; miał nadzieję, że nie jest za późno.

## ROZDZIAŁ 5

Kiedy Adulla zaczynał tę bitwę, czuł się jak buńczuczny młodzik - wyczuł ghule wcześniej, kilka zabił, patrzył, jak jego asystent odrąbuje łeb kolejnemu z nich. Ale ów pierwszy wybuch nostalgicznej brawury już minął. Adulla nie wątpił, że Rasid przeżył upadek, ale mógł potrzebować jego pomocy. A w okolicy wciąż mogły być ghule. Doktor padał z wyczerpania, ale zawodowa duma i troska o asystenta utrzymywały go na nogach. Obrócił się do urwiska, z którego spadł Rasid, sięgnął do worka i wyjął małą, welinową kopertę.

Coś na obrzeżu pola widzenia ruszyło w jego stronę. Adulla odskoczył, jednocześnie się obracając. Coś ciężkiego rąbnęło go w plecy.

Padł na ziemię, koperta i torba wyleciały mu z rąk. Między niego a worek wsunęła się jakaś duża sylwetka. Adulla siłą woli zignorował ból. Odsunął się pospiesznie od istoty i ciężko dysząc, podźwignął na nogi.

Krzyknął, wstrząśnięty. Jeszcze jeden trupi ghul. Olbrzymi trupi ghul. Największy, jakiego widział od czterdziestu lat.

„To niemożliwe! Żeby stworzyć istotę tych rozmiarów, a do tego tamte wszystkie!" Moc, jakiej to

wymagało, była niezmierna. Stwór górował nad Adullą, a doktor nie był mały. Kto mógł stworzyć i kontrolować podobne monstrum?

Ghul dał krok w jego stronę. Adulla przeniósł spojrzenie z jego bezdusznych ślepi na wielkie, szponiaste łapy. Każda z nich była w stanie zmiażdżyć mu głowę jak arbuza. Tylko na wpół odruchowy unik uratował go przed zgruchotaniem kręgosłupa. Bo mimo znużenia światem, z którym mierzył się codziennie, łowca nie był jeszcze gotów dać sobie zmiażdżyć głowy jak arbuza. Choćby dlatego, że potrzebował go Rasid.

Doktor spojrział w puste, pozbawione źrenic ślepie i cicho, desperacko zaczął gwizdać *Pod gruszą, moja słodka*. Kiedy tylko pierwszy dźwięk wyszedł z jego ust, ghul znieruchomiał jak wryty. Pewne spojrzenie i uspokajające dźwięki ulubionej piosenki - była to zawodna, stara, kobieca sztuczka, pozbawiona mocy czy wdzięku inwokacji pisma. Czasami nie działała, a kiedy wywierała jakiś efekt, to zaledwie na kilka chwil. Ale nieraz uratowała doktorowi życie.

Potwór opuścił szponiaste łapy wzdłuż boków i zakołysał się wolno do rytmu melodii. Adulla usiłował gwizdać, wpatrywać się ghulowi w oczy i jednocześnie rozważać, jakie ma możliwości. Nie mógł się skupić, bo w głowie rozbrzmiewało mu jedno zdanie: „Jestem na to za stary”.

„Nie teraz! - warknął w duchu sam na siebie. Jego worek, ze wszystkimi składnikami, leżał na ziemi tuż za olbrzymim ghulem. - Równie dobrze mogłyby być w Rughalba”. Gdyby zrobił choć krok w tamtą stronę, przerwałby działanie uroku. Ciągle gwizdał, ale zbliżał się do końca piosenki - a więc i do końca zaklęcia ghula.



Adulla modlił się, by szpony potwora nie sięgnęły go, kiedy będzie nurkował po torbę. Nie podobało mu się to, jakie ma szanse. „A więc to koniec - pomyślał. - Haniebna śmierć z łap syczącej ohydy. - Nie mógł powiedzieć, że jest zaskoczony. - Czego bym nie dał za ostatni kubek kardamonowej herbaty albo ostatni posiłek w swoim domu”.

Suchymi ustami wygwizdał słabo ostatni dźwięk piosenki i napiął mięśnie. Potwór zaskrzeczał.

Wtedy na ghula coś skoczyło.

Nie był to Rasid. Adulla zobaczył błysk złotego futra i bijący ogon. Jakieś zwierzę uczepliło się grzbietu ogromnego potwora. Mlecznobiałe ślepią ghula rozszerzyły się i skurczyły; znów zaskrzeczał z bólu.

Adulla odsunął od siebie melancholijne rozmyślenia i spróbował ocenić fakty. Co zaatakowało ghula i jak mógł to wykorzystać?

Szarozielony potwór wiał się, usiłując strącić napastnika z pleców. Kiedy się obrócił, Adulla lepiej zobaczył niezwykle zwierzę, które uratowało mu życie: smukłą lwicę o ślepiach jak zielony ogień i niemożliwie rozmigotanym, złotym futrze.

Gorączkowo przypominał sobie wszystko, co wiedział. To wcale nie było zwierzę. Jeśli wierzyć pustynnym legendom, taka istota była posłannikiem Boskiej sprawiedliwości - a więc samego Boga. Adulla szybko, bezgłośnie zmówił dziękczynną modlitwę.

„Ale i tak *Bóg pomaga temu, kto pomaga sobie sam*”. Doktor zaryzykował skok po torbę.

Kiedy jednak ją chwycił i wsadził rękę do środka, zobaczył, że żadna inwokacja nie będzie już potrzebna. Jego wybawicielka wydusiła fałszywą duszę z potwora wyglądającego jak parodia ludzkiej sylwetki.

Zdychając, ghul zabalgotał; nawet po tylu latach od tego dźwięku Adulli wciąż przewracał się żołądek. Potem, z odgłosem przypominającym zgrzyt nagrobnej płyty, stwór rozsypał się w stertę cmentarnej ziemi i zdechłych trumiennych moli.

Z futra lwicy rozblęsnęło światło, jasne jak słońce. Kiedy blask zgasł, w jej miejscu stała ciemnoskóra dziewczyna o pospolitej twarzy, w wieku może pięciu i dziesięciu lat. Miała na sobie prostą tunikę z wielbłądziej skóry, piaskowej barwy, noszoną przez Badawich. Adulla odniósł wrażenie, że ledwie mrugnął, a ktoś w tym czasie zamienił istotę o kłach jak brzytwy w zielonooką małą dziewczynkę.

Nie był to pierwszy raz, kiedy coś takiego widział.

Miał przed sobą kogoś posiadającego rzadki, prawie zapomniany dar lwiego kształtu. Wiele lat temu znał jeszcze jednego człowieka tak obdarzonego przez Boga - porządnego, jak na dzikusa, ale strasznego, kiedy ktoś mu podpadł. Musiał zachować ostrożność.

- Witaj - wykrztusił.

Dziewczynka przypatrywała mu się swoimi szmaragdowymi oczami, czujna i spięta.

- Pokój Boga - spróbował.

Jej mina prawie niedostrzegalnie złagodniała, ale twarz wciąż miała poważną.

- Pokój Boga - odparła krótko, odrzucając z oczu gęste, sięgające ramion włosy. Dziewczynka w jej wieku, rozmawiająca z mężczyzną w wieku Adulli, powinna to robić z większym szacunkiem - przynajmniej nazywać go „wujem”. Ale nieokrzesani Badawi nie okazywali respektu nikomu z wyjątkiem siebie nawzajem. Za dwoma pierwszymi słowami dziewczynki posypały się urywane pytania.

- Walczyłeś z tymi plugawymi stworami? To ty zniszczyłeś pozostałe?

- Owszem - odparł Adulla, powstrzymując napomnienie, które miał na końcu języka. - Dziękuję ci za pomoc, dziecko. Minęło wiele lat, odkąd stałem twarzą w twarz z kimś obdarzonym darem lwiego kształtu.

Rozdziawiła usta.

- Wiesz o darze? I nie boisz się mnie? Adulla wzruszył ramionami.

- Bez wątpienia przywykłaś do zachowania swoich ciemnych współplemieńców. Jak rozumiem bali się ciebie, choć korzystali z twoich mocy? Cóż, ja nie jestem niewdzięcznym dzikusem.

Dziewczynka zawarczała na tę zniewagę swojego ludu, jakby wewnątrz wciąż była lwicą. Adulla uspokajająco podniósł dłonie.

- Jestem uczonym, który zajmuje się takimi zjawiskami oraz ich mrocznymi odpowiednikami, dziewczynko. Lwi kształt to dar, który Bóg daje ludziom przez Anioły. „Oto, cny Badawi, z czym Anioł przybywa -jak księżyc srebrne szpony, jak słońce złota grzywa". Wiem o kształcie i wiem, że nie ma się czego bać. Poza tym po czterdziestu latach polowania na ghule potrzeba czegoś więcej niż dziecko noszące postać lwa, żeby mnie przestraszyć. Choć przyznam, że jestem zaskoczony. Minęło dwadzieścia lat, odkąd ostatnio spotkałem kogoś takiego jak ty. Nie wiedziałem też, że darem obdarzane są dziewczynki.

Adulla usłyszał nieznacznym szmer, z jakim Rasid wciągnął się na krawędź urwiska. Dziewczynka się obróciła.

- No, chłopcze, w samą porę! - powiedział doktor, kiedy derwisz do niego podbiegł. - Zostawiłeś tu

starego człowieka na pastwę losu! Chociaż, jak widzisz, nie jesteśmy sami.

Chłopak miał już miecz w ręku, ale jego mina zdradzała raczej niedowierzanie niż gotowość do walki.

- Kim jest ta dziewczynka, doktorze?

- Cóż, między innymi jest narzędziem Opiekuńczych Aniołów Boga, które ocaliły moje życie. Ale nie zdążyliśmy się sobie jeszcze należycie przedstawić. - Doktor odwrócił się do dziewczyny, która przyglądała się Rasidowi. - Jestem doktor Adulla Machslud, młoda damo. Mój asystent ma na imię Rasid.

Zerwał się chłodny wiatr i doktor wetknął dłonie pod pachy, żeby je ogrzać.

Dziewczyna znów zmarszczyła brwi.

- Jesteś łowcą ghuli? A ten tu to derwisz? - spytała obcesowo, nie odrywając wzroku od Rasida.

Adulla uniósł brew, zirytowany brakiem wychowania dziecka, choć nie miał pewności, czy dziewczyna zwróciła na to uwagę.

- Jestem i jest. Ale myślałem, że nawet najbardziej nieokrzesani Badawi mają dość manier, żeby nie wtykać nosa w cudze sprawy, nie zdradziwszy wpierrw swojego imienia.

Na twarzy dziewczyny nie pojawił się nawet ślad zawstydzenia.

- Jestem Zamia Banu Laith Badawi, Obrońca Gromady Nadira Banu Laith Badawiego.

Adulla zerknął na swojego asystenta. Dopiero wtedy zobaczył krwawe rozcięcia niebieskich jedwabi Rasida. Skaleczenia nie wyglądały na głębokie, ale wiedział z doświadczenia, jak bardzo piekły. Oczywiście chłopak stoicko niczego po sobie nie pokazywał, ale potrzebne były zioła - ghulobójka i lawenda. Adulla nie był

uzdrowicielem, ale jego przyjaciele Dawid i Litaz co nieco go nauczyli.

- Jesteś ranny - powiedział do asystenta, sięgnął do torby i wyjął sakiewkę z lekami. Rzucił ją derwiszowi, który z wyraźnym ociąganiem schował miecz do pochwy i zaczął gnieść woreczek w dłoniach, przygotowując go do użycia.

Adulla zmarszczył nos, czując ostry, ziołowy zapach miazdzonego suszu. Spojrzał znów na dziewczynę.

- Zamia potrafi przybierać postać lwa, chłopcze. Pamiętasz moje nauki o dawnych mocach pustynnych plemion Pustego Królestwa? Właśnie pokonała największego ghula, jakiego widziałem.

Derwisz zrobił wielkie oczy, a jego dłonie przestały ugniatać woreczek. Zmarszczył lekko czoło.

- Imponujące, doktorze. Ale Tradycje Zakonu mówią: „Bycie wrogiem mojego wroga nie czyni cię moim przyjacielem”.

- No to możesz świętować, chłopcze, przynajmniej raz ci twoi starzy hipokryci powiedzieli coś mądrego. Aleja nie nazywam jej przyjacielem. Mówię tylko, że uratowała mi życie.

Dziewczyna splunęła.

- Wstrętni mężczyźni! Nie mówcie o mnie, jakby mnie tu nie było!

Mowa Badawich zawsze brzmiała dla Adulli jak grzechot kamieni; mowa dziewczyny przypominała mu grad żwiru. Zamia skupiła gniewne spojrzenie na doktorze.

- Co tu robisz, starcze?

- „Doktorze”, dziewczyno! Masz mnie nazywać doktorem albo wujem, albo jakkolwiek, byle z szacunkiem!

Zesłana przez Anioły czy nie, Adulla miał dość impertynenckiego tonu dziewczyny.

- Badawich nie obowiązują miejskie tytuły - prychnęła z pogardą. Potem dodała niechętnie: - Ale będę się do ciebie zwracać „doktorze”, jeśli chcesz.

Na jej pospolitej twarzy zagościł wyraz jeszcze większej arogancji.

- Własnym językiem powiedziałaś, że uratowałam ci życie. To oznacza, że jesteś mi winien dług śmierci.

Adulla zaśmiał się krótko. „Ależ ci ludzie mają pomysły”.

- Doprawdy? Jestem łowcą ghuli, dziewczyno. Wiesz, ilu ludzi uratowałem? Ilu mężczyzn, kobiet i dzieci ocalałem ze szponów potworów? Czy oni przysięgli mi za to swoje życie? Czy zostali moimi niewolnikami? Nie. To archaizm rodem z waszych nedorzecznych poematów.

Dziewczyna znów zawarczała, ale nic nie powiedziała.

Adulla westchnął.

- Posłuchaj. W swój nieuprzejmy sposób pytałaś, co tu robimy. Otóż tak się składa, że to stado ghuli kilka dni temu wymordowało rodzinę moczarników. Mój asystent i ja...

- Widziałam ich - przerwała mu Zamia i nagle z jej głosu zniknęła cała arogancja. - Tropiłam te stwory od blisko tygodnia, odkąd wyszły z głębi pustyni Pustego Królestwa. Znalazłam moczarników po tym, jak zostali pozabijani, z rozerwanymi klatkami piersiowymi, z powyrywanymi sercami. A ich oczy... Widziałam już martwych ludzi. Zabijałam ludzi! Widziałam, jak światło życia gaśnie w ich oczach. Ale tutaj... W ich oczach nie było ani brązu, ani czerni, ani bieli - tylko

czerwień! Nie krew. Świecąca czerwień, jak... jak nic, co dotąd widziałam. Jeśli tak właśnie wygląda śmierć od szponów ghula...

Zadrzała, objęła się ramionami i umilkła.

Adulli również na chwilę odjęło mowę. Oczy jaśniejące barwą Zdradzieckiego Anioła - kolejny dowód, że działo się tu coś jeszcze bardziej mrocznego niż polowanie stada ghuli. Żołądek skurczył mu się ze strachu.

- Ghul trupi czy wodny, piaskowy czy nocny, te nieświęte potwory pożerają wciąż ciepłe ludzkie serca. Ale to... Ta rzecz z oczami oznacza coś jeszcze straszniejszego. Okrutną magię, taką, która według starych zapisów zniknęła z tego świata. Znak, że nie tylko ciało, ale i dusza została wyszana i połknięta niczym szpik z kości.

Wstrząśnięta dziewczyna otworzyła szeroko zielone oczy.

- Taka rzecz jest niemożliwa!

Rasid, którego dłonie poruszały się pod tuniką i nakładały zioła, odpowiedział, zanim Adulla zdążył się odezwać.

- Dziewczyna ma rację. Bóg nie pozwoliłby na coś takiego! Niebiańskie Rozdziały mówią: „Zaprawdę, niechby ciało cierpiało chłostę, dusza wierzącego nie czuje...”

- Proszę, chłopcze, bez cytatów z pisma! Twoje nietrafione interpretacje w niczym tu nie pomagają, a ja muszę oszczędzać siły na ważniejsze rzeczy niż oświecanie cię poprzez egzegezę. A teraz...

Zamia przekrzywiła głowę i pociągnęła nosem.

- Mówisz prawdę - powiedziała nagle słabym głosem. - Nie wyczuwam od ciebie fałszu.

I w oczach wezbrały jej łzy. Adullę zbiło to z tropu.

- I ja nie wyczuwam fałszu na tobie, Zamio Banu Laith Badawi. Choć, mimo swoich rozmiarów, mój nos nie jest tak czuły jak twój. Ale teraz moja kolej zadawać pytania. Skąd te

nagle łyzy? I dlaczego jesteś tu sama, tropiąc te potwory? Gdzie twoja gromada?

- To nie twoja sprawa - odparła Zamia głosem ciężkim i wysiłonym, wycierając łyzy z pospolitej twarzy. Powiał mocniejszy wiatr, a jego gwizd złał się upiornie z zawodzeniem polującego nocnego latawca.

- Widzisz przecież, że mamy wspólnego wroga, dziewczyno. Chyba nawet dzikuska powinna zrozumieć, że powinniśmy podzielić się też informacjami.

Zamia zmrużyła oczy, a Adulla przypomniał sobie ulubione powiedzenie Miri: „Wszystkie pszczoły i żuki od octu wolą miód”. To, że Miri sama rzadko postępowała zgodnie z tym porzekadłem, nie miało znaczenia. Adulla musiał spróbować innego podejścia.

- Zamio, nie jest moim zamiarem cię obrazić. Wiem, jak to jest stracić szczęście przez ghule. I mogę ci pomóc, dziecko. Jeśli tylko mi na to pozwolisz.

Kiedy dziewczyna się odezwała, jej głos był głosem martwej kobiety.

- Skłamałam. Kiedy mówiłam o tym, jak znalazłam ciała moczarników, powiedziałam, że nigdy czegoś takiego nie widziałam. Kłamałam. Widziałam, kilka dni wcześniej. To właśnie spotkało moją gromadę.

„A więc o to chodzi”. Adulla pocieszająco wyciągnął do Zamii rękę, ale ona powstrzymała go gniewnym spojrzeniem. Przełknęła ślinę i wytarła łzę z policzka.

- Którejś nocy poszłam na zwiad, daleko przed resztę gromady. Następnego ranka, kiedy wróciłam do miejsca, gdzie rozstawili namioty... To, co tam znalazłam...



Jej rzeczowy głos zadrżał. Umilkła z szeroko otwartymi oczami, wspominając straszne obrazy. Potem znów zdusiła swój ból.

- Trupy. Trupy ich wszystkich. Wszystkich siedmiu i pięćdziesięciu Banu Laith Badawich, starego wuja Mahluda i rozpuszczonej małej Wazzi. Fazizy, która wierzyła, że naprawdę jest przywódczynią gromady. Mojego ojca. Mojego pięknego, młodego kuzyna, który zostałby wodzem. Jego ciało zostało spalone. Znalazłam wszystkich, rozumiecie? Zostałam tylko ja.

Zabrzmiało to jak coś, co często sobie powtarzała. Adulla milczał w nadziei, że Zamia powie coś więcej.

- Wszędzie były ohydne, dziwne zapachy - podjęła po chwili.  
- Smród szakala, choć żadnej jego sierści. Świeżo rozlana dziecięca krew, pachnąca starymi budowlami. Ale te zapachy nigdzie nie prowadziły. Jedyнным znakiem, jaki znalazłam, było to.

Sięgnęła pod tunikę i wyjęła zdobiony, zakrzywiony sztylet. Jego ostrze było poplamione czymś, co wyglądało jak zaschnięta krew.

- Należał do mojego ojca. Leżał ukryty w fałdach jego wodzowskiej szaty. Jest na nim krew, ale nie pachnie ani człowiekiem, ani zwierzęciem. A jeśli wierzyć opowieściom, ghule nie krwawią.

Adulla gorączkowo się zastanawiał, wspominał dziwne zdania, które usłyszał, kiedy wcześniej prosił Boga o pomoc w znalezieniu ghuli. „Szakal, który pożera dusze”. „Istota, która zabija dumę lwa”. Obracał te słowa w głowie, ale wciąż nic nie mógł wymyślić.

- Zazwyczaj opowieściom nie należy wierzyć - powiedział w końcu Zamii. - Ale ta akurat jest prawdziwa. Co oznacza, że twój ojciec kogoś zranił - kogoś

albo coś. Jeśli Bóg pozwoli, ten sztylet może nam coś powiedzieć.

- Jeśli Bóg pozwoli - powtórzyła dziewczyna, choć w jej głosie nie było słycać wielkiej nadziei. - Od wielu dni próbuję znaleźć trop tych istot, żeby pomścić moją gromadę i móc umrzeć z honorem. Trafiłam na nie prawie przypadkiem akurat w chwili, kiedy zaatakowały was dwóch.

Umilkła na chwilę, potem przełknęła ślinę i kontynuowała:

- To... to... pożeranie dusz. To samo zrobili z moją gromadą. - Nie zabrzmiało to jak pytanie. Mówiąc, Zamia patrzyła prosto przed siebie, a jej już suche oczy wyglądały prawie tak, jakby jej duszę też coś pożarło. Podniosła sztylet. - Po ojcu zostało mi tylko to, choć nigdy się nim nie posłużę. Odkąd bowiem otrzymałam dar lwiego kształtu, wyrzekłam się innej broni. „Me szpony, kły, srebrzyste noże, którymi Anioł razić może”. Tak mówi stare powiedzenie.

„Niech nas Bóg broni przed poezją barbarzyńców!” - pomyślał Adulla, ale nigdy też nie słyszał słów wypowiedzianych z większą goryczą. Przez lata uprawiania swojego zawodu widział Bóg jeden wie ile cierpiących twarzy, ale wcale nie było mu dzięki temu łatwiej znosić ból na obliczu tej twardej dziewczyny, która była lwem. Wiedział za to, że w przeciwieństwie do większości ofiar, z którymi się stykał, ta pragnęła i potrzebowała raczej brutalnej prawdy niż pocieszenia.

- Posłuchaj mnie, dotknięta przez Anioła. Twoja rodzina przepadła, ciałem i duszą. Nie mogę ci dać niczego, co by to zmieniło. Ale mogę ci zaoferować szansę na zemstę. - Adulla wiedział, że w takiej chwili Badawi może pragnąć tylko tego. - Jeśli zechcesz, możesz

podróżować z nami jako nasz sprzymierzeniec, Zamio Banu Laith Badawi.

Stojący obok niego Rasid głośno się zakrztusił. Adulla prawie zapomniał o jego obecności.

- Doktorze! Nie możemy jej... nie ma powodu...

- Pfff! Zapominasz się, Rasidzie bas Rasid! Kto tu jest mentorem, a kto asystentem? Poza tym potrzebny nam nóż Zamii, żeby odkryć, kto za tym stoi. Stado ghuli zostało zniszczone. Teraz musimy się dowiedzieć, kto je stworzył. A potem musimy tego kogoś zabić. Niestety, mój czar tropiący dalej nas nie zaprowadzi.

- A nie możesz rzucić następnego? Dziewczyna była spięta i zdenerwowana. „Gdyby

przybrała akurat postać lwa, biłaby ogonem na boki”

- pomyślał Adulla. Przeczesał dłonią brodę.

- Moje inwokacje mają swoje ograniczenia, dziecko, tak samo jak twoje moce. Rozdziały mówią: „Najmocniejszy z ludzi jest jak drzazga wobec mocy Boga”.

- Wyciągnął poplamiony szkarłatem strzęp materiału, który użył był do rzucenia swojego czaru. - Tę krew rozlało stado ghuli, które właśnie zniszczyliśmy. W ten sposób udało mi się je wytropić. Ale pan tego stada

- prawdziwy morderca moczarników i twojej gromady

- cóż, Bóg wymaga od nas czegoś więcej, żeby go znaleźć. Krew na sztylcie Nadira Banu Laith Badawiego byłaby dobrym początkiem. Mogę? - spytał, łagodnie sięgając po broń.

- Zapamiętałeś jego pełne imię - powiedziała dziewczyna, a na jej zagniewanej twarzy pojawiło się coś, co Adulla uznał za barbarzyński respekt. Podała mu sztylet z niepokojem w oczach.

Adulla musiał podsycić ten respekt, jeśli chciał zapewnić sobie pomoc dziewczyny bez jej arogancji

i podejrzeń. Poza tym odkrył, że bardzo pragnie jakoś ją pocieszyć. Podniósł nóż w górę i przyjrzał mu się, mrużąc oczy.

- Twój ojciec ranił tę istotę, Zamio. Dzięki tej broni możemy ją znaleźć wraz z jej panem i zniszczyć ich. Twój ojciec służył gromadzie do końca.

Oddał sztylet, ale twarz dziewczyny była teraz całkowicie nieprzenikniona. Zamia nic nie powiedziała. „Hm. Po co właściwie się odwołuję do jej niezrozumiałych, prymitywnych przesądów?” Adulla wrócił do bardziej palących spraw i chłodnego tonu zawodowca.

- Człowiek o mocy pozwalającej na stworzenie takiego stada ghuli - i na władanie okrutną, dawną magią - będzie miał do dyspozycji potężne czary osłaniające. Wie już, że go szukam, i się przygotuje. Nawet mając ślad krwi, nie znajdziemy jego tropu bez pomocy alkemika. Chwalić Boga, przypadkiem znam jedną z najlepszych alkemiczek w całym Dhamsawaacie. Nie pracuje już na szlaku, ale i tak nam pomoże. Jutro wrócimy do miasta.

Oczy dziewczyny rozbłysły, a Adulla zobaczył, że wszystko, co osiągnął w sprawie jej zachowania, właśnie poszło na marne.

- Jutro?! Czemu nie wrócimy dziś? Szukam psa, który wymordował moją gromadę, ty tłusty, stary głupcze!

Mała Badawi miała minę rozkapryszonego mordercy.

Doktor poczuł nagłą złość i musiał przypomnieć sobie, co ta dzikuska przeżyła. Mimo to nie zamierzał pozwolić, żeby dziecko mówiło mu, co ma robić. Zwłaszcza dziecko przemawiające ze zgrzytliwym

akcentem zapiaszczonego Badawi. Musiał ją ustawić do pionu.

- Posłuchaj mnie, Zamio Banu Laith Badawi. Znaleźliśmy się na głębokich, mrocznych wodach. Potrzebujemy pomocy. Ale najpierw musimy odpocząć. Możesz z nami zjeść, jeśli chcesz. Wrócimy do miasta jutro.

Dotknięta przez Anioła czy nie, dziewczyna w gruncie rzeczy była po prostu jeszcze jednym zranionym dzieckiem Bożym, które miało problem z potworami. Adulla z biegiem lat nauczył się, że ci, którym pomagał, potrzebowali przede wszystkim, by ktoś powiedział im, co robić.

Po chwili milczących dąsów dziewczyna najwyraźniej doszła do wniosku, że nie ma innego wyjścia, jak tylko go posłuchać. Przeczesała dłonią włosy, wyprostowała się i przybrała neutralną minę. Zignorowała zaproszenie do jedzenia.

- Dobrze, doktorze. Jutro - powiedziała tylko. Rzuciła Rasidowi obojętne spojrzenie, a potem truchtem pobiegła pod spory skalny nawis.

Adulla patrzył, jak znika za skałą. Odwrócił się do asystenta i zobaczył, że chłopak stoi z rozdziawionymi ustami. Derwisz szybko spuścił wzrok na ziemię. Doktor wiedział, że to nie pora na dokuczanie, więc się powstrzymał.

- Dobrze dziś walczyłeś - powiedział jedynie. Zawsze czuł się niezręcznie, prawiąc pochwały, ale cierpiącemu na brak pewności asystentowi mogły się one przydać.

Żółto-brązowe policzki Rasida poczerwieniały; kiwnął głową. Przyjmowanie komplementów krępowało go tak samo, jak Adullę ich prawienie. „Być może

- pomyślał łowca - dlatego właśnie tak dobrze im się razem pracowało".

Chłopak odchrząknął.

- Pójdę po muły, doktorze. Nie mogły uciec daleko. W jego głosie wyraźnie słychać było napięcie. „Coś go trapi bardziej niż zwykle".

- O co chodzi? - spytał Adulla prosto z mostu. Derwisz zastanowił się chwilę nad odpowiedzią.

Poprawił turban.

- Księżę Sokołów, okrutne stado ghuli i dotknięta przez Anioła dziewczyna Badawich! Cudów i potworności na całe życie. Nie martwi cię ten dzień, doktorze?

Adulla sennie wzruszył ramionami.

- Niewymownie. Ale miewałem gorsze, chłopcze. Oczywiście było to kłamstwo, ale zaimponowało

Rasidowi, który uśmiechnął się przelotnie. Derwisz kiwnął głową i bezgłośnie ruszył w dół pochyłej skały.

Adulla patrzył na jego zwinny bieg i poczuł kłującą zazdrość o tę młodzieńczą wytrzymałość. Przez kilka długich chwil stał tak, nasłuchując nocnych owadów i krzywiąc się z powodu bólu między łopatkami. Miał też piszczel solidnie obity o kamień - nie zauważył tego wcześniej, zbyt zmęczony albo przerażony. Zastanawiał się, czy na jego ciele jest choć jeden skrawek, który w jakimś momencie jego życia nie był pokaleczony lub posiniaczony. Potem ruszył ostrożnie w dół pochyłości.

Kilka minut później Rasid wrócił, bezgłośny jak zwykle, ale zdradzany porykiwaniami mułów. Same zwierzęta wyglądały na nietknięte - chwalić małe Boskie cuda. Adulla zawsze miał muły za wspaniałe istoty: inteligentne i podejrzliwie traktujące wszelką władzę, ale powszechnie uważane za uparte i złośliwe. „Całkiem jak ja".

Chłopak wyciągnął mały kociołek z brązu i nad niedużym ogniskiem przyrządził prostą zupę. Gdzieś w chłodnej ciemności z piskiem umarło coś małego. „Może dziewczyna poluje na kolację” - pomyślał Adulla, bynajmniej nie mając pewności, czy żartuje.

Kiedy zasiedli do bulionu i chleba, Rasidowi wyraźnie coś nie dawało spokoju. Chodziło o coś więcej niż grozę i cuda, które dziś widzieli. Adulla znalazł powód, choć wątpił, czy chłopak sam przed sobą się do tego przyznawał.

Dziewczyna.

Derwisz bez wątpienia stawał na głowie, by pogodzić jakoś nieprzystające do siebie, absolutnie pobożne ślubowania i naturalne reakcje młodego mężczyzny, pewnie nie do końca nawet świadom, że to robi. Kiedy Adulla był młody, powiedziałby dziewczynie, że jej twarz jest śliczna i miałby sprawę z głowy. Chociaż twarz akurat tej dziewczyny śliczna nie była.

Nie, nikt nie nazwałby jej ładną, ale miała w sobie surową siłę i energię, która wyraźnie przemawiała do Rasida. Chłopak jednak nie potrafił być szczery sam wobec siebie, a co dopiero wobec kobiety. Adulla winił za to rygorystyczną Lożę Boga, która zrobiła z Rasida człowieka miecz.

Z drugiej strony sam doktor też od jakiegoś czasu nie zaznał dotyku kobiety. Zerkał, a czasami mrugał do młodych panien, ale czuł się niezręcznie, próbując zrobić coś więcej. A wśród starszych była tylko jedna, która się dla niego liczyła.

Miri.

Zanim zasnął, Adulla pozwolił, by jego myśli zostały na chwilę przy Miri Almusie. Ciepłe, zapraszające krągłości miłości jego życia zatańczyły przed oczami

jego wyobraźni; prawie słyszał jej niski, ochrypły głos, szepczący mu do ucha miłosne drwiny i proponujący ciasteczka do herbaty. Jego powieki zatrzepotały i zamknęły się, a on zapadł w sen, już na wpół śniąc o rozkołysanych biodrach i lukrowej polewie ciastek.

W ciemności znów rozległ się śmiertelny krzyk jakiegoś zwierzątka.

*Wojna u progu; kwili cielę zarzynane, Złodzieje w mroku skradli sny moje skrywane.*

Wersy z *Liści palmowych* Ismiego Szihaba przyszły nieproszone. Adulla sapnął z rezygnacją, odwrócił się na drugi bok i pogodził z faktem, że śpi sam na posłaniu z twardej, zimnej ziemi.



## ROZDZIAŁ 6

Zamia Banu Laith Badawi przeciągnęła się i rozprostowała ciało w promieniach wschodzącego słońca. Napiała się wody z bukłaka, naciągnęła buty ze skóry gazeli i zwinęła posłanie.

Kiedy jej myśli powędrowały ku wczorajszemu starciu i jej nowym sprzymierzeńcom, poczuła zbliżający się zapach derwisza Rasida. Pół chwili później drobny, szczupły święty mąż wyłonił się z cienia skały kilka metrów od niej. Poczuła nagły wstyd - żaden człowiek ani zwierzę nie zdołał się dotąd tak do niej zbliżyć, uprzednio niewywąchany! Nocny wiatr przewiał resztki zepsutego smrodu stada ghuli, a Zamia była lepiej wypoczęta niż poprzedniego wieczora. Nie miała żadnego wytłumaczenia! Kiedy jednak wychwyciła wyraźnie zapach derwisza, wstrząsnął nią tak, że zapomniała o wyrzutach.

„Opiekuńczy Aniołowie, miejcie mnie w opiece!” Nigdy nie przebywała w obecności zapachu tak mocnego, a zarazem tak czystego. Poczuła, że jej wstyd się pogłębia, ale już z innych powodów. Najwyższym wysiłkiem powstrzymała się od gapienia na pachnącego czystością, gładko ogolonego małego człowieczka w błękicie. Wydała z siebie cichy odgłos zaskoczenia.

- Pokój Boga - powiedział święty mąż na powitanie. Jego kanciasta twarz była całkowicie nieprzenikniona.

- Pokój Boga - powtórzyła Zamia. Poranne powietrze zrobiło się ciepłe i gęste.

- Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem - ciągnął beznamiętnie derwisz. - Pakujemy się i niedługo wyruszamy.

Zachnęła się.

- Wcale mnie nie przestraszyłeś. I, jak widzisz, ja już jestem gotowa.

Derwisz skłonił głowę w turbanie.

- Oczywiście.

Nawet gdy stał zupełnie swobodnie, otaczała go atmosfera wojny. Zamia wiedziała, że ten mały mężczyzna umie walczyć, nawet gdyby nie widziała, jak poradził sobie poprzedniego wieczora z ghulami. Pewny siebie wdzięk, z którym derwisz się poruszał, zaciętość spojrzenia jego skośnych oczu, to, jak jego dłoń opada naturalnie na rękojeść miecza - ojciec nauczył ją rozpoznawać te znaki u wroga czy sprzymierzeńca.

Choć nie umiała powiedzieć dlaczego, Zamia przypominała sobie drwiny, które dwaj chłopcy z jej gromady - nigdy przy niej - robili sobie z jej grubo ciosanej twarzy. Zazdrościli jej mocy i sławy, bez wątplenia, ale... Nigdy dotąd nie miało dla niej znaczenia, czy w ich obraźliwych słowach dotyczących jej urody znajduje się choć ziarno prawdy.

Derwisz się jej przyglądał. Zgromiła go wzrokiem.

- O co chodzi?

Po kamienistej ziemi między nimi przebiegła jaszczurka. Rasid popatrzył za nią, ale kiedy się odezwał, podniósł wzrok na Zamię.

- Zastanawia mnie coś, Zamio Banu Laith Badawi. Z tego, co mówił doktor, nie jest zwyczajem twojego ludu szukać pomocy na zewnątrz. Wiem, że straciłaś swoją gromadę, ale... dlaczego nie zwróciłaś się do innych gromad swojego plemienia? Dotknięta przez Anioła czy nie, jesteś za młoda, żeby podróżować samotnie.

- Młoda? Mam pięć i dziesięć lat! O ile ty jesteś starszy, mały człowieczku? Dwa lata najwyżej! - Zamia ze złością wciągnęła powietrze przez zęby. „Ale przynajmniej jest bezpośredni, nie tak jak ten doktor, z tymi swoimi półsłówkami i uśmieszkami”. Derwisz patrzył jej w oczy i dziewczyna poczuła, że przez jej ciało przechodzi jakaś potężna fala.

- Na ostatniej plemiennej naradzie gromada ojca została odsunięta od wody przez inne gromady - powiedziała w końcu.  
- Przeze mnie. Przez to, że ośmieli! się mianować córkę Obrońcą Gromady. A teraz... - mimowolnie zaśmiała się z goryczą - ..teraz nie mogę tej gromady nawet pomścić, bo żaden Badawi nie odpowie na moje wezwanie. Zawiodłam jako Obrońca.

W końcu urwała, nie mogąc uwierzyć, że właśnie to powiedziała. „Dlaczego opowiadasz o tym obcemu? Bo ma czysty zapach? Bo będziesz walczyć u jego boku? Sprawy plemienia należą do plemienia, a sprawy gromady do gromady!”

Derwisz podrapał się pod niebieskim turbanem.

-Ale ty...

- Nie będziemy o tym więcej mówić - rzekła Zamia stanowczo. - A co z tobą, Rasidzie bas Rasidzie? Gdzie są twoi krewni? Dlaczego ty nie masz rodowego nazwiska? - Odkryła, że nie potrafi ukryć pogardy w głosie. - Nie masz krewnych? Nie masz gromady? Nie masz plemienia?

Żołądek się jej ścisnął, kiedy uświadomiła sobie, że to samo można powiedzieć o niej.

Derwisz westchnął, a potem wyrecytował z cichą mocą słowa, które zabrzmiały jak wyuczone:

- Nazywam się Rasid bas Rasid, co po dawnemu znaczy „Rasid tylko Rasid”. Jestem derwiszem Zakonu. Nie potrzebuję ojca wśród ludzi, nie potrzebuję brata wśród ludzi, nie potrzebuję syna wśród ludzi. - Wyprostował się na pełną wysokość i jakby zyskał parę centymetrów. - Bóg jest moim ojcem, rozwidlone miecze Zakonu są moimi braćmi, cnota jest moim synem.

Zamia wiedziała, że to słowa szaleńca, kim bowiem był człowiek bez rodziny? Mimo to poruszyły ją, a człowiek, który z surową miną je wyrecytował, zaintrygował. Znów poczuła wzbierający w duszy wstyd, odziany w zakrwawione trupy jej krewnych. Nie miała prawa tak patrzeć na tego człowieka. Była Obrońcą Gromady i zawiodła. Pozostało jej tylko oddać życie za zemstę. Droga żony i matki na zawsze się przed nią zamknęła.

Ale co będzie, jeśli - niech Bóg wybaczy, że ośmieliła się tak pomyśleć - co będzie, jeśli przeżyje? Była ostatnią z Banu Laith Badawich i spoczywało na niej brzemień niedopuszczenia, by jej gromada wymarła. Musiałaby wyjść za mąż i urodzić dzieci...

Kłopotliwe, wstydlive myśli rozpierzchły się, kiedy poczuła zapach nadchodzącego doktora. Chwilę później zobaczyła jego wielkie, odziane w biel cielsko, wchodzące rozkołysanym krokiem pod skalny nawis.

- Wszechmiłosierny Boże, czyżby nasz święty mąż już cię zasypywał swoimi pobożnymi sentencjami?

- spytał. - Słońce ledwie wstało! Nie zrozum mnie źle, jego lakoniczne złote myśli są bardzo inspirujące pierwsze kilka razy, kiedy je słyszysz. Ale potem zaczynają brzmieć trochę pompatycznie.

Rasid mruknął coś pod nosem z niezadowoleniem.

- Doktorze. Proszę.

Brzmiał jak chłopiec dręczony przez silniejszych kolegów.

Łowca ghuli pojednawczo machnął ręką, a kiedy się znów odezwał, Zamia usłyszała, że w jego głosie mieszają się irytacja i sympatia.

- Och, bez wątpienia Rasid jest bardzo przydatnym towarzyszem. Potrafi przebiec komnatę w czasie jednego oddechu i, Bóg mi świadkiem, widziałem, jak zabija cyklopa!

„Cyklopa? Naprawdę?” Pustynny lud niewiele wiedział o jednookich olbrzymach z gór, ale Zamia słyszała opowieści o ich legendarnej sile. Zaryzykowała szybkie, pełne podziwu spojrzenie na Rasida. Derwisz stał nieruchomo jak głaz i nic nie mówił.

Doktor kontynuował:

- Ale, widzisz, Rasidowi wydaje się, że jest mądry ponad swój wiek. Coś ci powiem, dziewczyno: nie ma czegoś takiego, jak mądrość ponad czyjś wiek. Człowiek wie tyle, ile miał czas się nauczyć, choć oczywiście można się nauczyć znacznie mniej. Chłopak wstąpił do Zakonu w młodym wieku i wiódł surowe życie derwisza. Jest poważniejszy niż większość młodych mężczyzn w jego wieku. W końcu ilu z nich nauczyło się rozbijać pięściami kamienie wcześniej niż golić? Ale łupacz kamieni czy nie, to młody mężczyzna, któremu nie zaszkodziłoby, gdyby częściej o tym fakcie pamiętał.

Zamię wypełniło pięćdziesiąt różnych uczuć naraz. Spuściła wzrok.

- Powinniśmy ruszać - powiedziała.

- Jestem młodym mężczyzną - odezwał się derwisz cicho, do nikogo w szczególności - ale ponieważ wśród nas jest osoba starsza, przynajmniej jeden z nas powinien zachowywać się godnie i właściwie.

Zamia podniosła wzrok i zobaczyła drobny uśmiech na ładnej, ptasiej twarzy derwisza. Potem Rasid odwrócił się i odszedł do mułów.

Takie riposty najwyraźniej były rzadkie, doktor bowiem przez dłuższą chwilę jedynie stał i mrugał oczami w milczeniu, patrząc, jak derwisz odchodzi. Potem odwrócił się do Zamii i wybuchnął śmiechem, od którego zatrzęsły się jego szerokie bary i wielki brzuch.

- Ha! „Jeden z nas powinien!” Hehehehe! „Godnie i właściwie!” - krzyknął do pleców Rasida. - Właśnie tak, chłopcze, właśnie tak! A ponieważ to na pewno nie będę ja, możesz to być ty! - Doktor poruszył krzaczastymi, siwymi brwiami i porozumiewawczo mrugnął do Zamii. - Nie znosi, kiedy mówię do niego „chłopcze”, wiesz?

- A ja nie znoszę, kiedy mówisz do mnie „dziewczyno”, doktorze.

Adulla sapnął z urazą.

- Ba. Powiem ci to samo, co mówię jemu: będę was nazywał, młodziki, jak mi się spodoba! Ostatecznie jestem dość stary, żeby być twoim dziadkiem, moja droga.

Ruszyli za Rasidem, a Zamia poczuła, że rozpala się w niej gniew.

- Zanim umarł, mój dziad nazywał mnie Obrońcą Gromady.

Oczami wyobraźni zobaczyła siwego, zgarbionego Mahluda, któremu wiek nie odebrał sprawności w wyszukiwaniu wody. Ghule jego też zabiły.

Wspomnienia uderzyły ją znów jak młot. Dlaczego nie była w stanie się od nich odciąć? Nie mogła tak siedzieć i co parę godzin chorować z żalu. Taka słabość nie wiodła do zemsty.

Doktor coś znów powiedział. Za trzecim razem dziewczyna go usłyszała.

- Wszystko w porządku, Zamio?

Warknęła, cicho i przeciągle. Odepchnęła od siebie słabość.

- Nic mi nie jest, doktorze. Dlaczego stoimy tu i trajkoczemy? Nie mieliśmy wyruszać?

Adulla westchnął ze znużeniem i zamilkł. Zamia przyjrzała się mu uważniej.

Widziała, jak zniszczył trzy plugawe stwory, które z taką łatwością wybiły wojowników z jej gromady. Wiedziała, że dysponował wielką mocą. Ale patrząc na niego teraz, tłustego starca, obficie spoconego, chociaż słońce dopiero ledwie wstało, nie dostrzegała żadnych znaków, po których ojciec nauczył ją rozpoznawać wojownika. Będąc szczerą wobec siebie samej, wiedziała, że nie dałaby rady pokonać tamtego ogromnego ghula, gdyby nie skupił swojej uwagi na doktorze. Ale dlaczego ten mężczyzna wydawał się taki bezradny? Gwizdał i wyglądał, jakby pogodził się ze śmiercią i nie dbał, ilu wrogów zabierze ze sobą. Łowca ghuli u boku zwiększyłby jej szanse na zemstę - nie była aż tak głupia, by sądzić, że nie potrzebuje sprzymierzeńców. Ale ten starzec...

Do tego derwisz. Badawi w sprawach dotyczących mężczyzn i kobiet nie okazywali takiej nieśmiałości

jak mieszkańcy wiosek. Choć Zamia była Obrońcą Gromady, starsze kobiety nauczyły ją, tak samo jak i inne dziewczyny, czego powinna się spodziewać w przyszłości. Co poczuje, patrząc na mężczyznę, i co będzie robić po ślubie. Kiedy jednak patrzyła na Rasida, czuła raczej zmieszanie. Derwisz był potężnym sojusznikiem, ale też zawadą. W głowie kręciło się jej od sprzeczności.

Przez cały ranek jechali ubitą gruntową drogą, która robiła się coraz szersza i gładsza. Derwisz zaproponował Zamii swojego muła. Podejrzewała, że nie chciał jej obrazić. Skąd mógł wiedzieć, że Badawi nie wsiadają na nic oprócz czystej krwi koni? Marsz drogą był wystarczającym kompromisem.

Zamia szła dwa kroki za swoimi nowymi sprzymierzeńcami, starając się przyuczyć stopy do twardej nawierzchni drogi i jednocześnie opanować wirujące w głowie myśli. Mała grupka wędrowała w milczeniu; Zamii prawie brakowało bezmyślnego marudzenia doktora. Woląла już to, niż zostać sam na sam z bolesnymi obrazami w głowie.

Podróż ciągnęła się godzinami. Starzec i Rasid z rzadka zamieniali kilka słów. Zamia głównie ich ignorowała, rozmyślając o nożu w kieszeni. Sama oczywiście nigdy by się nim nie posłużyła, ale w jakiś dziwny sposób sztylet stał się dla niej najważniejszą rzeczą na wielkim Bożym świecie.

Było dopiero popołudnie, kiedy z ponurych rozmyślań wyrwała ją nagła zmiana wiatru. Zbliźali się do dużej masy ludzkich zapachów. Kilka chwil później droga - i tak już najszersza, jaką Zamia kiedykolwiek widziała - przecięła środkiem dwie wielkie skały i połączyła się z drugim traktem, dwa razy



szerszym. Przypominało to zagłębienie się w ludzką burzę piaskową. Zamia usiłowała patrzeć na wszystkie strony naraz, zaalarmowana groźnymi zapachami dziesiątków różnych nieznanym. Z całych sił powstrzymywała się przed przemianą w lwa. „Co się z tobą dzieje? Reagowałaś tak samo, kiedy gromada spotykała karawany kupieckie?” Nie mogła już liczyć na mądre słowa ojca, ale to żadna wymówka. „Skup się. Nie możesz wpadać w panikę przy każdej mijanej grupie wędrowców”.

Całą ich trójkę wchłonęła gęsta, ale szybko się poruszająca kolumna zmierzająca ku Dhamsawaatowi. Zamia widziała, że droga dość długo biegnie prosto, a potem wznosi się pod ostrym kątem i pnie po zboczu dużej, zarośniętej wydmy. Krzaki były gęste, co oznaczało, że zbliżają się do wody. I to jakiegoś dużego cieku, domyśliła się Zamia, widząc coraz bujniejszą, brązowo-zieloną gęstwinę. „Rzeka Tygrysia - pomyślała. - Musi być faktycznie blisko”.

Chwilę później w oddali ujrzała jej szeroką, zieloną wstęgę. Zamia wiedziała, że ludzie z zewnątrz myśleli, iż Badawich wprawia w osłupienie najmniejszy nawet strumień. Ci durnie nie mieli pojęcia o pięknych potokach i źródłach, które były w wielkich oazach Pustego Królestwa. Ale ta wielka rzeka, z łodziami i rybakami... Zamia faktycznie osłupiała, choć z całych sił starała się to ukryć.

Na drugim brzegu rzeki rozciągały się gospodarstwa i sady, które - jak nauczył ją ojciec - rok w rok wysyłały swoje plony wygłodzonym hordom Dhamsawaatu. Oliwki, daktyle, pszenica, woskowane bulwy, niewielkie pastwiska. Zamia nigdy nie znajdowała się bliżej wielkiego miasta. Banu Laith Badawi byli

- znaczenie tego słowa boleśnie ją zakłuło - bardzo niezależni, nawet jak na Badawich. Jej gromada nieczęsto spotykała się z miastowymi. Ale nawet niezależna gromada czasami potrzebowała czegoś od innych

- narzędzi, owoców i zbóż, a także, kiedy trudno było znaleźć dzikie pastwiska, karmy dla zwierząt. Obrońca Gromady miał doradzać we wszystkich sprawach związanych ze zdrowiem grupy; kilka razy towarzyszyła ojcu w wyprawie na jarmarki, które czasami urządzano niedaleko stąd. Ale z tak bliska Dhamsawaat sprawiał inne wrażenie. Od miasta biło... życie, a Zamia już je wyczuwała.

Szli dalej. Droga zrobiła się tak stroma, a słońce tak prażyło, że po twarzy doktora zaczęły spływać duże krople potu. Zamia znów zaczęła się zastanawiać, czy to dobry pomysł walczyć u boku tego człowieka. „Póki co - przypomniała sobie samej - nie masz za dużego wyboru. Ci dwaj to twoi jedyni sprzymierzeńcy na świecie”. Nie była to przyjemna myśl, ale szybko wyparowała jej z głowy. Droga bowiem wspięła się na szczyt wydmy i oto przed oczami dziewczyny rozpostarł się Dhamsawaat, Miasto nad Miastami.

Zamia stanęła jak wryta i przez kilka długich chwil nie mogła wykrztusić ani słowa. „Już rozumiem, czemu nazywają go Klejnotem Abasenu - pomyślała, widząc połyskujące turkusowe, złote i białe kopuły, którymi usiany był dywan budynków. - Zawsze myślałam, że opowieści ojca są przesadzone, ale teraz widzę, że nie oddał sprawiedliwości strasznej wielkości tego miasta”.

Omali nie zakręciło się jej w głowie. Te budynki! Nie wiedziała, jak zacząć je liczyć - były płaskie, spiczaste i kopulaste, w kamieniu i terakocie, w tuzinie odcieni. I wysokie niczym góry! Nad tym wszystkim, chyba

na środku tego chaosu - o ile miał on jakiś środek - wznosiła się olbrzymia, biała kopuła. Zamia nie była przyzwyczajona do budynków i miała kłopot z oceną jej rozmiaru, ale miała pewność, że budowla, którą kopuła wieńczyła, musiała być większa niż niektóre wioski handlowe, jakie widziała.

To musiał być legendarny Pałac Półksiężycy, ociekający przepychem dom i twierdza kalifa oraz jego rodziny. Lud Zamii niewiele się przejmował rzekomym władcą Abasenu i niewiele o nim wiedział. Badawi ograniczali swoje kontakty z miastowymi, jak tylko mogli; obawiali się, że zostaną pionkami do traka w najlepszym wypadku, a niewolnikami w najgorszym. Mimo to wiedzieli o wspaniałości pałacu, a ci nieliczni, którzy zobaczyli Dhamsawaat na własne oczy, potwierdzali, że opowieści nie wyolbrzymiały pałacowego splendoru. Nawet z tej odległości Zamia widziała, że to prawda.

Przed wielkimi murami miasta zatrzymali się przy dwóch podłużnych budynkach, które potężnie cuchnęły końmi. Tam doktor oddał muły zgarbionemu mężczyźnie w absurdalnym miejskim ubraniu. Dalej poszli pieszo, minęli ogromne bramy i zagłębili się w jeszcze gęstszej ludzkiej cizbie. Zamia musiała sobie przypominać, że to nie żaden wywołany gorączką sen. „Tyle tu kamienia i cegły. Powietrze jest od nich aż duszne!” Zmusiła się, żeby nie gapić się na wszystko jak oślepienie słońcem dziecko.

Jeszcze bardziej niż budynki zdumiewali ludzie. Jeśli wydawało się jej, że na drodze do miasta spotkała wielki tłum, to teraz, na ulicach, mijała ich sto razy więcej. Najgęstszymi zgromadzeniami ludzi, jakie dotąd oglądała, były wioska i miejsca pielgrzymek na północnym

wschodzie. Była w szoku, kiedy je zobaczyła, te setkę dachów i budynki po dwa piętra. Ale tu - to była niemożliwość. Pstrokata mieszanina ubrań i kolorów skóry. Wyglądało to przerażająco. Zapachy mężczyzn i kobiet mieszały się z tysiącem innych, na obrzeżach pola widzenia pojawiali się i znikali niezliczeni mieszkańcy. Jak miała w takim tłumie wywęszyć wrogów?

- Ile tu osób! - powiedziała mimowolnie.

- Trzeba było widzieć, co się działo, jak wyjeżdżaliśmy! - ryknął starzec. Odwrócił się do Rasida. - Wracamy między mury chyba dwa razy szybciej.

Zamia nie umiała sobie wyobrazić większego ścisku na ulicach. Pod ścianami siedziały Rughalki z zasłoniętymi twarzami i moździerzami o rozmiarach bojowych maczug tarły słodko pachnące przyprawy. Dziewczęta w kosztownych półszatach spacerowały pod ramię z miękkimi, wyglądającymi na bogaczy mężczyznami. Dwaj chłopcy prowadzili skrajem tłumy małe kozy. Zamia dostrzegła nawet dwie osoby w wielbłądzich zamszach Badawich. Odwróciła wzrok, ale owych mężów interesowało bardziej samo miasto niż samotna Badawi w Klejnocie Abasenu. Dziewczyna próbowała z całych sił ignorować wszystkie zwierzęce i ludzkie wonie - wystarczająco przytłaczające było to, co widziała.

Na jej drodze jednym susem znalazł się mężczyzna o zaciętej twarzy. Zamia zeszywniała, gotowa do walki, rozważając ryzyko przemiany w nieznanym miejscu. Mężczyzna, cuchnący oszustwem, potrząsnął skórzanym kubkiem i krzyknął coś o trójkątnych kościach. Zanim Zamia zdążyła cokolwiek zrobić, doktor odepchnął go łokciem i warknął coś o ustawianych grach losowych. Mężczyzna uklonił się kpiąco i odwrócił do następnego potencjalnego gracza.

Zamia znów powstrzymała chęć, by odwrócić się na pięcie i z prędkością lwa uciec z powrotem na pustynię. Pomyślała jednak o ojcu, który za młodu był raz w Dhamsawaacie. Dało jej to siłę - skoro Nadir Banu Laith Badawi odwiedził to straszne miejsce i przeżył, to córka mogła uczcić jego pamięć, robiąc to samo. Myśli o ojcu i losie, jaki go spotkał, napełniały ją coraz większą determinacją. Powtórzyła sobie, że droga do zemsty -jedyne go celu jej życia - prowadzi przez to obce jak piaskowa zamieć miasto i jego barwny dywan... setek? tysięcy? Nie знаła określenia na liczbę ludzi, którzy musieli tu mieszkać.

Powoli szli ulicą, ścisk nie pozwalał im przyspieszyć kroku. Co parę chwil Zamia zerknęła w lewo, upewniając się, że doktor wciąż tam jest. Walczyła z najgroźniejszymi wojownikami rywalizujących gromad. Zabiła ghula. Ale teraz była przerażona jak jeszcze nigdy w życiu. A gdyby coś ich rozdzieliło? Jak znalazłaby drogę powrotną do starca? Wśród gładkich pustynnych wydm wysłedziłaby każdego i wszędzie, ale tu? Przy tylu budynkach, wozach, zapachach, dźwiękach i ludziach? To miasto mogłoby ją połknąć w całości i nikt by tego nie zauważył. Przysunęła się bliżej do Adulli Machsluda.

- Ilu ludzi mieszka w Dhamsawaacie? - spytała szeptem.

Doktor uśmiechnął się w sposób, który sprawił, że Zamia poczuła się jak idiotka, choć nie sądziła, by taki miał zamiar.

- Moja droga - zaczął - ilu ludzi było w twojej gromadzie?

- Najczęściej około pięćdziesięciorga.

- A ile gromad składa się na plemię?

- Około stu. Co trzy lata mamy plemienną naradę. - W suchych oczach zaszczypały ją łzy frustracji na myśl o ostatniej plemiennej naradzie, na której była zaledwie rok temu. Ale pomimo niesprawiedliwości, jaką jej gromadzie tam wyrządzono, Zamia poczuła wzbierającą dumę, wspominając tłumy na zjazdach Banu Laith. Uniosła wyżej brodę. - Banu Laith Badawi to wielkie plemię. Kiedy się zbierzemy, nasza liczba jest straszna. Zebrane namioty pokrywają wydmy jak...

Umilkła, zdając sobie sprawę, jak głupio to brzmiało. Starzec odchrząknął, udając, że nie widzi jej zakłopotania.

- Wyobraź sobie całe swoje plemię w jednym miejscu, a potem jeszcze dziewięćdziesiąt dziewięć plemion tej samej wielkości. Potem, obok nich, sto następnych takich samych. Dwieście waszych plemiennych zjazdów jeden obok drugiego i jeden na drugim. Tylu ludzi mieszka w mieście przed tobą.

W głosie doktora wyraźnie pobrzmiwała duma.

Przez chwilę Zamia myślała, że starzec kłamie. Ale czemu miałyby to robić? Z drugiej strony jak tylu ludzi mogło żyć w jednym miejscu? Jak mogli oddychać? Jak mogli przemieszczać się z miejsca na miejsce i nie oszaleć?

Zapytała o to wszystko doktora; wiedziała, że zabrzmi naiwnie, ale nie obchodziło jej to. Starzec się zaśmiał.

-Ależ moja droga - odparł - popadam w coraz większy obłąd za każdym razem, kiedy wychodzę z domu. Oto prawdziwe wyzwanie mieszkania w mieście! Przypomnij mi, żebym ci opowiedział, jak to zajęło mi dwa dni, żeby dostać się z Małpiej do Dalekich Ogrodów!

Tłum trochę się przerzedził i znaleźli się na wielkim, brukowanym placu, wokół którego stały posągi. Zamia tak się skupiała, żeby nie oddalić się od doktora,

że nie zauważyła monumentów, dopóki nie znaleźli się blisko pierwszego z nich. Rzeźba przedstawiała jednego z Aniołów. Kiedy dziewczyna spojrzała jej w oczy, stanęła jak wryta, zamurowana ujrzanym pięknem. Banu Laith Badawi prowadzili na tyle ożywiony handel, że małe dziełka miejskich rzeźbiarzy czasem trafiały w ich ręce, nieodmiennie obnoszone z nieprzystojącą plemieniu próżnością i afektacją, które zawsze irytowały *Żarnie*. Ale kunszt wykonania tych posągów, to, jak pełne życia miały oczy...

Doktor pociągnął ją za rękę.

- Wiem, dziecko. Nawet po tylu latach czasami onieśmiela mnie ich piękno. Ale chodźmy dalej.

Znów uśmiechnął się dumnie, jakby był wodzem, a to miasto jego gromadą.

Przeszli jeszcze kawałek; w mijanych budynkach mieszkali najwyraźniej ubożsi. Ludzie na ulicy pozdrawiali doktora, zerkali z ciekawością na *Zamię*, ale o nic nie pytali. Ostatecznie cała trójka zatrzymała się przed wysoką budowlą z białawego kamienia. Przed wejściem w glinianych donicach rosły dwie smutne kępy cierniczyny. Używając dużego żelaznego klucza, doktor otworzył drzwi. Znieruchomiał na chwilę, a potem wyrzucił ręce w górę i się uśmiechnął.

- Dzięki niech będą Bogu, że znów dane mi jest postawić stopę na własnym progu! - ryknął.

Kiedy tylko weszli do środka, starzec klapnął ciężko na otomanę z ciemnego drewna i wydał z siebie najgłośniejsze ziewnięcie, jakie *Zamia* w życiu słyszała. Zaproponował jej wytartą poduszkę, która dla Banu Laith Badawich byłaby niewątpliwie cennym przedmiotem, ale człowiek z miasta taki jak doktor wyraźnie jej nie cenił. Derwisz znikł w innym pokoju i wrócił

z wodą w chłodnym dzbanku oraz talerzem orzechów i suszonych owoców. Zapalił małą lampkę oliwną; jej zapach ukoił nerwy Zamii. Cała trójka przez kilka minut jadła i popijała.

- Obawiam się - odezwał się w końcu derwisz - że wiem, jaka będzie twoja odpowiedź, doktorze, ale sugerowałbym, że naszym następnym krokiem powinno być powiadomienie ludzi kalifa o tym zagrożeniu.

Doktor przewrócił oczami.

- Skoro znasz moją odpowiedź, chłopcze, to nie muszę mówić, że zainteresowanie kalifa tą sprawą bardziej by nam przeszkadzało, niż pomagało.

Zamia miała pewność, że ma tak samo cyniczną minę co łowca. Cicho odchrząknęła.

- Nawet Badawi wiedzą, że ludzie kalifa to okrutnicy, derwiszu! Psów Dhamsawaatu nie obchodzi, co się stało z Banu Laith Badawimi.

- „Psy Dhamsawaatu” - powtórzył doktor. - Co to ma być, jakieś barbarzyńskie, pogardliwe określenie mieszkańców miasta? Zdajesz sobie sprawę, że ja też jestem Psem Dhamsawaatu, dziewczyno? A mimo to moją pomoc chętnie przyjmujesz!

Zamia powstrzymała się, żeby na niego nie warknąć.

- Twoją pomoc, doktorze? Czy to nie ja uratowałam cię wczoraj w nocy przed tą plugawą istotą?

- Ona ma rację - wtrącił derwisz, najwyraźniej zapominając o swojej sugestii dotyczącej władz.

Drugi raz Zamia zobaczyła, że na jego surowej, ale przystojnej, delikatnej twarzy maluje się rozbawienie. Znów pomyślała z goryczą, że jeszcze niedawno, gdyby go spotkała, jej myśli szybko mogłyby zacząć krążyć wokół zalotów. Wokół dumy, którą napawałby jej ojca taki mężczyzna, i niechętnego podziwu, jaki gromada



żywiłaby dla jego umiejętności walki. Teraz jednak nie było miejsca na takie rozmyślenia. Gromada - wspomnienie gromady - potrzebowała lwicy-mścicielki. Dziewczyna marząca o zamążpójściu była dla niej hańbą.

Doktor mruknął coś o bezczelnych dzieciach i przesunął dłoń po bezkresnych fałdach swojego kaftana. Potem wstał i zaczął chodzić w tę i z powrotem.

- Dobrze. Jak mówiłem wczoraj wieczorem, sprawa tego zakrwawionego noża leży w rękach alkemików. Moich znajomych nie ma teraz w domu, ale odwiedzimy ich z samego rana. Potem chciałbym ci przedstawić innego młodego człowieka, który stracił rodzinę przez te same potwory. Oboje jesteście jedynymi świadkami tego zagrożenia i przyda mi się wysłuchać was ponownie, razem.

Zamia nie zdołała pohamować gniewu.

- Znowu gadanie?! Marnujemy cały dzień, sta... doktorze! Na pewno jest w tym mieście ktoś jeszcze, kto może nam pomóc! Starzec wzruszył ramionami.

- Parę osób. Ale liczą sobie bardzo słono. I nie należą do ludzi, którzy dobrze się odnoszą do młodych dzikusów wpadających do ich sklepów i mówiących im, co mają robić, a to bez wątpienia byś uczyniła.

Zamia warknęła. Doktor tylko się uśmiechnął.

- Poza tym żaden z nich nie jest tak dobry w swoim fachu jak Litaz. Ile byśmy stracili czasu, czekając, nadrobimy go z nawiązką dzięki jej wprawie. Teraz spróbuj się uspokoić. Jutro mamy dużo do zrobienia. A kiedy tylko upatrzymy ofiarę, rozpoczniemy polowanie.

Jego uśmiech stwardniał.

- Uważasz mnie za leniwego, starego osła, a ja, patrząc na ciebie, widzę niewychowaną dzikuskę. Ale w imię Boga, nasze spotkanie w walce przywodzi

mi na myśl Niebiańskie Rozdziały: „O wierny! Bacz na przypadek, który nie jest przypadkiem!” Bóg chce, żebyśmy stawili czoła temu okrucieństwu razem, Zamio Banu Laith Badawi. I tak zrobimy.

Błysk w oczach łowcy ghuli sprawił, że Zamia po raz pierwszy od wielu dni poczuła nadzieję. Była to zawzięta, gorzka nadzieja, ale innej nie miała. Gromada Nadira Banu Laith Badawiego zostanie pomszczona.

Przez prawie godzinę dziewczyna drzemała na otomanie tuż pod drzwiami wejściowymi. Było jej tam dobrze, pomimo mrocznych myśli, które pełzały wokół jej zadowolenia. Potem doktor oznajmił, że pora coś zjeść.

Zamia nie rozumiała miastowych. Pomarszczona staruszka, która mieszkała obok doktora, przyniosła talerze z jedzeniem. Choć była do niego w ogóle niepodobna, Zamia założyła, że to jego siostra albo matka - inaczej czemu mieszkałaby tak blisko i dlaczego miałyby go karmić? Nie została jednak, żeby zjeść z nimi - a doktor dał jej monetę, zanim wyszła! Była to najbardziej nieuprzejma i bezwstydną rzeczą, jaką dziewczyna widziała, ale z drugiej strony słyszała, że mężczyźni w mieście płacą też za uprawianie miłości.

Doktor nałożył sobie na talerz grubych plastrów mięsa z obfitym, zielonym przybraniem.

- Czerwone wino i jagnięcina w pistacjach! Dzięki niech będą Bogu miłosiernemu, że nie zsyła na mnie wyłącznie doprowadzających do szału chwil próby!

- Nappełnił swój kubek, wychylił go, nappełnił ponownie.

- Jedz, dziewczyno! - zagrzmiał, pryskając z ust drobinami pistacji i wskazał półmiski przed sobą. - Obawiam się, że niedługo znów wyruszymy w drogę. Wtedy będziesz żałowała, że nie zjadłaś.

Wypił znów długi łyk wina.

Zamia próbowała sobie wmawiać, że nie jest głodna, że nie może myśleć o niczym prócz zemsty, ale wiedziała, iż to nieprawda. Od zapachów jedzenia zaczęło jej burczeć w brzuchu tak, jakby odzywała się w niej głodna, spragniona lwica. Nie czekając na dalsze zachęty doktora, wypła połowę nalanego jej wina jednym haustem i zaczęła pochłaniać wielkie kęsy jagnięciny. Jednak po kilku kęsach żołądek zaczął się jej kurczyć.

- To miejskie jedzenie jest za tłuste - powiedziała, a potem dwoma łykami opróżniła kubek.

Derwisz uśmiechnął się hipnotyzujące

- Zgadzasz się z tobą w zupełności, Zamio Banu Laith Badawi. Zauważ, że ja sam jadam tylko owoce i pieczywo. Dieta pobożnych.

Zamia usłyszała swój własny głos:

- Możesz mi mówić po prostu Zamia, Rasidzie. „Skąd się to wzięło? To przekłete wino jest za mocne!”

Derwisz bąknął coś zawstydzony i wbił wzrok w talerz. Jest starszy ode mnie, a wydaje się taki miody.

- E tam! - ryknął starzec, rubasznie przerywając napięcie. - Taka ptasia karma jest odpowiednia, być może, dla małych świętych mężów. Ale nie dla kogoś o mojej... - przerwał i obiema rękami dźwignął swój wielki brzuch - .. .pozycji. - Odwróć! się do Zamii, a w jego głos wkradł się troskliwy ton. - Wiele dziesiątków lat spędziłem jako sługa Boży. Przebyłem szlaki, o jakich ten zarozumiały chłopak nawet nie słyszał. Przez czterdzieści lat każdy dzień upływał mi na wojnie ze Zdradzieckim Aniołem. To źle, że noce wolę spędzać w ten sposób?

Wypił jeszcze jeden wielki haust wina i z szelmowskim uśmiechem odwrócił się z powrotem do Rasida.

- Czasami jesteś tak samo nie do zniesienia jak ci Pokorni Uczniowie, których tak szanujesz! Może

powinieneś wstąpić do tej ich głupiej sekty? Skoro obraża cię napitek, taniec i tak dalej! - Wyciągnął oskarżający palec. - Pamiętaj, co mówią Rozdziały: „Bóg przemawia przez te Rozdziały, a nie ustami kapłanów. Jego pisma nie są uwiecznione na papirusie, pergaminie czy welinie. Zapisują się w pamięci ludzi, odbijają w ich sercach, odciskają w duszach”. A mimo to twój Zakon i Pokorni Uczniowie zachowują się, jakby Rozdziały zostały wypisane na ich ustach. Znow się napił.

- Zanim zgasła chwała Abasenu, łowcy ghuli przestrzegali niezłomnie różnych zasad. Ale przynajmniej nigdy nie twierdzili, że są świętymi mężami. Bóg jest Najłaskawszym Gospodarzem, chłopcze! Zapominając o tym, zapominasz, po co walczymy!

Skończywszy tyradę, łowca ghuli załamał ręce w teatralnym geście. Przez chwilę słychać było tylko odgłosy jedzenia i sapanie doktora. Skończywszy posiłek, siedzieli w milczeniu. Potem ciszę strzaskał natarczywie głośny głos starca.

- Skoro o walce mowa - powiedział, jakby nigdy nic - zastanawiałem się nad czymś, Zamio. Jeśli, z Bożą pomocą, znajdziemy tego przekłętego sługę Zdradzieckiego Anioła i pokonamy go, co zrobisz?

Zamia poczuła, że przyjemne ciepło wina w jednej chwili znika. „Czemu pyta o to właśnie teraz?” Brzmiało to dla niej, jakby łowca ghuli z góry znał jej odpowiedź i nie był nią zachwycony.

- Liczy się tylko to, żebym zabiła człowieka czy potwora, który to zrobił. Najpewniej przy tym zginę. Tak powinno być. Męczeństwo dla mnie, zemsta dla mojej gromady.

Z głosu doktora zniknęła winna rubaszność.

- Męczeństwo? Tak pilno ci umrzeć, Zamio? Zerwała się na nogi.

- A po co mam żyć? - syknęła. - Wszyscy, których znałam, nie żyją! Moja gromada nie żyje! Mogę się tylko modlić, żeby los pozwolił mi ich pomścić, zanim sama zginę!

Doktor patrzył na nią, a jego spojrzenie było surowe.

- Pamiętaj, że nawet na drodze losu są rozstaje. Twój ojciec dostrzegł w tobie dotyk Aniołów i wybrał cię na obrońcę Gromady, choć jesteś kobietą. Rozumiał Rozdziały, które głoszą: „Ścieżek losu przed każdym człowiekiem niewiele, ale zawsze jest wybór”.

Szturchnął bezmyślnie ziarno fasoli na talerzu, jedyny ślad posiłku, jaki tam został.

- Ale dość tych ponurych tematów. Musimy zająć się tym, co my mieszczuchy nazywamy posłaniem dla ciebie, a Badawi - „przypadkową łąką kurzu i piachu”. Och, przepraszam, dziewczyno, tylko żartuję. Ale oczywiście nie zhańbilibyśmy cię, każąc ci spać w domu mężczyzny, który nie jest twoim ojcem ani mężem. Nie wątpię, że sąsiadka, ta staruszka, która przyniosła nam kolację, użyczy ci materaca. Dla takiej młodej kobiety jak...

Zamia warknęła.

- Nie jestem małą dziewczynką, doktorze. Mój ojciec wybrał mnie na obrońcę Gromady i tym właśnie jestem. Obrońca śpi tam, gdzie musi. Jeśli będziesz tak dobry i rozłożysz mi posłanie tu, pod schodami, to wystarczy.

Derwisz obok niej wydał jakiś zduszony odgłos. Zamia go zignorowała, bo nie mogła sobie pozwolić na utratę panowania nad sobą.

- Czego chciałabym się dowiedzieć - zmieniła temat - to tego, czy naprawdę jesteśmy tu bezpieczni,

doktorze. Nie chciałabym, żeby mnie obudziło uczucie rozpruwanej piersi. Ten ktoś, z kogo ghulami walczyliśmy, co ma go powstrzymać przed uderzeniem na nas tutaj?

Doktor ziewnął i uśmiechnął się protekcjonalnie.

- Przemycenie ghuli do miasta to nieprosta sprawa, dziecko. A poza tym mój dom jest zaklęty, tak że żaden trupojad nie może przestąpić jego progu. - Starzec pchnął grubiańsko swój talerz do Rasida i wstał. Jego leniwą minę znów zastąpiło skupienie. - Posłuchaj mnie. Jedna z Banu Laith Badawich wciąż żyje. Kiedy ona umrze, wtedy dopiero twoja gromada będzie martwa. Do tego dnia, dziewczyno, twoja gromada żyje.

Pomachał jej grubym paluchem i wyszedł.

Zamia odwróciła się do derwisza. Bała się zostać z nim sama, a zarazem była podekscytowana. Jednak niewielki mężczyzna zniknął. Dziewczyna poczuła, że coś skręca się w niej z powodu rozczarowania i ulgi.

Niedługo później leżała na posłaniu i czekała na sen, a przez głowę przelatywał jej huragan myśli. Widok brata z wydartym sercem i świecącymi na czerwono oczami. Dłoń ojca ściskająca sztylet. Syk ghuli. Zapachy tego obcego miasta. Przelotne uśmiechy Rasida.

I upomnienia doktora. „Twoja gromada żyje” - powiedział. Zamia zdała sobie sprawę, że już uważała się za na wpół martwą. Zachowywała się, jakby gromada Nadira Banu Laith Badawiego zniknęła z Bożego świata na zawsze. Łowca ghuli, ze swoją mieszczańską miłością do jedyne go budynku, który nazywał domem, nie rozumiał jej ludu. Nie rozumiał, co straciła. Ale tak czy inaczej dał jej do myślenia.

„Dom” - pomyślała Zamia. Dla koczowniczego Badawiego nie było to jedno miejsce. Do głowy wcisnęły

się jej słowa jednej z najważniejszych pieśni jej ludu. Zaczynała się od śpiewu chłopców.

*Dom jest tam, gdzie jest mój ojciec! Jestem prawdziwym Badawim!*

Potem przychodziła kolej na mężczyzn:

*Dom jest tam, gdzie są moi synowie! Jestem prawdziwym Badawim!*

A później wszyscy śpiewali razem:

*Dom jest tam, gdzie namioty gromady! Jestem prawdziwym Badawim!*

To była dumna pieśń, mająca podkreślać wyższość jej ludu nad miękkimi wieśniakami i mieszczuchami. Teraz jednak brzmiała w niej żalobna ironia. Ojciec Zamii połączył się w śmierci z jej matką. Nie miała synów ani córek. Wyobcowanie jej gromady oznaczało, że żadna inna grupa jej nie przyjmie. Jak miała znów znaleźć dom?

Pałaca żądza zemsty zaprowadziła ją bardzo daleko. Ale teraz czuła, jakby miała się rozpuścić z wyczerpania. Tego wieczora Zamia nie mogła już nic więcej zrobić. Nic, oprócz opłakiwania wszystkiego, co straciła. I tak, pewna, że jest poza zasięgiem słuchu swoich nowych sprzymierzeńców, zmęczona jak jeszcze nigdy w życiu, Zamia Banu Laith Badawi, po raz pierwszy od lat cicho popłakała się przed snem.

## CZEŚĆ II

Gwardzista nie wiedział, ile dni trzymano go w czerwonej, lakierowanej skrzyni.

Wieko się podniosło i dłonie chudego mężczyzny wyciągnęły go, nagiego i skamlącego, ze środka. Chudy cisnął go na klepisko. Gwardzista leżał, pragnienie paliło mu gardło, próbował przypomnieć sobie, jak się nazywa. Pamiętał tylko tyle, że jest gwardzistą urodzonym w Pałacu Półksiężycy i zaprzysiężonym tam do służby. Że służyli pod nim inni. Chudy i jego stwór z cieni nie pozwalali mu o tym zapomnieć.

Pamiętał też ulicznego złodzieja i żebraka. Chudy zabił ich obu powoli, krew bryzgała na jego i tak już brudny kaftan. Zmusił gwardzistę, żeby ten słuchał ich błagań. Zmusił go do wachania ich odchodów, kiedy zanieczyścili się ze strachu.

Gwardzista nie wiedział, gdzie jest. Jakiś pokój. Belki stropowe i chroboczące szczury. Piwnica? Cela?

Nagle usłyszał w głowie pisk, a po nim głos szakala.

*Słysz słowa Mouw Awy, kiedyś zwanego Hadu Nawasem, który przemawia za swojego błogosławionego przyjaciela. Tyś jest uczczonym gwardzistą. Poczętym i zrodzonym w Pałacu Półksiężycy. Tyś zaprzysiężony*



*w imię Boga, by go bronić. Wszyscy, co pod tobą, mają służyć.*

*Słysz słowa Mouw Awy, którego nikt nie widzi i nie słyszy, dopóki nie uderzy! Który drwi sobie z klingi miecza i strzały! Przeistoczony przez Boga Szakala i uwolniony ze swojego więzienia przez swojego błogosławionego przyjaciela.*

*Słuchaj Mouw Awy i wiedz, że nie ma nadziei. Wiedz, że nikt cię nie ocali. Mouw Awa użyje swych mocy, przekradnie się i przemyci, i zabije wrogów swojego błogosławionego przyjaciela. Grubego, czystego i kocię.*

Cień-szakal-człowiek w głowie gwardzisty szeptał dalej o krwi i pękających płucach. Mężczyzna znów poczuł twarde dłonie pod pachami. Chudy powlókł go na drugi koniec ciemnego pokoju, gdzie bulgotał, syczał i śmierdział siarką wielki, czarny kocioł, choć nie palił się pod nim żaden ogień. Ciecz w środku wyglądała jak roztopione rubiny, a jej czerwony blask oświetlił wychudzoną, czarnobrodą twarz jeńca.

Poczuł, że jest podnoszony i wrzucany do kotła. Poczuł, jak wrząca ciecz parzy jego skórę. A skądś dobiegi go haniebny wrzask i błaganie człowieka, który kiedyś był silny.

## ROZDZIAŁ 1

Zamia Banu Laith Badawi znów poczuła zapach śmierci swojej rodziny. Poderwała się nagle, krzycząc, warcząc i na nowo przeżywając tę straszną noc, kiedy znalazła swoją gromadę.

„Nie, to był tylko sen. To inna noc”. Nie znajdowała się na pustyni. Leżała na materacu w domu doktora Adulli Machsluda.

Ale ten okrutny, grobowy smród nie zniknął.

„To nie jest tylko sen!” Kątem oka dostrzegła poruszenie. Coś na nią skoczyło. Uratowały ją tylko refleks daru Anioła i lata ćwiczeń z ojcem. Coś - coś prawie człekokształtnego - runęło na materac, na którym leżała zaledwie jeden oddech wcześniej.

*Nie. Mow Awa, człek-szakal, jest niewidzialny i niesłyszalny dla ludzi, dopóki nie uderzy! Ale kocię go wyczuło!*

Istota przed Zamią była czarna jak cień, nie licząc czerwonych, świecących ślepi. Jakimś cudem dziewczyna słyszała jej słowa zarówno w uszach, jak i w myślach. Stwór miał niewyraźny, rozmyty kształt, przypominający szakala chodzącego na dwóch ludzkich nogach, ale jego zarys migotał i chwiał się jak proporczyki namiotu na wietrze.

Bił od niego smród śmierci gromady Zamii. Smród palonych włosów szakala i starej, dziecięcej krwi. Ślepie. Były jaśniejszą wersją tego, co dziewczyna widziała u swoich zabitych pobratymców. Patrząc na ohydę przed sobą, wiedziała, że to ona właśnie pożarła dusze jej gromady. Jej ojca.

Wrzasnęła ze strachu. Stwór znów na nią skoczył i z trudem uchyliła się przed jego osnutymi ciemnościami kłami. Krzyknęła.

- RASID! DOKTORZE! WROGOWIE!

Zabrzmiało to głośno jak ryk lwicy, o wiele głośniejsze, niż powinien brzmieć krzyk dziewczyny. Przybrała kształt. Kiedy była młodsza, musiała próbować, czasami kilka razy, żeby się przemienić. Teraz jednak przychodziło jej to bez namysłu, jak oddech. W jednej chwili była kobietą, w następnej - wielką, złocistą lwicą. W jednej chwili przepelniała ją dziewczęcy strach, w następnej w jej żyłach tętnił blask słońca.

Wraz z kłami, pazurami i futrem przyszła pewność siebie. Zamia uchyliła się przed następnym skokiem i zawarczała:

- Czymkolwiek jesteś, wymordowałeś Banu Laith Badawich. Wyrwę ci gardło!

Istota przed nią zaskomlała obrzydliwie, głosem na poły psim, na poły ludzkim.

*Mouw Awa nie jest już sam. Znalazł go jego błogosławiony przyjaciel. I Mouw Awa zabije kocię i grubego i czystego dla swojego błogosławionego przyjaciela. Mouw Awa drży, wie bowiem, jak słodko-stona będzie dusza kocięcia o dwóch smakach!*

Zamię rozpraszał głos w głowie, ale ojciec wiele lat temu nauczył ją, że należy zwracać uwagę na ciało wroga, a nie jego słowa. Znów zaryczała, żeby obudzić

sprzymierzeńców, a potem skoczyła na plugawą istotę przed sobą.

Jednocześnie próbowała zrozumieć, czym jest ten potwór. Czy szpony przetną cień?

Machnęła lewą łapą i dostała odpowiedź. Plugastwo

- Mouw Awa, jak samo się nazywało - splunęło, zaskomlało i odskoczyło w tył z bólu.

*Kocię zraniło Mouw Awę! Dzikie jak ojciec, okrutny, co zranił błogosławionego przyjaciela MouwAwy!*

Sama szybkość, z jaką stwór skoczył, wytrąciła Zamię z równowagi. Udało się jej uniknąć klapiącej paszczy, raz i kolejny raz. Ale już zaczynała czuć zmęczenie, a wszystko wskazywało, że jej przeciwnik nie. Poza tym nie była przyzwyczajona do walki w takiej ciasnocie.

Odskoczyła w tył i potknęła się o półkę z książkami, która przygniotła jej tylne łapy. „Boże, dopomóż!” Stwór przyskoczył bliżej, Zamia prawie dusiła się od jego smrodu.

Błękitna smuga rzuciła się na istotę, która nazywała się Mouw Awą. „Rasid!”

Miecz derwisza ciął stwora, odciągając go od Zamii. Raz, drugi, trzeci, rozwidlone ostrze zagłębiło się w Mouw Awę, ale nie zostawiło żadnego śladu.

- Uważaj! To coś śmierdzi ranami mojego ojca!

- warknęła Zamia. Potem rozprostowała tylne łapy i połamała półkę. W ciało weszły jej drzazgi, ale zignorowała je.

Patrzyła na derwisza i potwora, wyczekując na sposobność zaatakowania. Miecz Rasida znów ciął Mouw Awę, ale stwór tylko zaskomlał i prychnął. Jego kły chybiły celu, raz, potem drugi. Uderzył derwisza przedramieniem w pierś. Rasid wyleciał w powietrze, jakby go kopnął koń. W Zamii zamarło serce.

Kątem oka zobaczyła, że na schodach pojawia się z krzykiem starzec. Zignorowała jednak doktora i skoczyła na Mouw Awę.

*Ani miecz, ani modlitwa nie zatrzymają Mouw Awy, przemycił bowiem czarodziejstwo. Będzie się napawał podwójnym smakiem twa i dziecięcia, kiedy istoty jego błogosławionego przyjaciela zabiją czystego i grubego.*

Stwór uchylił się przed atakiem i cisnął coś na ziemię. Rozległ się głos przypominający łopot wiatru i nagle na środku pokoju zawirowały dwie burze piaskowe rozmiarów człowieka. Nabrały kształtów - ramion, nóg, kłów.

„Litościwy Boże! Gdyby pustynne wydmy przeobraziły się w potwory, tak by wyglądały!" Człekokształtne istoty kłapnęły paszczami, ukazując zęby jak ostre kamienie. Jeden wysunął rozdwojony język. Nie, nie język. Różową skalną żmiję, najgroźniejszego węża pustyni.

Stwory weszły między Zamię, a jej sprzymierzeńców - i tylko tyle mogła poświęcić im uwagi. Oblakany, morderczy potwór przed nią zasłużył na śmierć, a jej jedynym celem na Bożym świecie było go zabić.

Cięła pazurami raz za razem, ale Mouw Awa zawsze wydawał się wyprzedzać ją o krok. Spowity cieniami pysk wykrzywił się jak w kpinie.

*Kocię pluje i parska, ale zginie w miazdzących zębach Mouw Awy, co kiedyś zwał się Hadu Nawasem.*

Pozostałych walczących Zamia miała teraz za plecami. Słyszała za sobą wykrzykiwane cytaty z pisma, wołanie Rasida i odgłosy magii jak ciche gromy. Musiała zmobilizować całą swoją dyscyplinę, żeby nie odwrócić się od przeciwnika. Coś stanęło w ogniu; zakrztusiła się od dymu zmieszanego ze smrodem Mouw Awy.

Głośno zawarczała. Wrogowie jej gromady uciekali przed tym warkotem jak dzieci. Ale Mouw Awa znów zaatakował, znalazł się tak blisko, że Zamia poczuła dziwny żar buchający z jego pyska.

Uderzył i chybił. Dostrzegła swoją szansę. Skoczyła, wykorzystując okazję, którą dała jej nadmierna pewność siebie potwora.

*Nie tobie, mnie!*

Zbyt późno Zamia uświadomiła sobie, że to ona była nadmiernie pewna siebie. Mouw Awa nie stracił równowagi. Zmylił ją i wciągnął w pułapkę. Zamia uderzyła pazurami i poczuła, że wbijają się głęboko w cień-ciało. Ale wtedy stwór zmienił pozycję; czarne szczęki kłapnęły i zagłębiły się w jej żebra. Wrzasnęła, syknęła i znów zaatakowała. Mouw Awa zatoczył się w ty!, ciężko poraniony.

Ale jego kły zdążyły zranić i ją. Ból przyćmił Zamii wszystko. Ból i płonący, czerwony żar, od którego zaskomlała. A potem zapadła ciemność.

„Litościwy Boże, dopomóż!” Na poły tylko wierząc własnym oczom, Adulla patrzył, jak w jego bibliotece do nieprawdziwego życia powstają dwa piaskowe ghu-le. Zamia była związana walką ze stworzeniem, które wyglądało jak ożywiony cień szakala - łowca nigdy przedtem niczego takiego nie widział. Rasid z trudem podniósł się na nogi.

Adulla zauważył to wszystko, ale to piaskowe ghule przykuły jego uwagę. Moc potrzebna do stworzenia takich istot na odległość, do kierowania nimi z jakiegoś niewidocznego miejsca, do zniweczenia czarów

ochronnych, które rzucił doktor - to była moc nieogarnialna. Liczba ludzi, którzy musieli zostać zamordowani i okaleczeni, żeby taka magia zadziałała... Faktycznie, mierzyli się ze strasznym wrogiem.

Jeden z ghuli rzucił się na Adullę z wściekłym grymasem na swojej groteskowej, niemal ludzkiej twarzy. Doktor miał już ręce w kieszeniach kaftana. Wyciągnął małą fiolkę i odkorkował ją kciukiem. Już tylko ciele dzieliły rozcapierzone szpony piaskowego ghula od oczu Adulli, ale ten się nie cofnął - sychnął w powietrze przed siebie sproszkowanym rubinem.

- Bóg jest Oazą na Pustyni Duszy! - wyrecytował. Rubinowy pył zmienił się w locie w popiół. Ghul rozpadł się w stos piachu i martwych chrząszczy. Adulla poczuł, jak ziarenka piasku i inne, mniej przyjemne rzeczy, owiewają mu twarz. Jakby w odbiciu uderzyła go siła inwokacji - ścisnęło mu pierś, zakłuło w boku. Po walce poprzedniego wieczora nie zostało mu wiele sił.

„Jestem za stary” - pomyślał. W tej samej chwili jednak zobaczył, że dziewczyna-lwica walczy rozpaczliwie z istotą z cieni, a Rasid beznadziejnie próbuje zabić piaskowego ghula mieczem.

„Nie, nie jestem za stary - powiedział sobie. - Bo jeśli tak, to te dzieci umrą”. Przyzwał siłę Bóg jeden wiedział skąd i sięgnął do torby po środek odpowiedni przeciwko tym stworzeniom.

Podziękował na głos łaskawemu Bogu, kiedy jego palce zacisnęły się na trzech gładkich kamieniach wielkości winogron. Ujął paciorki błyskawic - każdy z macicy perłowej - podniósł wzrok i zobaczył, że Rasid znów został powalony na ziemię. Natychmiast się poderwał, ale ghul, z którym dotąd walczył, rzucił się na Adullę.

Doktor wykręcił się spod ciosu syczącego potwora. Jakimś cudem udało mu się uniknąć rozdarcia przez kamienne szpony, ale szerokie przedramię ghula uderzyło go w pierś niczym żelazna sztaba. Poleciał na ziemię i z sapnięciem wylądował na tyłku, nie mogąc złapać tchu.

Zamachnął się paciorkami i zawahał. Bez wątpienia spowodowałyby pożar. Jego dom... Ale nie miał wyboru. Rzucił.

Piaskowy ghul zasyczał głośno, kiedy kamyki go trafiły. Natychmiast zostały wessane w głąb jego brzucha; piasek rozsunał się przelotnie, ukazując pulsującą masę skorpionów i lśniących, czarnych chrząszczy. Adulla wyrecytował inwokację.

- Bóg jest Błyskawicą, Co Uderza Trzykrotnie!

Jego słowa były niewyraźne z bólu i żalu, ale wystarczyły. Rozległ się głośny, choć stłumiony dźwięk, jak uderzenie pioruna owinięte w wełniany koc, a piaskowy ghul stanął jak wryty. Następne huknięcie - to paciorki eksplodowały wewnątrz potwora. Z jego torsu wystrzeliły języki ognia, sparzyły rękę Adulli, którą doktor osłonił twarz. W całym pokoju zapłonęły małe ogniki, które rozprzestrzeniły się z magiczną szybkością.

Adulla poczuł zapach palonego papieru; zastanawiał się z rozpaczą, jakie księgi i zwoje właśnie traci. Zobaczył, że w ogniu stają meble, potem same ściany. A potem uderzyła go fala powrotna inwokacji i padł na ziemię, przepelniony bólem i dymem.

Rasid zobaczył, że jeden z piaskowych ghuli rozpada się od inwokacji doktora i podziękował Bogu,



odwracając się do następnego. Nigdy przedtem nie walczył z piaskowymi ghulami, choć doktor mu o nich opowiadał. Nie przypominało to walki z ghulami wodnymi czy trupimi. Nieważne, ile razy Rasid uderzał, jego miecz nie znajdował ciała, które mógłby zranić. Każde pchnięcie wchodziło w luźny piasek; musiał używać wszystkich swoich umiejętności, żeby nie dać się trafić, wyciągając ostrze.

Boże Wszchemogący, co mogę zrobić takiemu potworowi? Nie dokończył tej myśli, bo ghul powalił go na ziemię uderzeniem wielkiej, ziarnistej pięści. Rasid szybko poderwał się na nogi. Zobaczył, że doktor ciska czymś w ghula i recytuje inwokację, a potem traci przytomność. Rozległ się odgłos uderzenia pioruna i derwisz zasłonił się ręką przed ścianą ognia. Odwrócił się od wybuchu. Zobaczył Zamię walczącą z istotą z cieni.

Zignorował ból przypalonej skóry. Kiedy odwrócił się z powrotem do piaskowego ghula, zobaczył, że inwokacja doktora miała zdumiewający skutek. Przy wtórze odgłosów niewielkich wybuchów potwór przestał się poruszać, obezwładniony czymś, co u takiej istoty uchodziło za ból. Magiczny żar eksplozji sprawił, że gruby jak palmowy pień tors stwora stopił się w szkło! Zwęglone szczątki skorpionów i stonóg barwiły je na czarno. Stwór znieruchomiał.

Wszędzie dookoła płonęły małe ognie rozprzestrzeniające się ze zdumiewającą prędkością. Ale Rasid skupił się na wrogu. Potrafił dostrzec nadarżającą się okazję. Szkło można stłuc.

Schował miecz do pochwy i wycelował pięść w ghula. Z głośnym okrzykiem, który pomógł jego duszy się skupić, rzucił się do przodu, uderzając w brzuch potwora. „O ile to był brzuch!”

Rozległ się ogłuszający trzask, a potem gęsty brzęk, niczym tysiąc maleńkich dzwonków. Rasid poczuł, jak niezliczone drzazgi gorącego szkła wbijają się mu w skórę, od kłykci aż po łokieć. Ale był skupiony i nawet odrobina bólu nie przedostała się przez mur jego wyszkolenia. „Chwalić Boga”.

Jednym błyskawicznym ruchem wyrwał ramię z torsu potwora. Piaskowy ghul rozsypał się w deszczu piasku, odłamków szkła i martwych stonóg. Rasid odwrócił się od sięgającego mu do pasa stosu szczątków i rozejrzał się po pokoju.

Cały dom wypełniał się dymem i szybko rozprzestrzeniającym ogniem. Ściany czerniały od płomieni. Doktor leżał i jęczał z bólu, ale nie wyglądał na poważnie rannego. Złota lwica - Zamia - przycupnęła w kącie i krwawiła, powarkując i skamłąc. Rasidowi oddech u wiązał w gardle.

Stwór-szakał, wyraźnie raniony, z wysiłkiem wstał i ruszył do okna. Piszczął, a cienie wirowały wokół niego jak postrzępione szmaty. Rasid pobiegł ku niemu, słysząc jednocześnie w głowie jego słowa.

*Me! Mouw Awa pokąsan i pokaleczon! Czyż może to oznaczać jego śmierć? Nie! Błogosławiony przyjaciel go uzdrowi. Błogosławiony przyjaciel zasiądzie na Tronie Kobry, a wycie MouwAwy rozlegnie się w powietrzu!*

Istota zaatakowała pazurami szczebliny okna; zawyła z bólu, łamiąc w drzazgi ciemne drewno. Zanim Rasid zdążył do niej dobiec, wyskoczyła z pierwszego piętra na ubitą drogę. „Upadek go zabije” - pomyślał derwisz z nadzieją. Ale kiedy stwór uderzył! o ziemię, po prostu... rozpułnął się. Rasid sam umiał doskonale się maskować, ale to było coś innego. Mouw Awa się

nie ukrył... stopił się z cieniami latarni. Uciekł, ale nie był martwy - tyle derwisz wyczuł.

Jego obowiązkiem było ruszyć w pościg, ale obejrzał się na nieruchome postacie Zamii i doktora. Potrzebowali go. Kobieta w jednej chwili znów zmieniła kształt. Rasid myślał, że pęknie mu serce na widok pięć i dziesięcioletniej dziewczyny z makabryczną raną w boku. Doktor jęknął i usiadł, kaszląc od dymu. Płomienie strzeliły wyżej, drewno otomany i półek trzaskało w pożarze.

Zamia zakwiliła. Poruszała tylko ustami, wydając bolesne, błagalne odgłosy. Rasid spojrział znów na ulicę w dole. „O Boże, czy złem jest pozwolić takiemu potworowi zbiec tylko po to, żeby uratować przyjaciół?” Ale zanim jeszcze jego dusza skończyła prosić Wszchemogącego o wskazówki, ciało zakrztusiło się od dymu i skoczyło do boku Zamii.

Nagle dom wypełnił się zielonym blaskiem. Sięgając po dziewczynę, Rasid zobaczył setki maleńkich dłoni koloru morskiej wody, które zduszały ogień i rozpędzały dym. „Magia”. Ale nie takie czary, jakich używał doktor. Rasida nie obchodziło, co to może znaczyć. Liczyła się tylko rana Zamii, bulgocząca i sycząca okropnie, jakby wypełniały ją kwasy alkemika. W oczach stanęły mu łzy i to nie tylko od dymu.

Poczuł na ramieniu wielką dłoń doktora i usłyszał w uchu jego szorstki głos.

- Chodź, chłopcze. Przybyła pomoc.

- Nie powinniśmy byli jej tu przyprowadzać, doktorze! - warknął Rasid. - To załedwie dziecko! - z jego gardła wydarł się nieartykułowany krzyk. - Nie powinniśmy jej tu przyprowadzać!

Przestraszyła go nagła chęć, by doktora uderzyć. Adulla skrzywił się od dymu i bólu ran.

- Otrząśnij się, chłopcze! Powiedziałem, że przybyła pomoc! Rasid raczej zobaczył niż poczuł kościstą, czarno-czerwoną dłoń na przedramieniu. Dawud. Litaz. Przyjaciele doktora. Dym gryzł derwisza w oczy; pozwolił się wyprowadzić z płonącego domu, na wpół tylko świadomy, co się dzieje.

A potem stał przed zrujnowanym, poczerniałym od sadzy frontem budynku. Ognie przygasały, ale zrobiły swoje. Doktor siedział na ulicy z głową ukrytą w dłoniach. Jego przyjaciele z Su - wysoki, łysy mag Dawud i jego żylasta, drobna żona Litaz - stali obok, łagodnie kładąc nieruchome ciało Zamii na nosidło.

- Ogień został ugaszony - mówił Dawud do oszołomionego doktora. - Poradziliśmy sobie z nim, zanim rozprzestrzenił się na sąsiadów. Moje czary nie pozwoliły im zobaczyć ani wyczuć, co tu się stało. Ale, na Boga, co tu się właściwie stało, Adullo? I kim jest ona?

Doktor zająknął się, wyraźnie próbując wziąć się w garść. Rasid usłyszał, że sam robi to samo.

- To pytania na później - dobiegł go skądś głos Litaz. - Kimkolwiek ona jest, umiera. Musimy przenieść ją do nas do domu. Rasid!

Do derwisza dotarło, że gapi się beczynn timer na nieruchomą postać Zamii, na jej usmoloną twarz i zamknięte oczy o długich rzęsach. Znów spróbował coś powiedzieć, ale gardło drapało go od dymu i łez. Jedwabie miał uwalane popiołem.

- Ciociu? - wykrztusił w końcu.

Głos małej alkemiczki z Su był ostry, a jej czarno-niebieska twarz surowa.

- Przynieśliśmy lektykę - powiedziała. Pierścienie w jej posplatanych włosach zabrzęczały, kiedy

skinieniem głowy wskazała drewniano-skórzaną ramę. - Pomóż mi ją nieść.

Rasid usłuchał. Jego ręce i nogi poruszały się jakby bez udziału woli. Kiedy podnieśli lektykę, Zamia krzyknęła z bólu. Rasid miał wrażenie, że ten krzyk rozdziera mu wnętrzności. Dziewczyna skrzywiła się i ucichła.

- Jest jeszcze nadzieja - powiedziała Litaz. - Szybko, chłopcze!

Rasid mruganiem strącił z powiek łzy i pobiegł.

## ROZDZIAŁ 2

W porze niebędącej jeszcze ani rankiem, ani już nocą, Dzielnica Uczonych wielkiego miasta Dhamsawaat była cicha. Najwytrwalsi z ludzi ulicy w końcu poszli do łóżek, nawet jeśli łóżka te były jedynie ubitą ziemią zaułka. Pierwsi woźnicy, tragarze i sklepikarze mieli się pojawić najwcześniej za godzinę. Litaz, córka Likamiego, wyrzała za okno w cedrowej framudze, potarła skronie i podziękowała łaskawemu Bogu za jego małe dobrodziejstwa - w kojącej ciszy pierwszy etap jej pracy był trochę łatwiejszy.

Ruchliwa, gwarna Dzielnica Mędrców była zazwyczaj tak hałaśliwa, że jej nazwa - pamiątka z bardzo dawnych czasów, jak wyjaśnił jej Adulla - wydawała się zamierzoną ironią. Litaz chlubiła się jednak tym, że ona, jej mąż i stary przyjaciel doktor dbali, by książkowe miano nie stało się zupełnym kłamstwem. Całe wieki po tym, jak tutejszych mędrców i uczniów zastąpili tani sklepikarze i stręczyciele, ich troje pilnowało, by w Dzielnicy wciąż żyła nauka. To, że nauka owa ograniczała się do poznawania nienaturalnych ran i istot stworzonych z cmentarnych chrząszczy, nie robiło żadnej różnicy.

Litaz odwróciła się od okna i popatrzyła na wpół martwą dziewczynę, która z rozrzuconymi szorstkimi włosami leżała przed nią na niskiej leżance. Utrudzony oddech Badawi był najgłośniejszym dźwiękiem w pomieszczeniu. Zupełnie inaczej niż kilka godzin temu, kiedy wbiegli do domu z umierającą dziewczyną na nosidle.

Rana nie przypominała żadnej z tych, które Litaz dotąd widziała. Dziewczyna została ukąszona, ale nie aż tak mocno, by zagrażało to jej życiu. Wydawało się jednak, że ukąszenie zakaziło jej duszę zamiast ciała. Żadna formuła Litaz tu nie pasowała. Chwalić Boga, że Dawud - jak często w przeszłości - intuicyjnie wymyślił, co robić. Jej własne maści i wywary ustabilizowały stan dziewczyny dotkniętej przez Anioła, ale to moce Dawuda - jego mistrzowskie opanowanie dziwnego, zielonego blasku, którym zaczynał emanować, wykonując węzowe ruchy dłońmi nad sercem rannej - zawróciły ją znad krawędzi śmierci.

Z rozmyślań wyrwał Litaz zapach parzonej kardamonowej herbaty. W pokoju obok słyszała Dawuda, który pobrzękiwał jej filiżanką o spodek. Ich małżeństwo było tak udane między innymi właśnie dzięki temu, że robili sobie nawzajem herbatę. To była jedna z najważniejszych lekcji alchemii; Litaz zapamiętała ją od pierwszych dni, kiedy porzuciła duszący styl życia damy na dworze Su, żeby doskonalić swój kunszt: nie wolno lekceważyć prostych rzeczy. Widziała, jak rogoty potwór z zaświatów zabił człowieka przez drobny błąd w przyzywającym kręgu. Widziała, jak mąż i żona znienawidzili się wzajemnie, bo zapomnieli o swoich imieninach.

Zza okna, z ulicy, dobiegł krzyk: spóźniony pijak albo wczesny woźnica. Jakby w odpowiedzi młoda

Badawi - Zamia, tak mówił na nią Adulla - jęknęła z bólu. Litaz zmówiła za nią cichą modlitwę, zmartwiona ograniczeniami własnej uzdrowicielskiej sztuki. Z niskiej szafki pokoju gościnnego wyjęła gliniany słoik, a z niego garść złotych cukierków yam. Słodki, ziemisty smak wypełnił jej usta i uspokoił ją. Były drogie, te drobne pamiątki z domu, ale nic nie mogło ich zastąpić.

- Po tym, jak ciężko pracowałaś przez ostatnie kilka godzin, zasłużyłaś na cały słoik.

Mąż Litaz wszedł do pokoju z tacą w kościstych, spracowanych rękach. Na jego pomarszczonej, czerwono-czarnej twarzy malowała się troska.

- Gdzie Adulla i Rasid? - spytała Litaz.

Dawud ruchem farbowanej bródki wskazał schody.

- Obaj na górze. Chłopak karci się jakimiś medytacjami, a Adulla oplakuje swój dom i do bólu głowy analizuje napaść.

Litaz robiła to samo, odkąd doktor pospiesznie wyjaśnił, że dziewczyna jest dotknięta przez Anioła i opisał istotę, która ją zaatakowała. „Nie byłoby wystarczająco szalone - pomyślał jakiś zdystansowany, chłodny fragment jej umysłu - gdyby Adulla przyniósł nam do domu jedynie konającą dziewczynę Badawi. Musi być do tego zmiennokształtna". Zaśmiała się z goryczą, jakby rozbawiona naturą starego przyjaciela, a potem wzięła filiżankę od Dawuda i napiła się, siadając obok dziewczyny.

Ranna spała ze zboląłą miną. Litaz znów zaczęła się głowić nad jej dziwną raną. Przez wiele dziesiątków lat podróżowała z mężem i jego różnymi towarzyszami, stykając się z istotami i czarami, które większość ludzi uważała za niepojęte. Litaz wiedziała jednak, że Wszystko na świecie da się zbadać. Ghule, dzenny,



kule ognia i mosty z księżycowego blasku. Wszystko to było zupełnie logiczne, jeśli tylko zrozumiało się formułę, według której powstawało. Wiele lat temu przestała szukać eliksirów wiecznej młodości i metody zamiany miedzi w złoto, które pozostaje złotem. Nie marnowała także swoich umiejętności na głupoty, którymi zajmowała się garść pozostałych mistrzów alchemii w mieście. Ślęczenie tygodniami nad rozdzielaniem stopów albo przyspieszaniem wzrostu plonów - i przysparzaniem komuś bogactwa - to nie był dobry sposób na życie, nieważne ile pieniędzy można było na tym zarobić.

Ale pomaganie skrzywdzonym - to było coś innego. Litaz popatrzyła na ranę dziewczyny i po raz kolejny zabrała się do pracy jako ta, która ocenia rzeczy. Dotąd tylko czytała o zabójstwach duszy. Była to dla niej nowość, choć wiedziała, że to starożytna magia. Najważniejszym pytaniem było, cóż takiego omal nie zabiło dziewczyny. I to w domu najlepszego przyjaciela jej i jej męża, przez co był to także ich problem.

Odstawiła filiżankę i położyła dłoń na rzeźbionej, drewnianej spince podtrzymującej jej długie warkoczyki. Dawud, jej przeciwieństwo pod wieloma względami, często drażnił się z nią, mówiąc, że to tandetna fryzura ze wschodniego Su. Wiele lat temu zaproponował, żeby ogoliła głowę, jak któraś z jego czerwono-czarnych krajanek z Zachodniej Republiki! Myśl o tym wciąż napawała ją grozą.

Mąż w milczeniu stanął obok i położył jej dłoń na plecach. Poczowała nacisk długich, silnych palców i podziękowała Bogu, nie po raz pierwszy, że ktoś tak zupełnie do niej niepodobny mógł stać się tak nieodłączną jej częścią.

Usłyszała jakiś dźwięk na schodach. Odwróciła się i zobaczyła schodzącego do nich Adullę. Dawud zabrał dłoń i poszedł uściskać przyjaciela. Litaz nie dostrzegła cierpienia pod grubymi powiekami Adulli, dopóki nie odezwał się nieswoim głosem - cichym głosem słabego człowieka.

- Mój dom. Dawudzie, mój dom. On... on... Umilkł. Oczy lśniły mu od łez, zgarbił szerokie

ramiona. Litaz zmartwił jego widok w takim stanie. Adullą niełatwo było wstrząsnąć. Jej mąż wysunął się z objęć przyjaciela i potrząsnął nim.

- Posłuchaj mnie. Popatrz na mnie, Adullo! Bóg jest najłaskawszy, słyszysz? Remont będzie wymagał pieniędzy i czasu, ale za pół roku będziesz z powrotem w punkcie wyjścia, może nie licząc paru starych książek i zwojów.

Adulla przełknął ślinę i potrząsnął głową.

- Za pół roku będę pewnie czerwonoookim trupem, którego dusza została odcięta od Boga.

Ich najważniejsza pacjentka odpoczywała, więc Litaz i Dawud opatrzyli sińce i poobijane zebra Adulli. Ich przyjaciel siedział z pustym spojrzeniem, wzdrygał się z bólu, ale nic już nie mówił. Po wszystkim zapadł w głęboki, ciężki sen na stercie poduszek w kącie pokoju gościnnego. Jego miody asystent o zaciętym wzroku uparł się, że stanie na straży, więc Litaz i Dawud też poszli spać.

Obudziwszy się kilka godzin później, Litaz dorobiła herbaty, a Adulla podziękował jej za to tak wylewnie, jakby uratowała życie jego matce. Wypoczęty był trochę mniej rozżalony; ponure układanie planów dalszych działań wyraźnie pozwalało mu się skupić.

- Ten stwór-szakał, który mówi na siebie Mouw Awa, i jego tajemniczy „błogosławiony przyjaciel”... Trzeba ich powstrzymać. Gdzieś tam krąży stwórca ghuli potężniejszy niż ci wszyscy, którym dotąd stawiałem czoło. Lękam się o nasze miasto - rzekł doktor. Wypił długi, hałaśliwy łyk herbaty i wytarł zamoczoną brodę.

„Twoje miasto, przyjacielu, nie nasze” - zaprotestowało coś w duchu Litaz. Mieszkała tu od kilkudziesięciu lat i kochała Dhamsawaat, ale im starsza się robiła, tym bardziej tęskniła za Republiką Su. Dhamsawaat dał jej zajęcie, które coś znaczyło, i więcej ekscytujących przeżyć, niż mogła zliczyć. Ale to w tym brudnym mieście umarło jej dziecko. To w tym przeludnionym mieście jej mąż postarzał się ponad swoje lata. Nie chciała umrzeć, ratując je, nie zobaczywszy jeszcze raz domu.

Nie powiedziała tego oczywiście na głos. Siedziała też potulnie, kiedy odezwał się Dawud:

- Jakąkolwiek pomoc możemy ci zapewnić, bracie mój, możesz na nią liczyć. Z czymkolwiek przyszło ci się zmierzyć, nie zmierzysz się z tym sam.

Przez długą chwilę cała trójka siedziała w milczeniu i piła herbatę. Potem Dawud znów się odezwał. Ze zdeterminowanym uśmiechem wyciągnął długi palec w kierunku Adulli.

- Wiesz, mimo tych wszystkich niebezpieczeństw, które na ciebie czyhają, powinieneś dziękować łaskawemu Bogu. Podziękować mu, że mieszkamy po sąsiedzku. Ze wróciliśmy późnym wieczorem, a nie rano. Ze szliśmy pieszo i zobaczyliśmy dym z twojego domu.

Na słowo „dom” Adulla westchnął, a jego oczy zalśniły mokro. Podziękował jeszcze raz Litaz za herbatę, wstał i zgarbiony wyszedł na ulicę.

Dawud odchrząknął i poszedł za nim. Litaz usłyszała, jak oddalają się powoli, rozmawiając tak, jak rozmawiają mężczyźni, kiedy są ze sobą sam na sam.

Odsunęła smutne myśli na bok i zajrzała do Zamii. Dziewczyna przestała zaciskać zęby i spała już spokojnie. Przyszła pora na drugi okład. Litaz zawiesiła nad paleniskiem mały kociołek z ziołową mieszanką.

Kilka minut później napar zaczął bulgotać, zostawiając lepki osad na ściankach. Litaz odwinęła bandaże i jeszcze raz oczyściła ranę. Potem małą, drewnianą szpatułką nałożyła wciąż gorącą papkę z kociołka. Patrzyła, jak wywar magicznie wypala się w ranie, wchłaniając ból dziewczyny. W powietrze uniosły się smużki dymu, pod mazią zaś ukazało się na wpół zagojone ciało. Drugą ręką Litaz nacisnęła odpowiednie punkty na dłoniach Zamii.

Jak rażona piorunem dziewczyna poderwała się i krzyczała, aż skończył się jej oddech. Potem wciągnęła do płuc wielki haust powietrza i wrzasnęła jeszcze raz. Litaz żał było sąsiadów, ale przywykli już do krzyków pokrzywdzonych, którzy przychodzili znaleźć ulgę dzięki jej zdolnościom.

Rasid poderwał się z poduszek, na których spał.

- Ciociu! C... co?! - wykrztusił, mruganiem odpędzając sen ze skośnych oczu i sięgając po miecz.

- Wracaj spać, Rasidzie. Nic się nie dzieje, krzyk to dobry znak. Dowód, że dusza dziewczyny jest wciąż silna.

Zanim Litaz skończyła mówić, Zamia położyła się z powrotem i mocno zasnęła.

Do pokoju weszli Dawud i Adulla, ściągnięci wrzaskiem. I bardzo dobrze. Przyszła pora, żeby Dawud zajął się leczeniem duchowego cierpienia dziewczyny.

Mężczyzna spojrział pytająco na Litaz, a ona kiwnęła głową. Przykucnął obok śpiącej Zamii, a jego dłonie zaczęły wykonywać powolne, węzowe ruchy cał nad chłopięcym ciałem dziewczyny. Otoczyła je słaba, zielonkawa poświata. Dawud mocno zaciskał powieki, a jego ręce tańczyły, dopóki blask nie zgasi, a on sam nie opadł na stołek, ściskając się za pierś.

„Dawno już tak nie nadwerężył swoich mocy. Prawie widać, jak się przez to starzeje!” Litaz znów pomyślała o ich ojczyźnie i pomodliła się, żeby jej mąż zdążył ją jeszcze raz ujrzeć, zanim pokonają go cielesne skutki jego powołania. Podbiegła i objęła jego kościste ramiona.

- Porają obudzić - powiedział przez zaciśnięte zęby, wyraźnie wyczerpany.

- Obudzić? - Derwisz popatrzył na nich ze zmarszczonym czołem. - Wybacz, ciociu, wuju, ale została ciężko raniona. Musimy dać jej odpocząć, czyż nie?

Chłopak wtykał nos w nie swoje sprawy i coś się za tym kryło. „Czy jemu się wydaje, że ją kocha?” - zdziwiła się Litaz.

- Dziewczyna była zbyt bliska śmierci, Rasidzie. Musimy ją obudzić - o ile da się ją obudzić - żeby przypomniawszy sobie, że wciąż żyje. Później będzie miała dość czasu na odpoczynek.

Odwróciła się do skrzynki z drewna jałowca i wyjęła z niej fiolkę pełną różowawych ziarenek soli, a potem podstawiła ją dziewczynie pod nos, wyciągnęła korek i odwróciła się.

Zamia poderwała się spazmatycznie. Zaczęła kasłać i jęczeć z bólu. Usta i nozdrza poplamiała jej krew.

„Dzięki Bogu Wszechmogącemu”. Choć Rasid patrzył na to z przerażeniem, Litaz wiedziała, że krew

jest oznaką powrotu do zdrowia. „Może jednak wyjdzie z tego cało”.

Derwisz podbiegł do dziewczyny, wyraźnie chciał coś zrobić, ale nie wiedział, czym to coś jest.

- Co się z nią dzieje? - krzyknął.

Litaz potarła skronie i zmusiła się do cierpliwości. Odepchnęła chłopaka i wytarła delikatnie krew.

- Trudno to wyjaśnić, Rasidzie. Na kilka chwil wmówiliśmy jej duszy, że to niezranione ciało. Dusza będzie musiała zapamiętać tę więź. Zamia się obudzi wstrząśnięta, ale świadoma i zdolna do mówienia. Potem będzie potrzebowała odpoczynku, zanim dokończymy leczenie. Jeśli Bóg pozwoli, więzy, które Wszechmogący zadzierzgnął niegdyś między jej ciałem i duszą, zacisną się na powrót.

Litaz się cofnęła, a chwilę później dziewczyna otworzyła jasnozielone oczy.

- Za... zabiłam to? - zabrzmiały jej pierwsze słowa. Nie trzeba było pytać, co miała na myśli.

Ku zaskoczeniu Litaz - i, przysięgłaby, także swojemu własnemu - Rasid podszedł bliżej, żeby jej odpowiedzieć.

- Dałaś mi okazję, ale zawiodłem, Zamio Banu Laith Badawi.  
- Pokłonił się głęboko ze wstydem na twarzy. - Błagam, przyjmij moje przeprosiny. Wiedz jednak, że to twoje męstwo odpędziło tę istotę.

Zamilkł i cofnął się o krok, jakby zawstydzony własnymi słowami.

„Ach”. Litaz pomyślała o pięknych i głupich zachowaniach młodych ludzi. „Jemu się nie wydaje, że ją kocha. On się martwi, że ją kocha!”

Dziewczyna odpowiedziała na słowa derwisza z taką siłą, jakby obudziła się pół dnia temu, a nie

dopiero co została wyrwana z paszczy śmierci. Następny dobry znak.

- A czego się spodziewałeś? - rzekła. - Wyuczył mnie mój ojciec.

Potem zamknęła oczy i z powrotem zasnęła.

Gdy nadeszło popołudnie, Litaz usiadła z Dawudem i Adullą w kuchni nad małymi miseczkami koziego mleka z wiśniami, żeby omówić następne kroki. Rasid jak zwykle stał.

- I co teraz? - spytał Dawud.

Adulla miał bordowe wąsy. Wytarł je rękawem, a plama zniknęła z niego czarodziejsko.

- W ciągu ostatniego półtora dnia walczyłem z trupimi ghulami, piaskowymi ghulami i jakąś na wpół obłąkaną istotą, na którą nie mam nazwy. Trzeba znaleźć człowieka, który rozkazuje tym stworzeniom. Wziąłem od dziewczyny to. Należał do jej ojca. - Adulla wyjął zdobiony, zakrzywiony sztylet i położył go na stole przed sobą. - Mieliśmy nawet zamiar was odwiedzić, zanim... - przerwał, przełknął ślinę, a potem dokończył słabym głosem - .. .zanim te potwory nas zaatakowały. Miałem nadzieję, że wasze czary jasnowidzące będą mogły...

Z drugiego pokoju dobiegł nieartykułowany krzyk Zamii.

Wszyscy do niej pobiegli. Dziewczyna nie spała, ale nie zwracała uwagi na ich nawoływania. Leżała ze zmrużonymi oczami i wygiętą szyją, jakby się na czymś zawzięcie koncentrowała. „Ach. Próbuje przybrać kształt lwa” - zrozumiała Litaz. Najwyraźniej nie mogła tego zrobić.

Zamia wytrzeszczyła oczy i zaczęła się miotać. Dawud w końcu podszedł do niej i położył uspokajająco dłoń na jej czole.

- Uspokój się, dziecko, już. Uspokój się, mówię! Dziękuj łaskawemu Bogu, że wciąż żyjesz. Sprowadziliśmy cię z powrotem, zanim śmierć zacisnęła na tobie do końca swoje szczęki. Ale moja żona jest zmęczona, a nie masz pojęcia, ile kosztują maga czary. Leż spokojnie i nie marnuj naszej pracy.

U Dawuda coś takiego uchodziło za czule traktowanie pacjenta.

Dziewczyna jednak odskoczyła w tył.

- Maga? Użyłeś na mnie swoich niegodziwych czarów? Niech mnie Bóg ma w opiece! Odebrano mi kształt! Lepiej mi było umrzeć!

Gdzieś z głębi jej gardła wydobył się lwi warkot.

Niecałe dwie i dziesięć godzin temu była prawie martwa, a teraz odzyskała już dość sił, żeby manifestować gniewnie przesady Badawich. Litaz nie mogła przypisać całej zasługi sobie. Lecznicze moce dotkniętej przez Anioła dziewczyny były naprawdę cudowne.

Adulla przeczesał dłonią brodę i ofuknął leżącą.

- Lepiej było umrzeć, tak? Niech cię diabli, dziewczyno! Bez pytania i bez zapłaty moi przyjaciele umęczyli się, żeby cię uratować. Dokonywali cudów i zużyli składników do czarów, które warte są tyle, co roczne zarobki robotnika! Nie wspominając o dotkliwszych kosztach. A ty odpłacasz im prymitywnym zabobonem?

Z każdym słowem zniecierpliwiony doktor czerwienił się coraz bardziej. Litaz zastanawiała się, czy Adulla wie, co robi - taka prowokacja dobrze by dziewczynie zrobiła, rozdmuchałaby w niej ducha, zanim Zamia



zapadłaby w głębszy, pokrzepiający sen - czy po prostu wyładowuje gniew na ledwie żywym dziecku. Podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu, ale on nie przerwał.

- Gdyby Dawud pozwolił ci umrzeć, dziewczyno, twoja gromada pozostałaby niepomszczona. A przecież podobno żyjesz dla zemsty! Zabijanie, honorowy kodeks i tak dalej? - Odwrócił się do Rasida. - Niech nas Bóg broni przed opętanymi, niewdzięcznymi bachorami. Nic dziwnego, że robisz do niej takie oczy, chłopcze! Znalazłeś sobie pokrewną duszę!

Zamia się skrzywiła, Rasid wymamrotał jakiś oburzony protest. Adulla nie skończył.

- On się nawet nie uśmiecha do ładnych dziewczyn na mieście. Ale wystarczy pospolita dzikuska, która zabija w imię Aniołów, i dusza mu staje w ogniu! Och, przestań się jękać i dukać, chłopcze! Uparłeś się, żeby zaprzeczyć temu, co oczywiste. Masz „tak” dla odrąbywania łbów, „nie” dla całowania! - Uniósł wzrok w górę. - Jak to się stało, na Boga, że trafiłem na ten świat?

Odwrócił się z powrotem do Zamii.

- Posłuchaj mnie! Był tylko jeden sposób, żeby cię uratować. Jesteś winna Dawudowi i jego żonie podziękowanie. Powiem więcej, gdyby przestrzegali waszych barbarzyńskich, bada wij skich praw, miałybyś u nich jakiś absurdalny dług życia!

Zamia wydała z siebie kapryśny, lwi warkot. „Jak ona to robi, że wydaje lwie odgłosy z gardła dziewczyny?” - zdziwił się tkwiący w Litaz uczoney. Tymczasem dziewczyna skinęła głową Dawudowi i wypchnęła z siebie słowa tak, jakby każde z nich ją raniło.

- Doktor ma rację. Uratowałeś mi życie, a ja... jestem twoją dłużniczką.

Dawud poklepał ją po ramieniu swoją ciemną, kościstą ręką, ale dziewczyna spojrzała na nią, jakby spadł na nią skalny wąż.

- Skąd się bierze ten strach, dziecko? - spytał ze zdumieniem mag. - Z opowieści, które słyszałaś przy ognisku? W których wszyscy magowie mają czerwone szaty i rechoczą wśród gór czaszek? Piją krew z pucharów, a na ołtarzach płaczą noworodki? Pfff! Takie mroczne wymysły u dziewczyny, która porasta złotym futrem i rozrywa gardła zębami!

Zamia zadarła brodę, mysie włosy opadły w tył.

- Kształt to dar od Aniołów! A skąd pochodzi twoja wstrętne moc?

Litaz była wdzięczna, że jej mąż jest cierpliwy dla tego dziecka - dla każdego oprócz niej potrafił być bardzo ostry. Kiedy się jednak odezwał, na ustach wciąż miał ten sam gorzki uśmiech.

- Moje dary dał mi Bóg. Swoją moc, dziewczyno, czerpię z własnej krwi. Z dni, które pozostały mi na tym świecie. A teraz... wciąż jesteś winna podziękowanie mojej żonie, prawda?

Z tymi słowy odwrócił się i wyszedł. Zamia przez chwilę milczała, potem spuściła głowę.

- Ociągałam się z należną wdzięcznością, ciociu. Dziękuję ci za pomoc i proszę Boga, żeby zesłał na ciebie swoje błogosławieństwa.

„Czyli w tym murze plemiennej dumy i nieufności są jednak furtki. Dobrze”.

- „Błogosławieństwa Boga spadają na tego, który pomaga innym” - zacytowała Litaz. - Pamiętaj o tym następnym razem, kiedy będziesz miała okazję komuś pomóc.

Dziewczyna zaczęła o coś pytać, ale Litaz jej przerwała.

- Za dużo już się nagadałaś, dziecko, a nie jesteś jeszcze całkiem ozdrowiała. Jeśli Bóg Wszechmogący tak zdecyduje, twoja moc zmiany kształtu z czasem do ciebie wróci. Ale teraz pora na odpoczynek.

Nalała do kubka wywaru z szaleju, który dochodził na ogniu, i podała go Zamii.

- Co parę godzin będziesz się budzić i to dobrze - twoje ciało nie zapomni, że żyjesz. Za każdym razem zmusisz się, żeby się rozejrzeć i chwilę porozmawiać. Potem musisz wypić duży łyk z tego kubka, zanim znów zaśniesz, ale nie więcej, jeśli chcesz się z powrotem obudzić! Rozumiesz?

Dziewczyna, już zmęczona, sennie pokiwała głową.

- Dobrze, teraz wypij ten pierwszy łyk.

Zamia to zrobiła. Chwilę później usiadła zwawo na otomanie i zaczęła się niecierpliwie wiercić. Dobrze. Pozostałe zioła w wywarze musiały ją na kilka minut pobudzić, zanim szalej skłoni ją do regenerującego snu.

W tym momencie po schodach zbiegł z łoskotem Adulla.

- „Hadu Nawas” - ryknął. - Tak o sobie mówił ten plugawy stwór. Ja znam to imię, Litaz! Gdzieś je czytałem. W dziejach? W starym romansie?

Patrzył na nią wyczekująco, ale ona była przekonana, że nigdy nie czytała książki, którą mgliście przypominał sobie doktor. Jej przyjaciel z irytacją chrupnął bulwiastymi kłykciami, a potem się zgarbił.

- Oczywiście jakakolwiek to była książka, teraz jest kupką mokrego popiołu.

Litaz zobaczyła, że Zamia próbuje wstać i położyła dłoń na jej płaskiej piersi.

- Miałaś wiedzę o tym mordującym potworze i nie pamiętasz tego? - wybełkotała ze złością Badawi. Jej

głos był pełen pogardy, ale już słabł, zduszony od ziół. Dobrze. Za parę chwil będzie spała.

Adulla okazał coś, co uważał za wyrozumiałość wobec rannego dziecka.

- Cóż, gdybym znał na pamięć wszystkie książki w swojej bibliotece, moja droga, nie potrzebowałbym biblioteki.

- Mieszczuchy i ich książki! - Mimo otumanienia ziołami i rany barbarzyńska duma dziewczyny wydawała się dodawać jej energii. - Gdyby ta wiedza należała do mojego ludu - syknęła z zaskakującą mocą - byłaby przekazywana w pieśniach i opowieściach, żeby ludzie wiedzieli...

Litaz zobaczyła, że z oczu jej starego przyjaciela znika cierpliwość.

- A gdzie jest teraz cała ta mądrość? Powiesz mi, Zamio Banu Laith Badawi?

Dziewczyna przypomniawszy sobie zabitą rodzinę. Słowa Adulli były okrutne, ale Litaz znała go wystarczająco dobrze, by wiedzieć, skąd się wzięły. Doktor oplakiwał swoje książki tak samo, jak Zamia swoich współplemieńców, i bez wątpienia trudno było mu zapanować nad sobą, kiedy ciemna dzikuska kpiła z gromadzonej przez jego całe życie mądrości.

Tak czy inaczej był to dla niej za duży wysiłek. Przekraczali linię, za którą mogli zaszkodzić jej powrotowi do zdrowia. Litaz położyła dłoń na ramieniu Adulli. To wystarczyło. Łowca ghuli załamał ręce i zrobił taką minę, jakby sam siebie obrzydził.

- Aaaach. Muszę pomyśleć. Świeże powietrze - wykrztusił, pobiegł do drzwi i zatrzasnął je za sobą.

Dziewczyna zmrużyła szmaragdowe oczy, jakby też było jej za siebie wstyd. Jakby chciała, by drzemiąca

w niej lwica zabiła słabą, małą dziewczynkę. Wymamrotała coś o zemście, a potem zamknęła oczy i zasnęła.

Rasid ruszył za Adullą, ale Litaz go powstrzymała. Łowca ghuli potrzebował samotności, a nie kazań chłopca o tyle od niego młodszego.

Uzdrowicielka popatrzyła na Zamię i pozwoliła sobie na chwilę dumy z własnych umiejętności. Dzięki nim Zamia mogła przeżyć. Potem obejrzała się na frontowe drzwi, którymi trzasnął Adulla. On też przeżyje, mimo cierpień.

Wzięła głęboki oddech. Dhamsawaat już na poły oszalał od napięć między Księciem Sokołów i kalifem. Do tego dochodziło to nowe zagrożenie. Litaz nie podobało się, że jest wciągana z powrotem do tego ponurego świata okrutnych czarów i polowań na potwory. Ale wszystko się jakoś ułoży, powtarzała sobie. Bóg ich przez to jakoś przeprowadzi, a potem być może ona i Dawud w końcu wrócą do domu i zostawią za sobą to ekscytujące, piękne, przeklęte przez Boga miasto.

## ROZDZIAŁ 3

Adulla zatrzasnął za sobą ciężkie, drewniane drzwi pracowni swoich przyjaciół. Jak nisko upadł - żeby krzyknąć na półżywe dziecko! Choć nazywał ją „dziewczyną”, zaczynał myśleć o Zamii jak o lwicy czy pustynnej skale. Upomniał się, że przecież była dzieckiem, nawet jeśli nie tylko nim.

Dawud stał parę stóp od wejścia z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Obserwował ulicę. Odwrócił się, słysząc trzaśnięcie drzwiami, i uniósł białą brew. Adulla nie miał nastroju do dalszych rozmów. Próbował wyminąć przyjaciela, ale szponiasta dłoń Dawuda chwyciła go za ramię.

- Wszystko w porządku? Doktor zaśmiał się bez wesołości.

- W porządku?! Miłość mojego życia nie chce mieć ze mną nic wspólnego, chce tylko, żebym pomścił jej zabłądzoną siostrzenicę. Mam na sumieniu to, że naraziłem na śmierć małą dzikuskę. Jestem stary i gotowy do umierania, a Bóg wystawia mnie na próbę, zsyłając potwory straszniejsze niż wszystkie, z jakimi się dotąd mierzyłem. Mój dom - tutaj doktor wiedział, że głos mu się załamie - ...mój dom jest zwęgloną, dymiącą ruiną,

a wszystkie książki, które miałem, przepadły. I jakby tego było mało, śnią mi się rzeki krwi na ulicach.

Dawud pogładził swoją farbowaną bródkę i zmarszczył brwi.

- Rzeki krwi? Miałem prawie identyczny sen. Ale to było w Republice.

Nie poprawiło to Adulli nastroju.

- Najwyraźniej takich śniących proroków jak my jest na pęczki. Oby Bóg zechciał uczynić nas obu fałszywymi prorokami.

Dawud chmurno pokiwał głową.

- Chodź ze mną - rzekł i ruszyli na powolny spacer ulicą.

Adulla wciągnął i wypuścił powietrze, uspokajając się.

- To już po prostu za wiele, mój bracie. Bóg ofiarował mi więcej, niż jestem w stanie unieść.

Obok przeszedł człowiek z wielbłądem, gadający coś wesoło do zwierzęcia. Mag położył chudą dłoń na ramieniu Adulli, ścisnął tłuszcz i mięśnie.

- Nie sam, rozumiesz? Nie będziesz tego niósł sam.

Dawud mówił o wspólnej rozprawie z tymi potworami, jak za dawnych lat. Doktor nie mógł na to pozwolić.

- Nie mogę was dwojga o to prosić. Klnę się na Boga, że żałuję, że wciągnąłem was w to na tyle, na ile już wciągnąłem.

- To coś, co próbowało zabić dziewczynę-lwicę, Adullo... To mnie przeraża. A wiesz, ile potrzeba, żeby mnie przerazić. Wiesz, co widziałem, bo ty też to widziałeś. Ale duch-dotyk tej rany! Stworzenie, które ukąsiło Zamię, jest jak okrucieństwo... tchórzostwo... zdrada ucieleśniona. Czuję to. Ale pod tym

wszystkim czaiło się coś jeszcze gorszego... straszna lojalność. Lojalność wobec bardzo potężnego człowieka. Dzieje się tu coś złego, czego nie mogę zignorować. Coś, co nie pozwoliłoby mi i mojej żonie spokojnie spać. Wiem, że ty też to czujesz.

Ulicą przebiegła banda wrzeszczących dzieci, bawiących się w jakąś gonitwę. Adulla potarł brodę; czuł się zmęczony, choć było dopiero popołudnie.

- Owszem. Boję się pomyśleć, jakiego człowieka ten stwór nazywa „przyjacielem”. - Otrząsnął się i zerknął z ukosa na Dawuda. Chyba jednak miał ochotę porozmawiać. - Jak ty się czujesz? Te twoje uzdrawiające czary... No, nikt z nas nie jest już tak młody jak kiedyś.

Dawud uśmiechnął się smutno.

- A niektórzy, myślisz sobie, starzeją się szybciej niż inni, tak? Jak się czuję? Czuję się wyczerpany, Adullo. W trzech czwartych martwy, tak samo jak twoje tłuste, stare dupsko, albo i gorzej. Ale nie przeszkadzałoby mi to, gdyby moja żona z każdym rokiem nie wyglądała na coraz młodszą ode mnie.

Rozmawiali o tym już wiele razy. Dawud był starszy od żony niecałe pięć i dziesięć lat, ale ona dzięki swojej żywotności zdawała się wciąż młoda, podczas gdy piętno czarów maga go postarzało. Większość ludzi powiedziałaby, że dzieli ich trzydzieści lat. W przeszłości Adulla miewał przyjaciół cierpiących na okropne choroby czy od straszliwych, dawno odniesionych ran. Takie nieszczęścia wymagały od nich specjalnego wysiłku, by sobie z nimi poradzić, jak kolejna małżonka czy wyjątkowo kapryśne dziecko. Tak samo było z Dawudem i wyniszczającą ceną jego czarów.

Między budynkami powiał przyjemny wietrzyk. Mag głęboko odetchnął.



- Były takie chwile - zaśmiał się tęsknie - kiedy wydawało mi się, że tego właśnie bym chciał: o wiele młodszej żony. Który mężczyzna by nie chciał? Ale teraz... nie wiem. Jakaś część mnie chce ją uwolnić... posłać ją do domu, do Republiki.

- Ile razy jeszcze będziemy o tym rozmawiać, bracie? Obaj wiemy, że nie potrafiłbyś bez niej żyć. Poza tym zachowujesz się, jakby to był twój wybór! Jakby Litaz kiedykolwiek mogła pozwolić ci odejść! I jeszcze mówisz „posłać ją”...? Ha! Chciałbym to zobaczyć!

Adulla poczuł znajome, drobne ukłucie zazdrości. Zawsze podziwiał Litaz. Była inteligentną, opanowaną, a do tego zwyczajnie jedną z najładniejszych kobiet, jakie znał. Nieraz śnił o uprawianiu z nią miłości i budził się na poły pragnąc, by należała do niego. Co parę lat, nad przypadkowym, wspólnym posiłkiem, kiedy Dawuda akurat nie było, to pragnienie do niego wracało. Zawsze jednak traktował takie chwile jak przelotne fantazje. Cieszył się szczęściem swoich przyjaciół. Ich dwa życia dawno już zlały się w jedno, co do tego nie było żadnych wątpliwości.

Sam doktor nigdy nie zaznał takiej miłości. Miri Almusa nie była mu wcale mniej droga niż Litaz Dawudowi, ale dwudziestoletni romans to nie to samo co żona, jak Miri wypominała doktorowi, we łzach i z wyrzutem, przez te wszystkie lata. Zanim zabroniła mu więcej przychodzić.

Otrząsnął się z tych ponurych rozmyślań. Miał pracę do wykonania. Brakowało mu jednak punktu zaczepienia. Gdyby znał imię stwórcy ghuli - człowieka, którego Mouw Awa nazywał „błogosławionym przyjacielem” - mógłby rzucić czar tropiący. Niestety imię, którym posługiwał się stwór-szakał - Mouw

Awa, Hadu Na was - nie nadawało się do takiego czaru. Mogło się jednak wciąż okazać przydatne, gdyby tylko Adulla przypomniał sobie, gdzie je wcześniej słyszał.

Po raz kolejny spróbował przemocą otworzyć swoją pamięć i znów mu się nie udało. Gdzieś w jego głowie tkwił zagrzebany trop, który mógł pomóc uratować miasto, ale tutaj nie umiał go wydobyć. Pożegnał się ze swoim najlepszym przyjacielem, życzył mu pokoju Boga i poszedł pomyśleć.

Adulla nie wiedział, czy to jego wyobraźnia, czy też powietrze wciąż śmierdzi spalenizną po wczorajszej nocy. Zaczął zawracać w stronę swojego domu - żeby zmusić się do obejrzenia zgliszczy - ale odkrył, że stopy go nie słuchają. Taki widok w tej chwili... obawiał się, że mógłby tego nie wytrzymać.

Trudno. Nic by tam nie działał, a łzawe uzalenie się nad sobą nie powstrzyma grasujących po mieście potworów.

Ruszył więc w stronę Mizernej. Idąc ostrożnie, pomacał pierś w miejscu, gdzie uderzył go piaskowy ghul łapą niczym żelazna sztaba. Ciało nie było już spuchnięte. W porównaniu z raną dziewczyny jego własne obrażenia łatwo dały się uleczyć jego przyjaciółom. Adulla potrząsnął głową, po raz kolejny pod wrażeniem swojego nieszczęsnego losu. Nieważne, ile razy udawało się im go połatać, zawsze wracał do nich ze świeżymi ranami.

Dotarł do wielkiego publicznego ogrodu i usiadł na niewysokim pagórku. Biały kaftan rozlał się na ziemi wokół niego. Doktor uwielbiał patrzeć, jak w tę popołudniową porę to miejsce ożywa. Park w niczym nie przypominał delikatnych ogrodów kalifa, gdzie ćwierkające cicho ptaki, dobierane pod kątem jakości śpiewu,

obsiadały gałęzki drzew pomarańczowych i granatów, które napawały powietrze przyjemnymi zapachami. W ogrodach kalifa szemrzące strumyki płynęły czarodziejsko w górę, usypiając swoim pluskiem. Nikt nie mówił tam głośniejszym niż szeptem.

Ogrody miały dawać spokój - stanowić idealne miejsce dla książąt, poetów i filozofów, którzy chcieli zostać sam na sam ze swoimi myślami. Jednak Adulla, którego powołanie nieraz już zaprowadziło do ogrodów, do których inaczej nie miałby wstępu, uważał, że w takim miejscu szybko by oszalał. Po pierwsze, panujący tam spokój osiągnąć, trzymając miejską tłuszczykę na dystans ostrzami mieczy. Tak naprawdę chodziło jednak o coś innego: w ogrodach kalifa Adulla po prostu nie był w stanie myśleć. Miał wrażenie, że mógłby w ten sposób popsuć coś delikatnego.

Z kolei publiczne ogrody Dzielnicy Mędrców były ostoją najbardziej agresywnych dźwięków i zapachów w całym Dhamsawaacie. Przeważał smród szczyń, niemytych tragarzy po całym dniu pracy w słońcu i tysiąca różnych rodzajów odpadków. Pod tym wszystkim jednak znajdowały się zapachy, które Adulli kojarzyły się z domem.

Jako mały sierota i uczeń łowcy ghuli, jako młody łotrzyk, a czasem bohater - jak również teraz, jako stary pierdziel - potrzebował tych zapachów. Podgrzewana cynamonowa farba wróżbitów, wino pite wspólnie przez hazardzistów i złodziei, którzy chcieli zapomnieć o swoich kłopotach, różny z mięsiwem kapiący tłuszczem w otwarte paleniska, tu i tam kilka kwiatów, które usiłowały udowodnić swoją obecnością, że to wciąż publiczny ogród, a nie podejrzana spelunka... Adulla wszystko to chłonał. „Dom”.

Do tego dochodziły odgłosy. Jego powołanie zaprowadziło go w wiele miejsc, ale Adulla nie znalazł nigdzie ludzi tak hałaśliwych, jak mieszkańcy jego dzielnicy. Dzieci i matki łajające dzieci. Wędrowni opowiadacze historii i ci, którzy bili im brawo i zadręczali pytaniami. Ladacznicze, oferujące ciepłe objęcia na noc, i mężczyźni, którzy bezwstydnie się z nimi targowali. Wszyscy oni załatwiali swoje sprawy najgłośniej, jak potrafili. „Na dobre i na złe, to moi bliźni”. Urodził się wśród nich i miał wielką nadzieję po cichu wśród nich umrzeć.

„Ech. Przy twoim szczęściu, starcze, zarzną cię potwory w jakiejś zimnej jaskini, samego i nieopłakiwanego”.

Po raz chyba setny w tym tygodniu Adulla uciszył zniechęcający głos w duszy i spróbował się skupić na stojącym przed nim problemie. Siedział, wzdychał i rozmyślał.

„Hadu Nawas”, powiedział potwór. Znaczenie tych słów majaczyło na obrzeżach myśli łowcy, ale im mocniej starał się je uchwycić, tym bardziej czuł się jak człowiek, który naoliwionymi palcami próbuje złapać mydło.

Minął go Bahim, starzejący się opryszek, który dwadzieścia lat temu próbował obrabować Adullę, a dziesięć lat później uratował go od napaści. Skinął doktorowi przyjaźnie głową i skubnął wąs; nie odzywał się, widząc, że Adulla medytuje. Łowca był tu znany i dlatego właśnie w tym miejscu mógł zrobić to, co zrobić musiał. Był tu u siebie. Czuł się swobodnie, a kiedy czuł się swobodnie, zauważał różne rzeczy, odpowiednio je ze sobą kojarzył.

Przyzwał Bahima i wskazał miejsce na trawie obok siebie. Myśli doktora wciąż nie szły we właściwym

kierunku, a zmuszanie ich do tego zakończyłoby się tylko bólem głowy. Z doświadczenia wiedział, że pomoże mu luźna pogawędka.

Wymienili pozdrowienia i Bahim usiadł. Grubokarczysty mężczyzna wyciągnął krzesiwo i cienką pałeczkę haszi.

- Jeśli nie masz nic przeciwko, wuju?

Adulla uśmiechnął się beztrósco i zacytował Ismiego Szihaba:

- „Haszi, muzyka i wino w umiarze, kto komu broni przyjemności, niech go Bóg pokarze”.

Po chwili obu mężczyzn spowił smrodliwie słodki, ostry dym. Siedzieli i rozmawiali o wszystkim i o niczym - o pogodzie, sąsiedzkich plotkach, obfitych kształtach przechodzących dziewcząt. Bahim kilka razy częstował Adullę pałeczką, a choć doktor za każdym razem odmawiał, i tak od samego siedzenia obok palącego czuł w głowie delikatną mgiełkę.

Było mu przyjemnie i z radością zagubił się w rytmie Bahimowych narzekań. Na kilka długich chwil Adulla prawie zapomniał o okrutnym szaleństwie, które zagościło w jego życiu.

- Słyszałem, że grupa ludzi Księcia Sokołów zginęła w zasadzce - powiedział Bahim. - Podobno mieli powyrywane z piersi serca! Musieli to zrobić agenci kalifa, chociaż spodziewałbym się, że wybiorą raczej publiczne ścięcie, które tak bardzo lubią.

Rozkojarzenie i dobry nastrój łowcy przysły. „Serca wydarte z piersi?” Próbował skupić myśli w oparach haszi. Wyglądało na to, że Książę Sokołów zmierzył się z tym samym wrogiem, co doktor i jego przyjaciele. „A Faraad Az Hamaz mógłby się okazać potężnym sojusznikiem”. Adulla chciał zapytać o coś więcej, ale

Bahima ogarnęło wywołane haszi gadulstwo i nie zamierzał przerywać potoku skarg.

- No i jeszcze ci przekłęci strażnicy i ten chędożący psy nowy kalif! - powiedział złodziej cicho, lecz z mocą, podkreślając każde słowo szarpnięciem wąsa. - Te ich zasady! Na przykład wczoraj. Próbuje przewieźć towar przez Bramę Kupiecką dla mojej starej, chorej ciotki... - uśmiechnął się bezwstydnie - ...a dwaj strażnicy zatrzymują mnie i pytają o przepustkę podatkową. Oczywiście, że mam przepustkę podatkową. I to prawie legalną! Ale te kurwie syny zaczynają gadać o nowych podatkach i taryfach na tej i owakiej bramie, że tu taka stawka, a tam inna stawka, i nie minęła chwila, a miałem pustkę i w głowie, i w sakiewce. Te ich zasady i przepisy to dla mnie wszystko, jak to się u nas mówi, ukryte pismo, wuju, ale umiem powiedzieć, kiedy ktoś próbuje zagłodzić na śmierć moje dzieci. Ja...

„Ukryte pismo i martwe dzieci! To jest to! Niech mi Bóg wybaczy, dlaczego wcześniej na to nie wpadłem?” Wszystkie inne rozmyślania poszły w odstawkę, kiedy Adulla zrozumiał, że łaskawy Bóg w końcu podsunął mu odpowiedź.

- Oczywiście! Szlag by trafił moje roztargnienie, oczywiście! To jest to!

Doktor poderwał się tak szybko, że aż stęknął z wysiłku. Bahim z wrażenia przestał mówić.

Złodziej wstał zwinniej, wyraźniej gotowy do bójki mimo oparów haszi.

- Co się dzieje, wuju?

- Bahimie, najdroższy, prowadzę właśnie łowy, na których mogę zginać. Jeśli tak się stanie, umrze też wielu innych ludzi w naszym mieście. Ale jeśli mi

się uda, jestem ci winien całonocną biesiadę w Srebrnym Pawilonie!

Bahim miał dość ulicznego obycia, by nie zwrócić uwagi na tę groźniejszą część wypowiedzi doktora.

- Srebrny Pawilon! Wolałbym, żebyś zapłacił za mnie miesiąc czynszu! Gdybym wiedział, że mam tak cenne informacje, wuju, tobym je sprzedał!

- To nie informacje, Bahimie, tylko dar twojego towarzystwa. Pokój Boga z tobą.

- I z tobą, wuju.

Adulla ucałował złodzieja w policzek i wymaszerował z ogrodu, czując, że w jego sercu zagościła krucha nadzieja.

## ROZDZIAŁ 4

Rasid bas Rasid zobaczył, że doktor wpadł do pracowni i trzasnął frontowymi drzwiami. Przywykł już do wybuchowości mentora, ale nigdy nie widział go jeszcze tak rozwścieczonego. Jego własne policzki zapiekły go z gniewu, kiedy Adulla złażał Zamię Banu Laith Badawi. Nie była odpowiedzialna za stratę łowcy i nie zasługiwała na kpiny. Rasid przypuszczał jednak, że jej słowa były kroplą, która przepełniła czarę. Doktor był stary, a z każdym mijającym dniem wydawał się też coraz bardziej znużony i zmęczony.

„Najwięcej pokrzepienia znużony znajdzie w cnocie” - zacytował Rasid pismo w myślach. Doktorowi wystarczyło przypomnieć, ile dobra zrobi! na Boską chwałę. Ruszy! do drzwi, zamierzając pocieszyć swojego nauczyciela.

Jednak drobna dłoń Litaz chwyciła go za ramię i pociągnęła w tył.

-Adulla potrzebuje teraz być sam. Zaufaj tej, która zna się na starych ludziach. Nic mu nie będzie.

Rasid chciał zaprotestować, ale kiedy uczciwie się nad tym zastanowił, zwątpił, czy jego pobożne rady coś by dla doktora znaczyły. Westchnął i usiadł



na hebanowym stołku. Z wysiłkiem wbijał wzrok w ziemię, z dala od śpiącej Zamii Banu Laith Badawi.

- Wolno ci na nią popatrzeć, Rasidzie - powiedziała Litaz. - Twoje oczy jej nie pohańbią, wiesz?

Zamiast na Badawi derwisz popatrzył jednak na alkemiczkę. Litaz zdjęła z półki małą, prawie pustą fiolkę. Podniosła ją do góry, podejrzliwie przyjrzała się niebieskiemu szkłu, a potem z irytacją cmoknęła.

- Tego się obawiałam - rzekła bardziej do siebie niż do Rasida.

- Co się stało, ciociu?

Litaz jeszcze przez chwilę patrzyła na zakorkowaną buteleczkę, potem pokręciła głową z brzękiem pierścionków we włosach i spojrzała na Rasida.

- Mała przeszkoda. Leczenie dziewczyny idzie dobrze. Zadziwiająco dobrze, dzięki jej anielskim mocom. Ale mamy mały kłopot. Skończyła mi się purpurowa rtęć. To silny roztwór, który rozrzedza krew. Potrzebny nam jest do dwóch celów: do dokończenia czarów uzdrawiających, które rzuciliśmy na Zamię, ale też do rozcieńczenia krwi na sztylcie jej ojca, żebyśmy mogli dowiedzieć się więcej o naszych wrogach. Musisz iść i przynieść mi następną fiolkę.

W Rasidzie wezbrała złość - był świętym wojownikiem, a nie chłopcem na posyłki! Zdławił ją jednak, wiedząc, że jej korzeniem była pycha.

- Oczywiście, ciociu. Gdzie można znaleźć purpurową rtęć?

Litaz odstawiła fiolkę, a jej ciemna, ładna twarz spochmurniała.

- W dżunglach Rughalba. Żyje tam potężny potwór zwany Czerwoną Chimera, któremu trzeba obciąć róg...

Rasidowi krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach, ale zaraz zrobiło mu się głupio, kiedy poważne instrukcje Litaz przeszły w śmiech.

- Haha! Och, przepraszam, Rasidzie! Tylko się z tobą drocę. Nie, nie, nie bądź na mnie zły. Po prostu ostatnimi czasy tak mało mam okazji do żartów... Ale między Bogiem a prawdą, determinacja, którą dostrzegłam na twojej twarzy, jest hołdem dla twojego męstwa.

Rasid przyjął te komplementy bez komentarza i odsunął od siebie złość, że stał się obiektem kpin.

- Tak naprawdę - ciągnęła Litaz, biorąc węgiel i papier, i zaczynając pisać - musisz się udać do Dzielnicy Kramów, sześć ulic dalej. Tuż za kramem inspektora znajdziesz sklep doktora Zarkawlajarięgo. Poznasz go po drzwiach pomalowanych na zielono. Daj mu to. Wyda ci, co zamówiłam, a później mnie podliczy.

Alkemiczka podała derwiszowi kartkę, a potem zaprowadziła go do drzwi i wypuściła na ciepłe, popołudniowe powietrze. Rasidowi wydawało się, że zza rogu za sobą usłyszał głosy doktora i Dawuda. Uznał jednak, że chcą, żeby zostawić ich w spokoju, poszedł więc dalej, nie zatrzymując się. Późnopołudniowe słońce raziło go w oczy. Minał mężczyznę oddającego mocz przy kamiennej ścianie sklepu i innego, zebrzącego o jałmużnę, choć był w dobrym zdrowiu i mógł pracować. Popatrzył na nich obu z pogardą.

W Dzielnicy Kramów powitał go kuszący zapach smażonych bulw. Rasid minął rząd zbitych z nieheblowanych desek bud zjedzeniem, ignorując ściskający kiszki głód. Parę chwil później dotarł do zielonych drzwi, o których mówiła Litaz.

Były uchylone. Wszedł do środka, pukając, żeby uprzedzić sklepikarza o swojej obecności. Pomieszczenie

w środku było nieumeblowane, nie licząc regału z równo poustawianymi buteleczkami, pudeł pod ścianą i stołu podobnego do tego w pracowni Litaz i Dawuda.

Znad blatu podniósł z irytacją wzrok Rughalijczyk w ciasnym turbanie - bez wątpienia doktor Zarkawłajari. Kiedy jednak z zaskoczeniem ujrzał niebieski, jedwabny habit Rasida, wyprostował się, a potem formalnie uklonił.

- Pokój Boga, panie derwiszu. Cóż to za zaszczyt! Rzadko widuje się w tym mieście członków Zakonu... Co może dla ciebie zrobić ten tu skromny i niegodny sprzedawca?

Choć pochwały czy niechęć zwykłych ludzi nie powinny nic znaczyć dla prawdziwego sługi Boga, Rasidowi taki szacunek sprawił sporą przyjemność. Mieszkańcy Rughalba traktowali takie sprawy poważniej niż Abaseńczycy. Nie po raz pierwszy w życiu Rasidowi przeszło przez myśl, że być może urodził się w niewłaściwej krainie.

„Urodziłeś się dokładnie tam, gdzie Bóg Wszechmogący rozkazał. A teraz zajmij się swoimi sprawami”

- złąał go karcący głos sumienia.

- Pokój Boga z tobą, panie - odpowiedział Rasid.

- Przysłała mnie tu pani Litaz, córka Likamiego.

Podał mężczyźnie kartkę od alkemiczki. Sklepiarz powoli i w milczeniu przeczytał list, a potem podniósł wzrok ze skruszoną miną.

-Ach, tak, pani Litaz. Dobra kobieta i jedna z moich najlepszych klientek, nawet jeśli czasem spóźnia się z płaceniem rachunków. Ale z żalem muszę was oboje rozczarować, panie derwiszu.

Rasid pytająco uniósł brew. Doktor Zarkawłajari znów wykrzywił usta w grymasie żalu wyglądającym

na autentyczny. Nerwowo podrapał się po koziej bródce.

- Na lewo i prawo wszyscy przygotowują się na najgorsze, więc popyt na purpurową rtęć jest większy niż zwykle. Nawet bez tego to rzadki roztwór. Została mi tylko jedna fiołka, a właśnie ogłoszono podatek towarowy w imieniu samego Obrońcy Cnót. Jutro rano odwiedzi mnie Inspektor Sklepów, żeby pobrać daninę, i muszę zachować tę fiołkę dla niego.

Rasid na chwilę oniemiał. Znalezienie i pokonanie okrutnego stwórcy ghuli... Uratowanie życia Zamii Banu Laith Badawi... Przecież w oczach Boga to musiały być ważne rzeczy. Nie mógł uwierzyć, że na przeszkodzie stanie mu coś tak prostego i przyziemnego, jak kaprysy handlu i polityki.

-Ale... ale nam ta fiołka jest potrzebna! - wykrztusił w końcu.  
- Stawką jest czyjeś życie!

Sklepikarz bezradnie rozłożył ręce.

- Bardzo mi przykro, panie derwiszu, naprawdę. Ale z mojej strony stawką również jest życie. Jeśli nie oddam wymaganej części towarów ludziom kalifa, wrzucą mnie do lochu. Moja rodzina będzie głodować. Co mam robić?

„Ale bez purpurowej rtęci Zamia umrze. A my nie zbliżymy się do plugawych morderców, których szukamy”. Rasid wyobraził sobie, że wraca do domu Dawuda i Litaz z pustymi rękami, i coś w nim pękło.

Mógłby po prostu zabrać, to, czego potrzebowali. Ta myśl przeszła jego serce niczym zatruta strzała; zrobiło mu się od niej niedobrze. „Jesteśmy w wielkiej potrzebie, a nasza sprawa jest słuszna. Czy Bóg...”

Drzwi sklepu za nim trzasnęły z takim hukiem, że zabrzęczały butelki na półkach i stole. Zanim jeszcze

się odwrócił, Rasid wyczuł obecność innych ludzi. Obrócił się błyskawicznie i zobaczył na drugim końcu pomieszczenia trzech opryszków.

Niski mężczyzna o szczurzej twarzy dzierżył w dłoni długi nóż. Obok niego stał zwalisty typ z tylko jednym okiem i mosiężnym kastetem oraz wysoki, czerwony Su znad rzeki z długim kijem.

- Ach, pokój Boga jeszcze raz, doktorze Z! - powiedział ten o szczurzej twarzy. - Wiesz, po co przysz... Ej, co to za głupiec?!

- Przekłęci haraczowi! - zawołał sklepikarz wystraszonym głosem. - Już drugi raz w tym miesiącu przychodzą po moje towary! Proszę, panie derwiszu, pomóż mi!

Rasid poczuł, że niepewność litościwie znika z jego serca. To była kradzież i wiedział, co ma zrobić. Wyprostował się i spojrzał na tamtych trzech.

- Jeśli przyszliście tu wziąć coś, czego Bóg wam nie dał, nie skończy się to dla was dobrze. Sugeruję, żebyście natychmiast stąd odeszli, źli ludzie.

- „Panie derwiszu”, tak? - zagrzemiał jednooki głosem jak kowalski miech. - Słuchaj no, nie szukamy zwady z Zakonem, chłopcze. To sprawa między tym chciwym kurwym synem a naszym Księciem. Może więc zabierzesz stąd swój chudy tyłek, zanim dorośli będą musieli ci go zlać.

Mężczyzna z Su splunął, uśmiechnął się i huknął okutym końcem kija o kamienną podłogę.

„Wreszcie coś, co znów ma sens. Jasna ścieżka działania”.

- Brońcie się - powiedział Rasid. A potem skoczył.

W ciasnocie sklepiku było za mało miejsca, żeby dobywać miecza. Rasid zamiast tego rzucił się na szczurzą

twarz; rąbnął mężczyznę otwartą dłonią i złamał mu nos. Nie tracąc dynamiki, chwycił przeciwnika za gardło i cisnął nim w jednookiego. Obaj runęli na ziemię.

Rasid obróci! się w samą porę, żeby uniknąć ciosu kijem od trzeciego opryszka, który z trudem wymachiwał swoją bronią w takim ścisku. Uderzeniem kantem dłoni derwisz złamał kij na pół, a potem kopnięciem z półobrotu posłał napastnika na ścianę.

Jednooki tymczasem zdążył się podnieść. Cofnął się czujnie, szukając okazji do ataku. Zamachnął się pięścią, ale trafił tylko powietrze. Rasid uderzył łokciem i strzaskał mu szczękę. Jednooki upadł.

Szczurza twarz, który wciąż leżał na ziemi i trzymał się za złamany nos, próbował dźgnąć derwisza w nogę. Rasid uskoczył i nadepnął mu na nadgarstek, który pęk! z satysfakcjonującym chrupnięciem. Mały złodziej puścił nóż i zwinął się w kłębek, półprzytomny z bólu.

Su cisnął w Rasida połówkami swojego kija, szarpnięciem otworzył drzwi sklepu i uciekł. Rasid rzucił się w pościg, ale najpierw obejrzał się na sklepikarza, żeby sprawdzić, czy nic mu nie jest.

Sprzedawca stał z rozdziawionymi ustami i wdzięcznością wymalowaną na czerwonej z wrażenia twarzy.

- Och, dziękuję, panie derwiszu, dziękuję! Niech ci Bóg błogosławi! Ci bandyci chcieli...

Rasid usłyszał jakiś hałas. Bez ostrzeżenia coś podcięło mu nogi. Runął ciężko na plecy, siła uderzenia odebrała mu oddech. Coś zaświeciło mu w oczy i nagle zakręciło mu się w głowie. Poczul mdłości.

„To jakieś czary. Ci złoczyńcy mieli przed sklepem wspólników” - zrozumiał i przeklął się za to, że tak łatwo dał się podejść pospolitym opryszkom.

Zwalczył mdłości i powidoki w oczach, i zaczął się podnosić na nogi. Nagle ktoś przystawił mu do gardła miecz.

Rasid wyteżył wzrok i przez latające przed oczami kolorowe punkciki ujrzał odzianego w zamsz i jedwab Księcia Sokołów, który w jednym ręku trzymał małe lusterko, a w drugim szablę. Jej ostrze dotykało szyi derwisza.

- Znów się spotykamy, przyjacielu Adulli Machsluda! Prawie zabiłeś dwóch moich ludzi!

Rasid nic nie powiedział. Czekał, aż przejdą mu zawroty głowy i wypatrywał chwili nieuwagi złodzieja, żeby wysliznąć się spod jego ostrza.

- Chłopcy! - zawołał niewiarygodnie wysoki bandyta do swoich ludzi, nie odrywając od derwisza wzroku ani ostrza szabli. - Żaden wstyd zebrać od niego baty, walczy lepiej niż wszyscy, których widziałem, może z wyjątkiem mnie. Ale dość tych jęków i stękania. Łapcie ten słój niebieskiego proszku i wynośmy się stąd! Tysiąckrotne przeprosiny, czcigodny sklepikarzu, ale musimy, w imię dobra mieszkańców Dhamsawaatu, skonfiskować twój zapas esencji nocnopłatka. Nie martw się jednak: klnę się na Boga, że trafi w czule ręce mojego mistrza alkemii, który dobrze go wykorzysta.

„Kradzież, szyderstwo i przyzywanie Jego imienia nadaremnie, wszystko za jednym zamachem języka!" Przewinienie było obrzydliwe i Rasid poczuł wściekłość, że nie może go w żaden sposób udaremnić.

- Och, daj spokój - powiedział znów do niego Faraad az Hammaz, kiedy jego ludzie uciekali. - Nie miej takiej oburzonej miny, młody człowieku. Leżysz na plecach tylko dlatego, że użyłem brudnych sztuczek. Kiedy zobaczyłem, jak dobrze walczysz, nie zamierzałem

ryzykować spotkania twarzą w twarz. Musiałem wykorzystać wszystkie swoje umiejętności i ostatnie szkiełko oślepiające.

Cisnął małe lusterko na podłogę, gdzie się potłukło.

- Twoje spojrzenie i żołądek wrócą do normy za jakąś godzinę. Poleż chwilę i złap oddech. Co do mnie, cóż, obowiązek wzywa. Ale nasze ścieżki może znów się kiedyś przetną.

Bandyta szybko wycofał się do drzwi, z szablą wymierzoną w Rasida, aż znalazł się na ulicy i zniknął.

Kiedy tylko ostrze odsunęło się od jego gardła, derwisz spróbował wstać. Wciąż był skołowany działaniem czarodziejskiego lusterka, a kiedy się podniósł, omal nie zwymiotował.

Godzina, żeby dość do siebie, powiedział bandyta. Rasid nie wątpił, że tak było w przypadku zwyczajnych ludzi. Ale on był bronią Boga, a nie jakimś pospolitym stróżem. Ignorując szloch wciągniętego sklepiarza, zmusił się do kroku, potem następnego, i najszybciej, jak mógł ruszył przez zielone drzwi w pościg.

Wyszedł na ulicę, rozejrzał się po przechodniach i zobaczył tłumek gapiów, którzy pokazywali palcami ścianę pobliskiego domu. Tam ujrzał Faraada az Hammaza, który wspinał się na dach z pomocą tego samego ułatwiającego skoki czaru, którego użył po tym, jak przeszkodził w egzekucji na placu Inspektorów.

Rasid zaczął się przepychać przez tłum. Zacisnął zęby, uciszył wzburzony żołądek, wziął kilka głębokich oddechów dla uspokojenia duszy i skoczył w górę, do okna pierwszego piętra. Stopami i palcami znalazł oparcie na ażurowo wyciętych okiennicach i zaczął się wspinać najszybciej, jak mógł. Przez chwilę kręciło mu się w głowie i już myślał, że spadnie, ale sięgnął



do rezerw siły i ruszył dalej, by w końcu wciągnąć się na krawędź dachu.

Wstał i na drugim końcu zobaczył Księcia Sokołów, z grubymi ramionami splecionymi na piersi i bezczelnym uśmiechem na wąsatej twarzy.

Rasid dobył miecza.

- Imponujące, młody człowieku! - zahuczał rozbójnik. - Na Boskie jaja, nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak szybko otrząsnął się z działania oślepiającego szkiełka!

Nagle w jego dłoni znalazła się szabla.

Mimo zawrotów głowy Rasid rzucił się na złodzieja, wymachując mieczem. Faraad az Hammaz odparował jedno uderzenie, potem drugie, trzecie.

Stal dzwoniła głośno za każdym razem, kiedy klingi się spotykały; przy każdym uderzeniu Rasid myślał, że zwymiotuje. Zacisnął jednak zęby i walczył dalej, napierał i szukał dziury w zastawach złodzieja.

Żadnej nie znajdował. Księżę Sokołów się spocił, ale z jego twarzy nawet na chwilę nie zniknął uśmiech.

- Wiesz co, chyba zdjąłbyś mi już głowę z ramion, gdybyś nie miał mdłości i zawrotów głowy - krzyknął. - Aleje masz. I dlatego...

Odskoczył w tył, unikając następnego ciosu Rasida, a potem z szybkością, jaką derwisz uznałby za niemożliwą, kopnął go obutą stopą w tors. Rasid poleciał w tył. Jego żołądek się opróżnił, a miecz wypadł z ręki.

„A więc to koniec - warknął głos w jego duszy. - Śmierć z ręki pospolitego opryszka. A ty śmiałeś się nazywać bronią Boga!”

Zamiast jednak go dobić, Faraad az Hammaz sięgnął za pazuchę, wyjął coś małego i rzucił to Rasidowi.

- Nie mam już na to czasu - ryknął - ale zostawiam ci prezent. Łap!

Rasid czysto odruchowo złapał małą, szklaną buteleczkę, którą złodziej mu cisnął. „Co to za nowa sztuczka?” Zdziwił się, widząc jasnoczerwony płyn, który chlupotał i skrzył się w popołudniowym słońcu.

- Ostatnia fiołka purpurowej rtęci doktora Zarkawłajarięgo, młody człowieku! Teraz należy do ciebie, bierz ją z moim błogosławieństwem. Słyszałem, jak prosiłeś sprzedawcę, zanim pojawili się moi ludzie. Książę Sokołów ratuje ludzkie życie, kiedy tylko zdoła. Lepiej żebyś miał to ty i twoi przyjaciele niż ten tyran kalif.

Kiedy to mówił, Rasid zaczął sięgać po leżący parę kroków dalej miecz.

- Jednak zamknięcie fiołki jest uszkodzone - ciągnął złodziej, cofając się w stronę przeciwnej krawędzi dachu. - Do środka powoli wkłada się powietrze. Co oznacza, że masz niecałą godzinę, żeby dostarczyć to pani Litaz. Możemy tutaj sobie tańczyć z mieczami cały dzień, jeśli chcesz, albo możesz uratować życie temu, kogo uratować tu przyszedłeś.

Bandyta cały czas się cofał. Rasid wstał i spojrzał na swój miecz.

- Podziękujesz mi później! - krzyknął kpiąco Książę Sokołów i bez wysiłku, oczywiście z pomocą czarów, przeskoczył na sąsiedni dach, zostawiając Rasida, który tępo wpatrywał się w trzymaną w dłoni fiołkę.

Żołądek derwisza kurczył się boleśnie, żółć paliła w gardle. W głowie ciągle mu się kręciło i przez chwilę stał bez ruchu. Wagi jego duszy ważyły skradzioną rzecz i życie dotkniętej przez Anioła dziewczyny.

A potem Rasid uciszył oburzony głos sumienia i ruszy! w drogę powrotną do Dzielnicy Mędrców.

## ROZDZIAŁ 5

Zamię Banu Laith Badawi zalewała fala nieoczekiwanych dźwięków, widoków i zapachów. Zawodzące wichry Pustego Królestwa. Słodki zapach płonącego suszonego nawozu. Skórzane namioty jej ludu. Wesole pokrzykiwania tych, o których wiedziała, że nie żyją. Sen.

Unosiła się w powietrzu tuż nad namiotami, jakby siedziała na niewidzialnym drzewie, i patrzyła, jak Banu Laith Badawi zajmują się swoimi sprawami - gotują, czyszczą skóry, wyczesują wielbłądy, naprawiają ubrania. Próbowwała ich zawołać. Z wysiłku rozboleła ją gardło, ale nie wydobyła z siebie żadnych słów. Zawarczała. Chciała się zbliżyć, ale nic się nie stało.

Zobaczyła ojca, który rozmawiał z kimś, kogo nie widziała.

- Jestem wodzem Badawich, a nie jakimś bezwolnym mieszczuchem! Banu Laith Badawi decyduje, co najlepsze dla jego plemienia! Bóg zabrał twoją matkę, Obrońco, tą samą ręką, którą dał mi ciebie. A Anioły dały ci ten dar. Przez głupotę Banu Chad czy Banu Fiq Badawich nie odrzucę tego, co Bóg, Opiekuńcze Anioły

i kobieta, która była moim nocnym powietrzem, dali naszej gromadzie. To tłuste, słabe gromady pełne hipokrytów. Niech sobie siedzą w swoich przeklętych namiotach i gadają, co chcą, o naszym wyborze Obrońcy. Ale na radzie będą cię traktować z takim samym szacunkiem, jaki my okazujemy ich Obrońcom, bo inaczej dojdzie do krwawej waśni!

Te słowa. Zamia знаła te słowa. Jej ojciec wypowiedział je niecały rok wcześniej. Nie doszło do krwawych walk, za to jej gromada została odpędzona od wody. A potem coś uderzyło na Banu Laith Badawich, coś straszniejszego niż jakakolwiek waśń. Kiedy Zamia znalazła pozbawione serc trupy swoich współplemieńców, wiedziała, że to nie byli Banu Fiq ani Banu Chad.

Nagle jej ojciec zniknął, a pustynia razem z nim. Zamia budziła się i zasypiała, budziła i zasypiała, aż jawa złała się ze snem. W pewnym momencie chmura jakby uniosła się z jej oczu i myśli. Przez kilka przytomnych chwil dziewczyna widziała, że leży w pracowni tej pary z Su. A potem chmura snu opadła z powrotem.

Zamia była znów na pustyni, daleko od namiotów, głęboko wśród wydm. Patrzyła, jak zielonooka dziewczyna, trochę młodsza od niej samej, szybko idzie po piachu. Dziewczyna była ubrana w wielbłądzie zamsze Badawich, ale podróżowała samotnie, bez żadnych współplemieńców w zasięgu wzroku. Nagle zatrzymała się, obróciła i spojrzała na Zamię. Na jej oczach dziecko zaczęło rosnąć; usta dziewczynki nabrały zaciętego wyrazu, spojrzenie ochłodziło. Postarzała się.

I Zamia wrzasnęła, widząc, że ta dziewczynka to ona. Widziała siebie samą, bez gromady, bez plemienia i samotną, jak starzeje się, a potem więdnie i zamienia

się w szkielet. Kości rozsypały się w proch, który porwał zawodzący wiatr.

Obudziła się z wrzaskiem i gwałtownie wciągnęła powietrze. Potem zwymiotowała. Łzy napłynęły jej do oczu. Czuła się słaba i znużona, jak staruszka, którą stała się we śnie. Nagle rozległo się głośne łomotanie i usłyszała wykrzykiwane słowa, na dźwięk których część jej zapragnęła uciec, a druga część - zabijać.

- Mouw Awa! Mouw Awa!

Głos doktora. Dopiero po dłuższej chwili Zamia zrozumiała, że to prawdziwe dźwięki, a nie echa snu. „Potwór znów atakuje!” Poczuli strach. Spróbowała się przeistoczyć. Całe ciało paliło ją z wysiłku, jakby chciała zaczerpnąć tchu w burzy piaskowej, ale kształt nie przyszedł. Rozdygotana zebrała siły.

Po chwili jednak zrozumiała, że nie ma żadnej napaści, chwala Bogu. Była w domu pary z Su. Doktor miotał się po pracowni i krzyczał, a Zamia uświadomiła sobie, że głośny łomot był trzaskiem ciężkich drzwi, kiedy wszedł.

- Mouw Awa! Mouw Awa! - krzyknął znów łowca ghuli. - To ukryte pismo Kemitów, w imię Boga, czemu od razu sobie tego nie przypomniałem? Kosa na Dzieci... Teraz wiem, gdzie czytałem to imię! Litaz! Litaz, córko Likamiego! Gdzie ty się podziewasz, kobieto?! Dawudzie! Gdzie twoja żona?

Na schodach pojawili się oboje przyjaciele doktora. Litaz miała minę głębokiej irytacji.

- Na Boga, Adullo, mówiłam ci, że dziewczyna musi odpoczywać w spokoju. Postradałeś rozum? Co to za krzyki?

Zamia zupełnie się rozbudziła i udało się jej usiąść na wysłanej poduszkami otomanie. Z zadowoleniem

stwierdziła, że pałaca przedtem rana teraz tylko lekko szczypie.

Na lewo od niej o bieloną ścianę opierał się Rasid, jeszcze bardziej sztywny niż zwykle. Jedwabie miał zakurzone i był blady, prawie jakby chorował.

Nie chcąc gapić się na niego zbyt długo, Zamia odwróciła się znów do doktora. Ten uśmiechał się szeroko.

- Litaz! - zahuczał. - Moja droga, powiedz mi proszę, że pamiętasz, jak ci pożyczałem książkę...

- Pożyczałeś mi dużo książek, Adullo. Którą?

- ...napisaną przez dworskiego poetę Ismiego Szihaba. Rzadką kopię jego prywatnych wspomnień z czasów tuż przed wojną domową. Pamiętasz? Hafi potrzebował pięciu lat, żeby mi ją znaleźć! Pamiętasz?

Litaz przewróciła oczami.

- Oczywiście. Pamiętam, jak mi ją wmusiłeś. Byłeś taki podniecony tym, że ją znalazłeś. Nudy, w niczym niepodobne do jego poezji. Przeczytałam kilka stron o bezsensownych dworskich intrygach i odłożyłam ją na półkę. Ciągle leży gdzieś na górze.

- Dzięki dobremu Bogu, że tak rzadko oddajesz pożyczone rzeczy, moja droga! Chwalić Boga!

Doktor, promieniejąc, wbiegł na schody. Para z Su poszła za nim. Zamia usłyszała odgłosy gorączkowego przetrząsania i dalszą, wykrzykiwaną rozmowę Adulli

i Litaz na temat książek.

Miała wielką chęć z kimś powalczyć. Nie podobało się jej to ślęczenie i czytanie, które według doktora było takie ważne. Chęć, by uciec tym ślamazarnym starcom prawie zwyciężyła i Zamia zmusiła się, by stawić czoła bezlitosnej rzeczywistości. Wojownik Badawich zawsze znajdował najskuteczniejszy sposób, by pokonać wroga. A próba znalezienia go w pojedynkę i samobójcza

zasadzka nie były najskuteczniejszą metodą. Nie miała nikogo innego, by się do niego zwrócić. Nie mogła oczekiwać pomocy od swoich rodaków. Wiedziała, że znajdą się tacy, którzy pojawienie się ghuli będą tłumaczyć rzekomym zepsuciem jej gromady.

Znów przytłoczyło ją okropne poczucie straty. Pomyślała o domu - o jogurcie z przyprawami i świeżych podpłomykach. Ze łzami w oczach zapragnęła ujrzeć jeszcze raz ojca, kuzyna czy kogokolwiek z bliskich.

„Z moim ojcem przeciwko mej gromadzie! Z mą gromadą przeciwko memu plemieniu! Z mym plemieniem przeciwko światu!” Stare powiedzenie Badawich zabrzmiało jej szyderczo w głowie. Była ostatnią z Banu Laith Badawich i nie miała dzieci. Czym była teraz gromada? Czym było plemię?

Jej rozmyślania przerwały dobiegające z góry krzyki doktora.

-Aha! Tu jest, chwalić Boga!

Łowca ghuli zbiegł po schodach, pozostali za nim. Usiadł przy niskim stole obok otomany Zamii i otworzył małą, czarną książkę.

- Masz większe prawo to usłyszeć niż ktokolwiek inny, Zamio.

Kiwnęła z wdzięcznością głową, wciąż słaba. Kiedy wszyscy zebrali się dookoła, doktor szturchnął grubym paluchem książkę i ryknął:

- Ta książka! To z niej znam imiona Hadu Na was i Mouw Awa. Wspomnienia Ismiego Szihaba. Słuchajcie teraz wszyscy.

Zaczął czytać:

*Hadu Nawas był ostatnim żyjącym członkiem wielkiego niegdyś rodu. Był bogaty i utrzymywał piękną posiadłość nieopodal Dalekich Ogrodów na obrzeżach miasta.*

*Raz, drugi i trzeci wśród biedoty z tamtej okolicy pojawiła się pogłoska o dzieciach, które znikwały w jego rezydencji. Kalif wiedział o tych zwyrodniałych upodobaniach, ale Hadu Nawas był politycznym sprzymierzeńcem, nic więc nie zrobił.*

*Wiatry polityki szybko się jednak zmieniają. Ciąg wydarzeń, złożonych jak kobierzec-zagadka, szybkich jak błyskawica uczynił Hadu Nawasa wrogiem dworu. I nagle pobożnego kalifa oburzyło to, że Hadu Nawas morduje dzieci.*

Tu łowca ghuli spojrzał na Litaz.

- I ty mówisz, że ta książka jest dla ciebie nudna, moja droga? Litaz wzruszyła ramionami.

- Tak daleko nie doczytałam. Doktor wrócił do lektury.

*Byłem tam, wysłany, by opisać jego zbrodnie, kiedy strażnicy przydybali tego potwora w ludzkiej skórze. Urządził sobie pod rezydencją obrzydliwą, małą jamę. Były tam nieprzyzwoite rysunki na ścianach i klatki dla dzieci. Zastaliśmy Hadu Nawasa z siekierą w dłoni i zadowolonym grymasem na twarzy, stojącego nad trupem małej dziewczynki.*

*Nie mogę skłamać Bogu, czemu więc miałbym kłamać tym kartom? Związaliśmy tego człowieka i pobiliśmy go. Wyrwaliśmy mu paznokcie, przebiliśmy jego „oliwny bukłak” i torturowaliśmy aż do samej rozprawy. Niektórzy chcieli wystawić go na widok publiczny, ale kalif zabronił opowiadać o tej zbrodni pospółstwu.*

*Upleciono taką sieć intryg, że kalif zapragnął oczyścić rodowe nazwisko Nawasów z czynów ich ostatniego, obłąkanego potomka. Dlatego odebrano mu imię Hadu Nawasa. Postanowiono, że zostanie zapieczętowany*



*w nieczystych grobowcach Kemu - skazany na śmierć z pragnienia i szaleństwa w ruinach w głębi pustyni.*

*Jako część kary morderca otrzymał nowe imię, zbrukane przez zepsuty, dawny Kem, pod którym został uwięziony. W grobowcu nie zapieczętowano Hadu Nawasa, lecz Mouw Awę, Kosę na Dzieci.*

Doktor zamknął książkę i podrapał się po wielkim nosie.

- To wszystko, co poeta ma do powiedzenia.

Zamia zadrzała i to nie tylko z osłabienia. Jej gromada nieraz napotykała wyniosłe ruiny piramid czy obelisków starożytnych Kemitów. Jednak żaden Badawi przy zdrowych zmysłach nie zbliżyłby się do tych miejsc, o których wiadomo było, że skazała je najpodlejsza magia. Zostać tam uwięzionym...

- Ciśnięty w ruiny piramidy na śmierć - powiedział stary mag. - Cóż, najwyraźniej coś go tam znalazło. Coś, co nie pozwoliło mu skonać. Co znalazło zastosowanie dla duszy mordercy dzieci.

- Martwi Bogowie - powiedziała Litaz nieprzyjemnie beznamiętnym tonem.

Doktor w zamyśleniu podrapał się w łysinę.

- Cóż, moja droga, wy Su wiecie więcej o starożytnych poganach niż my, Abaseńczycy, ale faktycznie istnieją książki twierdzące, że faronowie Kemu władali pożerającą dusze magią od swoich bogów.

Rasid, który dotąd milczał, zmrużył skośne oczy. Wyciągnął miecz i zaczął go czyścić.

- Proszę o wybaczenie, ale księgi i legendy to nie nasze zmartwienie. Ten Mouw Awa morduje mężczyzn i kobiety. Albo i gorzej. Jeśli doktor mówi prawdę, nie dopuszcza ich dusz przed oblicze Boga. Trzeba go jak najszybciej znaleźć i zabić, razem z tym, kto kazał mu popełnić te zbrodnie.

To, jak derwisz stal i mówił, sprawiało, że Zamia zapragnęła znaleźć się bliżej niego. Przestraszyła się, że gdyby nie leżała, mogłaby mimowolnie dać krok w jego stronę.

- Jak możemy zabić to plugastwo? - ciągnął Rasid.

- Mój miecz nie zostawił na nim śladu. Moje najśmielsze cięcia nic nie wskórały.

Dawud zmarszczył czoło i szarpnął farbowaną henną brodę.

- Nie dziwi mnie to - powiedział. - Tego Mouw Awę zrodziła najwyraźniej starożytna magia Kemu: spaczony czar, przeciwko którym twoja stal, czy nawet moje moce i inwokacje Adulli, są bezużyteczne. Co ty na to, ukochana?

Odwrócił się do żony, bez większej nadziei. Alkemiczka potrząsnęła głową, zabrzęczały pierścienie w jej włosach.

- Mając Boską pomoc i kilka miesięcy na badania, może stworzyłabym jakąś substancję, która pokonałaby taką istotę. Ale nie mamy tych kilku miesięcy.

Zamia usłyszała, że wypowiada słowa jak tylko je pomyślała:

- Ta istota uciekła spod moich szponów. Mocno ją zraniłam. Rozsądek mówi, że tylko ja mogę ją zabić.

- Bardzo dobrze wiedziała za to, co powie zaraz po tym, i poczuła mdłości. - Tyle że sama jestem ranna i na wpół martwa. I nie mogę przybrać kształtu.

Litaz prychnęła.

- Nie obrażaj naszego kunsztu, dziecko. Nie jesteś na wpół martwa. Biorąc pod uwagę to, jak szybko wracasz do zdrowia, staniesz na nogi za dwa dni.

Zamia odwróciła się i napotkała spojrzenie doktora, który patrzył tak intensywnie, że poczuła się, jakby widział przez nią na wylot.

- To prawda - powiedział łowca ghuli. - I oby tak się Bogu spodobało. Bo to dziecko może mieć rację co do swoich pazurów. - Przestał się gapić na nią i zapatrzył w pustkę. - Wiecie, czytałem przetłumaczone opowieści barbarzyńskich kapłanów z Krain Wojny. Braxonię nawiedziły istoty będące pół wilkami, pół ludźmi. Bohaterowie tamtych krain byli w stanie zabić srebrnymi mieczami - mieczami, które według nich były dotknięte przez Anioły, o ile pamiętam. Oczywiście to były „tylko książki i legendy”, więc nie powinny nas interesować... - dodał, rzucając kpiące spojrzenie Rasidowi.

Derwisz odchrząknął.

- Anioły nigdy by nie pobłogosławiły tych pogańskich krajów! Nie złodziei bluźniących ich łasce! One...

Rasid umilkł i spuścił wzrok. Po raz pierwszy, odkąd go poznała, Zamia wyczuła coś nieczystego, co biło od jego ciała. Coś bardzo podobnego do kłamstwa. „Niemożliwe” - powiedziała sobie. Może jej zmysły były przytępione raną i leczniczymi ziołami?

Doktor wzruszył swoimi pokaźnymi ramionami.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Ale brzmi to podobnie do tego, co lud Zamii opowiada o lwim kształcie, prawda, dziewczyno? Kiedy mi mówiłaś, że nie używasz broni, jak brzmiały te patetyczne wersy, które wyrecytowałaś?

Zamię niepokoiło, że tak szybko przyzwyczajają się do obelg, jakimi doktor obrzucał jej plemię, że przestaje na nie zwracać uwagę.

- Jestem Badawi, a nie lęklwym mieszcuchem. Dla prawdziwego Badawiego patos nie jest obrażą.

- Dobrze już, dobrze. To powiedzenie, dziecko, jak ono brzmiało?

- „Me szpony, kły, srebrzyste noże, którymi Anioł razić może”.

Nagle, bez ostrzeżenia, w oczach wezbrały jej łzy. Szybko je wytarła.

- Tylko ja mogę pomścić Banu Laith Badawich, a nie potrafię przybrać kształtu!

- Pomścisz swoją gromadę, Zamio - uspokoił ją doktor, a Zamia podziękowała Bogu za pewność w jego oczach i zapachu.

Łowca ghuli mówił dalej, już cichszym głosem: -Dziecko... powinnaś wiedzieć... to znaczy... cóż, twój ból jest tu najświeższy, ale nie jest wyjątkowy. Między Bogiem a prawdą, dziewczyno, mamy tu prawdziwy sierociniec! Krewni tego chłopca wyrzekli się go, kiedy przekroczył bramę Łoży Boga. Moi przyjaciele są w odległości tysiąca mil i dwudziestu lat od wszystkich, których mogliby nazwać rodziną. A stracili... - doktor powstrzymał się - ..stracili o wiele więcej, niż ci się wydaje, przez tę na wpół sekretną wojnę, którą tocymy ze Zdradzieckim Aniołem.

Zamia popatrzyła na Litaz. Serdeczny zazwyczaj uśmiech alkemiczki gdzieś znikł. Spojrzała smutno na Adullę i wstała. W drobnych, niebiesko-czarnych dłoniach trzymała sztylet ojca Zamii. Dziewczyna słabo wyciągnęła rękę, chcąc wziąć broń w rękę.

- Ten sztylet. Moja gromada...

- Nie martw się - przerwała jej Litaz. - Zwrócę ci go. Dzięki Rasidowi teraz mamy roztwór, który rozcieńczy tę dziwną, czarną krew do konsystencji, którą da się zbadać. Ale przygotowanie jej zajmie mi trochę czasu.

Alkemiczka rzuciła jeszcze jedno spojrzenie doktorowi, raczej poirytowane niż smutne.

- Adulla, skoro tak bardzo ci zależy, żeby dzielić się skrywanymi cierpieniami, może powinieneś opowiedzieć dziewczynie o swojej własnej rodzinie.

Wyszła z pokoju. Dawud poszedł za nią, spojrzawszy jeszcze przepraszająco na doktora.

- O co tu chodziło? - spytała Zamia.

- Zapytaj kiedyś Litaz, to ci powie, dziecko. Ma jednak rację, jestem ci winien opowieść o sobie, bo między sojusznikami powinna być równowaga w tym, co wiedzą nawzajem o swoich cierpieniach.

Rasid, jakby obrzydzony sobą i wciąż dziwnie pachnący kłamstwem, wyszedł, dając Zamii i doktorowi odrobinę prywatności. Dziewczyna popatrzyła za nim zdziwiona, a potem siłą woli skupiła się znów na łowcy ghuli.

- Litaz wspominała o twojej rodzinie - powiedziała.

- Owszem. Chodziło jej o moich rodziców. Pamiętam ich bardzo słabo, jak przez mgłę. Głównie zapamiętałem to, jak znalazłem ich ciała. Kiedy byłem mały, codziennie opowiadałem sobie o nich różne historie: zostali zabici, bo tak naprawdę byli przebranymi kalifem i królową, a ja, jak bohater legend, byłem sekretnym księciem. Ale oni nie pochodzili z królewskiego rodu - ciągnął doktor. - Byli tragarzem i jego małżonką, zwykłymi ludźmi z Dzielnicy Mędrców, którzy zostawili mnie, choć nie z wyboru, na niełasce losu, bez rodziny i pieniędzy.

Adulla przerwał, żeby przynieść Zamii gliniany kubek chłodnej wody. Dziewczyna wypila długi łyk, poczuła słodki ból ozywającego na nowo, wyschniętego na wiór gardła. Nie wiedziała, co powiedzieć na słowa doktora.

- Jak umarli? - spytała, zbyt późno uświadamiając sobie, że dla wydelikaconych mieszkańców miasta takie pytanie może zabrzmieć nietaktownie.

Doktor jednak tylko westchnął.

- Bezsensownie, moja droga. Umarli bezsensownie. Nie było żadnej wielkiej przepowiedni, nie było mrocznej misji sług Zdradzieckiego Anioła. Tylko żaloszny, zdesperowany łajdak z nożem, który był dość pijany albo głupi, żeby myśleć, że wydusi parę monet z mojego ojca, który nie miał grosza przy duszy.

Łowca ghuli w roztargnieniu wziął kawałek brązowej tkaniny leżącej na poduszce obok niego, wyszywaną Su. Mówiąc, zaczął skręcać ją w dłoniach, najwyraźniej nieświadomy, co robi.

- Kiedy dopiero co stałem się mężczyzną, udało mi się wytropić ich mordercę. Skończył jako jednonogi żebrak w rynsztoku, wyniszczony piołunowym winem. Zacząłem już wtedy studiować moje sztuki, ale tak naprawdę byłem jeszcze ulicznym opryskiem, który przewodził innym chuliganom ze Zdechłego Osła. Kiedy jednak znalazłem tego człowieka, postąpiłem okrutniej niż we wszystkich ulicznych bijatykach. Zabiłem go nożem. Dźgnąłem dziesięć razy. Człowiek nie umiera szybko od krótkiego noża. Wystarczyło czasu, żebym ocknął się z szału. Wystarczyło czasu, żebym sobie uświadomił, że stoję z zakrwawionym nożem nad ciałem wciąż błagającego o litość kaleki.

Doktor się otrząsnął.

- Wciąż nie umiem wyjaśnić, co wtedy czułem. Ale ciebie i mnie łączy więcej niż jedno. Do dziś dnia nie wziąłem do ręki żadnej śmiercionośnej stali. Napatrzyłem się dość na noże i miecze. Teraz zamiast zabijać, robię co w mojej mocy, żeby ratować ludzi przed śmiercią.

- Kiedy się spotkaliśmy, zastanawiałam się, dlaczego udałeś się w tak niebezpieczną podróż nieuzbrojony.

- Nie jestem miękkim człowiekiem, Zamio. Podróżuję z takimi, którzy nie boją się zabijać. Pochlebiam sobie, że wciąż potrafię przyłożyć komuś pięścią nie gorzej niż ktoś o połowę młodszy. Ale... cóż, jest różnica między wypatroszeniem kogoś z zimną krwią a rozkwaszeniem raz na jakiś czas nosa jakiemuś okrutnikowi.

W drzwiach stanął Dawud i prychnął.

- „Raz na jakiś czas”? Nie daj się mu zwieść, dziewczyno. Adulla Machslud łamał żebra i rozbijał głowy o wiele częściej niż „raz na jakiś czas"! - Mag podszedł i poklepał łowcę ghuli po ramieniu. - Nie znajdziesz dzikszego człowieka nawet wśród Badawich, zapamiętaj to sobie!

Zamia zamierzała już kazać mu wytłumaczyć się z tego, za kogo uważa jej lud, ale pokój nagle wypełnił smród tak mocny, że dla czułych zmysłów Zamii był niemal namacalny. Z początku podejrzewała, że jeden ze starszych mężczyzn puścił wiatry. Obaj pokazywali się nawzajem palcami i chichotali jak dzieci. Ale to był inny smród, jej zmysły go nie rozpoznawały. I dobiegał z cedrowych okien małej pracowni.

- Co to za zapach? - spytała, krztusząc się przy tym. Doktor przestał chichotać, a kiedy odpowiedział, jego głos ociekał pogardą.

- To smród farbiarzy i garbarzy. Nowy kalif, w swojej nieskończonej mądrości, kazał rzucić czary, które przepędzają smrody przez Dzielnicę Mędrców. Teraz raz w tygodniu, wieczorem, ten przeklęty zapach trafia do nas i unosi się tu przez godzinę. Dobrze, że nie dłużej, bo przysięgam, kalif miałby do czynienia z zamieszkami.

Dawud coś wymamrotał, podszedł do dużej, dzianej sakwy na ścianie i wyjął z niej dwa kawałki złożonego materiału. Podał je Zamii i doktorowi.

- Przykro mi to mówić, ale ja już się prawie przyzwyczaiłem. Litaz jednak zaczęła trzymać je pod ręką.

- Chwalić Boga za mądrość twojej żony, bracie mój.

Doktor zakrył chustką nos i usta. Kiedy Zamia zrobiła to samo, zaskoczył ją ostry, ale przyjemny zapach miętowego olejku, cynamonu, a pod nimi - szczypiący aromat octu.

Mag zmrużył oczy, a jego głos nabrał stanowczości.

- Nie pozwolę, żeby stała się jej krzywda - powiedział. Mówił do doktora, jakby Zamii z nimi nie było. - Jesteśmy z tobą, mój stary przyjacielu, wiesz o tym. Ale to nie są dawne czasy. Nie pozwolę, żeby Litaz coś się stało. Ustalmy to, zanim przejdziemy dalej.

Zamia poczuła, że wzbierają w niej słowa, ale je powstrzymała. Doktor odsunął zapachową chustkę. Położył wielką, brązową dłoń na ramieniu przyjaciela.

- Ja też nie pozwolę, żeby spotkała ją krzywda. Zamia mu wierzyła. Adulla wydawał się jej w tej

chwili przerażająco poważny. Jego twarz zrobiła się jakby mniej okrągła, zacięta i kanciasta. Dziewczyna żałowała, że sama siła woli nie wystarczy, by uleczyć jej rany i przywrócić moc. Leżeć w łóżku, kiedy odważni, starzy ludzie - tak, doktor Adulla Machslud był odważny, Zamia musiała to przyznać - mszczą się za jej plemię... Szarpało jej to trzewia.

Zwymiotowała za krawędź otomany. Rzadka żółć bryznęła na kaftan doktora, a potem z niego spłynęła.

Zamię ogarnął wstyd. Żołądek dalej się jej kurczył z bólu i od leków, od smrodu, wstydu i posmaku żółci. Znowu zwymiotowała, ale tym razem przynajmniej znalazła miedziany kubek, który Litaz postawiła obok otomany.



W tym momencie do pokoju wbiegła alkemiczka i zaczęła wyganiać obu mężczyzn.

- Wynocha, obydwaj! Wynocha! To córka wodza, która właśnie opróżniła przed wami żołądek. Myślicie, że potrzebne jej dwa stare kozły nad głową? Nie! Zostawcie to kobietom. Sio, mówię! Na Boga, czy wy mężczyźni nie potraficie sobie sami znaleźć jakiegoś użytecznego zajęcia?

Zamia była wdzięczna za jej obecność tak, jak nigdy nie była wdzięczna za ratunek ze strony uzbrojonych sprzymierzeńców. Opróżniwszy żołądek, poczuła się lepiej, a kiedy mężczyźni wyszli, uśmiechnęła się słabo do Litaz. Drobną kobietą usiadła jednak obok niej ze zrozpaczoną miną.

- Wiesz, że jeszcze wczoraj lękałam się nudnego podliczania rachunków po idach? Myślałam, że to będzie najgorsza rzecz w tym tygodniu. A teraz? Mam dom pełen cierpienia i smutku.

Serce Zamii zalał wstyd.

- Przepraszam, ciociu, że przywlokłam swoje kłopoty do twoich drzwi.

Litaz zamachała rękami.

- Nie mówię tylko o tobie. Adulla Machslud stracił w tym pożarze zbierane całe życie książki i talizmany. Żeby się na powrót uzbroić, robi rzeczy, które powinien robić tylko młody człowiek: stosuje czary kradnące sen, upuszczanie krwi i tak dalej. Przez wiele lat walczyliśmy ramię w ramię, moja droga, ale chyba nigdy nie widziałam go bardziej zdeterminowanego.

Zamia znalazła w tym pociechę. Poczwała, że jej szacunek dla doktora Adulli Machsluda pogłębia się jeszcze bardziej. Litaz mówiła dalej, sprząając bałagan, który dziewczyna narobiła.

- Musisz zrozumieć, co on stracił, Zamio. Ten dom... to był pewien symbol. Znak, że ten człowiek, bez żony, dziecka czy wysokiej pozycji, coś na tym świecie jednak ma. - Alkemiczka pokręciła głową. - Ale takie rzeczy pewnie niewiele znaczą dla dziewczyny z pustyni, zwłaszcza tak młodej jak ty. „Z moim ojcem przeciwko mej gromadzie! Z mą gromadą przeciwko memu plemieniu! Z mym plemieniem przeciwko światu!” Uważasz nas wszystkich za bardzo dziwnych, tę naszą małą rodzinę bez więzów krwi, prawda?

Zamia zastanawiała się chwilę, zanim odpowiedziała.

- Dziwnych? Być może. Ale też godnych podziwu. Jesteście tacy różni od siebie nawzajem, a przy tym tak sobie oddani. Między Bogiem a prawdą, nigdy przedtem czegoś takiego nie widziałam. Moja własna gromada się mnie bała, chociaż cieszyli się, że mogą mnie nazywać Obrońcą.

Przerwała, zanim powiedziała coś więcej. Jak śmiała źle mówić o swojej gromadzie - nieżyjącej gromadzie! - tej kobiecie, która była praktycznie obcą osobą!

Zmieniła temat.

- Ty i twój mąż, ciociu. Jesteś jego żoną od bardzo dawna, prawda? I śpisz z nim pomimo jego nieczystych mocy?

Dopiero kiedy to powiedziała, zrozumiała, że dla kogoś z miasta były to nieprzystojne słowa. Ale Litaz tylko się zaśmiała.

- Ha! Myślisz, że wyrosły mu kopyta czy coś takiego? Posiada wszystko to, co każdy mężczyzna. Może nasza krew nie jest tak gorąca jak kiedyś, ale tak, oczywiście, że z nim sypiam!

- A mimo to nie macie dzieci?

Litaz uśmiechnęła się smutno i nic nie powiedziała.

- Wybacz, ciociu, nie powinnam była...

- Nie, nie, nie ma za co przepraszać, dziecko. Mieliśmy syna, Dawud i ja. To było dawno, dawno temu. Był pięknym chłopcem, a jego promienna, mała twarzączka miała wszystko, co przystojne nad Czerwoną Rzeką Su i Rzeką Niebieską.

Powietrze zgęstniało od smutku w jej słowach.

- On... odszedł do Boga, ciociu? Drobne, wdzięczne kiwnięcie głową.

- Tak. Nie żyje od dwudziestu lat. Gdyby żył, byłby starszy od ciebie. - Spojrzała na Zamię, jakby próbując się zdecydować, czyjej o czymś powiedzieć. - Dawud i ja, kiedy byliśmy młodzi, dostaliśmy okrutną lekcję, Zamio Banu Laith Badawi. Lekcję gniewu Zdradzieckiego Anioła. I tego, gdzie są nasze... słabości.

Na długą chwilę alkemiczka zapatrzyła się gdzieś w dal.

- Cóż - powiedziała w końcu i wstała. - Moje roztwory jasnowidzenia pewnie już wrą. Muszę do nich zajrzeć. Powinnaś teraz coś zjeść i jeszcze pospać. I wypij tę herbatę, dokończy twoje leczenie.

Nakarmiła Zamię pitą z ciecierzycą i oliwą z oliwek, a potem napoiła przesłodzoną, leczniczą herbatą. Za-mia ledwie odstawiła kubek, kiedy zaczęły jej ciążyć powieki, i zapadła w sen pozbawiony marzeń.

Kilka razy na wpół się budziła. Wyczuwała wtedy zapach doktora, czujnego i aktywnego. Raz czy dwa rozejrzała się i zobaczyła go siedzącego w dużym pokoju, tłuczącego jakieś zioła czy wsypującego metalowe opiłki do fiolki, do wtóru mamrotanej inwokacji. Raz widziała, jak rozciął sobie rękę i nakapał krwią na kawałek welinu. Przez głowę przeszły jej słowa Litaz o determinacji doktora.

Kiedy Zamia w końcu obudziła się na dobre, była sama. Rana w jej boku wciąż boleśnie rwała, ale przeszły mdłości, a w rękach i nogach czuła nową siłę. W mieście trudno było jej

określić porę dnia po słońcu i księżycu - budynki dziwnie zniekształcały ich światło - ale po ciemności za oknem domyśliła się, że jest bardzo późna noc.

Znów spróbowała przybrać kształt i znów poczuła się, jakby próbowała oddychać piaskiem. Powstrzymała jednak Izy i chwiejnie wstała z otomany. Z drugiego pokoju dobiegały ją głosy - doktora, Litaz, Dawuda. Kroki Zamii były powolne i niezdarne. Kierując się głosami, przeszła do sąsiedniego pomieszczenia.

Pokój był pełen przedmiotów i ludzi. Półek z książkami, stojaków z butelkami i dziwnych, szklanych rur. Jedyłą stosunkowo wolną powierzchnię stanowił duży stół z jakiegoś dziwnego metalu. Odziany w biały kaftan doktor siedział na niskim stołku, a Rasid opierał się o ścianę obok niego. Litaz zasiadła na wysokim krześle przy stole, mąż zaglądał jej przez ramię; oboje patrzyli na wielką księgę w drewnianej oprawie, która leżała otwarta na blacie. Obok książki stał skomplikowany aparat ze szkła i mosiądzu. Jedną jego część wyglądała jak mała, szponiasta łapa i Zamia zobaczyła, że w jej pazurkach tkwi nóż ojca. Litaz patrzyła na drugą część urządzenia - w kształcie wielkiego oka - i wyraźnie porównywała to, co tam zobaczyła, z obrazkami i słowami w księdze.

Nauka, zapamiętywanie nazw roślin, skomplikowane układy gwiazd. Przez wiele lat ojciec próbował nauczyć ją, że to też należy do obowiązków Obrońcy Gromady. „Cierpliwość, mały księżycu, to cnota wojownika - mawiał. - Sama siła nie wystarczy. Musisz

posiąć też wiedzę, różyczko. I rozsądek. I, jak mówię, szmaragdzyku, cierpliwość".

Kiedy w zasięgu słuchu znajdował się ktoś inny, zawsze była „Obrońcą”, na osobności jednak ojciec miał na nią chyba z tuzin zdrobniałych przezwisk. Uwielbiała, jak przetykał nimi to, co mówił, chociaż wychowywał ją na wojowniczkę.

Największym jego zmartwieniem było to, że Zamia jest za bardzo podobna do lwa. „Dobrze by ci zrobiło, gdybyś więcej czasu poświęciła na naukę liter ludzi z miasta niż na tropienie piaskowych lisów! Obrońca musi bronić gromady na wiele różnych sposobów” - powiedział ledwie dwa tygodnie temu z tak rozczarowaną miną, że Zamię aż zabolęło coś w środku. Żeby zrobić mu przyjemność, próbowała skupić się na książce pełnej abstrakcyjnych znaczków, kiedy ojciec usiłował nauczyć ją czytać. Ale choćby nie wiadomo jak się starała, nie była stworzona do takich rzeczy.

Nowi sprzymierzeńcy obejrzeni się, gdy ją usłyszeli. Rasid oderwał się od ściany i dał krok w stronę dziewczyny, ale potem jakby się powstrzymał. Doktor zrobił wielkie oczy, być może zaskoczony, że stała o własnych siłach. Litaz spojrzała na nią z tym samym zdziwieniem, z którym zaglądała w szklane oko. Pierwszy jednak odezwał się stary mag.

- Na Boga, dziecko, powinnaś odpoczywać! Jak to możliwe, że jesteś na nogach? Na Boskie jaja, jak to możliwe, że się w ogóle obudziłaś? Powinnaś spać i zdrowieć jeszcze przez dwa czy trzy dni!

Litaz przygryzła wargę. Miała minę, jakby cały czas się nad czymś zastanawiała.

- Dotyk Aniołów - powiedziała. - Zdumiewające. Najwyraźniej moc, którą obdarzyli cię Boscy

posłannicy, to nie tylko lwi kształt. Nawet z pomocą naszych uzdrawiających czarów nie powinnaś być zdolna chodzić jeszcze przez tydzień. Zamia odrobinę zadarła brodę.

- Może my, dzikusy, jesteśmy bardziej odporni niż miękkie mieszcuchy, których zazwyczaj leczysz, ciociu.

Doktor parsknął i się zaśmiał.

- Tak, tak, na pewno to sprawa wrodzonego męstwa Badawich, dziewczyno.

Zanim Zamia odpowiedziała, Rasid znalazł się u jej boku.

- „Łaska Boga jest większa niż wszelkie okrucieństwo” - zacytował Niebiańskie Rozdziały. - Byłaś ciężko ranna, Zamio. Chwalić Boga, że szybko wracasz do zdrowia. Ale wciąż powinnaś odpoczywać, bo...

Litaz prychnęła z irytacją.

- Proszę cię - powiedziała do Rasida - nie dawaj rad, kiedy nie wiesz, o czym mówisz. Najlepsze, co Zamia może teraz zrobić, to właśnie nie spać. Purpurowa rtęć ożywia jej krew tak samo jak tę na nożu. Jeśli może chodzić, niech chodzi. A skoro o krwi mowa, ma prawo poznać odpowiedzi, jakie uda się nam tu wypatrzyć. - Alkemiczka odwróciła się do Zamii i wskazała jedyny wolny stółek w pomieszczeniu. - Siadaj. Właśnie robiłam ostatnie poprawki w swoim roztworze jasnowidzenia. Pytałam mężczyzn, ale ty wiesz to lepiej niż oni, kiedy zraniłaś tego Mouw Awę i czy krwawił.

Zamia zmusiła się, żeby pomyśleć o tych kilku chwilach, które omal jej nie zabiły. O kłach wbijających się w plugawy bok potwora. Zarazem przypominało to i nie przypominało rozrywania ciała. Był cień i ból, ale...

- Nie, ciociu. Nie krwawił.

- Tak jak mówiłem - powiedział doktor, w zamyśleniu gładząc brodę. - Dziewczyna powiedziała też, że dla jej wyjątkowo czułych zmysłów krew na nożu nie pachniała ani człowiekiem, ani zwierzęciem, podczas gdy Mouw Awę czuć było oboma. Tak jak podejrzewałem, to musi być krew tego, kto stworzył tamte ghule. Tego, którego ten potwór nazywał „błogosławionym przyjacielem”.

- Cóż, skądkolwiek pochodzi, to najdziwniejsza krew, jaką widziałam. Pełna życia i bez życia. Jest w niej wszystkie osiem pierwiastków, ale są jakoś... wygłuszone. Piasek i błyskawica, woda i wiatr, drewno i metal, pomarańczowy ogień i niebieski ogień! Jak mogą wszystkie występować w jednej kropli krwi, a zarazem tam nie być? - Alkemiczka odwróciła się do męża. - Co dziwniejsze, w skrzepach coś pełza. Zupełnie jakby ta krew pochodziła z jakiejś krzyżówki człowieka i ghula. To bez sensu. Mimo to, kochanie, powinieneś spróbować tu swoich czarów. Z Boską pomocą może udzielą nam lepszych odpowiedzi.

Maleńką, srebrną łyżeczką wsypała do fiolki z czerwonym płynem odrobinę białego proszku ze słoja. Płyn zabulgotał, spenił się i zrobił jasnozielony. Litaz wylała go na nóż, który należał do ojca Zamii.

Na ostrzu zamigotała zielona poświata. Była coraz jaśniejsza, aż wypełniła cały pokój.

- Możesz zaczynać - alkemiczka zwróciła się do męża. - Cofnijcie się - dodała do pozostałych, robiąc to samemu.

Mag podszedł bliżej i złożył swoje sękaty dłonie tuż nad ostrzem. Wokół jego palców zabłysło upiorne, zielone światło; płomienie skakały w tę i z powrotem wokół zakrwawionego noża. Oczy starego Su uciekły pod czaszkę; głosem, w którym brzmiało dziwne echo, zaczął pozbawiony słów zaśpiew.

„Nieczysta magia” - pomyślała Zamia. Odruchowo zaczęła przybierać kształt...

I oczywiście odkryła, że nie może. Znow weszła w niej panika - czuła, że kształt jest tak blisko, ale poza jej zasięgiem, że dzieli ją od niego ból rany. „Wszechmocny Boże, błagam, pomóż!”

Ale wtedy mag zaczął mówić, a ona musiała wysłuchać jego słów, bo to była ścieżka prowadząca do zemsty za Banu Laith Badawich. Lzy szczypały ją w oczy, ale znow odsunęła od siebie myśli o przemianie i słuchała.

- Ta krew jest jak... jak unieważnienie życia - powiedział Dawud. Jego długie, ciemne palce tańczyły nad nożem ojca Zamii. - Więcej, jak unieważnienie istnienia. Jak esencja ghula, którego fałszywa dusza jest stworzona z pełzających stworzeń. Ale i obdarzona wolą. Okrutną, potężną wolą.

- Kiedy o tym pomyślę - rzekł doktor cicho do Litaz, jakby Zamii i Rasida z nimi nie było - to wszystko układa się w jakąś okropną całość. Jest stara legenda

o człowieku nazywanym ghulem ghuli - człowieku, który był jak ghul wskrzeszony przez samego Zdradzieckiego Anioła. Człowieku, który sam obciął sobie język, żeby Zdradziecki Anioł mógł lepiej przez niego przemawiać. Który opróżnił własną duszę, a potem nappełnił ją wolą Zdradzieckiego Anioła. Podobno nosi kaftan, który nigdy nie może być czysty i...

Doktor umilkł, bo Dawud odrzucił głowę w tył i skrzywił się jakby w wielkim bólu. Stary Su dotknął noża opuszkami palców i wrzasnął.



Z początku było to nieartykułowane zawodzenie, ale przesycone bólem dźwięki ułożyły się w słowa:

- KREW ORSZADA! KREW ORSZADA! - Ciało maga dziwnie, spazmatycznie dygotało, ale nie odrywał rąk od noża.  
- KREW ORSZADA!

Litaz zerwała się i odciągnęła męża od ostrza. Dawud zatoczył się w kąt i z żalonym jękiem opadł na poduszkę. Siedział tak i dygota! z twarzą ukrytą w dłoniach.

Na obliczu doktora widać było troskę o przyjaciela.

- Twoje czary odciskają na tobie swoje piętno. Świat jest ci coś za to winien, bracie. - Położył magowi rękę na ramieniu. - Ale magia odciska się też na umyśle. Chwalmy Boga za to, że niedoszły zabójca dziewczyny był dość obłąkany, by tak paplać. Ten Orszado to najwyraźniej człowiek, którego potwór nazywał „błogosławionym przyjacielem”. Od dawna powtarzam, że mój fach ma niewłaściwą nazwę. Bo tak naprawdę to na ludzi polujemy, nie na ghule. A teraz znamy cel. Mając czar tropiący i imię, możemy...

Oczy doktora zabłyśły. „Prawie jakby miał się rozplakać” - pomyślała Zamia.

- Zapomniałem - powiedział cicho. - Nie mam już igieł grawerowanych w słowa pisma. Zniszczył je pożar, razem z całą resztą.

Zamia chciała już powiedzieć, że musi być jakiś inny sposób, ale odkryła, że zebranie myśli i słów przychodzi jej z wysiłkiem. Była słabsza, niż przyznała się przed innymi. Serce w niej jednak urosło, kiedy Rasid powiedział na głos to, co sama myślała.

- Nie ma żadnych innych czarów, które mogłyby podzielać, doktorze? Nie możesz nigdzie kupić takich igieł?

Doktor potrząsnął głową.

- To bardziej skomplikowane, chłopcze. Zrobienie takich igieł trwa wiele tygodni. Gdybyśmy byli w jakimś odludnym miejscu albo mieli przeciwko sobie początkującego maga, mógłbym spróbować prostszej inwokacji. Ale miasto jest pełne energii życiowej, która zakłóci czar tropiący, a ten Orszado bez wątpienia kryje się za potężną magiczną osłoną. Tylko najlepsze składniki i idealne inwokacje dają nam szansę, a i to nikłą, na odnalezienie naszych wrogów.

Doktor popatrzył po zebranych i zmusił się do uśmiechu.

- Ale nie traćmy wszyscy nadziei, co? Mamy przynajmniej parę imion. Jeśli Bóg Wszechmocny zechce, nawet bez czaru tropiącego znajdziemy tego przekłętego potwora i jego „błogosławionego przyjaciela”.

Rasid poruszył się niespokojnie w kącie pracowni. Ściągnął ostre rysy w grymasie skupienia.

- Zastanawia mnie to określenie, doktorze. Jak taka kreatura może mieć przyjaciół?

Doktor uniósł krzaczastą brew.

- Wiesz, chłopcze, słyszałem, jak ludzie pytali o to samo odnośnie Rasida bas Rasida. „Zawsze jest taki skwaszony”, mówili.

„Bez przerwy kpi, nawet w sprawach życia i śmierci” - pomyślała Zamia, zauważając głupkowaty uśmiech, z którym doktor szturchnął derwisza w żebra. Rasid zmarszczył czoło, jakby pomyślał to samo, co ona.

- Wybacz, doktorze - powiedział - ale nie ma tu powodów do wesołości.

Łowca ghuli uśmiechnął się z frustracją.

- Gdziekolwiek na Bożym świecie człowiek chce po-zartować ze swoich kłopotów, zawsze znajdzie się jakiś przeklęty święty mąż, który mu na to nie pozwoli! Aja już myślałem, że ten tu... - znów szturchnął Rasida tłustym paluchem - ...nauczył się trochę rozluźniać.

Choć Zamia nie umiała powiedzieć dlaczego, derwisz zareagował, jakby go uderzono.

- Rozluźniać? Niech Bóg broni. Tym bardziej że teraz raczej pora, by zdwoić czujność i wytrwałość w cnocie. Najplugawsze sługi Zdradzieckiego Anioła czają się na ulicach miasta. Oby litościwemu Bogu spodobało się mieć nas wszystkich w opiece!

- Oby się Bogu spodobało - powtórzyli rytualnie wszyscy obecni. Kiedy Zamia obejrzała się na doktora, ten już się nie uśmiechał.

## ROZDZIAŁ 6

- Oby się Bogu spodobało - rzekł Dawud, syn Wadžida, i usłyszał, że pozostali wypowiadają te słowa razem z nim. - A więc teraz wiemy już, co mamy przeciw sobie. Co w związku z tym zrobimy?

Przez kilka długich chwil wszyscy milczeli. Jego słowa zawisły w powietrzu, a ponure miny całej grupy odzwierciedlały powagę sytuacji. Dawud przyjrzał się twarzom osób w dużym pokoju. Oczy jego żony miały taki wyraz, jakby widziały za dużo, zaś rysy Adulli zdradzały znużenie, które odbijało się w spojrzeniu maga. Młodzi wojownicy mieli jednak inne miny. Szmaragdowo-oka dziewczyna i gładko ogolony chłopiec byli raczej zdeterminowani niż zrezygnowani. Starszą trójką powodowały znużenie i nawyk, ale Rasidem i Zamią - własna wola.

Pierwszy odezwał się asystent Adulli i zrobił to z wielkim przekonaniem.

- Musimy ostrzec straż, doktorze. A może samego kalifa. Ktoś u władzy musi...

Łowca ghuli parsknął z niedowierzaniem.

- Naprawdę wciąż uważasz, że w tym kierunku powinny pójść nasze wysiłki, chłopcze? Po dwóch

latach w mieście nawet taki niewolnik tytulatury jak ty musiał dostrzec, że kalif nie uwierzy takim jak my. A gdyby uwierzył, że Dhamsawaatowi grozi niebezpieczeństwo, jego największym zmartwieniem i tak byłoby to, jak to wpłynie na jego skarbiec. Stratą czasu jest przekonywanie samoluba, żeby przejął się czymś poza własnym nosem. Nie. Kalif pomoże nam jak dziura w wiadrze. Ale dowiedziałem się, że Książę Sokołów może mieć podobne do naszych problemy. Mógłby...

„On nie może mówić poważnie!” Dawud przerwał przyjacielowi, kładąc mu dłoń na potężnym ramieniu i machając palcem przed twarzą.

- Jak można być zarazem tak naiwnym i tak cynicznym, mój bracie? Nawet gdybyśmy zdołali znaleźć Faraada az Hammaza, związanie z nim naszego losu przyniosłoby więcej kłopotów niż pożytku. Pół miasta na niego poluje! A poza tym zostało jeszcze kilku porządnych strażników, wiesz? Na przykład ich kapitan.

Mag odwrócił się do Rasida, który wyglądał, jakby rozpaczliwie potrzebował coś zabić.

-Twój pomysł jest rozsądny, Rasidzie. A ja znam kapitana gwardii, Runa Hedaada. Litaz i ja kiedyś nawet uratowaliśmy mu życie. Jutro rano pójdę do Pałacu Półksiężycy i spróbuję pomówić z nim o tym, czego się dowiedzieliśmy. Mgliste to będzie ostrzeżenie, ale powinien być wdzięczny i za takie. Nie zaszkodzi, jeśli gwardia będzie wiedziała, że coś nam zagraża, a wręcz może pomóc.

Adulla pogładził brodę.

- Hm. Run Hedaad to dobry człowiek, jak na strażnika. Bardzo dobry. Ale wszyscy wiedzą, że gwardia to pozostałość z dawnych czasów i ma dziś bardzo małą

władzę. Prawdziwe wpływy ma kapitan straży. Ale to i tak niezły pomysł. Jeśli ktokolwiek w pałacu ma wyjrzeć poza własne interesy na tyle, żeby przejąć się rzezią biednych ludzi, to właśnie kapitan Hedaad. Może więc ktoś powinien z nim pomówić. - Adulla odwrócił się do Rasida. - Zadowolony jesteś, chłopcze?

Derwisz przytaknął, skłaniając głowę w turbanie, a potem odwrócił się do Dawuda.

- Dziękuję, wuju. Litaz wstała.

- Run Hedaad będzie dobrym sprzymierzeńcem - odezwała się cicho. - Chciałabym móc ci towarzyszyć, ukochany. Ale leczenie dziewczyny nie jest jeszcze zakończone. Jutro rano będzie potrzebowała purpurowej rtęci, a ja będę musiała być przy niej, żeby ją podać. Skoro już o tym mowa - zwróciła spojrzenie swoich pięknych oczu na Zamię - pora podać maść nasenną. Chodź ze mną. To prywatna sprawa między kobietami, zostawmy tu tych głupców.

Dawudowi zdawało się, że dziewczyna będzie protestować - bez wątpienia oburzyła się, że chcą ją wykluczyć z planowania bitwy - ale głowa jej opadała, a ciało wyraźnie zadawało kłam upartej wytrwałości jej woli. Słabym krokiem wyszła za jego żoną z pokoju.

Dawud odwrócił się do Adulli oraz Rasida i wzruszył ramionami.

- Czyli idę sam. Litaz musi tu zostać, a kalif nie ma wielkiego szacunku dla twojego fachu, Adullo.

Doktor przewrócił oczami.

- Tak, i to uczucie gorąco odwzajemnione. Zresztą i tak lepiej podzielić się zadaniami. Co do mnie - zaczął, a potem się zawahał, jakby wstydził się wypowiedzieć następne słowa.

„O co chodzi?” - zdziwił się Dawud. Jego starego przyjaciela rzadko cokolwiek krępowało.

- Co do mnie - podjął łowca ghuli - z samego rana udam się do Dzielnicy Śpiewaków, żeby jeszcze raz porozmawiać z małym Fejsalem, którego rodzina została zabita.

A więc w tym rzecz. Adulla wstydził się własnej słabości. Wstydził się, że podejmuje samolubne decyzje. Bał się, że Dawud nieprzychylnie go za to oceni. Cóż, mag nigdy nie osądzałby człowieka, z którym przyjaźni! się całe życie. Ale nie zamierzał także pozwolić, żeby Adulla sam się okłamywał.

Uśmiechnął się.

- Tak, porozmawiaj z chłopcem jeszcze raz. A przy okazji, popatrz tylko, znajdziesz się w domu jedynej kobiety, którą kiedykolwiek naprawdę kochałeś. Zabawne, jak Bóg Wszechmocny to wszystko urządza, co?

Chciał tylko podroczyć się z przyjacielem, ale Adulla miał minę ponurą i zmartwioną.

- Miri Almusa wie bardzo dużo o historii tego miasta, może mieć jakieś informacje o naszych wrogach...

W tym momencie wtrącił się derwisz, o którego obecności Dawud prawie już zapomniał.

- Proszę o wybaczenie, doktorze, mam nadzieję, że zwolnisz mnie z towarzyszenia ci jutro, bowiem...

- Bowiem święty mąż nie powinien być widziany, jak się kręci wokół burdelu, tak? I nie powinien się zadawać z określonym typem ludzi, co? - W tonie Adulli znać było znużenie zadawnionym sporem. - Mam już tego naprawdę dość, chłopcze. Nie możesz nazywać kogoś „partnerem” i co krok obrażać jego przyjaciół.

Derwisz szeroko otworzył skośne oczy, a Dawud pomyślał, że on sam być może też to zrobił. Adulla

wydawał się nieświadom swojego zaskakującego doboru słów.

- Ja... nigdy nie śmiałem nazywać się twoim „partnerem”, doktorze. Jestem zaledwie asystentem.

Adulla wzruszył ramionami.

- Jesteś moim asystentem w łowach na ghule, owszem. Ale z tym swoim rozwidlonym mieczem jesteś prawie tak samo dobry, jak ja u szczytu formy.

Chłopak wyglądał na głęboko skrępowanego; na jego złotych policzkach pojawiły się różowe plamki.

- Dziękuję ci, doktorze. Ale tak. czy inaczej nie proszę o zwolnienie z powodów, które wymieniłeś. Chciałbym zostać tutaj i strzec kobiet. - Teraz to on zaczął dukać. - Potwór może wrócić... ja... raz już nie zdołałem obronić Za... to znaczy tej dziewczyny. Została zaatakowana przez mój brak uwagi i jeśli mam...

Dawud nie mógł tego słuchać. Adulla kpił z derwisza, ale ogólnie rzecz biorąc, podsycił jego bzdurną zasadniczość. Dawud nie zamierzał czynić podobnie. Jeśli Rasid miał ochotę bezpodstawnie się obwiniać, to jego sprawa. Ale Dawud i jego żona zostali wciągnięci z powrotem w ponure sprawy, które zostawili za sobą wiele lat temu. Nie mieli wyjścia - najokrutniejsza z sił, jakie mag kiedykolwiek wyczuł, zagrażała ich najlepszemu przyjacielowi. Jednak mimo to prędeż go Bóg przeklnie, niż pójdzie do boju z rozkojarzonymi wojownikami u boku. Obrócił się gwałtownie do Rasida.

- Masz kły jak szakał, chłopcze? Jakoś nie widzę. To w jaki sposób, na Boga, jest twoją winą, że dziewczyna została ranna? Życie, które sobie wybrałeś, młody derwiszu, to wojna. Wojna ze Zdradzieckim Aniołem. Coś takiego, o czym twój Zakon mówi w tych swoich wszystkich przysięgach i Tradycjach. No cóż, a to jest



rzeczywistość. Dziewczyna powinna chwalić Boga, że wciąż żyje. Na wojnach giną ludzie, i to tacy, na których nam zależy. Chyba nie jesteś na to gotowy. I być może nie jesteś też gotowy pełnić służbę, dla której opuściłeś Łożę.

Rasid spuścił głowę.

- Masz oczywiście rację, wuju. - Jego oczy zdradzały, że każde słowo maga było jak miecz w brzuchu. - Muszę przedłożyć wolę Boga przed ogień świecy pojedynczego życia. Ja tylko... to... to była moja wina, że...

W drzwiach znów stanęła Litaz. Najwyraźniej już położyła Zamię spać.

- Adulli zagrażają tacy wrogowie, że ja osobiście czułabym się lepiej, wiedząc, że stado ghuli nie wpadnie mi nagle do domu. Niech chłopiec zostanie tu na straży.

Dawud kiwnął głową.

- Bylebyś tylko była bezpieczna, kochanie.

On i Litaz przez pół nocy leżeli obok siebie, zbyt zdenerwowani, żeby spać, i nie dość sami, żeby się kochać. Dawud ścisnął małą dłoń żony, ale nie rozmawiali. W końcu zasnęli.

Kiedy wstał o świcie, nie budził Litaz. Pożegnał się bezgłośnie z nią i z głośno chrapiącym Adullą, a potem cicho wyszedł na ulicę, w półmrok wczesnego ranka.

Już wkrótce noce miały być coraz krótsze. Zbliżało się wielkimi krokami Święto Opatrzności Bożej - noc przed najkrótszym dniem w roku - ale Dawud nie zamierzał świętować, dopóki Orszado i służące mu istoty nie zostaną zniszczone.

Ruszył przed siebie i wkrótce opuścił Dzielnicę Mędrców. Wdychał głęboko poranne powietrze, usiłując wypędzić z ciała plugastwo, które poczuł, kiedy wczoraj wieczorem rzucał swój czar. Moc kryjąca się za odkrytą skazą... Dawud był pewny, że chodziło

o coś więcej niż o kilka trupów. Taka moc celowała w większe rzeczy.

Po raz pierwszy, odkąd on i Litaz zobaczyli dym nad domem Adulli, Dawud poważnie zastanowił się nad tym, co się wydarzyło. Był zły, że dał się wciągnąć w te sprawy. Przez wiele dziesiątków lat praca jego i Litaz odciągała ich od tego wszystkiego, co normalne i szczęśliwe. Jego ciało wyniszczyła magia. Ich małego synka zamordowały potwory. Kiedy walczyli i podróżowali u boku Adulli i innych osób, hipnotyzująca pieśń obowiązku wzywała ich na ścieżkę niebezpieczeństwa

i szaleństwa, niczym wydmowe niewiasty o węzowych ogonach, które wabiły podróżnych na śmierć. Ale wszystko to zostawili za sobą. Przez kilka ostatnich lat największym zmartwieniem Dawuda było to, jak pomagać biednym, żeby nie zbankrutować i jak poradzić sobie z rosnącą chęcią żony, by opuścić to miasto, które uczynił swoim domem. Ale teraz...

Minął zamknięte okiennice sklepowej witryny i stanął nagle, bo pierś ścisnął mu palący ból. Wypełniając swoje powołanie, Dawud został już dźgnięty nożem i otruty, a to przypominało jedno i drugie naraz. Zaczął kasłać i omal nie upadł.

Napad kaszlu przeszedł dopiero po kilku długich chwilach. Dawud stał na ulicy, dyszał boleśnie i czuł, że jego ciało starzeje się bardziej niż powinno. Czary uzdrawiające i jasnovidzenie, które rzucał poprzedniego dnia - ostatni raz robił coś takiego wiele miesięcy temu. Czuł brzemień wysiłku z każdym utrudzonym oddechem. Gaduła Adulla lubił narzekać na swoje starcze dolegliwości, ale nie miał pojęcia, co to jest

prawdziwy ból. Słabość. Kiedy Dawud rzucał swoje czary - na Boga, kiedy po prostu szedł za szybko pylistą, dhamsawaacką ulicą! - czuł się, jakby wielkie palce Boga zaciskały się mu na płucach.

Teraz, kiedy gdzieś tam czaił się Orszado wraz z potwornymi sługami, Dawud, jego żona i najstarszy przyjaciel byli potrzebni bardziej niż zwykle, ale mag nie wiedział, jak długo wytrwa. Nie po raz pierwszy przed oczami stanęła mu wizja samego siebie jako niedołęznego inwalidy, karmionego łyżką przez żonę.

Bezsukutecznie usiłował nie zdradzać swojego cierpienia mijającym go tragarzom i woźnicom. Ale niepotrzebnie się stara! - zajęci swoimi sprawami mieszkańcy Dhamsawaatu gdzieś mieli mękę starego człowieka. Jedyne spojrzenia, które ściągał, wyrażały obrzydzenie. Po chwili jego oddech zaczął się uspokajać i Dawud obrzucił ludzi dookoła własnym zniesmaczonym wzrokiem. „Może Litaz ma rację. Może wreszcie przyszedł czas, żeby opuścić to nieczułe miasto”.

Oparł się ciężko o kamienny mur i pozwolił sobie na przeciągły dygot. Potem skoncentrował się i wyprostował. Miał zadanie do wykonania. A jeśli chciał zaopiekować się Litaz, musiał być silny. Zacisnął pięść i pobraął dalej, starając się nie zwracać uwagi na ból, który narastał mu w plecach.

Wyszedł na Główną, ignorując nawoływania przekupniów. Przez chwilę bawił się myślą o wynajęciu lektyki - ale była to tylko zabawa. Przez wszystkie lata spędzone w Dhamsawaacie Dawud jechał lektyką zaledwie kilka razy. Podobnie jak z innymi rzeczami, jego żonie łatwiej przychodziło przejmowanie zwyczajów Abaseńczyków. Kiedy udawała się gdzieś sama, często wynajmowała lektykę. „Bycie bogatą dziewczyną znad

Niebieskiej Rzeki przygotowało ją do tego, że ludzie muszą nosić ją na plecach" - pomyślał z wyższością, wymijając krzywonogiego sprzedawcę pistacji.

Dla uczciwego Su znad Czerwonej Rzeki taki sposób przemieszczania się przez tłum był po prostu zły. Ale nieskorzystanie z lektyki w drodze do pałacu oznaczało długi, męczący spacer. Przynajmniej dzień zapowiadał się na chłodny.

Dawud szedł przez półtorej godziny szerokimi ulicami, a potem skręcił w drogę, zapchaną ludźmi przygotowującymi się do Święta Opatrzności Bożej. W każdej dzielnicy miasta byli oczywiście sprzedawcy drobiu, ale na Drobiarzy można było skosztować rzadkich delikatesów od największych domów kupieckich: fioletowej pardwy, gołębi słonecznych, łabędzia nadziewanego czapłą. W całym Dhamsawaacie tylko tu także można było kupić marynowane jaja strusi z Republiki.

W powietrzu unosił się mocny smród piór i śmierci i Dawuda chwycił napad suchego kaszlu. Usiadł na chwilę i dał miedziaka nosiwodzie, który ze swojego bukłaka nalał mu kubek wody tak potrzebnej, że Dawud na głos podziękował Bogu.

Po kolejnej godzinie klaskania sandałów o kamień i ubitą ziemię mag dotarł do zachodniej bramy Pałacu Półksiężycy. Nie był tu od paru lat i na nowo olśniła go wspaniałość budowli. Z wielkiej, białej kopuły na cienkiej iglicy ze złota stał posąg konnego mężczyzny z długą włócznią. Głowę rzeźby zmieniano tak, żeby przypominała każdego nowego kalifa. Dawud uświadomił sobie, że nie był w pałacu, odkąd nowy kalif zasiadł na Tronie Półksiężycy.

Posąg lśnił, ukazując wrogom Boga wojenny kunszt władcy. Oczywiście cały Dhamsawaat wiedział, że

nowy kalif, podobnie jak jego ojciec, przez całe swoje wygodne życie ani razu nie brał udziału w bitwie. Adulli przez taką hipokryzję śniadanie stawało w gardle, ale Dawudowi nie przeszkadzała. W sprawach państwowych hipokryzja była nieodłącznym elementem. Mieszkańcy Su postrzegali to jako prosty fakt, którego nie należy potępiać - coś, co po prostu jest.

Dawud zbliżył się do niskiej kamiennej strażnicy obok bramy. Żeby wezwać Runa Hedaada, musiał wysłać mu wiadomość za pośrednictwem strażnika. Mag nie podzielał niechęci Adulli dla wszystkich ludzi kalifa bez wyjątku, ale wiedział, że większości z nich nie dało się szczerze nazwać pomocnymi. Dwaj strażnicy wyszli z wartowni i minęli go, odziani w nabijane ćwiekami skórzane kurty; dzierżyli wąskie pałki, które były symbolem ich urzędu. Przyjrzeni się Dawudowi tak, jak patrzyli na wszystkich, których mijali - z lekko złowróżbnym zmrużeniem oczu, gotowi, prawie że oczekujący na kłopoty. Dawud po starczemu z szacunkiem skinął im głową i wypatrzył najmniej wrogo wyglądającego wartownika: chudego chłopaka o łagodnych oczach.

- Pokój Boga, młody człowieku. Muszę się pilnie skontaktować z kapitanem Hedaadem w niecierpiącej zwłoki sprawie.

- Jeśli chcesz złożyć skargę na straż, wuju - odparł chłopak uprzejmiej, niż Dawud spodziewałby się po strażniku - obawiam się, że musisz się udać do biura przy wschodniej bramie. Umówią cię tam z zastępcą kapitana i może za kilka dni...

- Wybacz, młody człowieku, ale to nie jest sprawa, która może czekać. Nazywam się Dawud, syn Wadžida, i Run dobrze mnie zna. Przyrzekam ci, że jeśli podasz mu moje imię, natychmiast zapragnie się ze mną widzieć.

Chłopak utkwił w Dawudzie spojrzenie tych swoich łagodnych oczu, doszukując się jakiejś złej intencji. Położył dłoń na pałce i podrapał się w nos.

- Dobrze zna, tak? - Jeszcze jedno przeciągłe spojrzenie. - Dobrze. Ale lepiej, żebyś ze mnie nie kpił, wuju.

Dawud z wdzięcznością skłonił głowę.

Pół godziny później inny strażnik zaprowadził go do malej komnaty tuż za właściwym wejściem do pałacu. Pomieszczenie było pełne worków z ziarnem i zwojów łańcucha, ale w rogu stała nieduża otomana. Strażnik pokazał ją bez słowa i wyszedł. Ledwie Dawud zdążył z ulgą usiąść na ciemnym, drewnianym meblu, w drzwiach stanęła szeroka postać Runa Hedaada.

Mag zaczął wstawać, ale kapitan gwardii go powstrzymał. Pochylił się i uścisnął maga; wymienili pozdrowienia. Potem Run usiadł obok.

Krępy mężczyzna zawsze przypominał Dawudowi bryłę brązowego kamienia. W jego gęstych, czarnych wąsach pojawiły się pasemka siwizny, a w kącikach oczu kilka zmarszczek, wyglądał jednak tak samo krzepko jak zawsze, podobnie jak kunsztownej roboty buzdygan o czterech piórach u jego boku.

- Dziękuję, że znalazłeś czas, żeby się ze mną spotkać, kapitanie.

Hedaad podrapał się w bulwiasty nos.

- Zawsze znajdę czas dla człowieka, który uratował moją żonę.

Dawud lekceważąco machnął ręką.

- To zasługa raczej wywarów mojej małżonki. Poza tym dostaliśmy wtedy sowitą zapłatę za naszą pracę.

- Niech ci będzie. Z czym wobec tego do mnie przychodzisz, wuju?

Gdyby to była Litaz, miałyby co do słowa zaplanowane, co powinna powiedzieć. Ale to był Dawud.

- Wiesz, że ja i moja żona żyliśmy kiedyś z walki z dziwnymi, okrutnymi czarami - zaczął. - Przyszedłem do ciebie, bo takie niebezpieczeństwo pojawiło się właśnie w Dhamsawaacie.

Opowiedział wszystko, co wiedzieli o Mouw Awie i jego panu, Orszado. Imiona. Morderstwa, które popełnili. Widział, jak zmienia się prosta twarz kapitana - od zirytowanego niedowierzania, przez głębszy namysł, po na wpół sceptyczną obawę. Hedaad miał jednak dość szacunku dla maga, żeby nie przerywać.

- Proszę tylko o to... - Dawud umilkł, kiedy do komnaty wpadł bogato odziany paź. Nie zwrócił uwagi na maga i wyszeptał coś kapitanowi do ucha. Stare uszy czarodzieja wychwyciły tylko słowa „chce”, „twoja kolej” i protesty Runa, zanim chłopiec wyszedł.

Kapitan się skrzywił.

- Cóż, wuju, szczęście ci sprzyja. Jego Świątobliwość czasami każe mi przedstawić mu sprawę, jaką się akurat zajmuję. To samo robi z ministrami skarbu i podnamiestnikami. Chce w ten sposób pokazać swoje czynne zainteresowanie i pozwolić, by liczne gałęzie aparatu władzy skorzystały z jego mądrości.

W głosie Runa nie było ironii - przeciwnie, kapitan z godnym podziwu wysiłkiem starał się, by zabrzmiały szczerze, ale Dawud nie potrzebował czarów, żeby poznać jego prawdziwe uczucia.

„Mimo wszystko być może tak będzie najlepiej. Może kalif naprawdę posłucha”.

Wprowadzono go nie na Dwór Półksiężyca, ale do niewielkiej sali audiencyjnej. „Niewielkiej” jak na Pałac Półksiężyca oczywiście, co oznaczało, że była większa niż cały dom Dawuda. Różniła się jednak od publicznie dostępnych części pałacu, które dotąd widział. Atmosfera przepychu i władzy nie była tu mniejsza, ale nabierała pewnej intymności. To było miejsce, w którym potężny człowiek udawał, że pochyła się nad czyimiś problemami. Jeśli Bóg Wszechmogący pozwoli, pochyli się nad nimi naprawdę.

Dawuda zapowiedziano ciągiem banalnych uprzejmości, jakimi wita się pospólstwo. Herold swoim grzmiącym barytonem obwieścił, że goście mają zaszczyt znaleźć się w obecności „Boskiego Namiestnika na Świecie, Obrońcy Cnót, Najwyższego z Ludzi, Jego Wysokości Dżabbariego ach-Chaddariego, kalifa Abasenu i wszystkich Królestw Półksiężyca”. Dawud wraz z Runem ukląkł i uklonił się tak głęboko, jak tylko pozwalały mu jego słabe członki.

Na wysokich oknach widniały Imiona Boga oddane w szkle przetykanym szmaragdami i opalami. Pluszowe, mieniące się jak brokat zasłony wyciszały wszystkie hałasy pałacowej krzątaczki na zewnątrz. Na uboczu dworscy muzycy grali na piszczałkach i dwustrunowych skrzypcach wykładanych platyną. Grube dywany w skomplikowane wzory i powtarzające się znaki pieczęci kalifa tłumiły odgłos kroków. Po drugiej stronie sali, tuż pod sufitem, ze ściany sterczała dziwna, złota, ażurowa skrzynia wielkości małego powozu. „Mównica kalifa”. Zaprojektowana tak, by władca Abasenu mógł przyjmować poddanych bez konieczności znoszenia ich nieczystych spojrzeń. W niej zaś siedział Obrońca Cnót.



Pod mównicą, po obu stronach niewielkich schodów z różowego marmuru, stało dwóch mężczyzn w czarnych szatach i z zasłoniętymi twarzami; czarodziejskie zmysły Dawuda wychwyciły bijący od nich silny powiew magicznych mocy. Nadworni magowie. W myśl prawa nikt w Dhamsawaacie nie rzucał czarów bez zgody zaklinaczy kalifa. W rzeczywistości ta garstka ludzi nie była w stanie powstrzymać wielu drobnych zaklęć, inwokacji i wskrzeszeń ghuli. Prawdziwym celem nadwornych magów było zapobieganie praktykowaniu magii, która mogłaby zaszkodzić kalifowi albo jego bogactwu. Dawud niewiele jednak wiedział o ich sposobach - cały czas spędzali w odosobnieniu przeznaczonych im minaretów za właściwym pałacem. Bóg jeden wiedział, co się działo w tej spiczastej wieży ze srebrzystego kamienia. Dawud znał tylko pogardę, z jaką podobne osoby traktowały pospolite czary magów takich jak on sam.

Za złotym azurem mównicy dostrzegł niewyraźne poruszenie. „On zawsze udziela audiencji w tej dusznej klatce?” Dawudowi zrobiło się słabo na tę myśl, ale nagle niektóre z co bardziej okrutnych postępów kalifa nabrały sensu. Władanie z takiego zamknięcia mogło człowieka rozwścieczyć. „Tego właśnie Adulla - i ten szalony Książę Sokołów, którego tak podziwia - nie rozumieją: że każdy płaci cenę za to, jak działa świat, nawet tak zwani ludzie potężni. Że władza też jest pułapką”. Skutki działania czarów na jego własnym ciele dawno już dały Dawudowi przejmującą - żeby nie powiedzieć okrutną - świadomość tego faktu.

Słońce świeciło przez zdobione klejnotami okna i mównica kalifa wyglądała jak spowita w tęczę. Klatka czy nie, przez chwilę Dawud prawie wierzył, że ten człowiek naprawdę jest Boskim Namiestnikiem na Świecie.

Nadworni muzycy przestali grać. Mężczyzna o pociągłej twarzy, odziany w bogate jedwabie - najwyraźniej jakiś wysoki rangą minister - zapytał Runa, jakie to gwardyjskie sprawy przynosi przed dwór.

Dopiero w tym momencie Run zrozumiał, jak mało wie o mechanizmach działania pałacu. Na jego twarzy odmalowało się zmieszanie, ale przemówił spokojnym głosem.

- Ten człowiek obok mnie, o Obrońco Cnót, to Dawud, syn Wadzida. To prawdziwy sługa Boży, który kiedyś uratował mi życie, gdy truciciel próbował mnie zabić, bym nie mógł służyć twojemu ojcu. Co ważniejsze, wasza wysokość, człowiek ten spędził wiele lat, polując na sługi Zdradzieckiego Anioła. Kiedy mnie tu wezwalesz, panie, opowiadał mi właśnie o potencjalnym zagrożeniu dla twojego miasta. Najlepiej chyba będzie, jeśli pozwolę mu samemu opowiedzieć o tym dworowi.

- O Najwyższy z Ludzi, przyszedłem prosić cię... - zaczął Dawud, na swój szorstki, czerwono-rzeczny sposób, stosując dworskie formuły, których Litaz nauczyła go dawno temu.

Minister o pociągłej twarzy z oburzeniem wytrzeszczył oczy.

- Nie jesteś ministrem ani kapitanem! Musisz się zwracać do dworu! Nie wolno ci przemawiać bezpośrednio do jego wysokości!

Dawud się przeliczył. Choć Litaz wyrzekła się swojej rodziny, była siostrzenicą Paszy. Nauczyła go etykiety właściwej dla kogoś o znacznie wyższej pozycji. Oczywiście uprzedzała go o tym, wiele lat temu. Dlaczego

przypominał sobie ostrzeżenia żony dopiero teraz, kiedy zapominał ich posłuchać?

Ze złotej klatki dobiegło chrząknięcie. Dwór ucichł.

- To człowiek z ulicy, Dżawdi. Nie można oczekiwać, że będzie przemawiał jak członek dworu. Kontynuuj,

O czcigodny poddany, i wiedz, że cię słyszymy.

„Może nie jest jednak taki zły, jak go przedstawiają na mieście”. Dawud nie łudził się, że kalif czuje do niego cokolwiek oprócz pogardy. Ale okazanie uprzejmego szacunku komuś, kim się gardzi, to miara ludzkiego charakteru. Mag wziął głęboki, utrudzony oddech

I ostrożnie dobrał słowa.

- Jestem tak zaszczycony, jak to tylko możliwe tym, że wolno mi przed tobą przemówić, o Obrońco Cnót. Jak mówi kapitan Hedaad, przez całe życie zwalczam wpływy Zdradzieckiego Anioła. Kapitan może potwierdzić waszej wysokości, że nie jestem szaleńcem. Opowiedzieć, ilu ludzi uratowałem...

Przerwał, szukając następnych słów. Wykorzystał to minister o pociągłej twarzy.

- Mam nadzieję, panie, że nie stanąłeś w promiennej obecności Obrońcy Cnót tylko po to, by chełpić się swoimi ulicznymi osiągnięciami. Każda chwila jego wysokości jest warta twojej wagi w złocie. Marnowanie ich to zbrodnia gorsza niż morderstwo! Mów, panie, jeśli masz coś ważnego do powiedzenia!

- Oczywiście, wasza eminencjo.

Mężczyzna trochę się udobruchał. Dobrze, Dawud trafił z tytułem. Tacy ludzie bez wątpienia byli zadowoleni, kiedy prosty człowiek taki jak on próbował szlachetnie naśladować ich sposób mówienia - dopóki nie wychodziło mu to za dobrze. Chociaż o to akurat nie musieli się martwić.

- Przejdę do rzeczy. Nad miastem jego wysokości wisi dziwne niebezpieczeństwo. Ktoś tak uczony jak jego wysokość wie lepiej niż ja, że przed Wielką Powodzią Ognia tymi krainami władał Kem. Wiemy, że Bóg ich pokarał i że zostali starci z powierzchni ziemi. Z ich czasów pozostały nieliczne pamiątki - tu fragment posągu, tam zagrzebany mur - być może zostawione przez Boga jako ostrzeżenie przed ich złem. Ale z wyniszczonego przez Boga Kemu ocalało coś jeszcze, o Obrońco Cnót. A przynajmniej przetrwał wpływ ich okrutnych czarów.

- Mówisz o Martwych Bogach? - spytał z pogardą jeden z nadwornych magów. Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedziała jedna z postaci w czerni. Jego ton wskazywał, że nie traktuje ostrzeżenia serio. Dawuda wypełniło wspomnienie nieczystej duszy, której dotknął swoim czarem. Musiał przekonać tych ludzi, żeby potraktowali go poważnie.

- Tak, wasza eminencjo. Jeden z Martwych Bogów Kemu - albo potężny cień ich mocy - zawładnął człowiekiem, który już przedtem był okrutnym mordercą. Dał mu moc i uwolnił go od lęku przed stalą i ogniem. Ich magia połączyła się z tą mroczną duszą, a istota zrodzona z tego związku nazywa siebie Mouw Awą, człekiem-szakalem. Owa istota grasuje w mieście jego wysokości. Już zabiła kilkadziesiąt osób. Co gorsza, jej pan jest...

- Dlaczego, panie, nie słyszeliśmy w takim razie o tych morderstwach na dworze? - przerwał pogardliwie minister. - Gdzie jest...

Drugi nadworny mag uciszył go podniesioną dłonią. „A więc taki jest tu porządek dziobania”.

- Bełkot tego człowieka nie nadaje się dla uszu Obrońcy Wiernych. W najgorszym razie jakiś podobny

jemu ulicznik zamordował swoimi sztuczkami paru innych uliczników. - Głowa w czarnym zawoju odwróciła się do Dawuda. - Dwór rozkazuje ci powrócić do domu. Zwróć się do pierwszego napotkanego strażnika, a on zajmie się tą sprawą w sposób już przewidziany w prawie jego wysokości.

Dawud ośmielił się odezwać, kiedy powinien był milczeć. Kiedy znów słuchać go będzie sam kalif?

- Tysiącrotnie proszę o wybaczenie, wasza eminencjo, ale ten Mouw Awa i jego pan - nazywa się Orszado, choć nie wiemy o nim nic więcej - to nie ulicznicy. Będą dalej zabijać. I nie zadowolą się mordowaniem plemienników i ludzi ulicy. Potężni złoczyńcy mierzą swoimi strzałami w potężnych ludzi. Zagrożenie pałacu jest...

Zbyt późno Dawud zrozumiał, jaki popełnił błąd. „Ty dumniu! Grozisz najpotężniejszemu człowiekowi na świecie!”

Złota kratownica zdobionej skrzyni otworzyła się do góry z nagłym trzaskiem. Dawud poczuł, że jego stare serce przestaje bić. „Proszę, Boże, niech on nie będzie na mnie zły. Chcę znów ujrzeć swoją żonę”. Moc, jaką ten człowiek rozporządzał, jej właśnie Adulla nie rozumiał. Cała pogarda na świecie nie ochroniłaby nikogo przed taką potęgą. Dawud wciąż nie widział nic w skrzyni - w grę wchodziła tu nie tylko naturalna ciemność, chyba że mylił go instynkt maga - ale nagle z cieni wystrzeliła chuda, biała dłoń. Kalif gniewnie wycelował w niego dwa palce, skrzące się od olbrzymich rubinów. Dworzanie i słudzy pospołu głośno sapnęli i szybko spuścili wzrok.

- Po tym, jak kapitan Hedaad cię przedstawił, byliśmy skłonni potraktować uprzejmie naszego czcigodnego poddanego. Ale po tych bzdurach jesteśmy niezadowoleni. Powinieneś dziękować Bogu Wszechmogącemu, że nie kazaliśmy cię wtrącić do lochu.

Dawud setki razy stawiał czoła śmierci. Nie przeżył tak długo tylko po to, żeby zginąć z kaprysu rozgniewanego władcy. Zgiął się mocniej w ukłonie, karząc swoje stare członki i powstrzymując stęknienia.

- Niech Bóg ześle na ciebie dziesięć tysięcy błogosławieństw za twoją łaskę, wasza wysokość.

Boży Namiestnik na Świecie musiał wyczuć w słowach Dawuda jakąś nieszczerłość, bo porzucił oficjalny język suwerena dworu.

- Zamknij się, stary durniu! Przychodzisz tu i grozisz naszemu miastu, naszemu pałacowi? Opowiadasz straszne historie o mordującym upiorze, jakbyśmy byli jakimś kupieckim szczenięciem, a ty naszą niańką? I bez wątpienia cień tego zagrożenia zniknie, jeśli tylko kupimy od ciebie jakiś amulet czy czar, tak? Ba! Mój ojciec kazałby cię ściąć, starcze!

„Twój ojciec wyciągnąłby głowę z własnego tyłka i potraktował taką groźbę poważnie”. Dawud zachował te słowa dla siebie.

Obok niego Run nisko się pokłonił.

- Błagam waszą wysokość, aby wybaczyła temu staremu głupcowi, że zabrał jej czas. Klnę się na Boga, że Dawud, syn Wadzida nigdy nie śniłby nawet o tym, by grozić waszej wysokości jakąkolwiek krzywdą. Jego słaby, stary umysł rodzi po prostu wymyślone niebezpieczeństwa.

Kalif przez chwilę milczał, a dwór wstrzymywał oddech. Kiedy znów się odezwał, w jego tonie słychać było wściekłość i pogardę.

- Ba! Kapitanie, powinniśmy cię wychlostać za marnowanie naszych świętych chwil tymi głupotami.

Na Boga, obaj macie szczęście, że jesteśmy znani z naszej łaskawości. Jeśli kiedykolwiek będziemy musieli znów oglądać twoją paskudną mordę, magu, oddzielimy ci głowę od ramion. To samo dotyczy ciebie, kapitanie, jeśli następnym razem, kiedy poprosimy, nie przedstawisz nam naprawdę ważnych spraw. A teraz precz, obaj!

Dawud ukłonił się nisko trzy razy, jednocześnie się wycofując. „Co za głupiec! Na Boga, jeśli jeden nieobyty, stary Su wystarczy, żeby ten człowiek porzucił swoją dworską manierę, to może Adulla ma jednak rację”.

Run w milczeniu odprowadził go do bram pałacu. Powiódł Dawuda na mały, odludny dziedziniec z maleńką fontanną i machnięciem ręki przepędził samotnego gwardzistę. Kiedy zostali sami, kwadratowy kapitan westchnął i załamał ręce.

- Widzisz, jak się sprawy mają, wuju - powiedział. - Mówiąc prawdę, rządzi tu teraz właśnie taka lekkomyślność. Strażnicy...

Umilkł, wyraźnie pragnąc coś z siebie wyrzucić, ale nie miał pewności, czy to może zrobić. Dawud go zachęcił.

- Proszę o wybaczenie za wiedzę, której nie powinienem posiadać, kapitanie, ale słyszałem, że dochodzi do... tarć między gwardią i strażą.

Run przemówił na wpół do siebie.

- Posłuchaj, w każdym mieście trafią się strażnicy, którzy będą zaczepiać córki kowali i przewracać starców dla paru monet czy dla śmiechu. Ale są różne rodzaje okrucieństwa. Różne rodzaje zepsucia. Ludzi nie stać już na płacenie podatków, jakich żądamy. Za dużo osób trafia do lochu. O wiele za dużo. A każdy

uwięziony dłużnik, choćby na dwa tygodnie, to rekrut do armii tego puszającego się zdrajcy Faraada Az Hammaza!

- To prawda - zgodził się Dawud.

- Do tego dochodzi wojna ze złodziejami. Tu w pałacu kwestie prawne i wojskowe podlegają mnie. Ale na ulicach rządzi kapitan straży, a on został mianowany na to stanowisko, bo ani razu w życiu nie przepuścił okazji, żeby kogoś stłamsić. Ta nowa kampania przeciwko kieszonkowcom to szaleństwo. Zanim się skończy, w Dhamsawaacie przybędzie jeszcze dużo ludzi bez jednej ręki. Ostatnio widziałem, jak obcinali dłoń dziesięcioletniemu chłopcu. Ale on przynajmniej stracił tylko rękę! Zbyt wielu ludzi zmuszono ostatnio do ukłęknięcia na katowskiej macie.

- Owszem - powiedział Dawoud. - Też słyszałem

o chłopcu, którego mieli stracić, zanim Książę Sokołów...

Run zrobił groźną minę.

- Ten łajdak nazywa się Faraad Az Hammaz, wuju! To nie żaden Książę! Zresztą takie incydenty odstraszą porządnych ludzi od gwardii i straży. Dwa tygodnie temu mój zastępca, Hami Samad - człowiek urodzony

i wychowany w tym pałacu, najwierniejszy, jakiego widziałem - opuścił gwardię, porzucił swoje obowiązki, nie mówiąc nic nikomu.

Run przygładził wąsy i westchnął, a na jego twarzy odmalowało się znużenie.

- Przepraszam, że dołożyłem ci kłopotów - odezwał się mag.

- Kalif nie był zadowolony, że mnie do niego przyprowadziłeś.

Kapitan machnął ręką na przeprosiny, ale w jego oczach widać było autentyczną troskę. Zmarszczył brwi.



- O co tu chodzi, Dawudzie? Cokolwiek myślą pochlebcy kalifa, wiem, że byś tu nie przyszedł, gdyby nie było istotnego powodu.

- I jest taki, przyjacielu. Słudzy Zdradzieckiego Anioła działają. Ale nie wiem wiele więcej niż to, co ci już powiedziałem. Kiedy tylko się czegoś dowiem, dam ci znać, przyrzekam.

Kapitan popatrzył na niego przeciągle.

- Dobrze, wuju. Tylko nie zapomnij. A ja każę moim ulicznym szpiegom powęszyć za tymi imionami i śladami zbrodni, o których opowiadałeś. Zawsze jestem tu, w pałacu, więc kiedy zechcesz znów ze mną pomówić, każ tylko jakiemuś gwardziście mnie wezwać.

Mag i kapitan ucałowali się w policzki, a potem Dawud wrócił na ulicę. W jego mięśniach i kościach szalał ból - za dużo ukłonów i chodzenia. Potrzebował odpoczynku, a jeszcze bardziej, bardziej niż czegokolwiek innego na Bożym świecie, potrzebował zobaczyć swoją żonę. „Mogłem tam zginąć z kaprysu głupca”.

Na głos podziękował Bogu Wszechmogącemu za to, że żyje, a potem powoli ruszył w stronę domu.

## ROZDZIAŁ 7

Idąc Piekarskim Skróttem, Adulla minął publiczną fontannę z niegdyś białego marmuru. W zbiorniku bawiły się dzieci; ich piskliwe wrzaski kłuły doktora w uszy.

- Bachory - mruknął pod nosem, choć wiedział, że jako mały ulicznik sam był dwa razy głośniejszy i uciążliwszy.

„Uratować przed ghulami jedno dziecko to jak uratować cały świat” - po raz tysięczny przypominał sobie swoją zawodową maksymę. Ale jaka byłaby cena za uratowanie całego świata? Jego życie? „O Boże, czy szczęście starego grubasa już się nie liczy?”

Ta walka już kosztowała go dom; miejsce, które kochał od tak dawna, teraz było ruiną. Fiolki sproszkowanego srebra i kłoce hebanu. Piaskowe malowidło Su, które kupił w Republice, i rughalska otomana, na której tak wygodnie się siedziało. Ale przede wszystkim książki! Zwoje i kodeksy, nowe foliały i stare manuskrypty. Nawet kilka ksiąg w językach, których miał nadzieję kiedyś się nauczyć - oprawione w skórę tomy wypełnione kanciastym pismem Krain Wojny daleko na zachodzie. Dotąd udało mu się nauczyć tylko kilku

ich dziwnych, szczekliwych słów. Teraz już nigdy nie pozna następnych.

Szedł pod prąd idących pieszych, po gładkich, wytarty cli kamieniach Głównej. Nie przeszkadzało mu, że idzie w przeciwnym kierunku niż tłum. Ile razy rozsądni ludzie uciekali przed jakimś strasznym potworem, podczas gdy Adulla i jego przyjaciele biegli mu naprzeciw? Znów zirytowany tym, do czego zmuszało go jego powołanie, ponuro przeciskał się przez rzekę ludzi.

Jakaś inna grupa dzieci ganiała się między przechodniami i jucznymi zwierzętami. Mała banda już miała wpaść na Adullę, ale rozdzieliła się przed nim jak fala, omijając go po obu stronach. Doktor przypomniał sobie, że jeśli nie wypełni swojego obowiązku, już wkrótce następne takie małe buzie będą wysmarowane krwią, ich oczy - płonące, ich dusze - skradzione. W wyćwiczony sposób powstrzymał panikę, wzbierającą na myśl o czyhających, niewidocznych niebezpieczeństwach.

Mijał przybyszów z Rughalba, z równo przystrzyżonymi bródkami i w ciasnych turbanach. Widział Su znad Czerwonej i Niebieskiej Rzeki. Słyszał fałszywe obietnice stu naciągaczy, jednostrunowe skrzypki wędrownego grajka, kłótnię, którą dzikooki, podrygujący mężczyzna prowadził z samym sobą. W przeciwieństwie do większości synów ze Zdechłego Osła, Adulla widział wiele miast. Ludzie, wśród których dorastał, opuścili Dhamsawaat najwyżej kilka razy - nawet wyprawa do innej dzielnicy była dla niektórych z nich wydarzeniem. Adulla z kolei widział osady Republiki Su, z ich niskimi, bielonymi domami i ukrytymi luksusami. Widział dziwne siedziby ludzkie w górskich

jaskiniach daleko na północy, gdzie zamarzał deszcz. Był na obrzeżach Rughalba, gdzie zamiast traktować go jak postać ze sprośnych pokazów lalkarzy, wpływowi ludzie szanowali łowcę ghuli jako wykonawcę woli Boga na ziemi i uważali za niewolnika Najwyższego Sułtana Rughalczyków - choć niewolnika bogatego i potężnego.

Ale jego rodzinne miasto - od ponad sześćdziesięciu lat - cóż, nic nie mogło się równać z miejskimi ulicami. Tłumy irytowały Adullę całe życie, jednak ze wszystkich zakątków Królestw Półksiężycy, które odwiedził, tylko Dhamsawaat należał do niego. A gdzieś w tym mieście potwory napadały i mordowały ludzi.

„I dlatego, stary przyku, Dhamsawaat cię potrzebuje”. Adulla dumnie obrócił te słowa w głowie i poczuł się odrobinę mniej zmęczony. Jednak gdy jego obute w sandały stopy zawiodły go bliżej domu Miri Almusy, owo zmęczenie wróciło ze zdwojoną siłą.

Pozostając wiernym kodeksowi łowców ghuli, Adulla nigdy się nie ożenił. „Kiedy ktoś wziął ślub z ghula-mi, już ma trzy żony” - głosiła jedna z maksym jego fachu. Nie wiedział zbyt wiele o dawnych czasach zgromadzenia - znał zaledwie kilka haseł i inwokacji, przekazanych mu wiele lat temu przez jego nauczyciela, starego doktora Budżałego, lub wyczytanych w zakurzonych księgach. Łowcy ghuli nigdy nie byli zakonem tak zwartym jak Zakon Derwiszów - każdy mógł nosić biel i twierdzić, że poluje na potwory. Mimo to przez wszystkie te lata Adulla starał się przestrzegać tego, czego nauczył się o zwyczajach swojego starożytnego zgromadzenia. W wielu sprawach był człowiekiem pobłażliwym - choć musiał przyznać, że nie mniej dla siebie samego niż dla postronnych. Ale w innych jedyną

słuszną drogą była surowość. Wypowiedzenie przysięgi małżeńskiej przed Bogiem sprawiłoby że kaftan łowcy ghuli zacząłby się brudzić i odebrałoby łowcy moc jego inwokacji. Tak samo jak w przypadku innych przykrych Boskich rozporządzeń, Adulla nie wiedział, dlaczego tak jest - wiedział tylko, że tak było.

Tłum się przerzedził i doktor przeszedł przez Mały Plac. Kaftan wydymał się mu na wietrze. Mały Plac wcale nie był mały - przeciwnie, w całym mieście ustępował wielkością tylko placowi Aniołów. Ale jego nazwa pochodziła z dawnych czasów, kiedy Dhamsawaat został po raz pierwszy zbudowany na ruinach miasta Kemitów i miał tylko dwa place. Wschodnią i zachodnią pierzeję zamykały długie szpalery brązowych, ciernistych krzewów. Owe niskie, pustynne krzaki służyły za oparcie pozbawionym kramów, żebraczym sprzedawcom, którzy stali wzdłuż placu po obu jego stronach.

Mały Plac był ostoją mniej zamożnych kupców i handlarzy - zbyt biednych czy zbyt nieodpowiedzialnych, by uczciwą pracą lub przekupstwem zarobić na porządny kram na jednym z lepszych targowisk. Tacy właśnie mężczyźni i kobiety siedzieli tu na kobiercach albo stali obok żalosnych stosików towarów. Adulla powiódł wzrokiem po szeregu tandetnych szewców i sprzedawców nadgniłych warzyw.

Zaklął, kiedy kilkanaście metrów przed sobą dostrzegł chudego mężczyznę w białym kaftanie swojego zgromadzenia. Podeszedł do niego i wydał z siebie odgłos, który wydawał zawsze, kiedy był autentycznie urażony. Litaz powiedziała raz, że brzmiało to, jakby obsługiwała go kiepsko wyuczona ladacznica.

Choć Adulla wykpiwał fanatyzm Rasida, sam również zaprzysiągł życie starożytnemu bractwu,

które Dhamsawaatczycy znali głównie z opowieści pradziadków i hałaśliwych występów pacynkarzy. Adulla dawno już się przekonał, że większość ludzi, którzy uprawiali jego powołanie, to szarlatani, którzy zebrali jakieś strzępy wiedzy, ale nigdy nie stanęli oko w oko z ghulem. Za pomocą tanich czarów sprawiali, że ich szaty wydawały się księżycowo białe i brali ciężko zarobione pieniądze od biednych ludzi za to, że mamrotali kilka lewych zaklęć i obiecywali ochronę przed potworami.

Kudłaty młody mężczyzna ze śliskim uśmiechem, który stał przed Adullą, nosił taki właśnie strój. Tacy jak on twierdzili, że polują na „tajemne duchy”, które rzekomo stały za wszystkimi kłopotami ciężko pracujących ludzi. Twierdzili, że umieją przepowiadać przyszłość. „Sprzedawcy nadgniłych warzyw mojego zgromadzenia”.

Kiedy był młodszy i bardziej dbał o honor łowców ghuli, Adulla uważał za swój obowiązek demaskować takich oszustów, a potem przepędzać ich w brudnych szatach, z rozbitymi nosami i pozdejmowanymi urokami. Ale następne dziesięciolecia nauczyły go rezygnacji. Zawsze bowiem pojawiali się następni szarlatani, a ludzie - zrozwaczeni i zdesperowani - zawsze do nich szli. Mimo to Adulla przystanął choć na tyle, by rzucić oszustowi pogardliwe spojrzenie. Tacy ludzie go znali, wiedzieli, że jest ostatnim prawdziwym łowcą - czy to źle, że czerpał z tego dumę? Ten tu przynajmniej miał dość przyzwoitości, by ze wstydem spuścić oczy.

Było smutne, że tacy oszuści istnieli, ale tak działał świat. Adulla minął! szarlatana, splunąwszy mu tylko pod nogi, zamiast zdzielić go pięścią, jak zrobiłby kiedyś. Głupiec prychnął, obrażony, ale to wszystko.

Kiedy doktor znalazł się przed schludną witryną Miri, minęło już południe. Okute mosiądzem drzwi były otwarte, a kiedy stanął w progu, poczuł słodki zapach kadzidła z żelaznych koszy i akacji z paleniska. Przez długą chwilę tylko stał i zastanawiał się, czemu u licha tak dawno nie był w tym urokliwym miejscu.

Drogę zastawiło mu muskularne przedramię i padł na niego czyjś cień. Umięśniony mężczyzna, jeszcze wyższy niż Aduła, stanął przed nim z groźną miną na twarzy przedzielonej na pół makabryczną blizną. Położył szeroką dłoń na piersi doktora i chwycił go garścią za kaftan.

- Ho ńo! A kimże jest ten zdrajca przyjaciół, który zakrada się tu tak bezwstydnie?

Mimo swoich ponurych rozmyślań Adulla się uśmiechnął.

- Zwyczajnym dzieckiem Bożym, które nie umie usiedzieć na miejscu, Siekiero.

Uściskał zaufanego odźwiernego Miri, ucałowali się w policzki.

- Jak się miewasz, wuju? - spytał przerażający olbrzym.

- Okropnie, mój przyjacielu. Okropnie, strasznie i paskudnie, ale i tak chwalimy Boga, nie? Zapowiesz mnie Miri, proszę?

Siekiera zrobił zakłopotaną minę, jakby zastanawiał się, czy powiedzieć coś, czego mówić nie miał chęci.

- O co chodzi?

- Zapowiem cię, wuju, i nie ma na świecie człowieka szczęśliwszego niż ja, że składasz pani wizytę. Ale ona nie będzie szczęśliwa na twój widok. Masz szczęście, że nie ma tu jej nowego chłopaka.

Adulla poczuł, że kurczą mu się wnętrzności. Na chwilę zaniemówił.

- Jej... jej... - wykrztusił w końcu. - Jej kogo? Czuł się, jakby nagle coś go ogłuszyło.

- Jej nowego mężczyzny - powiedział Siekiera, współczująco kręcąc głową. - Znasz go, wuju. Przystojny Mansur, tak go nazywają. Niski typ, cienki wąsik, zawsze pachnie ładniej, niż mężczyzna powinien.

Adulla rzeczywiście go znalazł, a przynajmniej o nim słyszał. Oślizgły fircyk, który zawsze kręcił tak, żeby to inni wszystko za niego robili. Otepienie doktora zniknęło w ogniu oburzenia.

- On?! On jest dla niej za młody! Na Boga, przecież jemu chodzi tylko o pieniądze! - Machnął ręką w stronę pokoju powitalnego za Siekierą. - Ten kurwi syn chce położyć na tym wszystkim swoje wyszorowane łapska. Sam przecież chyba to widzisz!

Siekiera uniósł dłonie o rozmiarach jagnięcych combrów w obronnym geście.

- Hej, hej, wuju, tak między nami - wiesz, że za tobą przepadam. Byłbyś dla pani świetnym mężem. Ale w tym temacie podjąłeś kilka cholernie głupich decyzji. Sam przecież chyba to widzisz!

Siekiera szturchnął go żartobliwie palcem, ale Adulla nie był w nastroju. Nic a nic.

Odźwierny jakby to wyczuł; wyprostował się na całą swoją potworną wysokość.

- Posłuchaj, doktorze, ogólnie rzecz biorąc, nie widzę niczego, czego pani Miri nie chce, żebym widział. Dzięki temu dostaję dobre pieniądze, dobre wyżywienie i jestem szczęśliwy jak dziecko. A jeśli chcesz spotkać się z panią, zaczekaj.



Adulla został zapowiedziany i wprowadzony do dużej sali powitalnej. Przez wysokie okna wpadały blade promienie słońca. Pod przeciwległą ścianą stały wysokie sofy; siedziało na nich kilku dobrze ubranych mężczyzn, każdy rozmawiający z kobietą.

A potem zobaczył ją - Miri Almuse, Sprzedawczynię Jedwabi i Słodkości. Miri o Stu Uszach. Miri. Jej obfite krągłości drżały z każdym ruchem, jej spracowane ręce płonęły henną.

- Czego chcesz? - spytała głosem, z którego wiało chłodem.

Tęsknotę Adulli na chwilę przesłoniła irytacja.

- Jak może pamiętasz, kobieto, to ty prosiłaś mnie o pomoc, chociaż wcześniej kazałaś mi „zabrać moje wielkie stópska z twojego życia i więcej nie wracać”. Ale to nie jest dobre miejsce do rozmów.

Miri uniosła brew i nie powiedziała nic, ale zaprowadziła go na małe podwórze, posadziła przy stoliku i przyniosła tacę z nektarem owocowym, odrobiną solonej ryby i marynat. Potem usiadła obok doktora, czekając, co powie. Adulla jednak tylko siedział, słuchał ćwierkania ptaków na dwóch rosnących obok gruszach

i unikał wzroku Miri.

Nie odezwał się, dopóki nie zaczęła z niecierpliwością tupać obutą w jedwabny pantofelek stopką.

- Jestem tu, Miri, bo dowiedziałem się czegoś o mordercach twojej siostrzenicy. Ale nie aż tyle, żeby powstrzymać ich od dalszego zabijania. Chciałbym porozmawiać jeszcze raz z chłopcem, który ocalał z ataku, może przypomniał sobie coś jeszcze.

- Fejsala tu nie ma. Kilka dziewcząt pojechało na wycieczkę do nowej menażerii, którą kalif urządził za miastem. Uznałam, że dobrze będzie, żeby

spróbował zapomnieć o swoich zmartwieniach, więc posłałam go z nimi. Wróci dopiero jutro.

Adulla wybrał marynowany kąsek i uśmiechnął się do siebie na myśl o ladacznicach, które mając wychodne, pojechały obejrzeć cudzoziemskie stworzenia - z pewnością Miri była jedyną właścicielką w mieście, która pozwalała na takie rzeczy.

Jak to zdarzało się często, czytała mu w myślach. Nie wyglądała na rozbawioną.

- Każdy, kto pracuje, zasługuje na kilka dni oddechu, Dulli - powiedziała rzeczowo. - A ladacznice to ludzie, nawet jeśli w moim interesie leży, żeby mężczyźni o tym zapominali.

Nie zamierzał chwycić przynęty.

- Oczywiście. Tak czy inaczej nie przyszedłem tylko po to, żeby pomówić z Fejsalem. Przyszedłem także dlatego, że Sto Uszu Miri jest zawsze czujne i czasem wychwytuje piosenki, których reszta z nas nie słyszy. Na przykład czy mówi ci coś imię „Mouw Awa”? Albo „Orszado”? I co wiesz o przypadku Hadu Nawasa?

Jej urażona mina zniknęła; zmieniła się w Miri, Która Dużo Wie. Zmrużyła swoje oczy o barwie dymu i zmarszczyła nos. Kiedy próbowała sobie coś przypomnieć, robiła taką samą minę, jak kiedy przetrząsała swoje szafki w poszukiwaniu zagubionej bluzki.

- Orszado... To brzmi jak imię kogoś z północy. Nie umiem powiedzieć na pewno. Ale Hadu Na was... był wrogiem tronu, prawda? Jednym z wielu spiskowców zabitych w wojnie domowej?

- Wygląda na to, że niezupełnie zabitych - mruknął Adulla. Miri spojrzała na niego ze zdziwieniem, ale ciągnęła:

- Jeśli dobrze pamiętam, chodziły plotki, że był mordercą dzieci. Mouw Awa... Hm. Mogę ci powiedzieć tylko tyle, że to brzmi jak... jak ukryte pismo Kemitów?

Adulla prychnął.

- Otóż to. Chociaż potrzebowałem całego dnia, żeby ten zamek otworzył mi się w głowie. Czasami, moja słodka, twoja erudycja sprawia, że mdli mnie z zazdrości.

- Cóż, nie wspominając o różnicy wieku, o wiele rzadziej dostawałam po głowie, Dułli.

Zniżyła się do uśmiechu, a Adulla poczuł, że robi mu się cieplej na duszy.

Skrzywił się teatralnie, jakby dostał cios w brzuch. Kiedyś taka reakcja na jej docinki zawsze Miri rozśmieszała. Teraz jednak, kiedy spojrzała mu w oczy, przestała się uśmiechać i odwróciła głowę.

Kiedy to zobaczył, chciał jej powiedzieć tysiąc rzeczy, ale żadna nic by nie dała.

- Co słyhać u twojego siostrzeńca? - spytał.

- Co u niego słyhać? - Gruby warkocz Miri, przetykany srebrem, przeciął powietrze jak bicz, gdy raptownie obróciła się do Adulli i popatrzyła na niego z niedowierzaniem. - Co u niego słyhać?! Jest załamany! A jaki miałby być po tym, co go spotkało? Napatrzyłeś się na tyle tych okropności, że już nawet cię nie przerażają! To mały chłopiec, Dułli! Ośmiolatek! A nie któryś z twoich fanatycznych przyjaciół-samobójców! Nie jakiś „wróg Zdradzieckiego Anioła”! - Przełknęła następne słowa. - To... właśnie to szaleństwo nas rozdzieliło.

Tym razem bolesny grymas Adulli nie był udawany. Miri zawsze krytykowała jego sposób na życie i przyjaciół, z którymi go dzielił, ale jej słowa nigdy nie były tak ostre, tak lekceważące.

Zbolała mina doktora jej nie powstrzymała.

- Popatrz dookoła, Dulli! Czterdzieści lat strawiłeś na tych swoich polowaniach. Tyle śmierci. Po co? Co z tego wynikło? Świat jest teraz bezpieczniejszy? Szczęśliwszy? - Opadła na krzesło i skryła twarz w dłoniach. - Łaskawy Boże, przepraszam. Zdenerwowałeś mnie, Dulli. Chciałam powiedzieć...

Ale nic nie powiedziała.

- Mordercy wciąż są na wolności, Miri. Oni... spalili mi dom.

- Słyszałam. - Oczywiście, że Miri o Stu Uszach słyszała. A mimo to wciąż miała dla niego tyle ostrych słów. - Niech cię Bóg strzeże - powiedziała.

Miri i Adulla byli ze sobą bliżej w czasach, kiedy jego dom był nowy. O wiele bliżej. Pomagała mu go wybrać. Przez długą chwilę doktor nic nie mówił. Potem zaczął, choć nie wiedział, co chce powiedzieć.

- Miri, ja...

Kobieta uciszyła go uniesioną dłonią, a drugą wytarła pierwsze Izy. Wzięła głęboki oddech i popatrzyła na Adullę. Oczy miała znużone, ale pełne miłości.

- Przepraszam, Dulli - powiedziała cicho. - Nie chciałam tego wszystkiego mówić.

Adulla nigdy w życiu nie był bardziej zmęczony. Usiłował nie zdradzić głosem swojego cierpienia.

- Owszem, chciałaś.

Głos Miri był teraz bardziej opanowany; owinęła wokół dłoni koniec swojego długiego warkocza. Adulla poznał ten nawyk dawno temu, wiedział, że to znak, że zbierała się na odwagę.

- Cóż, tak, owszem, ale... Wiem, dlaczego robisz to, co robisz, Dulli. Ty...

Na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Zaczęła się śmiać, jednocześnie z Adullą.

- „Dlaczego robisz to, co robisz, Dulli”, i...? - powtórzył doktor jej słowa. Oboje się zaśmiali, a Adulla znów poczuł ból, bo wiedział, że bardzo szybko się to skończy.

Dlaczego taki spotkał go los? Dlaczego nie mógł być jednym z ludzi, których często mijał o świcie na rynkach? Sprzedających kostki cytrynowej galaretki i wracających co wieczór do rozkosznie tłustych żon, skropionych obficie różanym olejkiem. Ludzi śmiejących się z głupot i tulących do siebie nawzajem, kiedy za oknem hulał nocny wiatr. Biorących dzień wolny, żeby pobyć z tymi żonami i stracić tylko parę monet z kieszeni. Ale jego praca - jego powołanie - było inne. Kiedy Adulla zaniedbywał swoje obowiązki, w sypialniach dzieci działy się makabryczne rzeczy. To nie było sprawiedliwe. Nie było.

Zaczęły go szczypać oczy i zrozumiał, że wzbierają w nich łzy. Co się ze mną dzieje? Zaraz rozplaczę się jak baba!

Pani Miri Almusa o Stu Uszach ukazała mu swoje sekretne, bezbronne ja, które dotąd pokazywała mu tylko późno w nocy.

- Ja... ja cię przepraszam, Dulli. Tyle się ode mnie nasłuchałeś przykrości, a ja tak samo jak wszyscy inni w takich przypadkach błagam cię, żebyś pomógł mojej rodzinie.

W podkreślonych cieniem do powiek oczach miała wściekłość i łzy. Kiedy te ostatnie popłynęły, Adulla objął jej szerokie ramiona i wytarł policzki. Gdyby ktoś zobaczył ją płaczącą, zaszkodziłoby to jej reputacji.

- Od jak dawna się znamy, kobieto? Od trzydziestu lat? Nie przejmuj się takimi rzeczami. Zawsze możesz na mnie liczyć. Skąd te łzy, co? Wszystko będzie dobrze, jak Bóg pozwoli.

Pociągnęła jeszcze raz nosem, wytarła Izę i zacisnęła zęby.

- Dobrze? O łaskawy Boże! Moja siostrzenica nie żyje! Nic nie będzie dobrze, Dulli. Wszystko pochłonie Jezioro Ognia i Zdradziecki Anioł. Ale masz rację... nie ma sensu płakać. A przynajmniej nie tu, gdzie ktoś może zobaczyć. - Pociągnęła nosem ostatni raz i znów była spokojna. - Masz jeszcze jakieś podejrzenia, kto stoi za tym morderstwem?

Adulla usiłował sobie przypomnieć, co wyjawiał im obłąkany stwór Mouw Awa.

- Jest jeszcze jedna rzecz - powiedział w końcu. - Potwór, którego ścigam... mówił, że jego pan zasiądzie na Tronie Kobry. Słyszałaś kiedyś o czymś takim? Wiesz, gdzie to może być?

Miri z zatroskaną miną przygryzła wargę.

- Tak - powiedziała. Westchnęła i napiła się nektaru. - To było wiele lat temu, po jednym z pierwszych napadów Księcia Sokołów. Całe miasto mówiło o złocie i broni, które ukradł ze skarbcza starego kalifa. Ale moje źródła mówiły, że samego Księcia najbardziej interesował zakurzony, stary zwój, który tam znalazł.

Adulla jak zawsze był pod wrażeniem tego, ile Miri wiedziała, i było to po nim widać. Miri wzruszyła ramionami.

- Oczywiście, że mnie to ciekawiło. Jestem skarbnicą wiedzy o tym mieście. Nikt w Dhamsawaacie o niczym by nie wiedział, gdyby nie moi szpiegowie. A książki są jak meldunki szpiegów zastygłe w bursztynie. Skoro Książę Sokołów pragnął się czegoś dowiedzieć aż tak bardzo, uznałam, że musi to być coś cennego. Dlatego kazałam jednemu z moich Uszu w jego organizacji przepisać ze skradzionego zwoju tyle, ile zdoła.

Oczywiście to były inne czasy. Faraad Az Hammaz nie strzegł wtedy jeszcze swoich sekretów tak dobrze. Tak czy inaczej mój szpieg musiał użyć bardzo drogiego czaru kopiującego, ale zwój okazał się dla mnie bezużyteczny. Jego przepisanie kosztowało absurdalne pieniądze, ale wszystko oprócz tytułu okazało się potrójnie zaszyfowaną wersją ukrytego pisma. Znaki były widoczne, ale żeby złamać zaklęcia szyfrujące, potrzebne były bardzo, bardzo kosztowne czary, które nie wiadomo nawet, czy by podziałały. Choć jestem bogata, nie było mnie stać na marnowanie pieniędzy na próby tłumaczenia.

Adulla zaczął się niecierpliwić.

- Przepraszam cię, moja słodka - powiedział z pełnymi ustami solonej ryby - ale pytałem o...

- Tron Kobry. Taki był tytuł tego zwoju. Dotyczył starożytnego Kemu. Ale jak mówiłam, nie był wart ceny tłumaczenia. Równie dobrze mógł wskazywać miejsce ukrycia jakiegoś skarbu faronów, który nie wiadomo, czy w ogóle istniał i czy nie został już odnaleziony przez poszukiwaczy skarbów. A ja nie zamierzam finansować rabusi grobowców. Do tego dochodziła taka ewentualność, że Książę Sokołów ukradł go tylko dlatego, że cenny był oryginał. Nie wiedziałam, a sprawdzanie tego nie było warte dalszych wydatków. Między Bogiem a prawdą, nie sądzę, żeby skąpy kalif też zawracał sobie głowę tłumaczeniem. Przynajmniej moi szpiegzy słyszeli wtedy, że Książę Sokołów też z tego kpi.

Adulla prychnął.

- Tak, to brzmi jak robota kalifa: zamknąć na klucz wszelką wiedzę i słowa, nawet ich nie czytając.

- Dlaczego to jest ważne, Dulli? Co się dzieje?

Doktor zignorował jej pytania.

- Proszę, moja słodka, powiedz mi, że masz jeszcze kopię tego zwoju.

Miri zachnęła się mimo zatroskanej miny.

- Czy słyszałeś, żebym kiedyś wyrzuciła coś, co ma jakąś potencjalną wartość? Na Boga, przez trzydzieści lat nie wyrzuciłam ciebie! - W jej dymnych oczach pojawiło się znużenie. - Bądź ostrożny, Dulli. Jeśli Książę Sokołów jest w to zamieszany... Wiem, że go podziwiasz, ale to niebezpieczny szaleniec. A z tego, co mi mówią moje uszy, jest teraz wściekły z powodu zamordowania rodziny żebraków, która była pod jego ochroną: matki, ojca i córki, znalezionych z wykrojonymi sercami. Podobno taki sam los spotkał oddział jego ludzi.

Adulla prawie już zapomniał, że Bahim przekazał mu tę ostatnią interesującą i niepokojącą informację. Dopiero teraz się nad nią zastanowił, niezmiernie przy tym wdzięczny. Niezależnie od tego, ile zła działo się na świecie, Bóg uznał za stosowne zachować tę kobietę w życiu Adulli, a ona się o niego martwiła. Tę zabawną, silną, uzdolnioną w sypialni kobietę, która go kochała. Człek-szakale i ghule nie mogły tego zmienić.

Tak czy inaczej ta wiadomość wzmogła przeczucie Adulli, że Faraad Az Hammaz może być przydatnym sprzymierzeńcem.

- Czy możesz mnie z nim skontaktować, Miri? Mogłoby mi to pomóc położyć kres tym morderstwom.

Kobieta w zamyśleniu zmrużyła oczy, a potem potrząsnęła głową.

- Być może... być może bym mogła. Ale, wybacz mi, Dulli, nie zrobię tego. To by oznaczało dalsze kontakty z jego ludźmi, a po tym, jak zabił tego ostatniego



kata... Nie, to zbyt niebezpieczne. Ten człowiek ma sporo rozsądnie brzmiących pomysłów - ciągnęła - i muszę przyznać, że jest wyjątkowo przystojny. Założę się, że nie wiedziałeś, że widziałam kiedyś te łydki z bardzo bliska. Wiedziałeś? Nie interesuj się, gdzie i kiedy.

Próbowała wzbudzić w Adulli zazdrość. Zdenerwować go. Z powodzeniem. Poczul się - a nie było to przyjemne - jakby znów miał pięć i dziesięć lat.

- Ale mimo tego - kontynuowała - pod tymi wszystkimi pięknymi słówkami kryją się nawoływania do wojny domowej. Zaś wojny nie są dobre dla interesów. A już wojna w murach miasta? Niech Bóg Wszechmogący uchowa. Wiesz, co na wojnie dzieje się z ladacznicami, Dulli? Oczywiście, że wiesz. A zatem z jednej strony są podpalenia i gwałty, a z drugiej brzęcząca sakiewka. Dla mnie wybór jest prosty. Mam pod opieką dom pełen niewinnych dziewcząt.

Adulla uśmiechnął się mimo frustracji.

- Niewinnych? Zabawne słowo, jak się zastanowić. Miri nie odwzajemniła uśmiechu.

- Tak, przeklęty ośle. Niewinnych. Moja nowa dziewczyna, Charis, niecałe trzy tygodnie temu uciekła od ojca. Co ona wie o wojnie?

Adulla westchnął.

- Cóż, Pięknooka, znam cię wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, kiedy nie ustąpisz. Ale powiedz mi przynajmniej, co twoje Uszy słyszały o tych morderstwach.

Miri wzruszyła ramionami.

- Niewiele. Strażnicy uznali, że to dzieło jakichś uliczników. Rodzina prosiła o jałmużnę pod herbaciarnią Jehjeha i tam ich znaleziono martwych, wraz z samym Jehjehem. Mieli...

- Co? Jehjeh? Kiedy to...? Kto...?

Adulli zabrakło słów. Miri szeroko otworzyła oczy. Chwyliła jego dłonie.

- Och. Och, na Boga, Dulli, tak mi przykro. Zapomniałam, jak się przyjaźniliście.

Adulla poczuł, że wzbiera w nim szloch. Zdusił go i poczuł, że coś w nim ostygło.

- Jehjeh... Na Opiekuńcze Anioły... Jehjeh. Och, Miri, nie rozumiesz? - powiedział z roztargnieniem. - Nic nie jest bezpieczne na zawsze, nieważne, kto rządzi. Ty, ze swoimi stu Uszami, powinnaś o tym wiedzieć lepiej niż inni.

Miri westchnęła i kiwnęła głową. -Wiem. Ale może będzie znośnie przez jeszcze kilka lat. Tylko o tyle śmiem prosić Boga. Adulla przeczesał dłonią brodę.

- A potem co, moja słodka?

- Potem senna i ciepła położę się w grobie, jeśli Bóg pozwoli.

Wstała i pocałowała go w czoło. Potem poszła szukać zwoju, o którym mówiła, zostawiając Adullę samego ze śpiewem ptaków, zapachem grusz i myślami o zabitym przyjacielu.

„Nie żyje. Niech Bóg da schronienie twojej duszy, zezowaty stary łotrze". Wspomniał słowa Jehjeha sprzed kilku dni - wypowiedziane przed Fejsalem, przed olbrzymim ghulem, przed Zamią, przed Mouw Awą. Zanim go zabito. „Niech łaskawy Bóg położy starców takich jak my spokojnie do grobu".

Właściciel herbaciarni nie miał żadnej rodziny, o której Adulla by wiedział. Strażnicy najpewniej cisnęli już jego zwłoki do zbiorowego grobu. Adulla pomyślał o tym, że umrze w samotności. A potem wspomniał - na co nie pozwalał sobie, kiedy Miri była obok

- słowa Siekiery sprzed zaledwie godziny. „Jej nowy mężczyzna”.

Kiedy kilka minut później wróciła i wręczyła mu pudełko ze zwojem, odkrył, że nie potrafi zachować tych myśli dla siebie.

- Słyszałem, że Przystojny Mansur tu bywa. O co tu chodzi? Przecież cała ulica wie, że ten głupiec jest zbyt skąpy, żeby być twoim uczciwym klientem.

Miri popatrzyła na niego przeciągle, a potem zrobiła najbardziej rozwścieczoną minę, jaką u niej kiedykolwiek widział.

- Niech cię Bóg przeklnie, Dulli - powiedziała prawie szeptem. - Niech cię Bóg przeklnie za to, że śmiesz być zazdrosny. - W jej oczach zabłysło okrucieństwo. - Chcesz znać prawdę? Chcesz? Dobrze, powiem ci. Tak, Mansur spędza ze mną czas, chwalić Boga. I, chwalić Boga, wczoraj wieczorem poprosił mnie o rękę.

Wczoraj wieczorem. Kiedy ja byłem zajęty czytaniem o żywym-martwym mordercy i jego panu.

- I co odpowiedziałaś? - Adulla usłyszał pytanie jakiegoś mężczyzny, zadane słabym głosem podobnym do jego własnego.

- To nie twój przeklęty interes. Chyba że jesteś gotów konkurować o moją rękę?

Adulla poczuł znajomy ból płynący z braku dobrej odpowiedzi dla kogoś, na kim zależało mu najbardziej na całym Bożym świecie.

- Och, Pięknooka. Wiem, że nie chcesz o tym słyszeć, ale są... inne sposoby, niż formalne małżeństwo przed Bogiem. Moglibyśmy zamieszkać...

- Na Jezioro Ognia! Myślisz, że przez to, czym się zajmuję, nie wiem już, co to cnota? - Miri zmrużyła

oczy. - Mylisz się. A gdzie kobieta ma najwięcej okazji okazać swoją cnotę? W małżeństwie.

- Wiem, że posiadasz tysiąc cnót, Miri.

Adulla naprawdę tak uważał, ale Miri tylko załamała z rozpaczą ozdobione henną ręce.

- O nie. Koniec z tym przeklętym słodzeniem. Minęło wiele lat, odkąd ostatni raz potrafiłam się ogrzać w nocy wspomnieniem twoich słów, kiedy ciebie przy mnie nie było. Moja siostrzenica nie żyje, Dulli. To upomnienie od Boga Wszechmogącego. Zostało mi na tym świecie jakieś dwadzieścia lat, jeśli Bóg pozwoli. Tysiące dni, tysiące nocy. Nie zamierzam spędzić ich samotnie. Nie zamierzam.

Umilkła, zapatrzona w gałęzie drzew. Kiedy Adulla popatrzył na linię jej masywnej szyi, na piaskowo-brązową skórę, gładką mimo prawie pięćdziesięciu lat, zebrało się mu na płacz.

Przycisnął pięść do czoła, usiłując znaleźć właściwe słowa. Ciągle miał przed oczami Jehjeha, który zawsze powtarzał, że małżeństwo to głupi krok. „Nie żyje”. Jehjeh nie żył. Może Miri miała rację. Może w tych morderstwach faktycznie kryła się jakaś wiadomość od Boga. O tym, co ważne. O tym, co mu zostało z jego życia.

Adulla popatrzył na swoje dłonie. Gdyby on i jego przyjaciele znaleźli tego Orszado - ghula ghuli - i pokonali go, co byłoby potem? Czy Boży świat stałby się wtedy wolny od niebezpieczeństw? Czy sługi Zdradzieckiego Anioła by znikły? Nie. Kiedy praca Adulli dobiegłaby końca? Zadawał sobie to pytanie wiele razy, ale dziś, chyba po raz pierwszy od czterdziestu lat, stanął przed uczciwą odpowiedzią. Jego praca dobiegnie końca wraz z jego śmiercią. Albo kiedy on sam ją zakończy.

Przełknął z trudem ślinę i podniósł wzrok.

- Miri...

- Tak? - spytała obojętnie.

- To koniec, moja słodka. Nie... nie mogę pozwolić, żeby człowiek, który zamordował mojego przyjaciela - i twoją siostrzenicę - dalej grasował po mieście. Ale jeśli to przeżyję... To będzie koniec. Wycofuję się. Ludzie niech sobie znajdą kogoś innego, kto będzie ich bronił przed ghulami.

Miri przewróciła oczami, a w jej głosie znów pojawił się twardy ton, który Adulla znał tak dobrze.

- Mam zatańczyć z uciechy? W końcu słyszałam to jak dotąd tylko dziesięć razy! Nie sądzisz, że wiem, że takie deklaracje to tylko słowa na wiatr? Wywieje je pierwszy mocniejszy podmuch.

Adulla znów przełknął ślinę, ujął Miri za ramiona i spojrzał jej w oczy najuczciwiej, jak potrafił.

- Nie tym razem. - Usłyszał, że wypowiada słowa, których nigdy nie powiedział przez całe trzydzieści lat nieszczerych obietnic. - Przysięgam ci to, o Miri Almuso. W imię Boga Wszechsłyszającego, który jest Świadkiem Wszystkich Przysięg. W imię Boga Najuczciwszego, który miłuje prawdę, a nie kłamstwo. Przysięgam ci, że kiedy to się skończy, wrócę tu i jeśli los będzie na tyle łaskawy, że nie będziesz jeszcze żoną tego łasego na majątek fircyka, klnę się na Boga Wielkiego Ojca, że dotknę przed tobą czołem ziemi i będę błagał, abyś została moją żoną.

Wiedział, że rozumiała, co dla niego znaczy taka przysięga, ale wiedział też, że Miri żyła w świecie krzywoprzysięzców. Spodziewał się lekceważenia i sceptycyzmu. Ale Miri Almusa tylko stała, z błyszczącymi oczami, z drżącymi ustami, tak samo piękna, jak kiedy Adulla ujrzał ją po raz pierwszy.

I nie powiedziała nic.

Wiele godzin później doktor wszedł ze znużeniem do pokoju powitalnego Dawuda i Litaz. Para Su siedziała na otomanie i cicho rozmawiała. Rasid ze skrzyżowanymi nogami siedział na podłodze, pogrążony w jednym ze swoich ćwiczeń oddechowych, ale posłanie, na którym dochodziła do zdrowia Zamia, było puste. Dobry znak.

Przyjaciele łowcy obejrżeli się na niego, kiedy wszedł.

- Jakie wieści? - spytał Dawud. - Czy chłopiec przypomniał sobie coś jeszcze?

- Chłopiec? - zdziwił się Adulla, przez chwilę zmieszany. - A, on. Mały Fejsal. Tak się złożyło, że go tam nie było. Ale - powiedział, pokazując zwój, który dostał - Miri Almusa dała mi to. Mogą się w tym kryć jakieś odpowiedzi. A ty, bracie mój? Jak poszło twoje spotkanie z Runem Hedaadem?

Litaz odpowiedziała za męża.

- Dawud nie dał się zabić samemu Obrońcy Cnót. Przekazał mgliste ostrzeżenie, lecz to wszystko. Ale opowiadaj, co u Miri?

Doktor zmarszczył czoło, wyczuwając subtelny podtekst słów alkemiczki.

- Proszę, moja droga, bez tej snobistycznej pogardy dla ladacznic, co? Nie dzisiaj.

Dawud się obruszył.

- Zapominasz, że moja ukochana żona, nawet po kilkudziesięciu latach w Dhamsawaacie, w sercu pozostaje nieco pruderyjną dziewczyną znad Niebieskiej Rzeki.

Oczy Litaz załśniły na wpół udawanym oburzeniem.

- Pruderyjną?! Ze wszystkich ludzi, mężu, ty akurat...

- On powiedział „nieco pruderyjną” - wytknął Adulla z uśmiechem. Obecność przekomarzających się przyjaciół dodała mu otuchy. Litaz przewróciła oczami.

- Wiesz, że to zupełnie nie o to chodzi, mój drogi. Chcemy tylko dla ciebie jak najlepiej. Zawsze chcieliśmy. Nie przeszkadza mi to... kim Miri jest, ale ona nie pozwala tobie być tym, kim ty jesteś! No to powtarzam tę śpiewkę od dwudziestu lat, i co z tego? To prawda tak dziś, jak i wtedy: są kobiety, młodsze, ładne, które potrafiłyby żyć z tym białym kaftanem, jaki nosisz.

Adulla opadł na obity brokatem stołek i głośno westchnął.

- Nawet gdyby to była prawda, moja droga, nie miałoby to znaczenia. - Przez długą chwilę wszyscy milczeli; w ciszy słychać było tylko ciche wdechy i wydechy Rasida. Potem Adulla usłyszał, jak mówi: - Ona wychodzi za innego. A przynajmniej inny mężczyzna poprosił ją o rękę. Młodszy mężczyzna.

Dawud popatrzył na niego z miłością i współczuciem. Litaz wstała, podeszła i ujęła wielką łapę łowcy w swoje drobne dłonie. Ścisnęła, uśmiechnęła się smutno, nic nie powiedziała. Rasid w końcu oderwał się od ćwiczeń.

- Doktorze, nie rozumiem... - zaczął zmieszany.

- Ty i twoje zrozumienie możecie iść do Jeziora Płomieni, chłopcze! A teraz się zamknij, mamy ważniejsze rzeczy do omówienia! A w ogóle gdzie jest ta dziewczyna? Poszła w miasto polować na gazele?

- Tu jestem, doktorze - odezwała się Zamia, wychodząc z głębi domu, gdzie bez wątpienia skorzystała z toalety. Adulla zauważył, że trzymała się w miarę prosto, a słabość, którą widać było u niej jeszcze

wczoraj wieczorem, prawie zniknęła. - Dowiedziałeś się czegoś, co pomoże mi pomścić moją gromadę?

Ku swojemu zaskoczeniu Adulla odkrył, że nie potrafi im powiedzieć o zamordowaniu Jehjeha. Wiedział, że to głupie - to byli jego najbliżsi przyjaciele, sprzymierzeńcy, którzy potrzebowali każdej informacji, jaką mogli dostać. Ale pomyślał o Litaz, szukającej kropli krwi Jehjeha czy czegoś w tym rodzaju, albo analizującej kąt, pod jakim wyrwano mu serce, i poczuł, że pękłaby mu dusza, gdyby na razie nie zachował tej makabry dla siebie. Dlatego zamilczał, a zamiast tego streścił to, czego dowiedział się od Miri oraz opowiedział o potrójnie zaszyfrowanym zwoju z ukrytym pismem, traktującym o Tronie Kobry.

- Chociaż jeden łaskawy Bóg wie, jak zdejmujemy te czary szyfrujące. Potrzebne do tego pieniądze i wiedza. ..

Umilkł, wyczerpany i zniechęcony przez prawie wszystko w swoim życiu. Litaz zerknęła zmartwiona na męża.

- Tak się składa, że znam człowieka, który mógłby mieć umiejętności i chęć, żeby nam z tym pomóc. I zrobiłby to szybko, gdybym go poprosiła.

Dawud najpierw zrobił zdziwioną, potem rozgoryczoną minę.

- On. Cóż, nie wątpię, że akurat on będzie aż za bardzo chętny do pomocy. Będzie się wprost potykał o własne nogi, żeby tylko dać ci to, czego potrzebujesz. Za pewną cenę.

Adulla się uśmiechnął.

- Jasir, sprzedawca czarów. Oczywiście. Wygląda więc na to, że nie tylko mnie Bóg skaza! na szukanie pomocy u dawnej miłości.



Litaz westchnęła.

- Zedrze z nas, ale nie aż tak jak inni. A pracę wykona uczciwie i dyskretnie. Jeśli teraz wyślę posłańca, powinnam móc się z nim spotkać jutro.

- Jak najbardziej, wyślij posłańca. A jutro powinnaś zabrać derwisza ze sobą.

Litaz i Rasid zaczęli coś mówić, ale Adulla przerwał im obojgu.

- Wiem, wiem. Ty dasz sobie radę sama - powiedział, jedną ręką wskazując Litaz - a twoim zadaniem jest ochraniać mnie, Zamię, czy kogo tam akurat obowiązek ci nakazuje - ciągnął, drugą dłonią machając w kierunku Rasida. - Ale Dawud, Zamia i ja, o ile Bóg Wszechmogący pozwoli, poradzimy sobie z każdym niebezpieczeństwem, które może nas tu zaskoczyć. Będziesz miała przy sobie dużo pieniędzy, Litaz, a nawet gdyby nie, to im dłużej o tym myślę, tym mniej mi się podoba pomysł, że ktokolwiek z nas miałby stąd wychodzić sam. Zróbcie mi zatem tę przyjemność i pójďte razem, co?

Z tymi słowy wyszedł, załatwił potrzebę fizjologiczną, a potem wpełzł na prowizoryczne posłanie, które przygotowali mu przyjaciele. Był wyczerpany, ale nie mógł przestać myśleć o Jehjehu. I o Miri. O decyzji, jaką podjęła. O przysiędze, którą on sam złożył. W głowie rozbrzmiewały mu echem słowa Miri: „tysiąc dni, tysiąc nocy”, oraz to, co Jehjeh powiedział o starych ludziach i grobach.

Sen nie przyszedł do niego prędko.

## ROZDZIAŁ 8

Późnoporanne powietrze miało czysty posmak. Rasid bas Rasid wdychał je głęboko, idąc w kierunku Północnej Wewnętrznej Bramy. Litaz, córka Likamiego szła pół kroku przed nim, ubrana kosztowniej niż kiedykolwiek, gdy ją widział. Jej długa suknia była haftowana ametystową nicią. W warkoczyki wplotła pierścienie ze złota i koralu, a u pasa zawiesiła sztylet w pochwie z farbowanej cielecej skóry, z wysadzaną klejnotami głowicą. „Spodziewa się walki?” Rasid postanowił być jeszcze bardziej czujny niż zwykle.

Gospoda, w której byli umówieni z kontaktem Litaz, znajdowała się w Okrągłym Mieście, wewnętrznej części Dhamsawaatu. Okrągłe Miasto otaczał dwudziestometrowy mur z wielkich, suszonych na słońcu cegieł, oraz z wielkimi, żelaznymi bramami w jego północnym i południowym odcinku. Oboje dołączyli do kolejki do Północnej Wewnętrznej Bramy i wkrótce do niej dotarli. Kiedy przez nią przechodzili, Litaz uśmiechnęła się i skinęła głową jednemu ze strażników na służbie. Mężczyzna zmierzył wzrokiem miecz i habit Rasida, ale nic nie powiedział.

Kiedy tylko znaleźli się po drugiej stronie, skręcili i zeszli z wielkich, kamiennych płyt Głównej. Litaz

prowadziła pewnie, Rasid szedł za nią. Znów skręcili i znaleźli się na Złotniczej - brukowanej ulicy, węższej niż Główna, ale wciąż dość szerokiej. Zostawiając za sobą gęstniejące już tłumy pokrzykujących tragarzy i pieszych, dołączyli do zdecydowanie cichszego i rzadszego strumienia ludzi.

Litaz przygryzła wargę i mruzczała coś pod nosem, wyraźnie głęboko zamyślona. Rasid wobec tego milczał i rozglądał się dookoła. Mieszkał w Dhamsawaacie już prawie dwa lata, ale nigdy nie był na Złotniczej. Patrzył z zainteresowaniem.

Wzdłuż ulicy ciągnęły się piękne domy i schludne witryny sklepów; prymitywne, otwarte, kamienne okna Dzielnicy Mędrców zastąpiły finezyjne okiennice z drewna sandałowego, a w bogatszych sklepach

- witrażowe szkło. Choć z Dzielnicy Mędrców można było tu przyjść w niecałą godzinę, obie dzielnice były dwoma różnymi światami.

Tu znajdowały się domy i sklepy najbogatszych kupców i najślynniejszych rzemieślników Abasenu

- najlepszych importerów i wytwórców perfum, jubilerów, introligatorów i dmuchaczy szkła. Tu także, w dekadensko urządzonej rezydencjach, mieszkali dworzanie, wezyrowie i ich rodziny - ci, którzy nie mieszkali w samym pałacu. Rasid dziwił się, jak mało tutaj ludzi i jak cicho się zachowują.

Bez wątpienia wielu z nich siedziało w domach i przygotowywało posiłki na Święto Opatrzności Bożej, które odbywało się dziś wieczorem. Ale Rasid pomyślał, że to nie główny powód. W takim miejscu człowiek mógł być sam ze swoimi rozmyślaniami. Ulice Dzielnicy Mędrców nigdy nie były takie ciche, takie puste ani takie czyste. Rasid zazdrościł mieszkańcom powagi ich

otoczenia. Żadnych wielkich, śmierdzących kałuż. Nikt nie chłocze ryczących osłów. Przez okno nie wpada dym haszi. Nie ma bełkoczących szaleńców. „Chciałbym mieć takie miejsce, mógłbym w nim medytować i ćwiczyć”. Spróbował zdusić swoją niedopuszczalną chciwość. „O Wierny! Czczij Boga, gdziekolwiek los cię rzuci - w więzieniu, na pustyni czy przy stole w dzień modlitwy” - mówiły Niebiańskie Rozdziały.

Służba u boku doktora nie zetknęła go z przekarmionymi mieszkańcami Okrągłego Miasta. Pewnie wyszło mu to tylko na dobre. Mieszkańcy rodzinnej dzielnicy doktora mierzili Rasida swoim zdegenerowaniem i lubieżnością. Choć jednak palacze haszi i ladacznicze Dzielnicy Mędrców byli odrażający, ludzie stąd wydawali się jeszcze gorsi. Tu mieszkało bogactwo, największe we wszystkich Królestwach Półksiężycy. Tu można było znaleźć wszystko, co sprzyja cnocie i nauce, bez żadnych niewygód, które niesie ze sobą nędza. Ale doktor twierdził, że ludzie ze Złotniczej lekceważyli te możliwości i używali swoich nieprzebranych bogactw tylko do tego, by wymyślać nowe i coraz bardziej luksusowe rozrywki.

„Partner” - tak wczoraj wieczorem łowca nazwał Rasida. Ale Rasid nie był tego godzien. Nie powiedział doktorowi i reszcie o swoim spotkaniu z Faraadem Az Hammazem. O tym, że wziął kradziony towar, który złodziej mu dał. Nie posunął się do tego, by skłamać - kiedy wrócił do pracowni pary Su, a Litaz spytała o zakurzone i potargane jedwabie, zbył jej pytania, a ona nie naciskała. Niewłaściwość jego postępuku paliła go w duszy niczym przedsmak Jeziora Płomieni.

„Partner”. Znów obrócił to słowo w myślach. Choć nie był godzien słów modlitwy, pomodlił się

o bezpieczeństwo doktora. Nikt nie mógł wiedzieć, kiedy Mouw Awa znów uderzy.

- Rasidzie? - Jego rozmyślania przerwał głos Litaz.

- Tak, ciociu? - Odpowiadając, rozejrzał się po ludziach dookoła.

- Zamia Banu Laith Badawi... ona się tobą interesuje. Widzisz to? Rozumiesz, jak ostrożnie musisz postępować?

Poczuł się, jakby uderzyła go w twarz. Mimowolnie się zatrzymał. Zacisnął dłoń na rękojeści miecza, nic nie powiedział i ruszył dalej.

Ładną twarz Litaz rozjaśnił protekcjonalny uśmiech. Zrównała się z nim.

- Ty też się nią zainteresowałeś. Każdy, kto ma oczy, widzi to wyraźnie - powiedziała z rozbawieniem.

Rasid chciał zaprotestować, ale odkrył, że nie może tego zrobić, jeśli nie chce skłamać, czego zabraniały mu Tradycje Zakonu. Szukał czegoś, co mógłby powiedzieć, ale do głowy przychodziły tylko pytania.

- Najpokorniej przepraszam, ciociu, ale nie powinnaś mówić takich rzeczy - oznajmił w końcu.

- Ona jest Badawi, Rasidzie. Chociaż teraz skupiła się na zemście, będzie myślała o tym, jak nie dopuścić, żeby jej gromada wymarła.

Litaz uśmiechnęła się jeszcze szerzej. To był uśmiech kogoś, kto wie o pewnych sprawach więcej niż Rasid

i derwisz stwierdził, że go to denerwuje. Szedł dalej, wpatrzony przed siebie, mając nadzieję, że wymusi koniec tej rozmowy. Ale Litaz mówiła dalej.

- To nic złego, wiesz? To, jak się czujesz, kiedy na nią patrzysz. Dzierżysz ten swój miecz od tak dawna, że mało co poza nim znasz. Ale nie ma naprawdę niczego złego w tym, co czujesz, kiedy na nią patrzysz.

Su mieli zwyczaj otwartego rozmawiania o niestosownych rzeczach - nic dziwnego, że doktor czuł się wśród nich tak swobodnie. Rasid poczuł, że się czerwieni, i ugryzł się w język.

- Mówisz o tych sprawach zbyt otwarcie! - rzekł. I nikt nie mógł mieć do niego pretensji, jeżeli odezwał się do starszej osoby bardziej oschle, niżby wypadało.

Jeśli jednak w jego głosie pojawiła się irytacja, to była to irytacja głównie na samego siebie. Chciał, żeby ktoś go pocieszył - żaloszny słabeusz! Chciał porozmawiać z Litaz szczerze o tych sprawach. Ale to było po prostu niedopuszczalne. Umilkł.

Litaz uśmiechnęła się łagodnie.

- Jeśli chcesz porozmawiać, młody człowieku, przysięgam przed Bogiem, że nikomu o tym nie powiem ani słowa. Nawet Adulli czy mojemu mężowi.

Poszli dalej. Skręcili ze Złotniczej w schludny, lecz wąski brukowany zaułek. Coś w duszy Rasida spięło się, a potem rozluźniło. Poczuł, że słowa przychodzą same, nieproszone.

- Nie mam żadnych tajemnic, ciociu. Tyle tylko, że... ją wybrały same Anioły! Chciałbym... to... to takie... trudne, czasami. Kiedy poszedłem po purpurową rtęć...

- Lepiej odpowiadaj szybko, nierządnicu, i mów prawdę!

Ostry głos dotarł do uszu Rasida w tej samej chwili, kiedy derwisz zobaczył mówiącego - ubranego w długie szaty człowieka z biczem. Był smukły i siwowłosy, a obok niego stali dwaj zwaliści mężczyźni z krótkimi, cienkimi palkami. Mogli być bliźniakami - obaj młodzi, potężni i z haczykowatymi nosami. Cała gładko ogolona trójka nosiła proste turbany i grube szaty

z brązowego płótna, przepasane szorstkim sznurem. W zaułku uwięzili jakąś dziewczynę.

„Pokorni Uczniowie!” Wędrowni zebrzący mnisi, którzy wypędzali zło z ulic i gospód Królestw Półksiężycy. Rasid poczuł się jeszcze gorzej niż przed chwilą. Zerknął na Litaz. Jej uśmiech przeszedł w twardą linię zaciętych ust; wyglądał teraz bardziej jak stara wojowniczką niż dobrotliwa babka.

Powinnością Pokornych Uczniów było karanie tych, których ukarać należało, i sprowadzanie ich na ścieżkę Boga. Rasid jednak odkrył, że niektórzy z nich robili to raczej z chciwości czy okrucieństwa niż z prawości. Wychwalani w Rughalba, wykpiwani w Republice Su, w Dhamsawaacie Uczniowie byli nieliczni - tolerowani przez kalifów, nielubiani przez lud.

Oczywiście mentor Rasida należał do tych, którzy ich nienawidzili. „Nie ufam nikomu, kto twierdzi, że służy Bogu, gdy bije tancerki i pijaków” - warknął raz doktor.

Trójka stała ramię w ramię dwadzieścia jardów w głąb brukowanego zaułka, twarzami w kierunku Rasida i Litaz. Ich spojrzenia jednak skierowane były na dziewczynę w przezroczystej bluzce i obcisłych pończochach z jasnymi koronkami. Rasid nawet z tej odległości wyczuł od niej duszący zapach taniego olejku fiołkowego. „Kłopoty” - zrozumiał. Kiedy on stał i się przyglądał, Litaz ruszyła do przodu. Uczniowie i dziewczyna odwrócili się do niej.

- Co się tu dzieje? - głos Litaz był śmiały i natychmiast zirytował Uczniów.

Siwowłosa przywódca zmarszczył brwi.

- Co się dzieje? Nieczystej dziewczynie zostanie ukazana ścieżka Boga. Chcesz patrzeć i nauczyć się

czegoś na jej przykładzie, cudzoziemko? Republika to dekadentcki kraj. Su bardziej niż ktokolwiek inny mogą skorzystać z naszych lekcji.

W jego głosie słycać było wyłącznie pogardę. Litaz uśmiechnęła się kąśliwie.

- Już widywałam lekcje Uczniów, bracie. Obawiam się, że nie mogę powiedzieć, abym je zawsze pochwałała.

Mężczyzna uniósł brew.

- Pilnuj się, kobieto. Nie potrzeba nam pochwał cudzoziemców. Znaleźliśmy tę wywłokę praktykującą swoją profesję na widoku. Burdelom w tym mieście pozwolono szerzyć swoją zarazę i teraz ich przegniłe owoce rozprzestrzeniają się po szanowanych ulicach. Ale jeśli strażnicy nie chcą czynić swojej powinności, zrobimy to za nich. Karą jest dziesięć batów.

Zatrzeszczała skóra rozwijanego bicia. Dziewczyna podskoczyła, wyczuwając swoją szansę.

- Ja... ja nie pracowałam na ulicy, ciociu, przysięgam! Ja... ja bym tego nie zrobiła. Tylko wracałam z... wracałam z... od przyjaciółki.

Ze wstydem spuściła wzrok. „Nie może mieć więcej niż cztery i dziesięć lat” - pomyślał Rasid z niesmakiem. Ale patrząc na nią, poczuł, że jego ciało przechodzi coś wstydlwego, boleśnie wstydlwego.

- Jak masz na imię, dziewczyno? - spytała Litaz. Dziewczyna spojrzała na alkemiczkę oczami zaszczutej gazeli.

- Suri.

Litaz zrobiła zdziwioną minę.

- Suri? Doprawdy? Niecodzienne imię. Dziewczyna bąknęła coś i spuściła głowę.

- Suri - powtórzyła Litaz. - Piękne imię. I bardzo, bardzo stare. - Odwróciła się do Pokornych Uczniów



z wyraźnie wymuszonym uśmiechem. - Na pewno, bracia, widzicie tu znak od Boga Wszechmogącego? Opowieść o Suri w Niebiańskich Rozdziałach mówi: „O kacie, rzuć miecz swój i służ Jego łasce! O oprawco, rzuć bat swój i służ jego łasce!”

Siwowłosy Uczeń pojednawczo rozłożył ręce, ale przy tym wykrzywił się złośliwie.

- Rozdziały mówią też: „Zaprawdę, należyta kara jest najśłodsza łaską”, nieprawdaż? Nadchodzi nowa era, cudzoziemko! Era, w której rozkwitać będą tylko ci, którzy kroczą przepisaną ścieżką.

Dwaj potężni mężczyźni spięli się do walki. Rasid zdał sobie sprawę, że on też. Przysunął się o krok do Litaz.

- „Przepisaną ścieżką”? A czym ona jest, będą oceniać Uczniowie? - Alkemiczka zmrużyła oczy. - Proszę, dajcie jej odejść. Zróbcie przyjemność starej kobiecie.

Kiedy to nie podziałało, prośbę zastąpiła groźbą.

- Posłuchajcie, bracia, nie jesteśmy w dokach nad rzeką. Myślicie, że porządni ludzie z tej dzielnicy - którzy i tak już nie znoszą waszego zgromadzenia, przecież wiecie - myślicie, że będą się przyglądać beczynnie, jak bijecie dziewczynę na ich ulicy?

Grymas najstarszego Ucznia się pogłębił. Mężczyzna przeciągnął dłonią po gładko ogolonej szczęce.

- Posłuchaj mnie, kobieto. Odejdź prędko. Proszę. Widzisz? Mówię „proszę”. Wracaj do swojej zboczonej, cudzoziemskiej dzielnicy. Drugi raz nie poproszę. - Odwrócił się do Rasida. - A ty, panie derwiszu? - Jego łamliwy głos sprawił, że rytuał ten zabrzmiał jak szyderstwo, ale po raz pierwszy mężczyzna wyglądał, jakby stracił trochę pewności siebie. - Naprawdę dotrzymujesz towarzystwa temu śmieciowi?

Rasid otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Słowa przelatywały mu przez głowę. Jestem tu w jej towarzystwie, ale... Proszę, wybacz jej, bracie, ona... Obawiam się, że muszę...

Żadne jednak nie przecisnęło się przez jego nagle suche i spękane gardło. Rasid w swoim czasie pokonywał bandytów, cyklopy i ghule, teraz jednak stał jak sparaliżowany i nie mógł się odezwać.

Niepewność siwowłosego zniknęła, zastąpiona zimnym grymasem.

- Z twojego milczenia wnoszę, że rzeczywiście jesteś tu z tą starą, obłąkaną degeneratką! Gdzie twoja cnota? Już przestałeś służyć Bogu, młody człowieku?

Dwaj krzywonosi zaczęli się przesuwac, wyraźnie nie mogąc się doczekać bijatyki.

Rozległ się absurdalny śmiech i do zaułka skręciły dwie pary młodych ludzi. Zobaczyli, co się przed nimi dzieje, i natychmiast zawrócili.

Litaz wyciągnęła z pochwy przy pasku swój sztylet. Co ona robi? Sztylet, długi i szeroki, w jej małej dłoni wygląda! jak mały miecz.

- Idź stąd, Suri - powiedziała alkemiczka ze śmiertelnym spokojem. Kiedy dziewczyna się nie ruszyła, Litaz krzyknęła: - Odejdź! Prędko!

Suri uciekła, zanim mężczyźni zdążyli ją złapać. Dwaj potężni Uczniowie ruszyli za nią, ale ich przywódca podniósł rękę i zamarli. Dziewczyna wybiegła z zaułka bez słowa, nie oglądając się za siebie.

- Przewinienie tej starej kurwy jest większe niż tamtej - z upiornym spokojem odezwał się najstarszy Uczeń. - Poniesie jej karę. - Odwrócił się do Litaz. - Kim jesteś, kurwo z nożem, że wydaje

ci się, że możesz bezkarnie przeszkadzać w Bożym dziele?

Wydawał się autentycznie ciekawy. Litaz nie odpowiedziała. Na szyi mężczyzny wyszły żyły.

- Kimkolwiek jesteś, przekonasz się, że boleśnie się pomyliłaś!

Rasidowi nie podobał się jego ton. Słysząc w nim było niegodną radość na myśl o wykazaniu Litaz pomyłki w jakiś brutalny sposób.

Dłoń derwisza skoczyła do rękojeści miecza, zanim pomyślał, kim są jego przeciwnicy. Zakon utrzymywał więzy z Pokornymi Uczniami. Choć może nieprzyjemni i nachalni, ci ludzie byli dla niego sprzymierzeńcami w jego służbie.

Ale... Litaz, córka Likamiego była prawdziwą służebnicą Boga, która bez wątpienia stoczyła więcej prawdziwych bitew niż oni trzej razem wzięci. A do tego była jedną z najbliższych przyjaciółek doktora. Rasid myślał gorączkowo, zaciskając dłoń na głowicy miecza.

Litaz przerwała ciszę.

- Ojciec Wszechświata nie kazał nam bić wystraszonych dziewcząt, bracie! Dlaczego tacy jak wy nie potrafia znaleźć żadnego innego sposobu szerzenia cnoty?

Jeden z wielkoludów zaczął uderzać pałką w otwartą dłoń. Podszedł dwa kroki bliżej. Byli już prawie w zasięgu ciosu i Rasid szybko przysunął się do Litaz. Siwowłosy rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Co za nieuprzejme słowa - powiedział spokojnie do alkemiczki. - Chodź, kobieto. „Stary i pomarszczony, czy młody i zdrów, wszyscy muszą żyć według Jego słowa”. Chodź i przyjmij karę. Będzie szybka i lekka jak piórko dla kogoś tak drobnego jak ty, przysięgam na Boga.

Litaz zaśmiała się krótko, z goryczą.

- To ty chodź i spróbuj mnie ukarać, bracie. Zobaczysz, będziecie leżeć na ulicy.

Wszystko wydarzyło się jednocześnie.

Dwaj krzywonosi Uczniowie skoczyli na Litaz. Nie byli wojownikami, Rasid widział to wyraźnie. Nie było potrzeby, żeby wyciągał miecz. Zablokował drogę bliższemu i uderzył pięścią.

Dopiero kiedy przeciwnik padł na ziemię nieprzytomny, z rozkwaszonym nosem, derwisz zdał sobie sprawę, że rozstrzygnął, po czyjej stoi stronie.

Po raz chyba tysięczny w tym tygodniu zło jego postępowania sprawiło, że Rasidowi skurczył się żołądek, ale rozejrzał się szybko, gotów zrobić to samo dwóm pozostałym Uczniom. Między nim a nimi stała Litaz. Derwisz zamarł, widząc, że alkemiczka wyciąga w kierunku napastników wysadzaną klejnotami rękojeść sztyletu. „Oddaje im broń?”

Przywódca się zawahał; na jego wygolonej twarzy odmalowały się zmieszanie i wściekłość.

-Co...?

Głowica sztyletu zasyczała. Wystrzelił z niej strumień jasnozielonego oparu, który matą chmurką spowił głowy obu mężczyzn. Litaz pospiesznie odskoczyła kilka kroków, unikając paru niezdarnych machnięć pałki. Stojący na obrzeżu chmury Rasid poczuł, że opar szczypie go w oczy i nos.

Reakcja Pokornych Uczniów była bardziej dramatyczna. Kaszląc, osunęli się na bruk; drewniana pałka większego ze stukotem wypadła mu z dłoni. Chwilę później wszyscy trzej leżeli nieruchomo jak trupy. Oddychali, choć bardzo słabo, jak mówiły Rasidowi jego czułe zmysły.

Litaz zakaszłała mocno kilka razy, Rasid też, krzywiąc się z powodu gryzącego, zielonego dymu, który już się rozwiewał w czystym, porannym powietrzu. Alkemiczka otrzepała o sukienkę jakiś pył z dłoni, w której trzymała sztylet. Na materiale została niewielka, czarno-zielona smuga. Litaz popatrzyła z ponurą satysfakcją na nieprzytomnych Uczniów; widać było jasno, że jest zadowolona ze swojego dzieła. Ostrożnie schowała sztylet do pochwy, spojrzała na Rasida i wzruszyła ramionami.

- „Będziecie leżeć na ulicy”. Ostrzegałam ich, prawda?

- Ciociu! Jak...?

- Rzadki roztwór o nazwie Oddech Dargona Lunga.

- Tego potwora z baśni?

Litaz znów wzruszyła ramionami.

- Tak. Choć według Adulli Dargon Lung jest prawdziwy, nawet jeśli większość ludzi uważa go za bohatera bajek.

Dopiero wtedy Rasid zauważył kilku gapiów, którzy natychmiast czmychnęli. Chciał uprzedzić Litaz, na jakie niebezpieczeństwo się naraziła, ale zmienił zdanie. „Ciebie też w to wciągnęła. - Spojrzał na obezwładnionych Uczniów. - Stoję po słusznej stronie - powiedział sobie z mocą. - Po słusznej!”

- Chodźmy dalej, ciociu.

Jej pewny siebie uśmiech zniknął i przez chwilę wyglądała po prostu jak stara kobieta.

- Posłuchaj mnie, Rasidzie. Zgrywam odważną, bo właśnie zaatakowałam Pokornych Uczniów. To ściągnie kłopoty na mój już i tak pełen kłopotów dom. - W jej oczach pojawił się smutek. - O Boże, spraw, żeby byli bezpieczni! - Wyraźnie nie chodziło jej o powalonych.

- Rasidzie, jeśli ten stwór, ten człek-szakał, znów zaatakuje...

Nie dokończyła myśli i gestem wskazała, że powinni iść dalej.

W końcu zatrzymali się na progu eleganckiej, piętrowej gospody z glazurowanej na zielono cegły. Ogromne, ażurowe parawany osłaniały jej dziedziniec przed oczami przechodniów. Wkroczyli na niego przez niewielkie wejście; dziedziniec był ozdobiony dwoma fontannami z prawie przezroczystego marmuru. Dwaj potężni, dobrze ubrani mężczyźni zaprosili ich do samej gospody. „Wartownicy” - domyślił się Rasid, choć zachowywali się bardziej jak gospodarze i nie mieli przy sobie żadnej widocznej broni. Z szacunkiem wzięli od niego miecz, obiecując zwrócić go przy wyjściu. Z satysfakcją odnotował, że obchodzili się z jego bronią z należnym szacunkiem.

Sala powitalna gospody była ogromna i prawie tak samo przewiewna jak dziedziniec. Kilkanaście grupek ludzi siedziało przy niskich stolikach z białego drewna inkrustowanego szylkretem. Litaz uśmiechnęła się i pomachała do tłustego mężczyzny przy okrągłym stole, daleko pod ścianą w głębi. Ścianę zdominowała tapiseria ze szmaragdowej i jadeitowej nici, przedstawiająca bujny, oliwny gaj. Grubas, siedzący samotnie, również pomachał i uśmiechnął się radośnie. Wyglądał, jakby sam był oliwką. Jego zielonkawa cera zlewała się z tapiserią; był niski, wzrostu Rasida, ale jajowaty w kształcie i dziwnie gładkoskóry, mimo że wiekiem dorównywał Litaz. Do tego nosił kosztowne, ciemnozielone jedwabie.

- Pani Litaz, córka Likamiego! - Kiedy podeszli, oliwkowy człowiek przyjrzał się im lubieżnie, wstał

i uklonił, głośno przy tym postępując. Rasid skłonił się nieznacznie, choć z szacunkiem, Litaz serdecznie mężczyzną uściskała. - Kazałaś mi czekać, przecudowna. Ale Opiekuńcze Anioły wiedzą, że ile bym nie czekał, zawsze warto.

Litaz uśmiechała się promiennie. Rasid stwierdził, że nie jest wystarczająco przebiegły, by rozstrzygnąć, czy to uśmiech fałszywy.

- Ukochany Jasirze - powiedziała i drobną dłonią musnęła jego przedramię. - Bardzo przepraszam za spóźnienie, stary przyjacielu. Po drodze wpadliśmy w małe kłopoty.

Jasir machnął ręką, jakby to był nieistotny drobiazg.

- Nic się nie stało, moja droga, nic się nie stało. Powstrzymam się od pytań, co to za kłopoty. Bez wątpienia lepiej, żebym nie wiedział. Bez wątpienia.

Rasidowi nie podobał się ten uśmiechnięty nieszczere głupiec, jego śliskie ruchy i śliskie słowa. Milczał jednak, zmuszając się do neutralnego wyrazu twarzy.

Jasir nie był tak powściągliwy. Jego uśmiech znikł; zmierzył derwisza wzrokiem od stóp do głów i zmarszczył czoło, zdezorientowany.

- Kogo to przyprowadziłaś ze sobą, pani? Nie wiedziałem, że potrzebujesz ochroniarza, nie licząc tego twojego skwaszonego męża. - Gapił się nieuprzejmie na Rasida, ale mówił wciąż do Litaz. - To naprawdę święty mąż? Przyjaźnisz się teraz z derwiszami? Mówiłaś mi kiedyś, że to nadęte pawie...

- Wystarczy, Jasirze! - przerwała mu alkemiczka i rzuciła Rasidowi przepaszające spojrzenie.

Oliwkowaty człowiek rozłożył pulchne dłonie w geście otwartości.

- Jak sobie życzysz, moja droga, ale wiesz, że nie rozmawiam o interesach z nieznajomymi. Zwłaszcza z gładko ogolonymi, którzy rozwidlonymi mieczami „oddzielają w ludziach dobro od zła”. Będziesz musiała kazać swojemu cnotliwemu ochroniarzowi odejść.

Rasid zrobił w gniewie pół kroku do przodu, zanim się opamiętał. Udało się mu jakimś cudem zapanować nad głosem.

- Nie zostawię jej samej, jeżeli...

Litaz położyła mu na ramieniu swoją czarno-niebieską dłoń i lekko ścisnęła.

- Rasidzie, proszę.

„Stawka jest zbyt wysoka, żeby się teraz unosić dumą”. Rasid skłonił głowę i z jakiegoś powodu zapragnął, żeby obok niego był teraz doktor.

- Zaczekam przy drzwiach, ciociu.

- Dziękuję, mój drogi.

Derwisz poszedł do wyjścia. Odruchowo jego dłoń zacisnęła się na rękojeści miecza, którego przy sobie nie miał. A potem czekał, wciąż z gonitwą myśli w głowie i niepokojem w duszy.



## ROZDZIAŁ 9

Litaz, wciąż stojąc, popatrzyła za Rasidem, który przeszedł w kąt sali powitalnej. Była podenerwowana. Nie mogła przestać myśleć o spotkaniu z Pokornymi Uczniami i kłopotach, jakie mogły z tego wyniknąć. Nikogo dziś nie zabiła. Nikomu nie zrobiła nawet poważniejszej krzywdy - Oddech Dargona Lunga był zasadniczo nieszkodliwy i najwyżej na kilka godzin odbiera! ofiarom przytomność. Mimo to jednak zyskała niebezpiecznych wrogów. Wiedziała, że mając okazję, Uczniowie wzięliby okrutny odwet. To, że ucierpiała tylko ich duma, nie znaczyło, że potraktowaliby ją ulgowo. Ale w końcu jaki miała wybór? Pozwolić wychłostać dziewczynę jak zwierzę?

Odwróciła się do Jasira i zmusiła do spokoju. Spotkanie z Pokornymi Uczniami miało miejsce godzinę temu. A teraz czekało ją zadanie do wykonania. Lepiej mieć to już za sobą.

Odezwała się tonem rzeczowym, ale uprzejmym.

- Cieszę się, że posłaniec dostarczył ci moją wiadomość. I że byłeś w stanie spełnić tę niezwykłą prośbę tak szybko.

Jasir słuchał jej, ale dość ostentacyjnie obserwował Rasida; wyciągał szyję, żeby lepiej derwisza widzieć.

Gładkie rysy sprzedawcy czarów zmarszczył niepokój. Po chwili spojrział znów na Litaz z serdecznym i - była o tym przekonana - nieudawanym uśmiechem.

- Hm. Cieszę się, że widzę cię wciąż w jednym smakowitym kawałku, o Oczy Jak Blask Gwiazd! Po twojej wiadomości pomyślałem, że jesteś w śmiertelnym niebezpieczeństwie. „Naglą sytuacja”, „najwyższej wagi”, „zagrożenie dla naszego miasta” - takimi słowami naszpikowany był twój liścik. Przez ciebie nie spałem całą przekłętą noc, o Oddechu Róż! A roz-pisanie tego czaru było zdumiewająco kosztowne: sproszkowane szmaragdy, te przekłete grzyby atramentowe, które potrafią wywąchać tylko wielbłądy tresowane przez Banu Kassim Badawich! To nie są tanie rzeczy, nawet dla kogoś, kto ma tyle pieniędzy co twój wiecznie stęskniony sprzedawca czarów siedzący przed tobą. Co może być tak ważnego w jakimś zakurzonym starym zwoju w potrójnie zaszyfrowanym ukrytym piśmie, że ona potrzebuje moich czarów szyfrujących tak szybko? - zapytałem sam siebie.

i dlaczego miałbym to robić, skoro wiem, że nawet nie będę mógł się zmusić, żeby ją za to należycie policzyć? Z miłości...?

Jasir zawsze grał w jej obecności na wpół żartobliwą rolę zranionego kochanka. Litaz mimowolnie się uśmiechnęła. Przez słodko-bolesną chwilę zastanawiała się, jak wyglądałoby życie z tak krzepkim człowiekiem. Cieszyła się, że nie przyszedł z nią Dawud. „Byłby teraz wściekle zazdrosny”. Na myśl o mężu jej uśmiech zbladł i powróciło znużenie.

- Ale ty nigdy nie byłaś z tych, co wołają ghul, kiedy w pobliżu nie ma żadnego potwora - ciągnął Jasir. - Powiedziałem sobie, że coś w tym musi być, skoro

tak się gorączkujesz. Zawsze byłaś kobietą rozsądną, jeśli nie liczyć odmowy zostania moją żoną.

Litaz pomyślała o tamtym czasie sprzed lat, tuż po powrocie z jedynej wyprawy do ich domu, którą ona i Dawud odbyli. O tym, jak znalazła perfumowany list ze skandalicznymi oświadczeniami Jasira - propozycji złożonej kobiecie już zamężnej. Z trudem powstrzymała Dawuda, żeby go nie zabił.

- Byłam już mężatką, kiedy mi się oświadczyłeś, Jasirze.

Pulchny mężczyzna znów machnięciem ręki odpędził coś niewidzialnego i nieistotnego. Długobrody właściciel gospody kierował sługami rozstawiającymi talerze, cały czas kłaniając się służalczo Jasirowi. Kiedy odszedł, Jasir się otrząsnął, jakby przebudzony ze złego snu.

- Och, moja droga, wybacz mi. Podano śniadanie. Dołączysz do mnie?

Przed sprzedawcą czarów rozstawiono posiłek, na widok którego Adulla podskoczyłby z radości. Medaliony baraniny z miętą i goździkami, jaja gołębnie gotowane bez skorupki, smażone w miodzie korzenie kolokazji, drobnoziarnista kasza manna z daktylami, zbożowe herbatniki, ciemne i jasne herbaty, dwuowocowe nektary. Litaz nie miała takiego apetytu jak Adulla, ale wygłodniała po potyczce z Uczniami, a od przenikających się aromatów jedzenia burczało jej w brzuchu. Nie zamierzała jednak towarzyszyć Jasirowi w posiłku. Za dużo niewidzialnych sideł.

Odmierzyła właściwą odpowiedź, jakby była w swojej pracowni i napełniała zlewkę z podziałką.

- Obawiam się, że mam za mało czasu, przyjacielu. Bardzo mi się spieszy. - Pokiwała z szacunkiem głową;

pierścienie w jej warkoczykach cicho zabrzęczały. - Ale poczęstuję się herbatnikiem, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Nie mogła zachować się zupełnie nieuprzejmie, jeśli miała robić z tym człowiekiem interesy. Usiadła przy białym stoliku, wybrała herbatnika i nadgryzła go. Smakował rozkosznie; musiała odeprzeć pokusę, by nie pochłonąć go żarłocznie, jak domagało się jej ciało.

- Dziękuję.

Jasir wzruszył mięsistymi ramionami, marszcząc przy tym zielony jedwab koszuli. Uśmiechnął się przewrotnie i wskazał kąt pomieszczenia, w którym stał Rasid.

- A więc tak... - zagaił konspiracyjnym tonem. - Derwisz? I to tak młody, że mógłby być twoim dzieckiem... Czy to prawda, co o nich mówią? Że się gołą wszędzie? - Znów ten oleisty uśmiech. - Nie, nie, nie odpowiadaj, nie zaprzeczaj. Po prostu cieszę się, widząc, że wciąż nie boisz się skandalu. Raduję się ogromnie, że korzystasz z życia, mimo tej nieustannej harówki, pomagania biednym i tak dalej. Smukły chłopiec z Zakonu, z rozwidlonym mieczem i w ogóle! Na Boga! To tak dekadencjonalne, że mógłbym nawet nie być zazdrosny. Aach, ale widzę, że cię zawstydzam. Co u ciebie słychać, tak w ogóle?

W końcu musiał przerwać, żeby złapać oddech. Litaz nie dała się wciągnąć w tę gadaninę i wykorzystwała chwilę ciszy tak bezpośrednio i uprzejmie, jak tylko umiała.

- Jak mówiłam, Jasirze, spieszę się. Naprawdę mi przykro. U mnie wszystko dobrze, chwalić Boga. A skoro mowa o cieszeniu się życiem, ty sam wydajesz się radzić sobie całkiem nieźle. Za samą tę broszkę

zwykła rodzina wyżywiłaby się przez rok. Dla kogo pracowałaś?

Oczy pulchnego mężczyzny znów zabłysły, tym razem w łagodnej drwinie.

- Och, piękna, wiesz, że nie mogę ci powiedzieć. Powiedzmy po prostu, że ostatnio panuje duży popyt na rzadką wiedzę osób takich jak ty czyja, które znają pewne sekrety i sztuki. - Wysiorbał powoli łyżkę kaszy. Wyraźnie nie przejmował się pośpiechem Litaz. - Plotki o rewolucji i chaosie sprawiają, że zamożni ludzie przygotowują się na wszelkie okoliczności. Takie przygotowania świetnie się odbijają na interesach, chwalić Boga.

Dyplomacja nakazywała milczeć na ten temat, ale Litaz nie zdołała się powstrzymać.

- To dla ciebie wciąż tylko fach, Jasirze? Dary, które dał nam Bóg? Sposób na zarabianie pieniędzy, nie troszcząc się o tych, którzy nie mogą zapłacić?

Jasir uśmiechnął się bez cienia poczucia winy.

- Nie każdy, kto posiada wiedzę, gardzi nią tak, jak czasem myślę, że gardzisz ty, o Lawendowe Usta. Poświęcasz swoje umiejętności i czas zawszonym durniom, którzy i tak tego nie doceniają, którzy rzucają kamieniami w ludzi takich jak my. Jeśli mam być nieszczerze wychwalany, kiedy coś mi się uda, i nazywany szarlatanem i czarownikiem, kiedy poniosę porażkę, to przynajmniej mogę za to dostawać parę groszy. Muszę ci po raz kolejny opowiadać, że na świecie czekają na ciebie o wiele przyjemniejsze miejsca niż brudny zaułek z tym twoim pokrzywionym mężem. Miejsca, gdzie twoje niezrównane umiejętności i wciąż ponętne ciało zostałyby docenione tak, jak na to zasługują?

Podobnie jak przed laty, Jasir był tak niedorzecznie szczery, że jakaś część Litaz rzeczywiście go pożądała. Mimo to nie było jej trudno przywołać na twarz swój najbardziej zniechęcający uśmiezek i wrócić do tematu.

- Nie, Jasirze, nie musisz. Ale bądź ostrożny, dobrze? Nadchodzą niebezpieczne czasy, a na horyzoncie czai się coś więcej niż tylko plotki. - Wzięła głęboki oddech. - A teraz...

Jasir lekko skłonił głowę.

- Dziękuję ci za troskę, o Głosie Ptasięgo Śpiewu. Co do twojego zlecenia, mam zwój tu, przy sobie. - Spróbował spojrzeć na nią karcąco. - Jak mówiłem, nie spałem całą przekłętą noc. Sowiecie zapłacisz za ten pośpiech i za mój stracony sen. Koszt zwoju powiększa także hermetyczność słownictwa, które...

Litaz zgrzytnęła zębami. Nie miała na to czasu.

- Ostatecznie ile to będzie, Jasirze?

W Jasirze nie było już nic miękkiego ani śliskiego. Rozejrzał się za niechcianymi obserwatorami i żadnego nie znajdując, wyjął karteczkę papieru oraz pałeczkę węgla drzewnego. Zapisał liczbę i przesunął kartkę do Litaz.

- To całkowita suma. Nie podlega negocjacji, ponieważ w swojej wiadomości nakazałaś mi rozpocząć prace natychmiast i dodałaś, że zapłacisz „każdą cenę”.

Sprzedawca czarów teatralnym gestem wydobył spod stołu cienki, długi na trzydzieści centymetrów hebanowy cylinder. Ciemne etui na zwoje było inkrustowane złotem i jadem.

- To fortuna!

Litaz szybko przeliczyła w myślach. Odkąd opuściła Republikę, tyle się zmieniło. Lata temu mąż kpił z niej, że jest bogatą dziewczyną znad Niebieskiej Rzeki,

która nie zna wartości pieniądza. I rzeczywiście, trwało wiele lat, zanim pani Litaz a-Likami z Najwyższego Rodu Oświeconych Paszów zmieniła się w prostą Litaz, córkę Likamiego. Teraz to ona - ze swoim postrzeganiem świata przez pryzmat liczb i miar - zawiadywała finansami pracowni i domu. Podziękowała Bogu Wszechłaskawemu za to, że była w tym dobra i że Dawud nie domyślał się, jak niewiele brakowało im czasem do osiągnięcia poziomu biedaków, którym pomagali.

Była gotowa zapłacić cenę Jasira, gdyby musiała. Ale zawsze warto się potargować. Przybrała dworny uśmiech i poprawiła warkoczyki.

- Mówisz o tym, że zasługuję na uznanie... Ale czy twoja cena to odzwierciedla, mój drogi?

Jasir smutno pokręcił lśniąca głową.

- Naprawdę mi przykro, Oczy Blasku Gwiazd, ale oboje wiemy, że uznanie między nami działa tylko w jedną stronę. Ponieważ uważasz mnie za godnego pogardy najemnika, wiem, że nieprędko mogę się spodziewać całusa. Dlatego obawiam się, że jestem zmuszony potraktować cię jak zwykłego klienta.

Uśmiechnęła się kpiąco.

- A czy płacę ekstra za etui? Odpowiedział uśmiechem.

- Mojej pracy nie wypada nosić poskładanej w kieszeni, nawet w twojej rajskiej kieszonce, moja droga.

„Dość tych pogaduszek” - pomyślała Litaz. Była zmęczona i martwiła się o męża i przyjaciół. Poza tym przyznawała sama przed sobą, że im dłużej tu siedziała, tym bardziej zazdrościła Jasirowi bogactwa. Kiedyś życie na tak wysokim poziomie - a nawet wyższym - było jej udziałem. Odrzuciła je, by podążyć za głosem

serca i uczyć się sztuki, której nie pozwolono by jej praktykować, gdyby została szanowaną damą Dworu Trzech Paszów. Nigdy tak naprawdę nie żałowała swoich życiowych decyzji, ale czasami skrycie pragnęła, by Bóg, Który Daje Wszelkie Bogactwo, nie zmuszał jej do ich podejmowania.

„Ale to robi, niezależnie od tego, czego byś chciała - powiedziała sobie. - A teraz się skup!”

- Bardzo dobrze - powiedziała Jasirowi. - Mam jednak nadzieję, że mogę liczyć na twoją dyskrecję co do tej transakcji?

- Hm. Tak. Dyskrecja. Właściwie czemu tak nagle zainteresowało cię potrójnie szyfrowane ukryte pismo? Z punktu widzenia czarów szyfrujących to rzecz całkowicie hermetyczna. Jaki zakurzony starość chcesz odcyfrować tym czarem? Nie, nie, wiem, że nie odpowiesz. Cóż, dyskrecja to towar jak każdy inny. Ale ten towar oferuję ci gratis jako wyraz mojego uznania wobec ciebie. A teraz zapłata, proszę.

Jasir znów musiał przerwać, żeby złapać oddech. Litaz sięgnęła w fałdy haftowanej sukni i z ukrytej kieszonki na piersiach wyjęła monety zawinięte w kawałek pachnącego lawendą materiału.

- Jest tu parę dinarów więcej. Zatrzymaj je, przyjacielu.

Musiała przyznać sama przed sobą, z braku kogokolwiek innego, że podobała się jej mina Jasira, kiedy dotknął sakiewki ustami.

- Nigdy nie zaczerpnąłem złota ze słodszej kopalni, moja droga. Dziękuję, dziękuję, dziękuję.

W końcu, po jeszcze kilku uprzejmych gestach i słowach, Litaz mogła się pożegnać i życzyć pokoju Boga sprzedawcy czarów, a potem ruszyć do wyjścia



z gospody. Wyglądało na to, że los się do niej uśmiechnął. Z czarem w rękach ona i jej przyjaciele mogli przestać działać po omacku. Taką przynajmniej miała nadzieję.

Pozwoliła sobie na chwilę dumy ze zwycięstwa. Straciła dużo pieniędzy - większą część tego, co ona i Dawud w ogóle mieli - ale z drugiej strony wiedziała przecież, że pomoc Jasira nie będzie tania.

Spojrzeniem ściągnęła Rasida, który niespokojnie czekał przy złoconych drzwiach. Derwisz odebrał swoje cenne ostrze i razem wyszli na dziedziniec. Litaz milczała, dopóki nie wyszli na ulicę.

- Cóż, mój drogi - powiedziała, kiedy opuścili dziedziniec - mimo naszych wcześniejszych kłopotów myślę, że możemy powiedzieć naszym starszkom, że...

- Stać!

Krzyczącym był przystojny, młody dowódca straży o nieprzyjemnym spojrzeniu. Obok niego stał siwowłosy Pokorny Uczeń, którego napotkali wcześniej, a za nim czterech innych strażników. Dwóch potężnych Uczniów nigdzie nie było widać - pewnie wciąż drzemali na ulicy, domyśliła się Litaz. Każdy z mężczyzn miał broń w ręku.

- Myślicie, że Bóg śpi, kiedy tacy niegodziwcy jak wy żyją bez skruchy? - spytał siwowłosy. Gdyby wzrok mógł zabijać, Rasid i Litaz już by nie żyli. - Mówiłem ci, cudzoziemska wiedźmo, będziesz ukarana! A, chwalić Boga, Jego łaskawy gniew domaga się, by twoja kara odpowiadała ogromowi twych grzechów!

Dowódca straży zerknął na niego z irytacją, ale na Litaz patrzył jeszcze mniej przyjaźnie.

- Pójdiesz z nami, kobieto. I ty też, derwiszu. „Ten człowiek nie jest fanatykiem - odgadła Litaz po

jednym spojrzeniem. - Uczniowie znaleźli sobie chciwego

opryszka". Zaczęła analizować sytuację. Co można było zrobić?

- Panowie, najpokorniej błagam... - zaczęła i usłyszała, że Rasid obok niej mówi coś o swoim autorytecie i Tradycjach Zakonu.

- Zamknijcie się oboje! - krzyknął Uczeń. - Ani słowa więcej!

Strażnik westchnął.

- Och, szlag by was wszystkich trafił, na Boga! - powiedział, kierując słowa także do Pokornego Ucznia. Wskazał jednak palcem Litaz. - Po prostu chodź z nami. Teraz. Zabieramy wam broń.

- O co chodzi?

Litaz nie zdawała sobie sprawy, że Jasir stoi w sklepionym wyjściu za nimi, dopóki nie usłyszała jego głosu, cichego i stanowczego, bez krzty teatralności sprzed paru chwil.

- Czy to twoja sprawa, panie? - spyta! dowódca straży. W jego głosie pojawiła się obawa, bez wątpienia wywołana oczywistą wysoką pozycją Jasira.

- Moja jest każda sprawa, którą uznam za moją, człowieku. - Sprzedawca czarów sięgnął po coś do jedwabnej sakiewki przy pasie. Kiedy to coś wyciągnął - pierścień na cztery palce, z fioletowym kamieniem grawerowanym w linie reprezentujące piasek, morza i miasta Królestw Półksiężycy - Litaz usłyszała, że głośno wciągnęła powietrze. „Pieczęć kalifa?! A więc to dla niego pracował!" Wiedziała tylko tyle, że mieszkał w Dzielnicy Pałacowej.

Pokorny Uczeń ledwie spojrział.

- Pilnuj się! Masz bogactwo i jakiś państwowy symbol, człowieku, ale Bóg Wszechmogący, który...

Dowódca straży odwróci! się do siwowłosego.

- Bądź cicho, niech cię szlag! Umiem poznać pieczęć kalifa, a kiedy się nad tym zastanowić, znam twarz tego człowieka z Dzielnicy Pałacowej. Mimo to... - Rozważył coś w myślach. - Wybacz, wasza eminencjo, ale nie obwieściłeś swojej obecności na głos w imieniu obrońcy Cnót. Ponieważ... - wątpliwość stała się pewnością, kiedy strażnik spojrzał w oczy Jasira - ..ponieważ, być może, ach, wybacz mi, być może wasza eminencja robi coś, co inni ministrowie podaliby w wątpliwość, tak? Jeszcze raz błagam pokornie waszą eminencję o wybaczenie.

- Śmiałe założenie - powiedział Jasir zimno. Strażnik uklonił się nisko, a w jego głosie słychać

było szczere przeprosiny - z rodzaju tych, które biorą się ze strachu. Jego ludzie wyglądali na przerażonych. Nawet Pokorny Uczeń jakby zwątpił. Ale Litaz wyczuwała też zdenerwowanie Jasira. Nie mieli tu do czynienia z jakimś przygłupim strażniczyną. Ten człowiek był dowódcą straży w Okrągłym Mieście i tak samo jak Jasir wiedział, że wiadomość o nadużyciu pieczęci mogła wywołać wielkie kłopoty.

- Tysiąckrotnie przepraszam waszą eminencję - powiedział w końcu. - Ale dziś jest Święto Opatrzności Bożej i moją głowę zaprzatają myśli o wykarmieniu mojej rodziny. Wystarczy najmniejszy gest, parę marnych groszy, żeby obalić moje założenia.

„Pieniądze”. Litaz bez namysłu wyciągnęła garść dirhemów i podała je mężczyźnie - o wiele więcej, niż było ją stać, ale w takiej chwili nie mogła myśleć o przyszłorocznych wydatkach.

Strażnik wyglądał, jakby miał ochotę na nią splunąć, ale nie przeszkodziło mu to wziąć pieniądze.

- Odejdź - powiedział, wyraźnie ośmielony. - Odejdź stąd natychmiast. Zabieraj swoje plugawe jady

z powrotem do Dzielnicy Mędrców. Jeśli zobaczą cię znów w tej okolicy, nie ręczę za swoich ludzi.

Rzucił przeciągłe, niechętne spojrzenie Rasidowi, a potem odwrócił się i odszedł. Jego ludzie potruchtali za nim.

Siwowłosy Pokorny Uczeń został chwilę dłużej, patrząc spode łba.

- To dla ciebie nie koniec, czarownico z Su. Ani dla ciebie, fałszywy derwiszu. Łatwo będzie was znaleźć.

Rasid skrzywił się na słowo „fałszywy”, ale Litaz patrzyła tylko wyzywająco na Ucznia, aż dowódca straży krzyknął na niego i mężczyzna odszedł.

Potem odwróciła się do Jasira.

- Dziękuję ci - powiedziała, czując, że serce podeszło jej do gardła. - Dziękuję ci, Jasirze! Mogłabym cię pocałować!

- Ale tego nie zrobisz. - Oblicze sprzedawcy czarów nie było już miękkie ani kpiące. Tak twardego spojrzenia Litaz jeszcze u niego nie widziała. - Mam u ciebie wielki dług. Wielki dług.

Rzucił jadowite spojrzenie Rasidowi, odwrócił się oziębło i odszedł.

Jakaś część Litaz chciała go zawołać, zatrzymać - ale była to tylko część. Cała reszta pragnęła zobaczyć Dawuda. Najwyższa pora wracać do domu.

## ROZDZIAŁ 10

Słońce zaczynało właśnie zachodzić, kiedy Rasid wszedł za Litaz do domu pary z Su. Ucieszył się, widząc Dawuda, syna Wadzida, doktora i Zamię Banu Laith Badawi w pokoju powitalnym, całych i zdrowych.

- Wrócilibyśmy szybciej - rzekła Litaz - ale napotkaliśmy pewne... komplikacje ze strony grupy Pokornych Uczniów.

- Co? - krzyknęli jednocześnie łowca ghuli i mag.

- Komplikacje? O czym ty mówisz? - spytał Dawud. Rasid zauważył, że Zamia nic nie powiedziała. Wyglądała jednak lepiej niż jeszcze poprzedniego wieczora.

- Chwalić Boga - wyszeptał mimowolnie, a dziewczyna spojrzała na niego ze zdziwieniem. Zawstydzony spuścił wzrok.

- Musiałam pokazać kilku Uczniom ich miejsce, ale to teraz nieważne. Ważne jest to. - Alkemiczka położyła na stoliku do herbaty zdobione etui ze zwojem. Potem opadła ciężko na poduszkę. - W imię Boga! Dobrze będzie wieczorem odpocząć.

Rasid musiał się odezwać.

- Zasłużyłaś na ten odpoczynek, ciociu. Ale ja nie mogę sobie teraz na to pozwolić. Jeśli ten zwój pomoże

nam dowiedzieć się czegoś więcej o tym diable Orszado, muszę - proszę o wybaczenie - muszę dostać tę informację tak szybko, jak to możliwe. Dawud stanął między nim a żoną.

- Takie rzeczy nie dzieją się w mgnieniu oka, chłopcze. Czar odszyfrowujący działa tak samo powoli, jak ręka uważnego czaro-skryby. Poznamy odpowiedzi, jakie ten zwój skrywa, ale musimy z tym poczekać do rana.

- W takim razie będziemy mieli trochę czasu na luksus odpoczynku - powiedział doktor.

Rasid chciał dalej protestować, upierać się, że takiego luksusu nie mają, ale Litaz przerwała mu uniesieniem ręki.

- Otóż to, a co więcej - ciągnęła, rzucając derwiszowi rozszłoszczone spojrzenie - potrzebujemy wytchnienia.

- Z pewnością potrzebuje go Zamia Banu Laith Badawi, czy o tym wie, czy nie - dodał Dawud. Spojrzał na nią, a Rasidowi zaimponowało, że dziewczyna nie bała się już maga, a przynajmniej prawie tego nie okazywała.

Litaz mówiła dalej.

- Nie będziemy tylko odpoczywać, ale świętować! Bo zachód słońca oznacza początek Święta Opatrzności Bożej.

Mag uniósł brew.

- To prawda! Wiesz, prawie zapomniałem.

- Ja też - przyznał doktor.

Litaz położyła dłoń na ramieniu męża, ale mówiła do całej grupy.

- Nie wolno nam zapominać o świętach. Dzisiejszy wieczór jest podziękowaniem za dary, którymi Bóg nas obdarza. W taki dzień naszym obowiązkiem jest czcić

życie poprzez jedzenie i napitek. Niebiańskie Rozdziały mówią: „O wierny, uśmiechaj się do Opatrzności Bożej przy święcie i przy pogrzebie”. - Alkemiczka odwróciła się do derwisza. - Mam rację, Rasidzie? Derwisz skłonił głowę.

- To mało znany werset, ciociu, ale... masz rację. Dawud i Litaz poszli do pracowni. Mag niósł zwój

Miri Almusy, alkemiczka - Jasira. Kilka minut później wyszli, a Rasid usłyszał charakterystyczny odgłos pióra, które zaczyna skrobać o papier, choć w pracowni nikogo już nie było.

- Czar odszyfrowujący działa - oznajmił Dawud. - A teraz, Bóg Wszechmogący świadkiem, najwyższa pora coś zjeść!

W przeciągu paru ostatnich dni Litaz udało się jakoś zamówić świąteczne potrawy. Starzec z synem, pracownicy drogiej kuchni przy placu Aniołów, przynieśli pół tuzina dań pod miedzianymi pokrywkami. Teraz wszyscy przyjaciele usiedli; Rasidowi zaburczało w brzuchu. Na stole lśniła biała gruda twarogu z fioletowymi plasterkami rzepy. Parowały pity z pieczoną ciecierzycą. Słodko-kwaśne marynaty, siekana baranina z pieprzem i orzechami, zielenina w sosie czosnkowym, owoce, słony budyń migdałowy.

„Od kiedy to jesteś taki łapczywy?” - spytał karcący głos w głowie derwisza. Na prośbę Litaz Rasid zmówił nad jedzeniem prostą modlitwę. Potem zaczęli jeść.

Rasid odsunął od siebie filiżankę i odmawiał każdego podsuwanego mu dania. Popijał wodę, zjadł parę kęsów rzepy i chleba. Jak to często bywało, jego rozmyślenia przerwał huczący bas doktora.

- I tak! - powiedział Adulla i wstał nieco chwiejnie. Rasid zmartwił się, że jego mentor już się upił. - I tak!

- powtórzył łowca ghułi. - Z biegiem lat nauczyłem się ufać przeczuciom mojej duszy. Pewnie nie jestem jedynym, który uważa, że ta burza, która się nad nami zbiera, wkrótce na nas runie. Ale dziękuję ci z góry, Boże Wszechopiekuńczy, za ten posiłek w towarzystwie ukochanych przyjaciół. - Zatarł wielkie łapy i spojrzał na rozstawione przed sobą tace. - Na Boga

- na wpół krzyknął - Litaz, ty to umiesz zastawić stół!

Zamia odgarnęła włosy z czoła.

- Doktor mówi prawdę, ciociu - powiedziała cicho.

- Gościnność twoja i twojego męża jest tak wielka, że wzbudziłaby zazdrość w każdym Badawim!

Dawud się zaśmiał.

- Ha. Nie przyszła nam tanio, tyle powiem. Teraz już wiecie, dlaczego ożeniłem się z bogatą dziewczyną znad Niebieskiej Rzeki!

Alkemiczka zrobiła zmartwioną minę. Rasid nie wiedział, jaki jest tego powód i tak naprawdę nie była to jego sprawa.

Starzy ludzie jedli, pili i rozmawiali. Raczyli Zamię opowieściami o pokonanych kiedyś wrogach, które derwisz słyszał już nieraz. O Niewidzialnych Rabusiach i Złotym Wężu, o Człowieku o Czterech Twarzach i tuzinach pomniejszych magów.

Rasid słuchał jednym uchem i popijał wodę, dopóki nie usłyszał głosu Zamii.

- Cierniowa Pani! Ojciec opowiadał mi o jej słynnych zbrodniach! Podobno jej ojciec był nikczemnym dzennem.

Doktor prychnął lekceważąco i dolał sobie wina.

- Niedoinformowani zawsze tak mówią o kimś, kto umie robić rzeczy dla nich niemożliwe. „Krew dzenna!” Idiotyzm! Tysiąc i Jeden nie mogą płodzić dzieci, tak



samo jak mężczyzna nie może zrobić dziecka niedźwiedzicy!  
Dawud rubasznie sięgnął nad stołem i dźgnął doktora palcem w brzuch.

- Chcesz mi powiedzieć, stary przyku, że przez te wszystkie lata się myliłem? Że twój ojciec wcale nie był niedźwiedziem? Doktor się zaśmiał.

- No, niedźwiedź to szlachetne zwierzę! Mój ojciec przynajmniej nie zrobił dziecka przeklętej kozie.

Chwycił maga za farbowaną brodę i obaj się zaśmiali, podchmieleni.

Skończyli jeść i przy stole zapadła cisza. Po chwili doktor głośno westchnął.

- Tak, cóż, od tego gadania nabrałem apetytu na coś słodkiego.

Dawud przystawił kubek żony, potem Adulli, a potem swój do brzegu dużego dzbana z palmowym winem i ostrożnie nalał wszystkim złotego płynu. Zamia podziękowała za drugi kubek, co Rasid zauważył z przyjemnością. Wzięła tylko mały kęs, kiedy Litaz poczęstowała wszystkich tacą z herbatnikami i suszonymi owocami.

Nie zrobiła tego jednak z ostrożności. Rasid widział, że Zamia bała się już chyba mniej Dawuda, syna Wadzida i szybko nabrała serdecznej sympatii do jego żony.

- Ten dywan pochodzi z tej części Republiki, z której pochodzi mój mąż - wyjaśniła jej Litaz. - Tam, skąd ja pochodzę, nie jadamy na dywanach: siadamy na wysokich krzesłach przy stole sięgającym do pasa. Minęło sporo czasu, zanim przyzwyczyłam się do kucania. Kiedy pierwszy raz...

Przerwał jej chichot doktora. Adulla zabawiał siebie i maga szczeniackimi wygłupami. Na swoim talerzu ułożył twarz z herbatników, a potem odstawił małe przedstawienie. „Usta” twarzy z ciastek z przyprawami błagały piskliwym głosem:

- Nie, doktorze! Proooszę, nie zjaaadaj mnie! W imię Boga Miłosiernego, błagam, nie zjaaadaj mniecee!

-Ależ w imię Boga Łaskawego - odpowiedział doktor herbatnikom - zostałem stworzony, żeby was pożreć, moje ciasteczka, i moje przeznaczenie już się nie zmieni!

Litaz i Dawud ryknęli śmiechem.

„Czasami są gorsi niż dzieci” - pomyślał Rasid. Z zadowoleniem spostrzegł, że Zamia nie wyglądała na rozbawioną. „Podchodzi do życia poważnie, jak młoda kobieta powinna. Wybrana przez Boże Anioły”.

Nagle jednak na pełne wargi dziewczyny wypęłzył drobny uśmiezek, a potem zaśmiała się cicho i skromnie.

Rasid nie poczuł się zawiedziony. Przeciwnie - ku swojemu zawstydzeniu odkrył, że nie może oderwać wzroku od tego uśmiechu. Cichy śmiech Zamii ciął go niczym miecz zatruty czystym szczęściem. Derwisz próbował skierować swoje zdyscyplinowane oczy gdzie indziej, ale nie mógł. Zamia odwróciła się i popatrzyła prosto na niego. Kiedy jej szmaragdowe spojrzenie napotkało jego wzrok i zobaczyła, że Rasid się na nią gapi, uśmiech na jej twarzy zastąpiło czyste przerażenie.

Zakryła usta dłonią i spuściła głowę. Derwisz zrobił to samo, wbił wzrok w schludnie zamiecioną, kamienną podłogę. Gapiłeś się na nią! Gapiłeś się i zawstydziłeś ją! Nie masz wstydu? Służysz Bogu czy Zdradzieckiemu Aniołowi?

Musiał pomedytować w samotności - na tyle, na ile to możliwe w tak zatłoczonym domu. Dokończył posiłek i dopił wodę, a potem przeprosił pozostałych.

- Idź, idź - powiedział doktor. - Sam niedługo będę się kładł spać.

- Chyba przy tym stole, z nochalem w herbatnikach, jeśli sugerować się precedensami - powiedział Dawud ze złośliwym uśmiechem.

Doktor prychnął z oburzeniem i znów zaczęli sobie dokuczać. Rasid wstał i poszedł poszukać cichego kąta w piwnicy.

- Tylko nie siedź całą noc na straży i modłach, słyszysz, chłopcze? - zawołał za nim doktor. - Będziemy trzymać wartę na zmiany, a ty prześpij się. Jeśli ktoś nie pozostaje czujny na tak niebezpiecznych Iowach, to ginie. Nawet ty.

Rasid dokonał ablucji i medytował, dopóki nie wypchnął z głowy strachu i cichego śmiechu Zamii. Myślał, że jest zbyt przejęty swoimi obowiązkami, żeby zasnąć, ale sen przyszedł.

Następną rzeczą, którą zarejestrował, był Dawud, który obudził go na dwie ostatnie godziny warty. Za oknem pojawiły się cienkie paski różowego i pomarańczowego światła; wciąż słysząc było dziwny chrobot magicznego pióra, z jakim działał czar odszyfrowujący.

Godzinę później, kiedy Rasid siedział na stołku przy drzwiach wejściowych, w pracowni zagrzmiało nagle donośny głos. Rasid poderwał się, zszokowany, z mieczem w dłoni.

**ROZBITE SŁOWA ZNÓW SĄ CAŁE! ICH PRAWDE OCZOM UKAZAŁEM!**

Był to głos Jasira, sprzedawcy czarów, dobiegający z pracowni. Derwisz przeklął własną niekompetencję. Jak ten człowiek zdołał niepostrzeżenie wejść do domu?

Kiedy jednak wpadł do warsztatu, gotów zabijać w razie konieczności, tłustego sprzedawcy czarów tam nie było. Doktor i Dawud weszli za nim, zaspani i spokojni.

- Doktorze, słyszałem głos intruza!

Doktor popatrzył na niego nieprzytomnie, jakby się zastanawiał, kim Rasid jest.

- Nie ma żadnego intruza, Rasidzie - wyjaśniła Litaz, która również weszła do pracowni. Tuż za nią szła Zamia. Ałkemiczka miała na sobie podomkę, ale dziewczyna ubrała się już w swoje wielbłądzie zamsze Badawich. - To tylko sygnatura Jasira. Przypomnienie na koniec działania czaru o tym, kto go przygotował.

Rasid unikał wzroku Zamii. Spojrzał na stół i zobaczył, że zwój, który doktor przyniósł od Miri Almusy, teraz słabo świeci. Obok niego, na stercie czegoś, co wyglądało jak stary, spopielwały pergamin, leżało etui Litaz.

Dawud wziął zwój, rozwinął go i zagwizdał z podziwem.

- Ten cały Jasir może i jest tłustym worem bez zasad, ale zna się na swojej robocie, nie da się zaprzeczyć. Zwój został odcyfrowany.

- Sprawdźmy, czy jest w nim coś wartościowego - powiedział doktor.

Wszyscy usiedli, a Dawud przeczytał na głos: *Nikt nie wie, jak zbudowano Tron Półksiężycy. Nieliczni wiedzą, że kiedyś nazywano go Tronem Kobry. Jego wielkie, półksiężycowe oparcie, kiedyś wyrzeźbione w kaptur Boga Kobry, nie daje się zadrapać ani przypalić.*

*Zaginiona Spiżowa Księga Kemitów twierdziła, że faronowie, zwani też Królami-Kobrami Kemu, zasiadali na nim podczas koronacji, tak samo jak później kalifowie. Choć jednak kalifowie koronują się od wieków, są tacy, którzy twierdzą, że nie znają jego prawdziwej mocy. Że w tronie zostały zaklęte znaki śmierci; że zaczarowali go Martwi Bogowie, którzy miłowali zdradę. Że jego moc można wyzwolić jedynie w najkrótszy dzień roku, rozlewając na niego krew pierworodnego dziecka panującego. Spiżowa Księga twierdziła, że ten, kto zdoła wypić tak rozlaną krew, otrzyma władzę nad najstraszniejszymi czarami śmierci, jakie kiedykolwiek znał świat - będzie panem pojmanych dusz niezliczonych rzesz dawno martwych niewolników. Mroczne sztuki Królów-Kobr, wypędzone ze świata przez Boga, powrócą.*

- Na tym się kończy. - Mag zwinął zwój i odłożył go. Doktor ukrył twarz w dłoniach i cicho jęknął.

- Litaz, moja droga, powiedz mi, w imię Boga Wszechmogącego, który jest Naszą Jediną Ostoją, że masz trochę dobrej, mocnej herbaty kardamonowej.

Kwadrans później siedzieli wszyscy w pokoju powitalnym i planowali. Starsi pili herbatę i palili; z wodnej fajki unosił się aromat jabłkowego tytoniu.

- Nie chcę tego robić - powiedział doktor. - Wczoraj wieczorem zjedliśmy porządny posiłek, a poranek rozpoczął się od takiej mrocznej przepowiedni... Ale zostałem pobity i pokiereszowany, a mój dom leży w zgliszczach i ruinie. Straciłem jedyną kobietę, którą naprawdę kochałem, i obietnicę spokojnego żywota. Nie stracę do kompletu całego swojego miasta. Nie stracę. - Długim ustnikiem fajki wskazał Dawuda. - Ale może do tego nie dojdzie - dodał; dla Rasida zabrzmiało to tak, jakby próbował sam siebie

przekonać. - Myślicie, że ten Orszado jest do tego w ogóle zdolny? Żeby się włamać do pałacu, a co dopiero odbić go z rąk strażników i zamordować syna kalifa? Nawet dla mnie, który widziałem sporo rzeczy niemożliwych, wydaje się to prawie niemożliwe. Musiałby mieć sprzymierzeńców w pałacu, tuzin wiekowych inkantacji, żeby pokonać czary strażnicze, nie wspominając już o tym, że kalifa strzeże chyba z tysięcy żołnierzy.

Podał ustnik Litaz. Dawud popatrzył na doktora.

- Nie rozumiesz, bracie mój. Nie czułeś tego ghula ghuli. Jego okrucieństwa. Jego mocy. Jaką ma siłę, kiedy Zdradziecki Anioł działa poprzez niego.

- Ale nawet z wojennymi zaklęciami i znakami śmierci - wtrąciła Litaz, wydychając dym - tron to tylko symbol. Bez armii, bez straży, jego krwawy spisek skończy się jedynie szturmem rozwścieczonego tłumu na pałac.

- Nie - powiedział doktor, a Rasid ujrzał w jego oczach krzepnącą determinację. - Nie, moja droga, twój mąż ma rację. To nie takie proste. Nie mamy tu do czynienia z jakimiś groszowymi zaklęciami służącymi do rabowania domów czy upozorowania morderstwa, żeby wyglądało na wypadek. To zaklęcia śmierci, takie, o jakich mówią stare księgi: okrutna magia, przez którą wszystkie dzieci, kobiety i mężczyźni w Dhamsawaacie, ba, nawet ptaki i zwierzęta, któregoś dnia zaczną się topić w powietrzu, a ich płuca pękają jak przegniłe owoce. Wojenne zaklęcia, które pozwalają jednemu człowiekowi zabić całą armię, które zmieniają krew we wrzący jad, a jelita w kobry. Ale to nie wszystko. Takie czary działają jak... jak soczewka. Człowiek, który umie ich używać, może zabić tysiące ludzi w ciągu

jednego dnia. A potem zaczerpnie plugawej mocy z tej wymuszonej ofiary, żeby zabić jeszcze więcej.

Na twarzy Litaz odmalowała się czysta groza, a Rasid nie wątpił, że na jego własnej pojawiło się to samo.

- Szaleństwo - powiedział w końcu. - Szaleństwo! Nawet gdyby, Boże broń, nawet gdyby wymordował cały Dhamsawaat, wszystkie inne krainy powstałyby przeciwko niemu. Su wysłałoby nasze legiony najemników, Niebiańska Armia Rughalba...

Oczy doktora były zimne jak kamienie. Węgielek fajki wodnej zasyczał i zgasł.

- Jeśli przejmie tron, nie będzie musiał się tym przejmować. Zostanie Namiestnikiem Zdradzieckiego Anioła Na Świecie. Armie nie będą w stanie go powstrzymać.

- Ale dlaczego? - spytała Zamia. - Dlaczego jakikolwiek człowiek, nawet okrutny, miałby to robić? Co może w ten sposób zyskać?

- Władzę - odparł doktor bez wahania. - To samo, co zyskuje, mordując bliźniego. To samo, co zyskuje władca, kiedy wysyła armie, żeby zabijały i ginęły. Władzę i obietnicę wiecznej sławy. To, co Zdradziecki Anioł oferuje swoim sługom. Chociaż ambicja tego człowieka to morze przy kałużach i stawach pospolitych morderców.

- Chwała Bogu - powiedział cicho Rasid - że kalifowie Abasenu czuli się wystarczająco bezpieczni w swoim majestacie i nigdy nie uciekli się do tych nikczemnych mocy.

Doktor głośno pierdnął.

- Och! Przepraszam! Ale może moje ciało zareagowało samowolnie na twoją głupią sugestię. - Pogroził derwiszowi palcem. - Naprawdę wierzysz, chłopcze, że kalifowie nigdy nie użyli tej mocy, bo powodowała

nimi prawość? Nie. Ludzie nie wyrzekają się władzy, a zwłaszcza kalifowie. Bez wątpienia nigdy nie wiedzieli o mocach tronu. Nadworni magowie byli zawsze nadętymi opryszkami, pokładającymi wiarę w prostej sile swojego magostwa. Nigdy nie byli wielkimi mędrkami czy badaczami. Obrzęd koronacji najpewniej trwa, jako spuścizna po przeszłości, pretekst do królewskiej pompy i ostentacji, podczas którego władza przechodzi nominalnie z pokolenia na pokolenie. Ale zgaduję - i za to chwałę Wszechlitościwego Boga - że ten zwój nie był przez nikogo czytany od setek lat. Litaz przycisnęła pięść do czoła.

- Aż do teraz - powiedziała. - Aż do teraz, kiedy został przeczytany nie tyle przez przygłupiego, niedoszęłego uzurpatora, ile przez potężnego sługę Zdradzieckiego Anioła. Więcej nawet, przez człowieka, który nosi drzazgę Zdradzieckiego Anioła w duszy.

Zamia wypięła łyk herbaty.

- Ale jeśli wiedza zawarta w tym zwoju jest takim sekretem, to skąd o tym wie Orszado?

Rasidowi zaimponowało, że powiedziała to z miną sugerującą raczej spokojną ocenę sił wroga niż strach.

- Ma swoje sposoby - powiedział doktor. Z kolei jego mina wyrażała największy lęk, jaki derwisz u niego widział. - Sposoby, których nie potrafi sobie nawet wyobrazić nikt, kto ceni swoją duszę. Zdradziecki Anioł obdarza mocami, których nie daje Bóg. Wymaga za to rzeczy, których zawsze wymagał. Strachu. Wnętrznosci niewinnych staruszek. Bólu. Powiek dzieci. Nie dla sług Zdradzieckiego Anioła księgi czy nieścisle plotki.

- Orszado - powtórzył Dawud głucho. - Kiedy dotknęłem tej krwi... Przysięgam, żadne z was nie zdaje sobie sprawy z głębi okrucieństwa, przed którym



stanęliśmy. Gdy zawładnie magią opisaną we zwoju, cały świat utonie we krwi w przeciągu tygodnia.

- „Sześć dni twoich, żeby stworzyć świat człowieka, sześć dni moich, żeby go zniszczyć” - wyrecytował Rasid. - Wyzwanie, które Zdradziecki Anioł rzucił Bogu, kiedy ten go wygnał.

Zawsze miał nadzieję wziąć udział w walce o tak wysoką stawkę. Teraz jednak odkrył, ku swojemu wstydowi, że zmienił zdanie.

- W takim razie musimy go powstrzymać - stwierdziła Litaz rzeczowo. - Z powodów zarówno niebiańskich, jak i doczesnych. Nowy kalif to głupiec i morderca, ale jego syn... To on wpadł w zeszłym roku na pomysł, żeby zbudować schroniska dla biednych po drugiej stronie placu Łuczników. Żeby postawić tam hospicjum dla ludzi z ulicy. To małe gesty, ale i tak więcej, niż robił jego ojciec. Podobno to uroczy chłopiec pełen miłości do zwykłych ludzi.

Doktor prychnął.

- Daj mu jeszcze dziesięć lat w pałacu i to się zmieni! Nie mogę powiedzieć, że mnie raduje perspektywa ruszenia na ratunek kalifowi czyjego gówniarzowi.

Litaz przewróciła oczami.

- Nie robimy tego dla nich, Adullo. Wiesz o tym. I nie mamy wyboru.

Dawud podniósł filiżankę, dopił resztkę herbaty.

- W takim razie idziemy do pałacu - powiedział. - Choć nie będzie nam łatwo doprosić się o audiencję, nieważne ile szalonych ostrzeżeń przyniesiemy. Zwłaszcza po mojej ostatniej wizycie. Będziemy mieli szczęście, jeśli nas samych nie wezmą za zamachowców. Run Hedaad to dobry człowiek, ale jego gwardziści z radością naszpikują nas bełtami z kusz przy

pierwszym pretekście. A nawet jeśli się przez nich jakoś przedostaniemy, kalif nas nie przyjmie. Adulla spochmurniał.

- A jeśli kalif jednak nas wysłucha? Jeśli jakimś cudem powstrzymamy tego Orszada? Wtedy jego plugawa moc przypadnie kalifowi. Ktoś tutaj wątpi, że byłby zdolny zabić własnego syna, żeby to osiągnąć?

Rasid chciał powiedzieć, że to niemożliwe, ale wiedział, że doktor by go wykpił. A kiedy się nad tym zastanowił, stracił pewność, czy mógłby wypowiedzieć takie słowa bez fałszu. Przez długą chwilę nikt inny też nie odpowiadał łowcy ghuli. Potem Dawud wstał.

- To bez znaczenia. Możemy jedynie zrobić to, co wiemy, że musimy zrobić, a resztę pozostawmy w litościwych rękach Boga Wszechmogącego.

- Tak, jakie to proste - zadrwił doktor. - Musimy tylko pokonać najpotężniejszego twórcę ghuli, jakiego kiedykolwiek napotkaliśmy. A przy okazji zabić jego nieśmiertelnego potwora.

- Potwór Mouw Awa nie jest nieśmiertelny, doktorze - rzekła Zamia głosem przypominającym warkot. - Jeśli Bóg pozwoli, ja to udowodnię.

Serce Rasida zabiło mocniej na te odważne słowa. Doktor pogładził brodę.

- Tak, Zamio Banu Laith Badawi, oby Bogu się tak spodobało. Ledwie kilka dni temu ten stwór posłał cię na łożo, na wpół martwą. Twoje leczenie, chwalić Boga, przebiega cudownie pomyślnie. Myślisz... - głos doktora złagodniał; Rasid nigdy dotąd nie słyszał podobnego tonu w ustach łowcy - ...myślisz, że możesz znów przybrać kształt lwa?

W szmaragdowych oczach Zamii stanęły łzy, ale nie popłynęły. Rasida zemdliła świadomość, że chce

- straszliwie! - podejść do niej i objąć ją tak, jak robili to czasem mężczyźni obejmujący kobiety na ulicach Dhamsawaatu. Twarz dziewczyny wykrzywi! smutny grymas.

- Nie wiem, doktorze. Co miesiąc przez kilka dni, kiedy jestem... kiedy przychodzi czas na kobiece sprawy... nie mogę przyjąć kształtu. Wczoraj był ostatni z tych dni. Nawet gdybym nie była ranna, nie mogłabym się przemienić, dopóki słońce nie znalazłoby się dziś w najwyższym punkcie. Kiedy jednak przyjdzie południe, spróbuję. Jeśli, niech Bóg Wszechmogący broni, nie uda mi się, przynajmniej zginę, próbując.

Rasid nie mógł uwierzyć - każą dziewczynie mówić o tak wstydliwych rzeczach, a potem jeszcze mieliby żądać, żeby się poświęciła!

- Doktorze, ostatnim razem, kiedy zmierzyliśmy się z tym stworem, omal nie zginęła! Nie możemy jej prosić...

Warkot dziewczyny był głośniejszy niż wszystkie dotychczasowe pomruki.

- Nikt mnie o nic nie prosi, Rasidzie bas Rasid. Sytuacja jest, jaka jest. Znam mordercę swojej gromady. Przez moją własną nieuwagę raz uciekł. Drugi raz się to nie powtórzy.

Doktor kiwnął głową.

- Czasami nawet ślepiec może dostrzec działanie ręki Boga. Mouw Awa musi zostać zniszczony. Co do tego nie ma wątpliwości. A Anioły Boga dały nam ku temu właściwą broń. „Obalać mur, kiedy Bóg wskazuje drzwi, to wysiłek głupca”.

- Czyli jest, jak jest - wtrącił Dawud głosem suchym i rzeczowym. - Zamio, udasz się z nami do pałacu, a jeśli natkniemy się na Mouw Awę, twoim zadaniem będzie go zabić.

Starcy poszli się przygotować, a Rasid został sam z Zamią. Kiedy tylko tamci wyszli, Zamią podeszła do niego, a on musiał stoczyć wściekłą walkę sam ze sobą, żeby nie wdychać jej zapachu zbyt mocno. Kiedy się odezwała, podskoczył zaskoczony.

- Rasidzie bas Rasid - powiedziała cicho - zanim pójdziemy na śmierć, chcę ci zadać pytanie.

-Tak?

- Czy rozumiesz, że skoro mój ojciec nie żyje, musisz zapytać mnie bezpośrednio, jeśli pragniesz mojej ręki?

Rasid poczuł się, jakby ktoś wbił mu w brzuch miecz.

- Ja... ja... dlaczego pytasz, mówisz... ?

Nie potrafił przekuć myśli w słowa. Ale dziewczyna tylko wzruszyła smukłymi ramionami.

- Niebiańskie Rozdziały mówią: „O kobieto! Zadaj sto pytań swojemu zalotnikowi i sto pytań sobie samej”.

- Zalotnikowi? - Rasid nigdy w życiu nie czuł się tak zagubiony. W jego duszy zmagало się dziesięciu różnych mężczyzn. - Niech mi Bóg wybaczy, Zamio Banu Laith Badawi, jeśli zachowałem się w sposób... jeśli zhańbiłem cię przez...

- Zhańbiłeś? - Zrobiła zdziwioną minę, co jeszcze bardziej go zmieszało. - A co to ma wspólnego z hańbą? Widziałam po prostu, jak na mnie patrzysz. Jediną hańbą byłoby tu kłamstwo. Czy mogę...?

Przerwała, słysząc zbliżające się z drugiego pokoju ciężkie kroki doktora.

- Jeśli Bóg pozwoli nam przeżyć ten dzień, znów o tym pomówimy - powiedziała szybko, a potem formalnie skinęła mu głową, kończąc na tym rozmowę.

Rasid zajął się swoimi ćwiczeniami oddechowymi - bardziej niż kiedykolwiek potrzebował spokoju, który mu dawały. Rozciągał się, szykował umysł i ciało do bitwy i zastanawiał się, czy zginie tego dnia, czy też może będzie żył dalej z duszą pełną haniebnych żądz. I nie wiedział, co bardziej spodobałoby się Bogu.

### CZEŚĆ III

Świat był zbudowany z bólu, a dusza gwardzisty ulepiona ze strachu. Jak długo siedział bez ruchu w kotle, z głową tylko wystającą nad kipiący, czerwony blask? Jak przez sen pamiętał niewielkie łyki wody i kleiku. Jakaś mała, wciąż myśląca część jego umysłu podpowiadała mu, że jest podtrzymywany przy życiu, podczas gdy jego ciało macerowało się powoli w roziskrzonym, rubinowym oleju.

Chudy człowiek w brudnym kaftanie był obok, trzymał rozchyloną sakwę z bogatego, czerwonego jedwabiu. Przy nim stał cień-szakal. Chudy mężczyzna opróżnił sakwę do kotła. Kości i czaszki - ludzkie, ale za małe na kości dorosłych - wysypały się z upiornym klekotem. Kruche czaszki, maleńkie klatki żeber i kości palców...

Głos istoty-cienia znów zapiszczał w głowie gwardzisty.

*Słysz słowa Mouw Awy, który przemawia za swojego błogosławionego przyjaciela. Tyś jest uczczonym gwardzistą. Spłodzonym i zrodzonym w Pałacu Półksiężycy. Tyś zaprzysiężony w imię Boga, aby go bronić. Wszyscy, co pod tobą, mają służyć.*

*Zaiste, widzisz kości dzieciątek. Osesków, karmionych, karmionych, a potem skrwawionych. Wszystko to, aby strach wiat od ciebie tak jak teraz.*

*Słysz słowa MouwAwy. Jego błogosławiony przyjaciel czekał tak długo na Tron Kobry. Najkrótsze dni przychodziły i odchodziły, i odchodziły i przychodziły. A żaden nie był, jaki powinien być. Mouw Awa, człek-szakał, zna dobrze udrękę czekania. Pomógł wybawić swojego błogosławionego przyjaciela od czekania, tak jak jego błogosławiony przyjaciel pomógł Mouw Awie.*

Chudy mężczyzna coś podpałił. Dym szczypał gwardzistę w oczy, a człowiek-szakał monotonicznie mówił dalej.

*Zaiste, czujesz woń czerwonej mandragory i wspominasz strach. Czujesz woń dymu z czarnego maku i wspominasz ból.*

I nagle gwardziście wróciła pamięć. Był Hamim Samadem, zastępcą kapitana gwardii, i nie mógł zrobić nic, oprócz błagania o życie przez spękane gardło.

- Proszę, panie! Powiem ci, co zechcesz! O kalifie, o pałacu!  
- Zaczął szaleńczo łkać. - Chronicie mnie, Anioły Opiekuńcze!  
Boże, uchronij mnie!

Chudy mężczyzna przyglądał się Hamiemu Samadowi wzrokiem jak czarny lód. Gwardzista poczuł, że chude palce tamtego brutalnie chwytają go za włosy. Oczy mężczyzny uciekły pod czaszkę, ukazując tylko białka. Pomieszczenie wypełnił straszliwy dźwięk, jakby tysiąc ludzi i zwierząt wyło naraz.

Rozległ się odgłos rozdzierania, a potem uderzył ból palący tysiącokrotnie bardziej niż wszystko, czego gwardzista dotąd doświadczył. Niemożliwe - poczuł, że jego głowa odrywa się od ciała. Niemożliwe - usłyszał własny głos.

- JAM JEST PIERWORODNE NASIENIE ANIOŁA, ZASIANE W CHWALEBNYM BÓLU I BŁOGOSŁAWIONYM STRACHU. ZEBRANE DŁONIA JEGO SŁUGI ORSZADA. SKÓRY TYCH, CO PODE MNA, BĘDĄ POSŁUSZNE MUZYCE MEGO SŁOWA. WSZYSCY, CO PODE MNA, MAJĄ SŁUŻYĆ.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, było bezgłowe ciało Hamiego Samada w wielkim żelaznym kotle, tryskające krwią, która mieszała się z płynnym, czerwonym blaskiem kipiącego oleju.



## ROZDZIAŁ 1

Słońce było w połowie drogi po niebie, a jego żar już dawał się we znaki. Dawud pocił się i sapał, żeby nadążyć za dwójką młodych wojowników i swoją niestrudzoną żoną. On i Adulla szli parę kroków za pozostałymi; łowca ghuli oddychał prawie tak samo ciężko jak Dawud. Przed nimi Litaz rozmawiała cicho z Zamią i Rasidem, ale Dawud i jego stary przyjaciel milczeli, oszczędzając oddech.

Minęła godzina, słońce wspięło się trochę wyżej. Minęli duży, brukowany karawanseraj, oznaczający wejście do Dzielnicy Pałacowej. Przed nimi grupa kupców kłóciła się głośno z poborcami myta.

- Widzisz, bracie mój? - spytał cicho Adulla. - Nie tylko do biednych trafiają słowa Księcia Sokołów. Kalif sam sobie wysiał łoże skorpionami. Swoimi podatkami i kolejkami do cła na pół dnia stania zniechęci! do siebie nawet drobnych kupców. Ten drobiazg tylko czeka na pretekst, żeby dołączyć do ruchu poparcia dla Księcia.

Dawud się zaśmiał.

- To by dopiero był sojusz! Jak zła przepowiednia: „O strzeż się dnia, kiedy złodzieje i sklepikarze legną w jednym łożu!”

Adulla zerknął na niego z ukosa.

- To wcale nie jest takie niemożliwe. Książę zawsze był śmiały. Za cel wybierał tych, co mają najgrubsze kiesy, ludzi, których krzywda ucieszy większość kramarzy i średnich kupców.

Droga biegła wzdłuż nowego kanału, który przekopano od Rzeki Tygrysiej. Dawud szturchnął Adullę i wskazał płynące małe łódki; wiedział, że jego przyjaciel nie widział jeszcze tego niedawno wybudowanego cudu. Szybki, czarodziejsko popychany nurt, na którym podskakiwały łódeczki, napędzał wielkie koło.

- Po krętej drodze, czarami przewiewającymi i miedzianym rurociągiem, tutaj trafia smród, który co miesiąc nawiedza naszą okolicę. Ta machina jest w stanie zemleć tyle zboża, ile dziesięć normalnych młynów.

Adulla prychnął.

- Tak, czysty koniec kijka do grzebania w gównie. Oczywiście cały zysk z tego potwora trafia do skarbcza kalifa. A my idziemy ratować dynastię tego kurwiego syna.

- Cicho! - syknął Dawud, bo z bocznego zaułka wyszedł strażnik. Nieuprzejmie przeciął im drogę, nawet na nich nie spojrzawszy.

Wszyscy się zatrzymali, żeby go przepuścić. Podeszli do koła. Hałas, który robiło - skrzypienie drewna, plusk wody, jęk łańcuchów - był ogłuszający. Faktycznie, był to potwór. Trudno było uwierzyć, że to dzieło rąk ludzkich.

Potem minęli marmurowy łuk i na setki metrów przed nimi rozciągnęła się ulica z gładkich, białych kamiennych płyt, szeroka na sześciu jeźdźców. Na końcu tej drogi, szerszej niż sama ulica Główna, leżał otoczony wysokim murem Pałac Półksiężycy. Jak zwykle

przykuł uwagę Dawuda, choć mag był tu zaledwie wczoraj.

Tym razem jednak jego wzrok przyciągało przede wszystkim cienie, srebrzyste wrzeciono minaretu nadwornych magów. „Tyle miejsca dla siedmiu ludzi, kiedy mogłoby tam mieszkać siedemdziesięciu”. Kalifowie Abasenu najwyraźniej nigdy nie dowiedzieli się o straszliwej mocy, która od pokoleń spoczywała nietknięta dosłownie pod nimi. Co jednak wiedzieli nadworni magowie? Jak wpasowywali się w ten szalony ciąg magicznych wydarzeń? Dawudowi zakręciło się w zmęczonej głowie od nawału przeklętych kombinacji.

Kiedy szli długą drogą do bram pałacu, przeniósł uwagę na Rasida. Chłopak co chwilę zerkał na dziewczynę, a potem uciekał spojrzeniem na kamienie pod stopami. „Martwi się o jej bezpieczeństwo. Zastanawia się, jak wypełnić swoją powinność i jednocześnie chronić dziewczynę”. Dawuda zaniepokoiło niemaskowane uczucie derwisza do Zamii. Mag przyjął zapewnienia żony, że oczywiste uczucie między dwojgiem młodych nie będzie utrudnieniem; że „to dzięki miłości wszystko inne ma sens”, chociaż miłość młodych ludzi bywa porywczą głupotą. Nie, to nie zainteresowanie Rasida dziewczyną martwiło Dawuda. Niepokoiło go wyraźne zmaganie derwisza z podobnym zainteresowaniem i związane z tym jego wątpliwości. Szli polować na potwory w Pałacu Półksiężycy. W takiej sytuacji wahanie mogło oznaczać śmierć całego świata.

Od bramy prowadzącej na pałacowe dziedzińce dzieliło ich kilkanaście metrów, kiedy zatrzymał ich szarooki oficer gwardii.

- Stać! Kim jesteście, że śmiecie zbliżyć się do pałacu Obrońcy Cnót z bronią? - Dłoń mężczyzny opadła gładko na głowicę miecza.

- Pokój Boga, gwardzisto. Jestem Dawud, syn Wadzida, przyjaciel kapitana Hedaada. Muszę natychmiast z nim porozmawiać. Spodziewa się mojej wizyty. - Była to prawda na tyle, że mag mógł to powiedzieć z pełnym przekonaniem.

- Kapitan Hedaad? - Gwardzista zrobił niepewną, choć nie nieprzyjazną minę. - Cóż, nie mogę zejść z posterunku, wuju. Ale jeśli naprawdę masz sprawę do kapitana, pošlę po niego.

- Byłoby świetnie. Ale sprawa jest bardzo pilna, więc pospiesz się, proszę.

- Zrobię, jak mówisz.

Dawud był gotów wcisnąć komuś parę srebrników, żeby przekazać wiadomość Runowi. Najwyraźniej jednak los się do nich uśmiechnął. W godzinie potrzeby napotkali uczciwego gwardzistę. Dobrze było widzieć, że podczas szalonej misji w kraju, który nie był nawet jego własnym, słudzy Abasenu zachowują się tak, jak powinni.

Młody oficer przywołał do siebie szczupłego gwardzistę.

- Kasin! Zanieś wiadomość kapitanowi Hedaadowi, że...

- A dlaczegoż to niepokoiimy kapitana? - przerwał niejasno znajomy głos.

„W imię Boga, nie!”

Minister dworu kalifa o pociągłej twarzy podszedł w otoczeniu pół tuzina gwardzistów. „Co on tu robi, na Boga?”

- Co my tu mamy? - ciągnął minister. Szarooki oficer zaczął wyjaśniać, ale dostojnik machnięciem ręki

odesłał go do wartowni. Potem odwrócił się do Dawuda.

- Zostałeś ostrzeżony, żeby trzymać się z dala od pałacu, starcze. Zamiast tego wróciłeś tu z uzbrojonymi przyjaciółmi! Jesteś albo szaleńcem, albo najpodlejszym zdrajcą.

Dawud wiedział, że lepiej nie próbować opowiadać temu człowiekowi o niebezpieczeństwie, które zawisło nad tronem.

- Tysiąckrotne przeprosiny, wasza eminencjo. Jestem tu tylko dlatego, że muszę się zobaczyć z Runem Hedaadem.

Słyszał, że jego przyjaciele przestępują za nim nerwowo z nogi na nogę. Minister zmrużył oczy.

- Kapitan jest zajęty. A ty zdradziecko zlekceważyłeś jasne życzenie jego wysokości. Twoja przyjaźń z kapitanem tego nie zmienia. Gwardziści! Brać ich!

Dawud usłyszał, że Rasid mamrocze modlitwę. Zamia warknęła. Mag spojrział pytająco na żonę i Adullę, zadając pytanie w bezsłownym prawie-języku, który wytworzyli sobie przez dziesiątki lat wspólnej walki. „Co teraz zrobimy?”

Jednak ani jego żona, ani Adulla nie mieli żadnej odpowiedzi. I tak naprawdę nie mogli zrobić nic. Nawet gdyby udało im się jakoś pokonać oddział gwardzistów, przybiegliby następni i przyjaciele zginęliby, nie przekroczywszy nawet bramy pałacu. Ich jedyną nadzieją było na razie się poddać i czekać na sposobność - albo stworzyć taką okazję - do przekazania wiadomości Runowi Hedaadowi.

Gwardziści zabrali sztylet żony Dawuda i miecz Rasida, a potem, pod grotami nadstawionych włóczni,

poprowadzili ich z dala od bramy. Dawud przeklął powolność swojego rozumu i zobaczył własną frustrację odbitą w oczach żony i Adulli. Mogli się uwolnić - w trójkę zniszczyli Złotego Węża Kemitów i pokonali całą bandę Niewidzialnych Rabusiów. Ci tutaj byli jedynie uzbrojonymi ludźmi. Musieli tylko wymyślić, jak...

Przerwał rozmyślania, kiedy dotarło do niego, że minister i gwardziści prowadzą ich w kierunku przeciwnym do pałacu. To nie mogło oznaczać nic dobrego. Po kilku minutach znaleźli się całkiem daleko od bramy, w odludnym zaułku Dzielnicy Pałacowej, przed małym, pozbawionym okien budynkiem o żelaznych drzwiach z kratą. Minister otworzył je osobiście trzema małymi kluczami. Weszli do środka, a gwardziści zamknęli za nimi drzwi.

Adulla pierwszy odzyskał mowę.

- Na Boga, po co nas tu przyprowadziliście? Zwalisty gwardzista szturchnął go drzewcem

włóczni i kazał mu się zamknąć. Minister, wciąż bez słowa, wyszedł na środek pomieszczenia i podniósł zakurzony, stary dywan. Pod spodem była metalowa krata, którą otworzył jeszcze jednym kluczem. Choć zakurzona, krata otworzyła się bezgłośnie. Pod nią znajdowały się prowadzące w dół schody szerokie na dwóch mężczyzn. „Bez wątpienia wiodą do jakiejś zawilgłej nory, w której będą mogli nas zabić tak, żeby kapitan gwardii o niczym się nie dowiedział”.

- Dość tego! - krzyknęła nagle Zamia, najwyraźniej dochodząc do tych samych wniosków. Wyprostowała się dumnie, usiłując, jak zauważył Dawud, ukryć klucze w boku. - Czuję od was zdradę! Banu Laith Badawi nie da się zaprowadzić na rzeź bez słowa, jak jakiś zahukany mieszczech!

- Powiedziałem CICHO! - warknął ten sam gwardzista, który poprzednio szturchał Adullę. Podkreślił ostatnie słowo o wiele okrutniejszym ciosem drzewca włóczni w plecy Zami. Dziewczyna krzyknęła i zachwiała się, ale nie upadła.

Dawud nie zobaczył nawet, jak Rasid się poruszył. Ujrzał po prostu, że mały derwisz nagle podnosi wielkiego gwardzistę jedną ręką za gardło. Jeśli kiedykolwiek wątpił w opowieści Adulli o nadludzkich zdolnościach jego asystenta, teraz w nie uwierzył.

Rozległ się szcęk broni i z otworu w podłodze, niczym mrówki z mrowiska, wybiegła grupa uzbrojonych mężczyzn. Wraz z pozostałymi gwardzistami otoczyli Dawuda i jego przyjaciół.

Nowo przybyli byli uzbrojeni w noże i pałki. Nosili zwykłe stroje robotników czy czeladników, choć tu i tam Dawud dostrzegł dziwnie niepasujące ozdoby: jedwabną chustę na szyi chudego człowieka przed sobą, haftowaną kamizelkę na niskim, ale wyglądającym na hardego chłopaku po prawej. W równo odległych punktach kręgu pospolicie odzianych opryszków stały postacie w jakiegoś rodzaju liberii. Jedną z nich była brzydka kobieta, wysoka i krzepka jak mężczyzna. Wszyscy oni mieli identyczne stroje, obcisłe lniane bryczesy i tuniki do pół uda w kolorze mokrego piasku. Na przedzie każdej z nich widniał nadrukowany kształt czarnego, szybującego sokoła. Wybrańcy byli lepiej uzbrojeni niż inni. Każdy dzierżył porządny kordelas, a chronił go mały puklerz z plecionego drutu.

Wśród nowo przybyłych zahuczał donośny głos:

- Puść tego człowieka, panie derwiszu! Przyprowadził cię tu, żebyśmy porozmawiali, więc zacznijmy rozmawiać!

Na środek pomieszczenia wystąpił Faraad Az Hammaz, Książę Sokołów. Poruszał się jak ciecz ujęta w ludzki kształt, choć mierzył ponad dwa metry wzrostu i miał grube, węzłaste ramiona kowala. Dłoń trzymał na czarno-złotym jelcu swojej szabli. Rasid puścił gwardzistę, który uderzył Zamię, i mężczyzna runął na ziemię, chwytając się za szyję i rozpaczliwie usiłując złapać oddech.

Dawud miotał się w myślach jak mały chłopiec grający w Pobij Ślepca.

- Ty... ty... - Odwrócił się do ministra o pociągłej twarzy. - Ty pracujesz dla niego?

Minister skrzywił się i nic nie powiedział, ale Książę skłonił się niedbale Dawudowi i jego przyjaciołom. Położył masywną dłoń na ramieniu Adulli.

- Jakie były szanse, wuju, że znów się spotkamy w podobnych okolicznościach? - spytał. - Że obserwując nikczemnych odźwiernych pałacu, moi ludzie wypatrzą twój oślepiająco biały kaftan w tłumie? I że przyjdiesz w tak niespotykanym towarzystwie? „Az - powiedziałem sobie - jakie są szanse? Coś musi się w tym kryć. Porozmawiajmy z doktorem i zobaczymy, co to takiego”.

Jeden z mężczyzn w liberii z sokołem - krzepki człowiek o tylko jednym uchu - odezwał się:

- Owszem, panie, szansa była niewielka. Tak mała, że aż nabrałem podejrzeń. Śmierdzi mi tu zasranym paluchem kalifa, a to nie jest dobry dzień na niespodzianki. Cała twoja praca, panie, wszystkie te lata, wszystko to prowadziło do dzisiejszego dnia. Już skrzywdzili jednego z naszych. - Wskazał wciąż krztuszącego się gwardzistę. - Jakby mnie kto pytał, najbezpieczniej byłoby ich pozabijać.



Pragmatyzm w jego głosie zmroził Dawuda. Przez długą chwilę Książę Sokołów przyglądał węża i wydawał się rozważać propozycję swojego porucznika. Jednak kiedy się odezwał, jego brązową twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Nie. Nie, Łamignacie, to by była okropnie mizerna zapłata dla doktora, który zaledwie kilka dni temu szlachetnie zwiódł strażników, żeby uratować mi skórę. I byłaby to niedobra podstawa naszego nowego zgromadzenia. Poza tym ten człowiek zasłużył sobie na duszenie. Uderzyć nieuzbrojoną dziewczynę!

Książę cmoknął z niesmakiem, choć jednocześnie pomógł gwardziście wstać.

„Zwiódł? O czym on mówi?” - zdziwił się Dawud. Nie wyobrażał sobie, żeby jego stary przyjaciel został współnikiem Księcia Sokołów. Do tego choć spodziewał się, że asystent Adulli wykorzysta okazję do konfrontacji z najbardziej poszukiwanym przestępcą w mieście, chłopak stał dziwnie nieruchomo, jakby paraliżował go jakiś wewnętrzny konflikt.

- Obawiam się jednak - ciągnął Książę - że wszyscy jesteście moimi więźniami. A jeśli naprawdę pracujecie dla nowego kalifa, tego niedobrego syna na wpół dobrego człowieka, muszę was ostrzec: nie jestem tak głupi, żeby was nie doceniać. Nawet ciebie, dziewczyno. - Obrócił się do Zamii i wulgarnie zmierzył ją wzrokiem. - Bo może kryje się w tobie coś więcej, niż widać na pierwszy rzut oka, co? - Odwrócił się z powrotem do Adulli. - A więc po co tu przyszliście?

„Co mamy teraz zrobić? - zaczął się znów zastanawiać Dawud. - Co powiedzieć, a czego nie?”

- Jesteśmy tu - zaczął Adulla - bo przeczytaliśmy ten sam zwój co ty. Bo wiemy, tak samo jak ty, że Tron Półksiężycy był kiedyś Tronem Kobry.

„No, to dylemat się rozstrzygnął”.

Książę Sokołów szeroko otworzył ciemne oczy.

- Zdumiewające. Nieczęsto bywam zaskoczony, wuju, ale tobie się udało. Jednak ta wiedza tym bardziej oznacza, że muszę was uwięzić, dopóki cała sprawa nie zostanie załatwiona.

Bandyta rozłożył przed sobą puste dłonie i skrzywił się przepraszająco. Spojrzenie Adulli było tak mroczne, że nawet nieporuszony Książę cofnął się o krok.

- Faraadzie Az Hammazie, posłuchaj mnie. Nie tylko my wiemy o mocach tronu. Słyszałeś, jak ludzie opowiadają o mnie i o niebezpieczeństwach, od których wybawiałem ich przez lata. Teraz mówię ci, że moc tronu chce osiąść ktoś jeszcze. Ktoś, kto zaatakuje pałac w najkrótszy dzień roku. Człowiek, który jest zarazem czymś więcej i czymś mniej niż człowiekiem. Człowiek, którego moce są większe i okrutniej sze, niż moce wszystkich magów i twórców ghuli, jakich kiedykolwiek napotkałem. Nazywa się Orszado i jeśli on i jego potwory dotrą do tronu przed tobą, klnę się na Boga, że cię nietoperzych skrzydeł Zdradzieckiego Anioła przykryje nas do końca naszych dni i wszystkich, które po nich nastąpią.

Przez chwilę Książę wydawał się autentycznie przejęty, jednak jego uśmiech szybko powrócił.

- Zdradziecki Anioł, wuju? Przepraszam, ale nie mam czasu na taką pompatyczną tajemniczość! Jestem wrogiem zdradzieckiego człowieka! Zdradzieckiego kalifa!

- A nie martwi cię dziwna śmierć twoich ludzi i żebraków, których przysięgłeś chronić? - spytał Adulla.

Nagle szabla Księcia wyskoczyła z pochwy.

- Co o tym wiesz, starcze? Jeśli przyłożyłeś rękę do tych plugawych morderstw, nie obejdziemy się z tobą łagodnie.

- Klnę się na Boga, że nie przyłożyłem. Przeciwnie, chcemy ubić nikczemne istoty, które to zrobiły.

Książę Sokołów popatrzył na niego przenikliwie, a potem schował szablę.

- W takim razie, wuju, musimy porozmawiać.

- Czujnie rozejrzał się po pozbawionym okien pomieszczeniu. - Ale nie tu. Ty i twoja grupa pójdziecie z nami.

Ludzie Księcia sprowadzili ich po schodach na środku pomieszczenia. Weszli do kamiennej piwnicy, a minister o pociągłej twarzy znów wyszedł na środek. Z rękawa wyciągnął cienką różdżkę i na kurzu podłogi nakreślił ciąg symboli. Dawud rozpoznał działanie magii i nie był bardzo zaskoczony, kiedy pozornie lity kamień posadzki bezgłośnie się rozsunał, ukazując opadający ostro tunel. Minister pożegnał się serdecznie z Księciem i wrócił na górę z dwoma gwardzistami.

Z kolei Dawud i jego przyjaciele bez słowa zostali sprowadzeni tunelem, który wkrótce przestał opadać. Kilka minut później znaleźli się w pomieszczeniu wielkości sali powitalnej niedużej gospody, z którego przeciwległego końca wychodził następny korytarz. Ludzie Księcia Sokołów wydobyli bezdymne pochodnie - kosztowny produkt alkemików - i ustawili się pod ścianami.

- Tutaj naszych słów nie usłyszą żadne uszy na górze - powiedział Książę, w końcu zatrzymując grupę.

- Zaczekamy tu na wieści od moich ludzi w pałacu. A ty, wuju, opowiesz mi bajkę.

Czekając na sygnał od agentów Księcia, Adulla i Litaz opowiedzieli bandycie wszystko to, czego dowiedzieli się o Mouw Awie i Orszadzie, choć nie było tego wiele. Dawud trzymał się z tyłu z Zamią i wciąż dziwnie milczącym Rasidem; nie słyszał wszystkich pośpiesznie wypowiedzianych słów, ale doszło go pytanie zadane przez jego żonę:

- Rozumiesz, co prawdziwi słudzy Zdradzieckiego Anioła mogliby zrobić z tą samą mocą, którą ty chcesz osiąść?

Nigdy nie potrafił zmieniać swojego tonu tak jak Litaz - od stali do miodu i z powrotem, zależnie od wymogów sytuacji. W ich wspólnym, dziwnym życiu to zawsze ona zajmowała się mówieniem, chyba że trzeba było nastraszyć kogoś niewesołymi prognozami. W takich przypadkach Dawud wykrzywił złowrogo twarz i wywracał oczy.

- Będziesz potrzebował naszej pomocy - powiedział w końcu Adulla. - Polowanie na ghule to nie twoja dziedzina, Faraadzie Az Hammazie.

Uznawszy, że ślodzenie i prośby dobiegły końca, Dawud wysunął się do przodu. Księżę rzucił mu spojrzenie, ale odpowiedź skierował do Adulli.

- Opowiadasz mi o ghulach, wuju. Ale prawdę mówiąc, te stwory wcale nie są straszniejsze niż widok własnych dzieci umierających na brudnym posłaniu od szcurzych ukąszeń. Nie bardziej przerażające niż konieczność uduszenia swojego papy we śnie, żeby zakończyć cierpienie płynące z choroby, którą można by wyleczyć, gdyby się miało pieniądze. Nie gorsze niż strata odrąbanej dłoni za zwędzenie bochenka chleba, bo z głodu zaczęło się bredzić jak szaleniec.

- Twoje popisy nie... - zaczął Dawud.

- To nie są popisy! - zagrział wielkolud. - To prawda! Życie w Dhamsawaacie! Mogę was zaprowadzić do tego chłopca w każdej chwili! Dziesięć lat i tylko jedna ręka. Umarłby od rany gdyby moi ludzie jej nie opatrzyli. Śmierdzący strażnicy nie pozwolili mu nawet zatrzymać piętki tego bochenka. - W jego hebanowych oczach coś złowrogo zalśniło. - Wymagało trochę pracy, żeby poznać imiona tych strażników, ale znaleźliśmy ich, o tak.

Dawud zadrżał, widząc jego uśmiech.

- Tacy złoczyńcy - ciągnął Książę Sokołów - takie potwory stają przed wami codziennie. Ale jeśli nie syczą i nie mają kłów z robactwa, nie warto z nimi walczyć, tak? Magia bólu, magia śmierci... Czerpią moc z tortur i strachu, tak? Głód. Pobicia. Zmuszanie ludzi do mieszkania w ciasnych skrzynkach. W czym kalif jest inny? Bo w wolniejszym tempie poświęca cudze życie dla swojej władzy? Bo skrzynki-mieszkania robotników w garbarni są trochę większe?

Adulla się zachnął.

- Nie udawaj, że jesteś tak samo tępy jak ten kurwi syn kalif, którego masz za głupca! Sługa Zdradzieckiego Anioła, który zamordował twoich ludzi, szuka tego samego co ty. Może już jest w pałacu. A tylko ja i moi przyjaciele możemy go powstrzymać.

- Cóż, znasz się na sprawach, o których ja nic nie wiem, wuju. Dobrze, rób, co chcesz. Ale twoi szpiedzy - kimkolwiek są, a o tym też któregoś dnia będziemy musieli porozmawiać - nie powiedzieli ci wszystkiego. Moc Tronu Kobry jest straszliwa. Ale mamy inne wyjście. Tak jak krew następcy człowieka, który został koronowany na tym tronie, może dać komuś wielką, lecz okrutną władzę, tak i ten sam następca może dobrowolnie

przekazać dobrą magię tronu. A owa magia jest równie wielka. Moc uzdrowienia setek trędowatych w czasie jednego uderzenia serca. Nakarmienia tysiąca ludzi chlebem i rybami. Niektóre źródła twierdzą, że tron potrafi nawet wskrzeszać zmarłych. Następca musi tylko na nim zasiąść, chwycić kogoś za rękę i powiedzieć, że chce przekazać mu moc tronu. Wyobraź sobie, co człowiek z taką mocą w rękach i uczciwymi, mądrymi doradcami u boku mógłby zrobić dla naszego miasta. Mógłby... Dawud nie mógł tego dłużej słuchać.

- Nawet jeśli twoje słowa są prawdziwe, to szaleństwo. Bez wątpienia masz w pałacu ludzi gotowych do działania na twój rozkaz. Ale kiedy gwardziści będą z nimi walczyć, Orszado i jego stwór zaatakują, i wszystkie spory między ludźmi stracą znaczenie.

Adulla przeciągnął dłonią po brodzie i wbił wzrok w Księcia Sokołów. Naprawdę rozważał jego zdradziecki plan!

- Adullo... - zaczął Dawud, ale stary przyjaciel uciszył go podniesioną dłonią.

- Dawud, syn Wadzida ma rację - odezwał się łowca ghuli. - Igrasz tu z życiem całego świata, Faraadzie Az Hammazie. Kiedy przedwczoraj pomogłem ci uciec przed strażnikami, powiedziałaś, że mam u ciebie dług. Teraz proszę...

Wielki bandyta ryknął śmiechem.

- Wuju, naprawdę sądzisz, że potrzebowałem twojego ratunku? Mogłem im uciec przez sen i na jednej nodze! Zobaczyłem cię w tym zaułku, wiedząc, kim jesteś, i postanowiłem poświęcić chwilę, żeby sprawdzić, w którą stronę u ciebie wieje wiatr.

- Wiatr mi wieje z tyłka, człowieku! Ale w przeciwieństwie do ciebie nie oszukuję się, że to perfumy.

Twój plan jest szalony, a ty ryzykujesz istnieniem miasta, które podobno kochasz. Proszę, żebyś odwołał rozkazy.

- Jestem ci coś winien za twoje intencje, jeśli nie za pomoc, wuju. Ale nie jestem takim głupcem, żeby odpłacać dirhemem za dinara! Poza tym, jak twój asystent zaświadczy, już ten dług spłaciłem. Czy może ten wzór uczciwości to przed tobą zataił?

- Książę zacmokał do derwisza, a Dawud nie miał pojęcia, czego dotyczy ta aluzja. - Cóż, „duma potrafi związać język nawet uczciwemu”, więc nieważne. Ale nawet jeśli to, co mówisz, jest prawdą, wuju, a połowa mojego serca tak uważa, to nie ma żadnego przeklętego sposobu, żebyś się dostał do sali tronowej bez mojej pomocy.

- Wygląda więc na to, że potrzebujemy się nawzajem. - Dawud usłyszał swojego przyjaciela. Chciał już zaprotestować, ale zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie zaproponować żadnego lepszego rozwiązania.

Adulla odwrócił się do niego, ściągając swe krzaczaste, siwe brwi.

- Albo to, albo pozwolimy tym ludziom się związać albo zabić. Czy muszę przypominać, jaka jest cena niepowodzenia?

- A więc idziemy uratować kalifa tylko po to, żeby pomóc jego największemu wrogowi - wtrącił Rasid, w końcu przerywając milczenie.

Adulla machnął ręką na jego słowa.

- Nigdy nie miałem zamiaru ratować kalifa, chłopcze! Jak dla mnie może się udławić! Przyszedłem tu uratować swoje miasto i świat, na którym ono stoi.

- Dobrze więc. - Książę klasnął w ręce i uśmiechnął się miło do Adulli, jakby właśnie umówili się na herbatę. - Tak będzie: ty i twoi przyjaciele możecie się

do nas przyłączyć. Jeśli bowiem ten Orszado okaże się prawdziwy, wasze moce faktycznie mogą się przydać. Ale ostrzegam cię tu i teraz: oszukajcie mnie, a zabiję was wszystkich.

-A jeśli ty spróbujesz skrzywdzić tych ludzi, złodzieju, ja zabiję ciebie. - Stał w głosie Rasida mogłaby przeciąć człowieka na pół.

Dawud usłyszał wokół siebie szcęk broni i pomruk ludzi Księcia, okazujących swoje niezadowolenie. Ich mistrz wydawał się jednak bardziej urażony niż przestraszony.

- Nikt nikomu na razie krzywdy nie robi, młody człowieku - powiedział. - Jedynie rozmawiamy. Ale uważaj, bo grożenie mi śmiercią może wystarczyć, żeby to ciebie spotkała krzywda.

Derwisz popatrzył przeciągle po otaczających ich ludziach.

- W takim razie stoczmy pojedynek - rzekł w końcu do Księcia. - Jeden na jednego, przed obliczem Boga Sędziego Wszystkich Rzeczy, o los...

- Pojedynek? - przerwał mu Książę. - Chyba żartujesz! Z jakiej ty jesteś bajki, chłopcze?

„I to mówi człowiek, który nazywa sam siebie *Księciem Sokolowi*” - pomyślał Dawud.

- Odmawiasz? - obruszył się chłopak. - Ale pojedynek to prawo...

Na szczęście Adulla uspokoił swojego podopiecznego; przewrócił oczami i rozdzielił dwóch szermierzy.

- Wybacz mu, Faraadzie Az Hammazie, bo jest młody.

- „Geniusz miecza, dureń na ulicy”, co, wuju? Tak myślałem.

Adulla się zaśmiał, za późno zdając sobie sprawę, że zawtórował nieznanemu, który obrażał jego



przyjaciela. Spuścił głowę, podszedł do Rasida, położył mu dłoń na ramieniu i wymamrotał coś przeproszającym tonem.

- Imponuje mi, jak pilnujesz tej groźnej młodzieży, wuju - powiedział Książę. - Jakby to były twoje własne dzieci, chociaż prowadzisz je w bój. Rozumiem to. Wszyscy ci ludzie, których przy mnie widzisz, są dla mnie jak synowie!

Dawud miał już dość chełpliwości złodzieja, ale powaga w jego głosie wydawała się autentyczna, nawet jeśli wyćwiczona.

- No dobrze, papo - powiedział sucho dziobaty mężczyzna, dość stary, żeby być ojcem bandyty. - Skoro nie zamierzasz postąpić za radą Łamignata i zabić tych ludzi, jaki jest plan?

- Mamy nowych sprzymierzeńców, Ramzi, ale nasze plany się nie zmieniły. A skoro o tym mowa, słyszę - choć bez wątpienia tylko ja jeden - że nasz człowiek wysłał mi cichy sygnał. Muszę z nim porozmawiać. Miejcie czułe oko na naszych nowych przyjaciół, dobrze?

Szybciej, niż wydawałoby się to możliwe, Książę Sokołów zniknął w drugim wyjściu z pomieszczenia. Kiedy tylko to zrobił, stary opryszek zwany Ramzim podszedł do Dawuda i Adulli.

- Lepiej uważajcie, jak się zwracacie do naszego Księcia! - szepnął groźnie.

- Bo co? - Dawud wykrzywił się do niego wyzywająco. - Zabijesz starego człowieka za to, że mówi, co myśli?

Dość miał bycia pomiatanym przez osiłków. Jeśli Dhamsawaat musiał wybierać między ludźmi takimi jak kalif a tymi tu, może Litaz miała rację. Może, jeśli

to przeżyją, powinni wyjechać z tego przeklętego miasta.

Ramzi popatrzył na niego przeciągle i surowo, ale potem jego mina złagodniała.

- Opowiem ci historię, cudzoziemcu. Pięć lat temu byłem kamieniarzem, któremu ledwie starczało najedzenie. Nigdy nie dbałem o kalifów, Książąt Sokołów i innych takich. Któregoś wieczora wróciłem z herbaciarni i zastałem moją najmłodszą córkę Szantę umierającą od trzydniowej zielonej gorączki. Nie ma na to leku oprócz eliksirów, które robią lekarze kalifa, wiesz, jak to jest. Przez dwa dni i dwie noce, z myślami w Jeziorze Płomieni, harowałem, żeby nakarmić moje na wpół zagłodzone zdrowe dzieci, kiedy powinienem być w domu i pomagać żonie opiekować się tym konającym. Nagle ktoś zastukał do drzwi i stanął tam Książę z garścią srebra, nie miedzi, ale srebra, i z jednym z pałacowych lekarzy! A sługa kalifa na wyścigi zajął się naszą dziewczynką! Nigdy nie zapomnę jego miny. Tak bardzo chciał nam pomóc... - tu Ramzi uśmiechnął się paskudnie - ...zupełnie jakby od tego zależało jego życie. Ale zanim Książę Sokołów z nim porozmawiał, nie chciałoby mu się nawet odpędzić much z nieżywej twarzy Szanty. Teraz mój klan jest klanem Księcia.

Dawud domyślił się po akcencie Ramziego, że mężczyzna pochodzi ze wsi. A we wsiach takie zobowiązania traktowano o wiele poważniej niż w mieście.

Mistrz złodziei wyłonił się z tunelu i podszedł do nich z powrotem. Dawud głośno odchrząknął.

- Porywasz ludzi i zmuszasz ich do współpracy pod groźbą miecza. Pomagasz jednemu kosztem strachu drugiego. A jeśli jakiś chłopiec w pałacu umarł,

kiedy tego lekarza tam nie było? Zasługiwał na to, bo był dzieckiem bogacza? Prawdziwy z ciebie bohater, o Książę Sokołów!

Ramzi położył dłoń na ciężkiej pałce.

- Kazałem ci pilnować języka, cudzoziemcu! Książę rzucił mu rozczarowane spojrzenie.

- Nie, Ramzi. Dziękuję ci za lojalność, ale my tak nie postępujemy. Nie walczymy za najsilniejszych czy za tych, którzy mają za sobą najwięcej zbrojnych. Walczymy za człowieka, który ma słuszny powód. Nigdy nie prosiłem, żebyście za mną poszli z powodu tego, kim jestem, lecz z powodu tego, w co wierzę.

-Tak, panie, mówiłeś. Zasady. Sam jestem człowiekiem z zasadami. Ale ten tu... - Uśmiechnął się złowrogo i wskazał swoją pałkę. - To staroświecki kurwi syn, który dba tylko o swój klan.

Książę uśmiechnął się i poklepał go po plecach.

- Nie ma dla ciebie nadziei, Ramzi. Tak czy inaczej, bądź gotowy. Ty też, Łamignacie. Nasi ludzie mówią, że już prawie czas ruszać.

Litaz, stojąca za Dawudem, pociągnęła nosem.

- Łamignat! Wielbłądzi Garb! Ależ wy sobie wymyślcie przezwiska, chłopcy!

Dawud ścisnął ją za ramię. „To nie pora na twoje pozy siostrzenicy Paszy, kochanie!” - powiedział spojrzeniem, ale ona go zignorowała.

- Doprawdy! Takie imiona dały wam matki? - Cmoknęła językiem.

Bandyci nie dali się zbić z tropu. Łamignat uklonił się na wpół żartobliwie.

- Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, ciociu, moja matka dała mi na imię Fajjaz.

- Co ty powiesz! A mnie nazywała ona Sypialnianym Ogierem! - wtrąci! jeden z jego towarzyszy, parszając śmiechem.

Wbrew swojej pozie Litaz też się roześmiała.

- „O wierny! Kiedy na drodze spotkasz człeka, wiedz, że Bóg, który naprawia rzeczy rozbite, połączył wasze losy” - wyrecytowała, odwracając cię się do Księcia. - Potrzebny mi był ten śmiech. Oby Bogu spodobało się uczynić nas raczej przyjaciółmi niż wrogami, Faraadzie Az Hammazie.

„W głębi duszy to wciąż rozpieszczona dziewczyna znad Niebieskiej Rzeki - pomyślał Dawud. - Zauroczyli ją bezlitośni mordercy, widzi w nich czarujących łotrów”. Nie po raz pierwszy w życiu mag poczuł palącą nienawiść do mężczyzn o sprawnych ciałach i zbyt szybkich uśmiechach.

Książę Sokołów skłonił głowę na znak zgody.

- Zaiste, niech tak się stanie, ciociu, ale nie będę próbował prosić o to Boga, który kazał człowiekowi walczyć i szarpać się o kęs jedzenia i miejsce do spania. Który pozwala, żeby wyzerające ciało choroby zabijały dzieci!

Rasid warknął i był to warkot tak samo zwierzęcy, jak wszystkie, które dotąd wydała z siebie Zamia.

- Możesz się złościć, ile chcesz, derwiszu - rzekł Książę. - Bóg od sześciu tysięcy lat w dupie ma swoje dzieci! Naprawdę wierzysz, że siedzi w niebie i uśmiecha się do nas? Rozejrzyj się! Popatrz na ten szalony, krwawy, błotnisty świat dookoła! On stworzy! ten świat, on stworzy! nas, a potem nas zostawił, żebyśmy sami sobie radzili. A my, przyjaciele, zmieniamy go w stertę małego gówna. - Oczy bandyty zaśniły. - Ale nawet *gówno* ma swoje zastosowania. Nawóz.

Paliwo. O, tak. Żeby jednak służyło tym celom, najpierw trzeba je zetrzeć na proch. Albo podpalić.

- Szaleniec! Bluźnierca! - Rasid zrobił długi, pełen groźby krok w stronę Aza.

Bandyta podniósł dłoń, żeby powstrzymać swoich ludzi, i zmierzył derwisza stalowym spojrzeniem.

- Pilnuj się, młody człowieku. To jest prawdziwy świat, nie pojedynkowy krąg. A jak wiesz, ja nie walczę czysto.

Dłoń derwisza wyrwała się do rękojeści miecza, zanim sobie przypomniał, że nie ma broni.

Wtedy między nich skoczyła Litaz. „Moja żona, rozjemczym”- pomyślał Dawud. Wyprostowała się na całą swoją wysokość, dzięki czemu niemal dorównała wzrostem Rasidowi, ale czubkiem głowy wciąż nie sięgała nawet ramion Księcia.

- Czy wyście obaj poszaleli? Zupełnie wam rozum odjęło? Bóg jeden wie, ile żyć wisi na włosku, a wy, dwa bufony, będziecie się licytować? Nie mamy na to czasu! Durnie!

„No, może niezupełnie rozjemczym...” Księżę się uśmiechnął.

- Przypominasz mi moją matkę, ciociu. A moja matka nie była łagodną kobietą. Ale ustąpię, jeśli twój ujadający święty człowieczek też ustąpi.

- Nie pozwolę, żeby bluźnierstwo pozostało bez odpowiedzi - powiedział zimno derwisz.

Litaz pogroziła mu przed nosem palcem, chociaż jej ton złagodniał.

- Odpowiedz mi na to, mój drogi: naprawdę uważasz, że tego właśnie chciałby od nas Bóg? Żebyśmy się pobili o lekkomyślne słowa, kiedy Zdradziecki Anioł rozdziera świat na krwawe strzępy? Mamy bardzo

mało czasu. Czy służysz Wszechmiłosiernemu, tracąc go tutaj i wykrzykując, jaki to jesteś pobożny?

Nagle z tunelu po drugiej stronie pomieszczenia dobiegł gorączkowy tupot stóp. Wybiegł z niego mężczyzna ze znakiem sokoła. Książę poszedł go wysłuchać, a potem odwrócił się do zgromadzonych tu osób.

- Kobieta z Su ma rację, przyjaciele: czas jest cenny, a wszystko jest wreszcie gotowe! Nadeszła pora! Mogliśmy wszcząć w tym mieście drugą wojnę domową już wiele lat temu. Ale Sokół wie, kiedy uderzyć, a kiedy nie. Czy krzyczeliśmy do ludzi o tym, jaka spotyka ich niesprawiedliwość? Nie! Dźgaliśmy w tyłki tłustych jubilerów i kradliśmy ich rubiny dla ubogich! A teraz dźgniemy najtłustszego z nich wszystkich i ciśniemy tłumowi największy rubin na świecie! Wielu naszych przyjaciół zapłaciło bardzo wysoką cenę, żeby ten dzień mógł nadejść. Czy pozwolimy, by ich ofiara poszła na marne?

- NIE! - krzyknęli chórem ludzie mistrza złodziei.

- Musimy trafić dokładnie w punkt! - zagrział Książę. - Mamy jedną i tylko jedną szansę, by pojawić się niespodziewanie w samym środku pałacu, wywijając bronią i chwalebnie wcielając w życie nasze śmiałe plany...

Pochłonął go własny oratorski talent; reszta jego słów zginęła, kiedy zagłębił się w korytarzu na czele swoich ludzi.

Po kilku minutach marszu krętym tunelem Książę Sokołów truchtem wrócił do Dawuda i jego przyjaciół. Mówił cichym tonem, zupełnie niepodobnym do pompatycznych nawoływań sprzed paru chwil.

- Widzę na waszych twarzach wyryte pytanie „Gdzie jesteście?” - odezwał się. - Powiem wam.

Jesteśmy w podziemnym przejściu pod pałacem. Takich tuneli jest kilka, o niektórych nie wiedzą nawet kalifowie. Są starsze niż sam kalifat, pochodzą z czasów Podziemnego Miasta Kemitów. Znają je tylko ci, którzy pół życia badali takie tajemnice. Zwłaszcza jeden z tuneli prowadzi prosto do zrujnowanej świątyni Kemitów, na której stoi samo serce pałacu. Niestety korytarz wiedzie dość okrężną drogą, wije się w tę i z powrotem tak, że dziesięciominutowy dystans pokonuje się w godzinę. Dobrze niesie się tu dźwięk, zatem od tej chwili musimy zachowywać ciszę. I nie chciałbym straszyć nowo zdobytych przyjaciół, ale muszę was ostrzec, że cisza zostanie wymuszona siłą, jeśli będzie trzeba. Och, i byłbym zapomniiał: możecie odebrać swoją broń.

Mistrz złodziei machnął na jednego ze swoich ludzi, który oddał miecz Rasida i sztylet Litaz, a potem czmychnął z powrotem na czoło kolumny.

Szli przez godzinę, w tę i z powrotem, pod górę i w dół, przez tunele i komory z jasnego kamienia i ubitej ziemi. Dawuda bolały stopy, a głowę wypełniał mu tysiąc ponurych myśli, ale z jego ust nie wyrwało się ani jedno słowo.

## ROZDZIAŁ 2

Prawie godzinę po tym, jak Adulla i jego przyjaciele zostali uciszeni przez Księcia Sokołów, tunel zaczął się stromo wznosić - tak stromo, że doktor mocno się zasapał. Po chwili korytarz zakończył się wielką... Jaskinią? Salą? Niezależnie od tego, czy stworzyła ją natura, czy człowiek, olbrzymią, wilgotną, kamienną przestrzeń zajmował ciąg wielkich stawów poprzecinanych wąskimi przejściami i wysokimi kolumnami obrobionego kamienia. Wszędzie dookoła szemrała woda; doktor z trudem się powstrzymał, by nie zakląć głośno z szoku. „Cysterna! Starsza niż Pałac Półksiężycy i tkwiąca tuż pod nim! Kiedy ostatni raz przechodzili tędy ludzie?”

Poczuł się, jakby samo miasto zmieniało się pod jego stopami. Zakręciło mu się w głowie i dopiero po chwili dotarło do niego, że kiedy ich grupa weszła do cysterny, ludzie już tu byli - to w świetle ich słabych, bezdymnych pochodni mógł cokolwiek zobaczyć.

Dwaj muskularni młodzi mężczyźni stali na środku komory, poprawiając coś w długim, przypominającym drabinę ustrojstwie z drągów i sznurów. Drabina ta pięła się do sufitu, gdzie prawie nie było jej widać. Kiedy



jednak stare oczy doktora wpatrzyły się w ciemność, łowca zobaczył w sklepieniu mały otwór.

„Studnia - zrozumiał. - Studnia, która wychodzi w pałacu”. Miasto naprawdę zmieniało mu się pod stopami! Fakt samego istnienia tej małej dziury w skale był zdumiewający - czy wojna domowa sprzed wieków potoczyłaby się inaczej, gdyby siły Świętego Uzurpatora wiedziały o tej szczelinie w zbroi kalifów? Jak mógł ostatni...?

Jego rozmyślania przerwał Książę Sokołów, który odwrócił się do nich i przyłożył palec do ust, znów nakazując ciszę. Wyszedł do przodu i za pomocą ciągu znaków migowych, których Adulla w półmroku nie widział dokładnie, rozmówił się z dwoma mężczyznami przy drabinie. Chwilę później bandyta kazał gestem zebrać się wszystkim dookoła. Kilku jego ludzi już się wspinało.

Książę wskazał, by Adulla i jego przyjaciele też ruszyli po drabinie. Łowca ghuli usłyszał, że Dawud obok niego cicho przeklina. Kiedy jednak mag zaczął się piąć, wyglądało na to, że idzie mu łatwiej, niż się spodziewał. Gdy Adulla ruszył za nim, zrozumiał dlaczego - konstrukcja drabiny sprawiała, że wchodzenie po niej było mniej męczące niż powinno. Otwór studni w górze powoli się zbliżał, a doktor raczej wyczuł niż usłyszał następną grupę ludzi Księcia, którzy weszli do cysterny w dole i zmierali do drabiny. „Oczywiście”. Mistrz złodziei użył jakiegoś specjalnego ułatwiacza wspinaczki, bo zamierzał przetrząść tę drogę do pałacu sporą liczbę zbrojnych.

Dłonie Adulli paliły go od ściskania liny, pocił się pod kaftanem. Nad sobą słyszał ciężki oddech Dawuda. Ułatwiacz czy nie, był wdzięczny, kiedy w końcu dotarli na górę, wygramolili się ze studni...

I stanęli w samym środku grupy nerwowych, uzbrojonych gwardzistów. Adulla ze strachu omal nie spadł z drabiny. Potem jednak zobaczył, że gwardziści wymieniają znaki migowe z tymi ludźmi Księcia, którzy wspięli się tu wcześniej. „Następni szpiedzy”. Doktor sam nie wiedział, czy cieszy go, czy martwi to, jak rozległe wydawały się być wpływy Księcia w pałacu.

Pokój, w którym się znajdowali, mierzył osiem na osiem jardów i miał ściany z szarego kamienia. Pachniał wodą ze studni w dole. Księżę wskazał Adulli i jego przyjaciółom małe, sklepione przejście w przeciwległej ścianie. Derwisz, mag, alkemiczka i Badawi zebrali się wokół Faraada wraz z półtuzinem jego ludzi. Obejrzawszy się za siebie, doktor zobaczył, że sala wypełnia się bojownikami, których miarowy strumień wylał się bezgłośnie ze studni.

Księżę poprowadził ich przez drzwi do ogromnej kuchni z niskimi, kamiennymi piecami. Dwa następne przejścia wiodły z kuchni do innych pomieszczeń, a przy każdym stało dwóch gwardzistów. Ich brak reakcji na pojawienie się Księcia oznaczał, że też są agentami. Pomieszczenie wypełniał zapach pieczonego chleba, ale pod nim krył się inny, który Adulla znał - krew.

Na środku kuchni stała potężna, brązowoskóra kobieta, wielka jak sam doktor, w kucharskim fartuchu i z wielkim, zakrwawionym tasakiem w ręku. U jej stóp bezwładnie leżał zabity gwardzista z paskudnie rozrąbaną głową. Księżę podbiegł do kobiety i wymienił z nią kilka szybkich znaków migowych. Potem, z nadludzką szybkością, obiegnął wkoło kuchni, wysypując na podłogę jakiś proszek. Wyjął krzesiwo i podpalił to, co rozsypał. Proszek nie zajął się płomieniem,

ale otoczył ich wszystkich niebieską poświatą. „Alkemia” - domyślił się Adulla, ale nic ponad to powiedzieć nie umiał. Spojrzał pytająco na Litaz, lecz ona tylko wzruszyła ramionami. Mało który składnik potrafił zbić ją z tropu. Po raz chyba setny tego dnia doktorowi zaimponowały możliwości Księcia Sokołów.

- Dobrze! - zagrział Faraad Az Hammaz, przerywając ciszę. - Teraz możemy mówić, a proszek z panter nie pozwoli, by ktoś poza tym pomieszczeniem usłyszał nasze słowa. Przyjaciele, poznajcie Mateczkę Północ, królową kuchni kalifa. Od wielu lat ona i minister, którego poznaliście wcześniej, pomagali mi zorganizować tę naszą małą eskapadę. Jeśli przeżyjemy dzisiejszy dzień, będzie to wszystko jej zasługa. - Księżę odwrócił się do wielkiej kobiety. - Z braku krzyków i bicia w dzwony wnoszę, że pozostajemy niewykryci?

- Tak, Faraadzie - odparła Mateczka Północ głosem jak skalna lawina. - Paru głupców, którzy wetknęli nosy w niewłaściwe miejsca w niewłaściwym czasie, zostało odpowiednio potraktowanych, ale nie możemy ukrywać ich trupów w nieskończoność. - Wskazała poplamionym czerwienią tasakiem na tuzin pieców na środku kuchni. Tu i tam z piekarników sterczała ludzka dłoń czy but.

Adulli zrobiło się niedobrze. „Czyli kości zostały rzucone. Chcemy czy nie, jesteśmy członkami tego szalonego spisku”.

Rasid i Zamia obok niego zaczęli coś mówić z oburzeniem, ale łowca odwrócił się do nich i zmierzył najsurowszym spojrzeniem.

- Orszado. Mouw Awa - szepnęła ostro. - Teraz nie ma innego sposobu, żeby ich powstrzymać. To ważniejsze niż wszystko inne.

Chwalić Boga, żadne z dwójki młodych wojowników nic nie powiedziało.

- Jest dwa pokoje stąd, Faraadzie. W Aksamitnej Komnacie, szykuje się do swojego południowego posiłku, jak zwykle w ten dzień tygodnia. Obrońca Cnót nigdy nie zostaje zupełnie sam, ale przez cały tydzień nigdy nie ma w jego otoczeniu ludzi mniej niż dziś. Wszystko idzie zgodnie z twoim planem. Oto chwila, na którą czekaliśmy.

Rasid przerwał ciszę, która zapadła.

-A ty nie czujesz żadnego wstydu, kobieto? Żadnego wstydu, że zdradzasz swojego kalifa i pana?

Książę Sokołów spojrział na niego ze złością, a Mateczka Północ skrzywił się i syknęła przez zęby.

- Spytaj Obrońcę Cnót o moją córkę i jego... upodobania, święty mężu. Spytaj go o Mateczkę Północ, która lojalnie służyła jemu i jego ojcu przed nim, a której odpłacono zgwałceniem i odrzuceniem jej jedynej córki, która się zabiła. A potem mów o wstydzie i zdradzie.

Ku zaskoczeniu Adulli zamknęło to chłopakowi usta. Za nimi do kuchni wlewali się następni ludzie Księcia.

Faraad Az Hammaz położył swoją wielką dłoń na ramieniu Mateczki Północ.

- Ciociu, klnę się na swoją duszę, że za pół dnia będziesz mogła o to zapytać ten wór łajna osobiście. Choć obawiam się, że jedyną odpowiedzią, jaką usłyszysz, będzie odgłos jego głowy spadającej na skórzaną matę kata! - Odwrócił się do Adulli. - Nie widzę tu żadnych potworów oprócz tego, po którego my przyszliśmy, wuju. Ale dwa pokoje stąd jest człowiek, który dusi nasze miasto. Daję tobie i twoim przyjacielom jeszcze jedną szansę wyboru. Chodźcie za mną do tego pokoju

i życie z konsekwencjami tej decyzji, albo wracajcie na dół naszej studni - oczywiście pod strażą moich ludzi - i przeczekajcie całą przygodę, pomimo waszych szalonych ostrzeżeń o ghulach. Tak czy inaczej słowa derwisza sprawiły, że nabrałem czujności. Przysięgniecie mi przed Bogiem, że mnie nie zdradzicie - powiedział, patrząc znacząco na Rasida - albo dalej z nami nie pójdziecie.

„Heretyk, który żąda przysięgi” - pomyślał z goryczą Adulla i zobaczył tę samą kpinę wymalowaną również na twarzach przyjaciół, którzy wszyscy po kolei powiedzieli „Przysięgam przed Bogiem Wszechmogącym”. Wszyscy oprócz Rasida, którego twarz równie dobrze mogła być wykuta z marmuru, tak mało zdradzała. „Wie, tak samo jak ja, że Orszado się ujawni i że jego świętym obowiązkiem jest pomóc mi tego człowieka powstrzymać. Bez wątpienia pragnie też strzec dziewczyny”.

Chłopak milczał. Adulla odchrząknął. Mateczka Północ, zajęta upychaniem w palenisku kuchni trupa gwardzisty z rozrąbaną głową, zatupała niecierpliwie nogą.

- Nie mamy na to czasu, Faraadzie.

Adulla chwycił derwisza za łokieć i ścisnął. Zobaczył, że Rasid zerka szybko na Zamię.

- Przysięgam przed Bogiem Wszechmogącym - wyszeptał chłopak.

Za mistrzem złodziei wyszli z kuchni do sali o misternie inkrustowanych, białych ścianach. Powietrze przesycił lekki aromat perfum, delikatniejszy niż kadzidło i bez wątpienia rozpylany czarami. Hebanowe drzwi w przeciwległej ścianie były jedynym ciemnym akcentem wnętrza. Zanim Adulla zdążył ogarnąć rozumem znaczenie chwili, która stała się jego udziałem,

Księżę Sokołów i grupka jego ludzi przebiegli salę i poderżnęli gardła dwóm gwardzistom. Ogromne drzwi runęły pod nadludzko silnym kopnięciem złodzieja, który wpadł do następnego pomieszczenia. Adulla i jego przyjaciele mogli już tylko pójść za nim.

Mateczka Północ nazwała tę salę Aksamitną Komnatą i teraz oczywiste stało się, dlaczego: sufit, ściany, podłoga i wielka otomana z baldachimem ociekały tą fioletową, miękką tkaniną. Na samym środku pomieszczenia siedział szczupły, młody mężczyzna, obwieszony biżuterią i we wspaniałych szatach. Ogłupiałym wzrokiem wpatrywał się w jednego ze swoich gwardzistów, który właśnie rozbił czaszkę drugiemu.

Zanim Dżabbari ach-Chaddari, Boży Namiestnik na Świecie, odzyskał głos na tyle, żeby wrzasnąć, Księżę Sokołów zdążył obieć salę ze swoim świecącym, niebieskim proszkiem. Wrzasków nikt nie miał usłyszeć.

- Ty... to... jak ty... ? - wyjąkał kalif bez śladu dworskiej maniery. - Żaden intruz nie może się dostać... - Umilkł, wyraźnie zmieszany. Spojrzał na Dawuda i jeszcze szerzej otworzył podmalowane oczy. - To ty! Skąd...?

- Żadnych pytań, tyranie! - krzyknął Księżę, a w jego oszalałych oczach płonęła obłąkana determinacja. - To ja mam pytanie do ciebie! Jakie to uczucie...

Nie dokończył. Kalif bowiem dotknął jednego ze swoich pierścieni i salę wypełnił nagły rozbłysk światła. Adulla, wyczuwając niebezpieczeństwo w sposób, który z biegiem lat stał się jego drugą naturą, rzucił się na kalifa i zobaczył, że Faraad Az Hammaz robi to samo.

Coś zsunęło się nagle z góry: gruba, drewniana płyta opadła z sufitu, odcinając łowcę od władcy. „Fałszywe

ściany" - zrozumiał. Odcięły go także od jego przyjaciół.

Książę Sokołów stał obok niego i łomotał w drewno głowicą szabli.

- Na jaja Boga! - krzyknął. - Zrobiono je z zaczarowanego drewna. A to podstępny kurwi syn! Choć prawdę mówiąc, nie ma to chyba większego znaczenia. Lepiej byłoby go ubić od razu, ale nie o niego mi tak naprawdę chodzi. Można nawet powiedzieć, że to nam ułatwia zadanie: kalif też jest odcięty od następcy tronu.

- Może tobie ułatwia, przeklęty przez Boga szaleńcu! - obruszył się Adulla. - Ale po drugiej stronie tego czegoś są moi przyjaciele! Nie zostawię ich.

Doktor załomotał w drewnianą ścianę i zawołał przyjaciół, nie przejmując się, czy ściągnie na siebie uwagę gwardzistów. Wiedział, że Dawud i reszta będą robić to samo po drugiej stronie. Nie słyszał jednak ich krzyków ani nie czuł zza cienkiej płyty łomotania. „Znów działają tu czary”.

W oczach Księcia błysnęło autentyczne współczucie, ale jego ton był rzeczowy i pragmatyczny.

- Rób, co musisz, wuju. Ale jeśli się nie mylę, zburzenie tej ściany zajęłoby cały dzień nawet takiej mistrzyni alkemii, jak pani Litaz, córka Likamiego.

Adulla mimochodem zanotował, że Książę znał reputację jego przyjaciół tak samo dobrze, jak jego własną.

- Największe szanse powodzenia - ciągnął złodziej - masz, idąc ze mną. Beze mnie przy boku będziesz miał kłopoty zarówno z gwardzistami, jak i z moimi ludźmi, nie wspominając już o znalezieniu drogi przez ten monstrualny labirynt, którym jest pałac.

Miał oczywiście rację.

Adulla, sfrustrowany, kopnął drewnianą ścianę, która dzieliła go od przyjaciół, i stłukł sobie palec. Podniósł wzrok w samą porę, by zobaczyć, jak Faraad Az Hammaz zrywa aksamitną zasłonę i wbiega w ukryty za nią kamienny korytarz.

Mistrz złodziei najwyraźniej nauczył się na pamięć rozkładu pałacu, bo szedł przed siebie pewnym krokiem, skręcając w przejścia i przecinając komnaty tak szybko, że doktor nie mógł za nim nadążyć.

- Dogonię cię - wysapał Adulla, ale Księżę Sokołów miał w oczach szaloną determinację i nie zwracał na niego uwagi.

Doktor skierował się za nim przez następny długi korytarz, mijając gromadę walczących ze sobą ludzi w liberii. Ci spojrzeli na niego ze zdziwieniem, ale byli za bardzo zajęci zabijaniem się nawzajem, by próbować zabić też jego. Łowcy mignął Księżę przebiegający przez wielkie, szeroko otwarte, zdobione drzwi. Adulla pobiegł za nim.

Znalazł się w ogromnej sali oświetlonej wiecznie płonącymi, czarodziejskimi lampami. W niesamowitym blasku płomieni, pod ścianami po lewej i prawej stronie, zobaczył dziesiątki wielkich gablot ze złoconego szkła. W każdej znajdował się ogromny turban. „Sala Niebiańskich Obrońców!” Legendarne miejsce symbolicznego spoczynku nieżyjących kalifów, reprezentowanych przez wspaniałe turbany. Purpura i srebrne nici, pawie pióra, perły wielkości dziecięcych piąstek. Adulla siłą woli powstrzymał się od rozdziawienia ust i pobrnął dalej.

Następna sala, ogromna prawie jak kwartał miasta. Sklepienie ozdobiono perłami, platyną i złotem.



Na ścianach wisiały kolorowe tapiserie, przedstawiające Opiekuńcze Anioły. Adulla, sapiąc, minął kolumny z różowego marmuru, przemyślnie rzeźbione tak, że jego żyłki układały się w Imiona Boga. „Ci kalifowie naprawdę wierzą, że są Bożymi Namiestnikami na Świecie! Każdy zakamarek tego pałacu woła Jego imiona - pomyślał Adulla - a przy tym nigdzie nie widać Jego dzieła”.

Skądś dobiegły go krzyki, głośno bił na alarm dzwon. Dużo bliżej doktor usłyszał szczęk broni. Skreślił za róg i zobaczył, jak Faraad Az Hammaz wymienia krótką serię cięć szablą z dwoma mężczyznami pilnującymi małych, spiżowych drzwi.

Jego szabla o szerokiej klindze zwodziła i parowała jak mistrzowskiej roboty rapier. Przy każdym pchnięciu rozjarzała się złotem. „Zaczarowana broń”. Takie rzeczy kosztowały fortunę. Adulla znów nie mógł się nadziwić głębokości sakiewki Faraada Az Hammaza. Gwardziści padli trupem w kilka sekund, a Książę Sokołów szeroko otworzył drzwi. Adulla wbiegł za nim do środka.

Ta sala była mniejsza i urządzona nie tak wulgarnie jak większość tych, które widział w pałacu. Jakby dopasowała się do swojego mieszkańca: kruchego, dziewięcioletniego chłopca w szklach korygujących wzrok i szatach z klejnot-tkaniny, która musiała kosztować tyle, co dom Adulli. Chłopiec podniósł wzrok i zamrugał.

Miał taki sam kształt twarzy jak kalif. Następca. Mały Sammari ach-Dżabbari ach-Chaddari siedział ze skrzyżowanymi nogami na poduszce na środku pokoju, przed wielką, ilustrowaną księgą. Jego łagodną minę zastąpił grymas szoku, jakby nagle dopiero zauważył chaos szalejący po pałacu. Adulla domyślał

się, że na spiżowe drzwi musiał być rzucony czar wygłuszający. Tyle pieniędzy i magii zmarnowane po to, żeby chronić tych głupców przed nieprzyjemnościami.

- Ty... ty jesteś... to ty - wyjąkał chłopiec nieco bardziej składnie, niż zrobił to jego ojciec. - Książę Sokołów!

- ZAISTE TO JA, O NIEDOSZŁY TYRANIE! - zagrzmiał mistrz złodziei i z szablą w dłoni ruszył na zaleknionego chłopaka, który omal się nie przewrócił od jego krzyku. - Jestem Księciem Sokołów i straszny jest mój gniew! Przyszedłem, żeby...

- Jesteś moim bohaterem - powiedział cicho następca tronu, odgarniając z twarzy długi kosmyk czarnych włosów.

- Ostrzegam cię, pomocie... Słucham? - Faraad Az Hammaz zamruga! i zgubił gdzieś całą swoją pompa-tyczność. Adulla pierwszy raz widział, żeby złodziej stracił pewność siebie. - Co powiedziałaś?

Chłopiec jakby się zawstydził swoich słów, ale powtórzył:

- Powiedziałem, że jesteś moim bohaterem. - Chłopiec popatrzył na Adullę, ale jakby go nie widział. Znow zabrał alarmowy dzwon.

„To rzecz niesłychana - pomyślał doktor - widzieć wyszczekanego Księcia Sokołów, któremu odebrało mowę". Chwila ta jednak była bardzo krótka. Książę odwrócił się i zamknął spiżowe drzwi, odcinając hałasy. Pozornie bez wysiłku przywłókł ciężką, hebanową sofę i zabarykadował nią wejście.

- Bohaterem? - spytał w końcu.

- Tak! - odparł następca tronu, zamknął książkę i wyraźnie się podekscytował. *Tysiąc opowieści o Paszy Piracie* - zauważył Adulla. Pewnie najdroższe wydanie

tej taniej, tandetnej książeczki, jakie kiedykolwiek napisano. Chłopiec wstał. - Tak! Bohaterem takim jak w książkach! Karmisz ubogich. Pokonujesz złoczyńców mieczem i uśmiechem. Moi doradcy mówią, że takich ludzi nie ma, ale ja wiem lepiej. Jeśli Bóg Wszechmocny pozwoli, kiedyś sam taki będę!

Adulla pomyślał, że gdyby Książę był człowiekiem pobożnym, to tak jak stoi, padłby na kolana i podziękował łaskawemu Bogu za ten okrucieństwo szczęśliwego losu.

Zamiast tego mistrz złodziei uśmiechnął się od ucha do ucha i klepnął chłopca wielką dłonią w ramię.

- Cóż! Wygląda na to, że moi szpiegowie nie wiedzą jednak o wszystkim, co się dzieje w pałacu. Z pewnością jesteś lepszym owocem niż spróchniałe drzewo, z którego spadłeś, chłopcze. W niczym nie przypominasz nieznośnego, oszalałego od władzy gówniarza, którego się spodziewałem.

Następca uśmiechnął się jak dziecko, któremu nigdy nie pozwalano psocić.

- Nie nazywasz mnie Młodym Obrońcą! Podoba mi się to. Wiesz, że tak mnie nazywali nawet towarzysze zabaw, kiedy byłem mały?

- Kiedy byłeś mały? - wykrztusił Adulla. - Przecież...

Książę go uciszył.

- Cóż, ty nie nazywasz mnie uzurpatorem ani szaleńcem. Wyśmienicie się dogadamy!

Promienny uśmiech następcy przygasł.

-Ale, ee, co tu się dzieje? Chcesz mnie zabić? Zabiłeś już mojego ojca?

Trzeba mu było przyznać, że w jego głosie nie dało się usłyszeć strachu. Faraad Az Hammaz popatrzył na niego przeciągle.

- Nie będę ci kłamał, dziecko. Przybyłem przejąć Tron Półksiężycy. W jego marmurze zawarta jest wielka moc, magia, z którą mogę pomóc dobrym mieszkańcom Dhamsawaatu. Chcę zająć też pałac. Wielu chorych ludzi potrzebuje przetrzymywanych tu lekarstw. Głodujący mogliby się najeść zawartością spichrzów.

Chłopiec uśmiechnął się smutno.

- Kiedy mówię o takich rzeczach moim nauczycielom, odpowiadają, że wolą Boga Wszechmogącego jest, by jedni mieli więcej, a inni nie. I że nie powinienem cię podziwiać, bo nie jesteś wcale księciem, ale mordercą i siewcą strachu.

Faraad Az Hammaz odetchnął, a potem jego głos znów nabrał tego głębokiego brzmienia.

- Ja jestem mordercą? A co z twoim ojcem, który śmie nazywać się „Obrońcą”, ale każe innym walczyć, krwawić i umierać? Żebracy i bezdomne wdowy umierają z głodu, kiedy spichrze twojego ojca pękają z przepelnienia, ale to „wola Boga”, tak? Woźnice i tragarze giną od chorób, które mogliby wyleczyć lekarze twojego ojca! Jednak to ja jestem gwałtownikiem! Siewcą strachu! Zaznałem i głodu, i miecza, mój młody przyjacielu! Wolałbym umrzeć od miecza. Tak jest lżej. Szybciej. Zabijałem ludzi, owszem, ale własnymi rękami, stając z nimi oko w oko. Za to twój ojciec jest mordercą leniwym i słabym. Takim, który udaje, że wcale nim nie jest. Tym właśnie chciałbyś zostać?

- Nie - odpowiedział chłopiec głosem silnym i wyraźnym jak alarmowe dzwony, które wciąż biły na zewnątrz. - Ale co z moim ojcem, o Księżę? Co ze mną?

- Twój ojciec ma na rękach krew wielu mężczyzn i kobiet, Sammari ach-Dżabbari ach-Chaddari. Ale jeśli

mi pomożesz, pozwolę jemu i tobie udać się w pokoju na wygnanie, być może do...

- Nie - przerwał chłopiec rozkazującym tonem, który zadawał kłam jego aparycji książkowego mola. - Jeśli chcesz, żebym ci pomógł, o Książę, musisz zabić mojego ojca. Przysięgłem przed Bogiem, że doprowadzę do jego śmierci.

Adulla zobaczył, że mistrz złodziei wytrzeszcza oczy na dziecko i nie miał wątpliwości, że sam robi to samo.

- Ja... ale... dlaczego...? - wyjąkał Faraad Az Hammaz.

- Mylisz się co do lenistwa mojego ojca w zabijaniu, o Książę. Być może słyszałeś, że moja matka, niech Bóg przyjmie jej duszę, umarła od gorączki. To nieprawda. Mój ojciec udusił ją przy mnie, bo wydawało mu się, że widział, jak robiła słodkie oczy do jednego z jego doradców. Kiedy próbowałem go powstrzymać, pobił mnie. Powiedział, że zrozumie, kiedy dorosnę. To było pięć lat temu, zanim został kalifem. Przez ten czas rozumiałem tylko tyle, że moim świętym obowiązkiem jest go zabić.

Sofa barykadująca drzwi zaskrzypiała i zaczęła pękać pod naporem z zewnątrz. W oczach Faraada Az Hammaza zapaliła się znajoma żądza krwi. Szablę miał już w ręku.

„Bajkowe wymysły tego chłopca szlag trafi, kiedy zobaczy, jak Książę na jego oczach wyrzyna jego obrońców”. Adulla położył Faraadowi rękę na ramieniu.

- Proszę. Jest inny sposób... - Doktor zwrócił się do następcy  
- Jeśli, Młody Obrońco, zrobisz to, co ja.

Książę Sokołów przyjrzał się łowcy i chyba zrozumiał. Następca nic nie powiedział.

Drzwi za nimi pękły z trzaskiem w deszczu hebanowych drzazg i do pokoju wpadło trzech uzbrojonych gwardzistów.

- Młody obrońco! - krzyknął pierwszy z nich i zaczął się odruchowo klęnić, zanim przypomniał sobie

o okolicznościach. - Kim są ci ludzie? Czy to...? Boże Wszechmogący, cofnij się, Młody obrońco! Obronimy cię przed tym opryszkiem!

Adulla wystąpił naprzód.

- Czyście poszaleli? Gdyby to był naprawdę Faraaz Az Hammaz, myślicie, że Młody obrońca wciąż by żył? Że byśmy rozmawiali? Jesteśmy sługami obrońcy Cnót, przydzielonymi do ochrony Młodego obrońcy w takich sytuacjach jak ta, zamaskowanymi, żeby siać zamieszanie wśród jego wrogów!

Gwardzista popatrzył na niego sceptycznie, ale ani on, ani pozostali dwaj nie zaatakowali.

- Kim jesteś, starcze? Jak się nazywasz? Dlaczego nigdy...?

Głos następcy przybrał ton bezdyskusyjnej władzy.

- Nigdy nie widziałeś tych ludzi, bo jesteś zwykłym gwardzistą i nie znasz planów obrońcy Cnót! Nasz ojciec kazał tym dwóm ludziom chronić mnie, dopóki prawdziwy złodziej nie zostanie znaleziony

i zabity! Połowa twoich gwardzistów zdradziła, ci dwaj próbowali nas zabić... - Chłopiec wskazał trupy wartowników pod drzwiami, których zabił książę. - A teraz odejdź do swoich obowiązków! Natychmiast!

„Może jednak wcale nie jest taki miękki...”

- Ja... ale... - Gwardzista nie powiedział nic więcej, machnął tylko na swoich ludzi i wszyscy razem odbiegli szukać innych wrogów.

Kiedy zniknęli, następca spojrział na zwłoki i pozwolił, by na jego twarzy odmalował się smutek.

- Ajjabi był dobrym człowiekiem - powiedział po prostu.

- Posłuchaj, dziecko, musimy... - zaczął Adulla, ale równie dobrze mogłoby go tu nie być, tyle uwagi poświęcił mu chłopiec.

- Dobry czy nie, przyjacielu, trzyma! cię w lochu - rzekł Książę. - Wiem, jakie życie tu prowadzisz, od dziewięciu lat pod duszącą łapą ojca. Nie możesz się przyjaźnić, z kim chcesz. Nie możesz wyjść z pałacu bez dwudniowych przygotowań. Zmuszają cię do nauki rzeczy, które w ogóle cię nie interesują. Mam rację czy nie, chłopcze? Pomyśl o przyjemnym i beztroskim życiu, jakie mógłbyś prowadzić, gdybyś nie był żywcem pogrzebany w Pałacu Półksiężyca.

Złodziej niczym mistrz lutni gra! na strunach serca dziecka. Zasiał w głowie chłopca ziarno wolności, którą dałoby mu rzeczenie się tronu, a w oczach Młodego Obrońcy już widać było jej rozkwitające owoce. Następca ujrzał przed sobą tysiąc możliwości, które dotąd uważał za niemożliwe. Adulla widział to w jego uśmiechu. Faraad Az Hammaz nie kłamał. Po prostu przedstawił prawdę, w teatralny i ostentacyjny sposób. Doktor pomyślał, że właśnie takie rzeczy ludzie chcą słyszeć.

Może nawet sam dał się trochę uwieść.

- A jak mogę od tego uciec, o Książę? - spytał chłopiec, wciąż gapiąc się na trupy.

- Chodź ze mną do sali tronowej, to ci pokażę.

Po drodze Faraad Az Hammaz opowiedział mu o prostym rytuale, który pozwoli następcy przekazać władzę oraz kontrolę nad dobrymi mocami tronu

w ręce złodzieja. Nie wspomniał o mocach śmiercionośnych, o złym, krwawym obliczu zaklęcia.

- Ale co z uznaniem innych krain? - spytał chłopiec. - Rughalba? Republiki Su?

Książę wzruszył swoimi szerokimi ramionami.

- Zostaw to mnie. Oprócz złodziei i najemnych wojaków pracują dla mnie także dyplomaci i znawcy praw. - Absurdalnie puścił do chłopca oko. - Uwierz mi, że znawcy praw są straszniejsi niż złodzieje! I co powiesz, Sammari?

- Oddam ci tron, o Książę. Jeśli przysięgniesz przed Bogiem, że będziesz używał jego mocy jak przystało na bohatera, i jeśli zabijesz Obrońcę Cnót za to, co zrobił mojej matce.

- Przysięgam to przed Bogiem Wszechmogącym, który jest Świadkiem Wszystkich Przysiąg.

Faraad Az Hammaz wziął drobną dłoń chłopca w swoje wielkie łapsko. Adulla poszedł za nimi. Złodziej poprowadził następcę przez ociekające przepychem sale, na które doktor nie miał nawet czasu się pogapić. Dwa razy minęli walczących ludzi, ale Książę Sokołów się nie zatrzymywał.

A potem wbiegli do sali tronowej.

Była pusta, większa niż wszystkie pomieszczenia, jakie Adulla dotąd widział, i bogato zdobiona. Rzeźbione drewno jaśniało alkemiczną magią, na podłodze leżały tkane ze złotej nici wzorzyste dywany, w powietrzu unosił się tuzin przyjemnych zapachów perfum i kadzideł. Nie licząc jednak tronu, stojącego na samym środku, nie było tu wiele mebli.

Tron Półksiężycy stał na małym podwyższeniu. Był zimny, lśniący biały i nieskazitelnie gładki, jak kaftan Adulli. Jego oparcie tworzyła trzymetrowej wysokości



plyta z dziwnego, opalizującego kamienia, przypominająca z grubsza kształtem półksiężyc. Albo kaptur kobry. Faraad Az Hammaz cicho zagwizdał.

- Wreszcie - szepnął.

Podeszli do tronu. Byli już prawie przy nim, kiedy z przeciwnego wejścia do środka wpadła grupa ludzi. Kalifowi w rozchełstanych i pogniecionych szatach towarzyszyło pół tuzina uzbrojonych gwardzistów i odziany w czerń człowiek, który mógł być tylko nadwornym magiem.

Przez chwilę wszyscy gapili się na siebie poprzez ogromną salę.

- Zabić ich! - wrzasnął kalif. - Porwali Młodego Obrońcę! Zabić ich!

Faraad Az Hammaz błyskawicznie dobył szabli, która złoto zaśniła, ale następca skoczył przed niego.

- Oni mnie wcale nie porwali, Obrońco Cnót! Dobry Książę pokazał mi magię tronu: sposób, żeby dać mu władzę nad pałacem. I pomścić moją matkę!

Gwardziści stanęli, nie wiedząc, co robić.

- Dobry Książę? - wykrztusił kalif. - W głowie ci się przewracało od głupich opowiastek o szlachetnych rabusiach! - Odwrócił się do maga. - O czym on mówi? Magia tronu?

Mężczyzna pokręcił głową w zawoju.

- Obrońco Cnót, ja nie...

Słowa zgasły mu na ustach, kiedy z drzwi za jego plecami skoczył na niego cień w kształcie szakala.

Wszyscy w sali zamarli na dźwięk ohydnych odgłosów, z jakimi Mouw Awa masakrował czarodzieja. Zanim z ust maga padło choć jedno zaklęcie, został z niego czerwonooki trup. W oszołomionej ciszy rozległy się ciche kroki. Wszyscy spojrzeli na sklepienie wejścia.

„Orszado”. Był wysoki, ale chudy jak patyk i żółty na twarzy. Twarz porastała mu rzadka, czarna broda. Nosił kaftan takiego samego kroju i koloru co Adulla, ale poplamiony odchodami i krwią. W dłoniach trzymał czerwoną, jedwabną sakwę.

Doktor nagle przypomniał sobie swój koszmar sprzed tygodnia, zanim zaczął się cały ten horror. Rzeki krwi. Jego własny kaftan poplamiony czerwienią. O ghulu ghuli mówiło się, że jego kaftan nigdy nie będzie czysty. Oto więc był człowiek, o którym Bóg szeptał w dziwnym języku snów. Niegodziwiec, którego Adulla ścigał. Mężczyzna, który zabił siostrzenicę Miri i wyrznął Banu Laith Badawich. Który zamordował Jehjeha i spalił dom Adulli wraz ze wszystkimi cennymi wspomnieniami, jakie w nim były.

Adulla usłyszał w głowie głos człeka-szakala, tak samo, jak w ową noc.

*Ów tłusty chełpi się odzieniem swym nieskalanym. Zaznał ledwie pierwszych popiołów świata tego płonącego. Nie zna słodkiego ognia Jeziora Płomieni, które wnet to wszystko zaleje.*

Zanim w głowie doktora ucichło echo słów Mouw Awy, Orszado machnął ręką w lekceważącym geście, w którym zdołał w jakiś sposób zawrzeć pałac, miasto i cały Boży świat naraz.

Mouw Awa rzucił się na kalifa, kłapiąc cienistą paszczą. Skamlanie Obrońcy Cnót przerodziło się we wrzask, a Adulla zrozumiał, że morderczy tyran miasta jest mimo wszystko tylko człowiekiem. Cała pompa i władza kalifa, a zarazem cała nienawiść, jaką doktor do niego żywił, w jednej chwili zniknęły. Dżabbari ach-Chaddari wrzasnął jeszcze raz i ucichł.

Adulla stał jak skamieniały z powodu szoku i strachu; zobaczył, że Faraad Az Hammaz stoi tak samo.

Orszado wyciągnął z sakwy ludzką głowę, która wybełkotała upiornym głosem:

- WSZYSCY, CO PODE MNA, MAJĄ SŁUŻYĆ. WSZYSCY, CO PODE MNA, MAJĄ SŁUŻYĆ.

Gwardzistom dookoła Adulli oczy uciekły pod czaszkę; ich skóra ściągnęła się i pomarszczyła, a usta powtórzyły te słowa. Jak jeden zwrócili się ku Adulli, Księżciu Sokołów i następcy tronu.

„W jednej chwili - zrozumiał doktor - zmienili się w coś więcej i coś mniej niż ludzie”.

Ludzkie ghule. Potwory stworzone przez przenicowanie ludzkiej duszy. Nawet przy wszystkich innych wydarzeniach minionego tygodnia dla Adulli był to szok. Tylko o nich czytał - myślał, że plugawa sztuka ich przywoływania szczęśliwie zaginęła. Ludzkiego ghula nie mógł zniszczyć żaden czar ani miecz. Stare księgi mówiły, że nieczyste ciało złączy się z nieczystym ciałem, a spaczone kości spoją się ze spaczonymi kośćmi, i dopiero śmierć stwórcy ludzkich ghuli będzie mogła wypędzić imitację życia ze skradzionych ciał.

Mouw Awa kuli! się nad martwym, czerwonoookim kalifem, z paszczy ściekała mu krew i coś na wpół materialnego. Następca tronu za Adullą zaszłochał.

Ghule ruszyły chwiejnie w ich stronę. Chłopak i Księżę Sokołów obok doktora wciąż stali jak skamieniali.

„A więc tak to się skończy”. Skołowana, stara głowa Adulli usiłowała przywołać jakąś zborną myśl. Herbata i poezja. Jego przyjaciele i miasto.

Miri, którą pragnął poślubić, na Boga Wszchemogącego.

„Nie. Nie, to się nie może tak skończyć. Nie pozwolę na to”.

Ludzkich ghuli nie można było zabić, ale można było je spowolnić. Łowca mógł kupić Księciu Sokołów czas, żeby ten zdążył przejąć tron albo zabić Orszada, albo zabrać następcę tronu w bezpieczne miejsce, albo... albo coś.

Adulla skoczył do przodu. W torbie miał parę rzeczy, które uratował z płonącego domu - nieliczne, ale teraz tylko one były mu potrzebne. Wyciągnął małą żółwią skorupkę i potrząsnął nią nad głową; zagrzechotały trzy zamknięte w niej szafiry.

- Łaskawy Bóg jest Ostatnim Oddechem w Naszych Płucach!  
- krzyknął. Była to stara inwokacja, która wznosiła mur nie do przebycia dla każdego ghula, ale bezużyteczna wobec starożytnych czarów Martwych Bogów. Pozostanie zagrożenie ze strony stwora-szakala.

Tuż przed zbliżającymi się ghulami wyrosła płaszczyzna opalizującego światła. Ciosy potworów nie sięgnęły doktora, chociaż zaporą pod każdym z nich migotała. Adulla usłyszał, że mistrz złodziei za nim otrząsa się z przerażonego odrętwienia i podbiega do łowcy.

W głowie doktora znów rozległy się słowa Mouw Awy.

*Przekorny opowiadał ci bajki pocieszne o dobrotliwej magii?  
Ha! Klęską się jego misja zakończy! Bóg-Kobra nie miłuje życia ni dobroci!*

A potem stwór spadł na Adullę i doktor poczuł, że jego dusza jest powoli wyrywana z ciała.

## ROZDZIAŁ 3

Wszędzie panował chaos. Ze wszystkich stron Litaz słyszała łomot butów i szczęk broni. Rogi i dzwony ogłaszały alarm, *skądś* dobiegał krzyk „Do broni, do broni!” Gwardziści siekli się wzajemnie mieczami - to ujawnili się żołnierze lojalni wobec Księcia Sokołów. Wielu zabułgotało z poderżniętymi gardłami i skonało, zanim zrozumieli, co ich zdradzieccy towarzysze robią.

Adulla, Faraad Az Hammaz i kalif zostali odcięci przez niesłychanie mocne fałszywe ściany, których nie dało się przebić. Blokowały nawet roztwory jasnowidzące. Teraz pozostali poza nimi przyjaciele łowcy błakali się na oślep po salach, szukając swojego druha.

- Musimy znaleźć Adullę! - krzyknęła Litaz do męża. Biegli za Rasidem szczęśliwie pustym korytarzem.

Dawud w odpowiedzi jedynie krótko skinął głową. Zaciskał zęby; Litaz rozumiała, że powstrzymywał w sobie jakąś ogromną energię, czar, który przeżera! go od środka, dopóki nie zostanie uwolniony przeciwko jakiemuś nieszczęsnemu wrogowi.

Wpadli do pozbawionego sufitu pomieszczenia z błękitnego marmuru. Słońce stało wysoko na niebie, wielka, złota kula światła. Rasid prowadził z mieczem

w dłoni, jego niebieskie jedwabie zlewały się z kolorem ścian, czyniąc go prawie niewidzialnym.

Znajdowali się na środku sali, kiedy dwie kilkunastoosobowe grupy mężczyzn - jedna w barwach Księcia Sokoła, druga najwyraźniej lojalna kalifowi - wpadły do środka przez przeciwległe wejścia. Zbrojni krzyknęli, potrząsnęli bronią i rzucili się na siebie.

A Litaz i jej towarzysze stali pomiędzy nimi.

Alkemiczka podniosła sztylet z rozpylaczem, jej kciuk zawisł nad kilkoma przyciskami ukrytymi w rękojeści. Rasid dal krok w stronę dziewczyny i przyjął postawę obronną.

A potem w powietrzu rozeszła się dziwna energia, rozbłysło oślepiające, złote światło i obie grupy wojowników wyhamowały. Obok Litaz rozległ się głośny warkot.

Zamia Banu Laith Badawi stała w ciele lwa o połyskującej, złotej sierści. Jej szmaragdowe oczy rozświetlała ponad zwierzęca furia, ogon ciał powietrze. A ona tak się martwiła, że nie będzie mogła się przeistoczyć!

Ludzie Księcia Sokoła zaczęli między sobą szeptać, a potem wszyscy odwrócili się i uciekli. Połowa gwardzistów kalifa zrobiła to samo, ale sześciu durniów z włóczniami i mieczami wystąpiło do przodu.

Lwica - Zamia - cięła ich szybkimi jak błyskawice ciosami pazurów; zakrwawieni padli na ziemię. Żołnierz z włócznią próbował dźgnąć dziewczynę, ale odkrył, że jego broń nie przebija złotej skóry. Zamia zmiażdżyła mu ręce w zębatej paszczy i cisnęła go na bok jak lalkę.

Kiedy towarzysze gwardzisty rzucili się do ucieczki, dopadł ich Rasid, gotowy udzielić lwicy pomocy, której nie potrzebowała.

- Wychwalam Boga Wszechmogącego i składam dzięki Jego Opiekuńczym Aniołom! - powiedziała Zamia, kiedy znów zostali sami. Litaz chyba nie słyszała w życiu bardziej szczerego podziękowania. - Wszystkie twoje wywary i symbole nie znajdą doktora, ciociu. Aleja go już wywęchałam. Tędy.

Mimo swojego doświadczenia i wiedzy Litaz poczuła się nieswojo, widząc, jak lwi pysk wymawia te słowa i zwierzę odbiega. „A co się stało z jej ubraniem?” - zdziwiła się tkwiąca w niej uczona. Nie miała jednak innego wyjścia, jak tylko ruszyć za dziewczyną, która poprowadziła ich tropem zapachu niewyczuwalnego dla żadnego człowieka. Minęła w biegu Rasida; derwisz popatrzył za nią, a potem też podjął bieg.

„Święty mąż zakochany w lwicy - byłoby z tego niezłe przedstawienie pacynek, gdyby...”

Z wnętrza w ścianie rzucił się na Litaz jakiś człowiek.

Był to jeden z lojalistów kalifa, ale najwyraźniej zgubił gdzieś broń. Musiał wziąć alkemiczkę za łatwy cel. Zanim Litaz zdążyła podnieść sztylet, uderzył ją w twarz. W oczach stanęły jej czerwone gwiazdki i szczypiące łzy, z nosa puściła się krew. Była kobietą, Bóg nie stworzył jej ciała do takich rzeczy.

Ale ona sama ćwiczyła się w nich od lat. Cofnęła się kilka kroków i trafiła napastnika w twarz strugą piekącego proszku pieprzowego. Wrzasnął i zaczął trzeć oczy. Potem łatwo było go dźgnąć w brzuch.

Rasid swoim rozwidlonym mieczem wytrącił broń następnemu gwardziście. Klinga derwisza błysnęła i jednym cięciem powaliła mężczyznę. Trzeci napastnik krzyknął i uciekł, spowity magicznym ogniem przyzwanym przez męża Litaz. Znów byli sami. U stóp Rasida leżało kolejnych trzech zabitych, ludzi kalifa

i Księcia Sokołów pospołu. Alkemiczka wiedziała, że derwisz zabije każdego, kto jest uzbrojony i dość głupi, żeby wyglądać groźnie. Wstyd jej było, że ją to cieszy. Zamiast, za rogiem, warknęła na nich, żeby się pospieszyli.

Znaleźli się w kolejnym pomieszczeniu - jak się okazało, był to przestronny dziedziniec pełen małych, parujących oczek wodnych, roślin w donicach i drzew, które pasowały raczej do dżungli Republiki. Działała tu potężna magia wody, co do tego nie było wątpliwości. Zewsząd dochodziły odgłosy zwierząt.

- Zieleń Bestii - oznajmi! Dawud zziąjanym głosem. - Prywatna menażeria kalifa, słyszałem o tym miejscu.

- *Skraaaaal* Nawet Anioły wychwalają Obrońcę Cnót!  
*Skraaaaal*

Szarozielony, gadający ptak, o głosie magicznie upodobnionym do ludzkiego, przeleciał na wyższą gałąź. Przez zarośla przedzierała się jakaś grupa ludzi, przewracając palmy i różowe krzewy trucikwiatu.

Wśród sześciu dobrze uzbrojonych gwardzistów stanął niewysoki, kwadratowy mężczyzna w bogato zdobionej liberii.

- Dawudzie, synu Wadzida! - krzyknął, wymachując stalowym buzdyganem, już czarnym od krwi. Run Hedaad. Minęło wiele lat, odkąd Litaz pomogła uratować mu życie, ale takiej twarzy się nie zapominało.

Zmarszczone czoło krępego mężczyzny sprawiało, że głębokie bruzdy na jego obliczu wydały się jeszcze głębsze.

- Widzę też panią Litaz, córkę Likamiego. A więc trzymacie z tą bandą zdrajców? Zawdzięczam wam obojgu życie, ale najwyraźniej tak pokierowaliście wydarzeniami, że muszę was zabić i zapłacić za swoją



niewdzięczność w Jeziorze Płomieni. Nie mogę bowiem pozwolić wam przejść.

Obok przebiegły dwie małpki, szczebiocząc ze złością. Dawud wystąpił przed derwisza oraz Zamię i pokazał puste dłonie, czujnie zerkając na kusze gwardzistów. Przemówił! zduszonym głosem, co wskazywało, że wciąż trzyma w sobie w pogotowiu magiczne energie.

- Kapitanie Hedaad, nie jesteśmy zdrajcami. Przybyliśmy w nadziei, że...

Jego wyjaśnienie zginęło w nagłym chóralnym jęku z pół tuzina ust. Żołnierze otaczający Runa Hedaada zadygotali dziwnie, ich skóra pomarszczyła się, a oczy jednocześnie uciekły pod czaszkę tak, że widać było tylko ich białka.

- WSZYSCY, CO PONIŻEJ, MAJĄ SŁUŻYĆ. WSZYSCY, CO PONIŻEJ, MAJĄ SŁUŻYĆ - zawołały jednocześnie spotworniałe usta, jakby powtarzały te słowa za jakimś niewidzialnym nauczycielem. A potem, jak jeden, gwardziści rzucili się na swojego kapitana.

To nie byli zwykli zdrajcy, nie byli to też stronnicy Faraada Az Hammaza. Litaz zrozumiała to od razu. W powietrzu znajdowało się to, co kojarzyło się nieomylnie z nieczystą krwią, której dotykała w swojej pracowni zaledwie kilka dni wcześniej. Poza tym nie wiedziała jednak, co właśnie ogląda.

- Ludzkie ghule - wyszeptał jej mąż, wstrząśnięty. Ludzkie ghule. Ale przecież to tylko legenda. Litaz

nie była tak stara jak Dawud czy Adulla, ale i tak miała ponad dwadzieścia lat doświadczenia w zmaganiach z nikczemnymi czarami. Nic jednak nie zdołało jej przygotować na coś takiego. Widziała i robiła rzeczy, które normalni ludzie uważali za wymysły z bajek.

Teraz zrozumiała, jak ci ludzie się czuli, widząc ją przy pracy.

Pomimo swego wieku i zwalistej postury Run Hedaad zwinnie jak kot uchylił się przed cięciami mieczy ghuli. Uderzył buzdyganem, wgniatając jednemu z nich czaszkę. Potwora jednak nawet to nie spowolniło.

Derwisz i lwica w tej samej chwili otrząsnęli się z szoku i skoczyli do przodu. Rasid ciął ukośnym łukiem i gładko przerąbał szyję najbliższego potwora. Jego głowa spadła na ziemię, a ciało zatoczyło się i upadło. Potem głowa zaczęła syczeć, a ciało macać na oślep w jej poszukiwaniu. Rasid, wytrzeszczając oczy ze zdumienia, kopnął czerep niczym drewnianą piłkę, jaką bawią się dzieci w Su.

Zamia tymczasem skoczyła na drugiego ghula; srebrzysty błysk jej szponów był zbyt szybki dla ludzkiego oka. Zaatakowała następny cel, zostawiając za sobą zmasakrowane, zakrwawione ciało.

Ale na oczach zdumionej Litaz poszarpana skóra ghula zaczęła się zrastać. Zanim dziewczyna wypatroszyła drugiego przeciwnika, jej pierwsza ofiara już stała na nogach, bez śladu ran na ciele.

Jeden z potworów z jękiem zatoczył się w stronę Litaz i jej męża, wciąż ściskając miecz, który trzymał jako człowiek. Kiedy z chlupotem pobrnął przez jedną z większych sadzawek w sali, z wody rzuciła się na niego zielona smuga. Krokodyl, najgroźniejsza istota rodzinnego kraju Litaz. Ten tu był mały - albo młody, albo ograniczony we wzroście czarami - ale nawet niewielki krokodyl był niebezpieczny. Trzema kłapięciami paszczy przegryzł ghula na pół. Kiedy jednak potwór zróśł się na powrót, a jedna z jego rąk

wyczołgała się z krokodylego pyska, skórzasta bestia uciekła, zdjęta pierwotnym strachem.

Zamia skakała w tę i z powrotem, szarpała ghule i uskakiwała przed ich pięściami i mieczami. Ostrze Rasida odrąbało jednemu z potworów dłoń. Kiedy jednak ta spadła na ziemię, zaraz powędrowała na palcach z powrotem do ciała, niczym jakiś ohydny pajak. Derwisz stał plecy w plecy z Runem Hedaadem. Obaj krwawili. Widać było, że zastanawiają się, jak zabić przeciwnika, który nie umiera.

Z przejścia prowadzącego z powrotem do błękitnej sali dobiegł syk i jęk. Na dziedziniec wtaczały się następne ghule. „Boże Wszechmogący, pomóż nam”.

- To nie działa. Musisz coś zrobić - powiedziała Litaz do męża. Poczula na plecach jego dłoń o smukłych palcach i przestała się tak bardzo bać.

Potem usłyszała, że mamrocze coś dźwięcznie w swoim magicznym bez-języku, którego nie nauczyła się rozumieć, mimo spędzonych razem trzydziestu lat. Mag przygotowywał się do uwolnienia energii, którą w sobie zmagazynował.

- Wszyscy za Dawuda! - wrzasnęła Litaz do towarzyszy.

Rasid i Zamia usłuchali. Alkemiczka ze smutkiem zobaczyła jednak, że Run Hedaad nie może tego zrobić

- leżał martwy z odrąbaną połową czaszki. Dwa ghule rozdzierały mu pierś, próbując się dostać do serca. „Chcą się pożywić”.

Litaz stanęła za mężem, którego zaśpiew stał się nienaturalnie głośny. „Jego słodki, chropawy głos nigdy nie brzmiał tak silnie, jak kiedy rzucał zaklęcie”

- pomyślała. To właśnie w chwili, gdy czar opuszczał jego usta, był dla niej najbardziej męski.

Dawud umilkł i wyciągnął dłonie do nadciągającej hordy potworów - w Zieleni Bestii było ich już prawie tuzin.

Z rąk męża Litaz wystrzeliło światło - złoty promień jasny jak słońce nad nimi. Trafiło prosto w ludzkie ghule. Litaz widziała raz, jak taki promień spopielił na miejscu człowieka i przez moment, gdy zobaczyła, jak przewrócił na ziemię całe stado potworów, ośmieliła się mieć nadzieję, że czary męża zwyciężyły. Wszystkie ghule leżały nieruchomo, a z ich ciał unosił się dym.

Usłyszała, że Dawud bierze zmęczony, grzechoczący oddech i zobaczyła, że na jego twarzy nagle pojawiają się dwie nowe zmarszczki.

A potem zauważyła jakieś poruszenie wśród leżących potworów. Serce jej zamarło. Istoty zostały jedynie spowolnione - już zaczynały gramolić się na nogi.

- Co teraz? - spytał Dawud, tak zdyszany, jakby zaraz miał skonać.

„Jeszcze dziesięć lat temu taki czar przyszedłby mu bez wysiłku" - zmartwiła się Litaz.

- Nie wiem - powiedziała. - Ale nie możemy ich pokonać. Musimy stąd uciekać.

Czar Dawuda kupi! im dość czasu, by przez wielki łuk wybiegli z Zieleni Bestii do zadaszanej sali - niewielkiego, kamiennego przedsionka. Rasid i Zamia byli tuż za nimi.

- Ciociu! - zawołał derwisz z niezadowoleniem. - Zakon nie zwykł uciekać...

- Badawi też nie - wtrącił na wpół lwi głos Zamii. Przez sklepienie przejście zobaczyli, że ludzkie ghule

ustawiają się w parodię oddziału gwardii i maszerują powoli w ich stronę. Nie było czasu na głupoty.

- Głupie dzieciuchy! - warknął Dawud między sapnięciami, wyrażając na głos myśli Litaz. - To są ludzkie ghule! Lwie szpony, czary i roztwory, rozwidlone miecze, wszystko to jest bezużyteczne przeciwko takim potworom, jeśli wierzyć starym księgom. Tylko Adulla będzie wiedział, jak je zabić. A jeśli nie zdołamy...

Przerwał, bo powietrze rozdarł mrozący krew w żyłach wrzask - wrzask, który Litaz rozpoznała. Dobiegał z następnej sali. „Adulla! Trzymaj się, przyjacielu, nadchodzimy! Przynajmniej wszyscy zginieemy razem!”

Zamia i jej towarzysze stali w małym przedsionku za Zielenią Bestii.

- Tylko Adulla będzie wiedział, jak je zabić - powiedział Dawud, syn Wadzida. - A jeśli nie zdołamy...

Dziewczyna usłyszała w sąsiednim pomieszczeniu znajomy krzyk. Doktor!

Z lwią szybkością popędziła do olbrzymiej sali kolumnowej, z Rasidem u boku. Wciąż była słaba od odniesionych uprzednio ran i musiała wyęczać wszystkie siły, żeby utrzymać kształt.

W sali panował szaleńczy chaos zapachów i widoków. Książę Sokołów i chłopiec siedzący na tronie krzyczeli. Trupy ludzi. Ściana światła. Znów te bełkoczące potwory. Chuda, czarnobroda postać, śmierząca nienaturalnym plugastwem.

Zamia odcięła się od tego wszystkiego i skupiła na tym, co ją tu sprowadziło - Mouw Awie, człeku-szakalu, zgarbionym nad ciałem doktora. Przypomniała sobie zwłoki członków swojej gromady i zaczerpnęła nowych sił z wściekłości.

Przemknęła obok Rasida, nie odrywając oczu od Mouw Awy.

- On jest mój! - ryknęła.

Z rozpędu wpadła na cień-stwora, drąc pazurami i odrzucając go na kilka metrów od łowcy. Rasid stawił czoła jakiemuś innemu zagrożeniu i straciła go z oczu.

Głowę wypełnił jej upiorny głos człeka-szakala.

*To kocię! Nie! Ubite było przez Mouw Awę! Dzikie małe lwię ubitym było!*

Niewyraźna sylwetka Mouw Awy cofała się przed nadchodzącą Zamią. Dziewczyna ryknęła.

- Niezupełnie. Boisz się, potworze? To dobrze!

Czuła się odważnie, jak przystało na członkinię plemienia Badawich. Miała wrażenie, że przemawia przez nią jej ojciec. Przygotowała się do uderzenia.

Skoczyła, ale Mouw Awa był za szybki. Odpelzł w tył i jej szpony przecięły tylko powietrze. Potwór kłapnął paszczą, raz i drugi, ale Zamią była gotowa na każdy jego desperacki atak. Mouw Awa walczył ze strachem. Naprawdę był w części szakalem - okrutnym dla bezbronnego wroga, ale tchórzliwym w obliczu takiego, który mógł go zabić.

Jeszcze raz cięła pazurami i wyryła głębokie bruzdy w cień-ciele. Stwór zawył z bólu!

*Nie! Zraniła Mouw Awę!*

Potwór skoczył i znów chybił. Kontratak Zamii tylko go drasnął.

Okrażali się wzajemnie, szukając sposobności. Istota próbowała wybić Zamię z rytmu swoim obłąkanym, bezustnym głosem.

*Pamiętasz, że ból? Chorobę, gdy Mouw Awa kły wraził w twą duszę? Tak! Pamiętasz.*

Nie zwracała uwagi na słowa w głowie. Zemsta była w zasięgu ręki.

Mouw Awa zamarkował uderzenie, a potem szybciej, niż myślała, że to możliwe, zaatakował paszczą. Jego kły przecięły tylko powietrze, ale powalił ją na ziemię. Śmierdzące trupem, cieniste pazury wbiły się w jej boki. Z bólu omal nie zemdląca.

Zamia raczej czuła, niż widziała szczerzące się do niej wśród cieni coś, co kiedyś było człowiekiem.

*Kocię ma nadzieję pokrzyżować plany jego błogosławionego przyjaciela! Nie! Miażdżące szczęki Mouw Awy...*

Dostrzegła swoją szansę i uderzyła. Na wpół mdlejąc z bólu, wzywając pomocy Opiekuńczych Aniołów, Zamia wykręciła się gwałtownie; teraz to jej łapy przyszpilały wrzeszczącego potwora do podłogi.

*Me! Oszustwo! Mouw Awa, człek-szakał, oszukany!*

Reszta sali zniknęła jak za mgłą. Zamia niczego nie widziała, nic nie słyszała, nic nie czuła - z wyjątkiem wroga przed sobą. Zebrała siły, wbiła kły w gardło Mouw Awy i zaczęła szarpać cienie twarde jak ciało. Człek-szakał z nieartykułowanym wyciem tłukł i orał pazurami jej boki.

Ona jednak wbijała kły głębiej i głębiej, aż wydarła Mouw Awie gardło. Człek-szakał szarpnął się mocniej, a potem znieruchomiał.

Zamia się zakrztusiła; usta i nos wypełniał jej najobrzydliwszy z obrzydliwych smaków. Mimowolnie wyszła z kształtu lwa.

Niepewnie wstała na nogi.

Cienie, z których wydawał się ukształtowany Mouw Awa, zawirowały i uniosły się jak dym. Jakiś niewidoczny, ledwie wyczuwalny wiatr porwał je w ciemne smużki, te zaś z kolei rozwiały się w nicość.

Na pałacowej podłodze leżał szkielet. „Hadu Na was. Kosa na Dzieci”. Zamiast ludzkiej głowy kościotrup miał czaszkę szakala. Widok ten przypominał Zamii wyczyszczone przez wiatr kości na pustyni - i wszystko to, co straciła wśród piasków.

Kopnęła szkielet obutą stopą, a ten natychmiast rozsypał się w pył. Zamknęła oczy z powodu przeszywającego bólu ran i osunęła się na kamienną posadzkę.

„Moja gromada została pomszczona. Banu Laith Badawi są pomszczeni”.

Ośmieliła się pomyśleć, że ojciec byłby z niej dumny.

A potem zaczęła wymiotować. Raz po raz, aż w oczach stanęły jej łzy i rozboleła ją żołądek.

Rasid usłyszał wrzask doktora i nie zważając na mogące na niego czyhać niebezpieczeństwa, popędził przed siebie najszybciej, jak umiał. Zobaczy! rozciągnięte na ziemi trupy kalifa i mężczyzny w czarnych szatach - domyślił się, że to nadworny mag. Stał nad nimi chudy człowiek w brudnym, białym kaftanie. Kilka ludzkich ghuli tłukło o ścianę migotliwego światła.

Na podwyższeniu znajdował się wysoki tron z białego kamienia. Na tronie siedział Książę Sokołów i ścisnął za rękę długowłosego, młodego chłopca u boku.

- Nie działa! - krzyczał Faraad Az Hammaz. - NIE DZIAŁA!

Rasid nie wiedział, o czym zdrajca mówi, ale go to nie obchodziło. Całą swoją uwagę skupiał na podłodze obok podwyższenia, gdzie Mouw Awa garbił się nad krzyczącym z bólu doktorem.



Musiał pomóc swojemu mentorowi. Człek-szakał był zajęty i Rasid, szybciej niż kiedykolwiek w życiu, rzucił się na niego.

Ale choć był bardzo szybki, Zamia Banu Laith Badawi była szybsza. Przemknęła obok niego jak pocisk złotego światła, warknęła „On jest mój!”, ryknęła i staranowała Mouw Awę, odrzucając go od doktora.

Rasid zerknął na walczących - światło i cień kotłujące się w kłębowisku pazurów i warkotu. Potem zobaczył, że człowiek w brudnym kaftanie - to musiał być Orszado - podbiega i spokojnie dotyka ściany światła. Błysnęła czerwień i zaporą zniknęła. Na znak Orszada ludzkie ghule, już niepowstrzymane, ruszyły w kierunku tronu.

Rasid doskoczył do doktora. Jego kaftan był porozdzierany pazurami, chociaż derwisz nigdzie nie widział śladów krwi. Oczy doktora były zaczerwienione na obrzeżach - czerwienią jaśniejszą niż zwykle przekrwienie.

- Na Opiekuńcze Anioły! Doktorze, czy ty... Co mam robić? - spytał, wstydząc się swojego przerażenia.

- Rasid bas Rasid - powiedział doktor głosem pustym i nieobecny. - Dobry człowiek... dobry partner.

Derwisz chwycił go za ramiona.

- Doktorze, proszę! Jak możemy zabić te potwory? Jasnobrązowe oczy łowcy ghuli zdawały się zmagać z czerwonymi obwódkami.

- Hę? Ze... zetnij głowę. Zatrzymaj ghule!

- Jednemu już ściałem, doktorze, a on po prostu...

- O... Orszado. - Jeszcze tylko tyle zdołał powiedzieć doktor, zanim zapadł w jakiś czarnoksiężski, martwy sen.

„Orszado. A więc trzeba ściąć samego ghula ghuli!”

Kątem oka Rasid zobaczył rozbłyśki magicznego ognia - to Litaz i Dawud zmagali się z następnymi potworami. Nie wiedział, co się stało z Zamią.

Położył delikatnie bezwładne ciało swojego mentora na podwyższeniu. Podniósł wzrok i zobaczył, że Orszado wykonuje niemożliwy - magiczny - skok na tron. Ghul ghuli uderzył Faraada Az Hammaza wierzchem dłoni z niewątpliwie czarnoksięską siłą. Mistrz złodziei upuścił szablę i spadł z tronu na podwyższenie. Wtedy Orszado, z jedną stopą na siedzisku, chwycił dziecko - Następcę tronu, zrozumiał Rasid - za jego długie, czarne jak smoła włosy i wyciągnął nóż.

Zamierza wypić krew następcy, dokładnie tak, jak napisano w tym zwoju.

Zakrzywiony sztylet Orszada błysnął, a chłopak krzyknął z bólu. Na kaftan mężczyzny trysnęła krew.

Jednocześnie na wpół przytomny Książę Sokołów wymówił pojedyncze słowo i wykonał jakiś dziwny gest. Potem sięgnął nad krwawiącym następcą i wcisnął coś na poręcz tronu. Rasid usłyszał głośny szczęk i chrobot przesuwanego kamienia.

Następny sekret, którego kalifowie nie poznali? Na to wyglądało, podłoga bowiem odjechała w dół; tron i całe podwyższenie - z Rasidem, doktorem, następcą, Faraadem Az Hammazem i Orszadem - uniosło się na niewidocznej do tej pory kolumnie.

Rasid spojrział jeszcze raz na nieruchomą postać doktora, a potem odwrócił się do Orszada. Ghul ghuli po raz drugi wbił nóż w pierś następcy.

Rasid skoczył ku tronowi. „Boże Wszechmogący, choć wiem, że jestem niegodny, błagam Cię, daj siłę swojemu słudze!”

Rzucił się na Orszada. Ale ghul ghuli machnął ręką i stało się coś dziwnego - coś niemożliwego.

Sala tronowa wokół nich zniknęła. Tam, gdzie przedtem były kamienne ściany i sklepienie, teraz wirowało czerwone światło. Towarzysze Rasida znikli. Orszado i jego potwory znikli. Rasid był sam.

Co to za nikczemna magia?

Derwizh rozejrzył się pospiesznie, próbując wypatrzyć sufit, podłogę czy drzwi. Wszędzie jednak widział tylko skłębione wiry czerwonego blasku.

Rozpoczął ćwiczenia oddechowe, a te przyniosły mu nieco spokoju. Zacytował pismo:

- „Choć kroczę przez pustkowia ghuli i niegodziwych dzennów, żaden strach nie rzuci na mnie swego cienia. Znajduję schronienie w Jego...”

Niebiańskie Rozdziały zamarły mu na ustach, kiedy pojawił się przed nim człowiek.

W rękę trzymał włócznię. Był nędznie odziany i miał na torsie makabryczną ranę od miecza. Nie powinien być w stanie utrzymać się na nogach. Jego twarz wydała się Rasidowi znajoma...

Jeden z rozbójników! Kiedy Rasid dwa lata temu opuścił po raz pierwszy Łożę Boga, podczas długiej drogi do Dhamsawaatu napadli go trzej zbójcy. Zabił ich bez trudu.

To był pierwszy człowiek, którego zabił w ogóle.

Popatrzył na Rasida pustymi oczami i przemówił:

- „O WIERNY! WIEDZ, ŻE KIEDY MORDUJESZ BLIŻNIEGO, BÓG PŁACZE!”

Na dźwięk tego głosu, recytującego Niebiańskie Rozdziały, Rasid zamarł z grozy. Usta mężczyzny poruszały się, ale głos cytujący pismo był głosem derwisza

- wąpiącym, wewnętrznym głosem, który często słyszał w swojej głowie.

Obok mężczyzny pojawili się dwaj inni zbrojcy, których Rasid zabił tamtego dnia. Jeden nie miał połowy głowy, drugi krwawił z piersi. Zawtórowali pierwszemu, a każdy z nich przemawiał głosem Rasida:

- „O WIERNY! WIEDZ, ŻE KIEDY MORDUJESZ BLIŻNIEGO, BÓG PŁACZE!”

Obok derwisza pojawił się nagle jeszcze jeden zmasakrowany człowiek. Mag Zud, który porywał kobiety, brał je za żony, a potem rzucał na pożarcie swoim wodnym ghulom. Rasid zabił go na pierwszym polowaniu z doktorem.

- „O WIERNY! WIEDZ, ŻE KIEDY MORDUJESZ BLIŻNIEGO, BÓG PŁACZE!”

Zjawił się jeszcze jeden zabity przez niego człowiek. A potem następny. Wszyscy martwi dali krok w jego stronę. A Rasid w końcu poczuł, że wraca mu władza w członkach.

Ciał najbliższą postać, ale rozwidlony miecz świsnął przez rozbójnika jak przez powietrze. Rasid bał się dotyku zjaw bardziej niż czegokolwiek w życiu, chociaż nie umiał powiedzieć dlaczego. Cofał się krok za krokiem, nie spuszczać z nich oczu.

Za sobą usłyszał huk ognia. Poczuł, że jego niebieskie jedwabie zaczynają się przypalać. Oderwał wzrok od umarłych i odwrócił się do okrutnego żaru. Zobaczył olbrzymią otchłań pełną płynnego ognia.

„Jezioro Płomieni! Zostałem skazany na Jezioro Płomieni!”

Martwi szli dalej. Rasid cofnął się jeszcze kilka kroków i poczuł, że żar za plecami zaczyna parzyć mu skórę. Znikąd i zewsząd zarazem dobiegł go cichy,

łkający dźwięk, który brzmiał, jakby ktoś rozrywał na pół wszechświat.

Nagle, w tle, usłyszał inny głos. Niewyraźnie i z oddali usłyszał słowa doktora Adulli Machsluda sprzed kilku chwil.

- Rasid bas Rasid. Dobry człowiek... dobry partner. Rasid uczeplił się tych słów, jakby były schronieniem w ramionach samego Boga. Znalazł w nich siłę.

„Nie. Ten ogień nie jest prawdziwy. Ci ludzie nie żyją. Służyłem Bogu Wszechmogącemu najlepiej, jak umiałem. Czasami go zawodziłem, ale: *Doskonałość to pałac, w którym mieszka tylko Bóg*”.

Skotłowany czerwony blask wokół Rasida zamigotał i jakby zbladł. Martwi zniknęli. Przez krótką chwilę derwisz widział przed sobą chudą postać w brudnym kaftanie.

„Orszado! To jego dzieło, nie Boga!”

Trwało to tylko przez mgnienie oka, a potem znów obiegli go martwi, spychający derwisza do Jeziora Płomieni. Rasid poczuł, że zaczyna się palić, ale zdusił krzyk.

Skupił się na swoich myślach tak mocno, jak nigdy wcześniej. Wyobraził sobie doktora, Litaz i Dawuda. Wyobraził sobie Zamię Banu Laith Badawi, która ośmieliła się rozmawiać z nim o małżeństwie. Pomyślał o wadach, które wszyscy posiadali, i o dobru, które zrobili. I usłyszał, jak sam śpiewnie powtarza:

- „*Doskonałość to pałac, w którym mieszka tylko Bóg. Doskonałość to pałac, w którym mieszka tylko Bóg. Doskonałość to pałac, w którym mieszka tylko Bóg*”.

Czerwony blask znów zamigotał i przygasł. Rasid znów zobaczył Orszada.

Skoczył do przodu z zaśpiewem na ustach i głową pełną myśli o przyjaciółach. Czerwone światło znikło. Martwi nie powrócili. Ciął mieczem i poczuł się, jakby przebijał ceglany mur.

Usłyszał bulgoczący krzyk człowieka bez języka. A potem znów był w sali tronowej, na unoszącym się podwyższeniu. Następca leżał zakrwawiony na tronie, a Orszado stał przed Rasidem i z bólu ścisnął skronie. Wyglądało to tak, jakby czas się zatrzymał, kiedy derwisz stanął przed upiorami.

Ból, który mu zadali umarli, nie minął. Przeszywał ciało Rasida; paliły go plecy. Ale siłą woli parł do przodu, znów tnąc mieczem.

Człek-szakał, ghule piaskowe, ghule ludzkie. Raz za razem, przez te ostatnie kilka dni, zbrojne ramię Rasida okazywało się za słabe, by pokonać istoty Zdradzieckiego Anioła. Teraz jednak czuł się przepełniony Boską mocą. Był Bronią Mądrze Czczonego.

Oto była chwila, na którą przygotowywał się całe życie.

Siła ciosu Rasida pchnęła jego i Orszada za krawędź podwyższenia, które uniosło się do połowy wysokości sali. Runęli w dół w tej samej chwili, kiedy miecz derwisza przeciął kark ghula ghuli.

Nawet umierając, mężczyzna w brudnym kaftanie nie wydał żadnego dźwięku.

Rasid poczuł, jak od uderzenia o kamienną podłogę pękają mu kości. Krzyknął z bólu, ale w głowie słyszał tylko Niebiańskie Rozdziały. „Bóg jest Litością, Która Zabija Okrucieństwo”.

Obok siebie ujrzał bezgłowego trupa Orszada, który zadygotał raz i znieruchomiał.

Spróbował wstać, ale ból pociągnął go w dół, w ciemność. Zobaczył, że podwyższenie - wciąż z doktorem, następcą i Księciem Sokołów - wznosi się na karbowanej kolumnie marmuru, rzeźbionej tak, by przypominała łuskowate ciało kobry. Kamienny blok w sklepieniu odsunął się na bok. Tron wjechał w otwór; spodnia strona podwyższenia idealnie do niego pasowała. Znów rozległ się głośny zgrzyt kamienia, a potem całość znieruchomiała.

Przez jeszcze jedną, osłupiałą chwilę Rasid gapił się na sufit, który połknął doktora. Z satysfakcją zauważył, że ludzkie ghule padają na ziemię.

A potem ból znów wybuch! ogniem i pochłonęła go ciemność.

Adulla Machslud czuł się, jakby jego duszę zgniatał olbrzymi, szary głaz, rozbijający na miazgę każdy jej fragment, który kiedykolwiek zaznał szczęścia. Na wpół rejestrował rzeczy, które się wokół niego działy - przebiegającą lwicę, wybuchy ognia w powietrzu, ciche kroki człowieka w brudnym kaftanie, własne usta bełkoczące coś do osoby w błękicie - ale żadne z tych wydarzeń nic dla niego nie znaczyło. Czuł, że umiera i że coś wypycha go z bezpiecznych objęć Boga. Przez wszystkie lata życia na wielkim Bożym świecie nie zaznał nigdy takiej rozpacz.

A potem usłyszał wycie szakala, które w jakiś sposób było zarazem krzykiem człowieka, i poczuł, że litościwa ręka Boga Wszechmogącego stacza z niego miazdzący mu duszę głaz.

Zamrugnął przez łzy wdzięcznej radości. Usłyszał głośny zgrzyt kamienia i szcęk czegoś, co wsunęło się na swoje miejsce. Potarł oczy i usiadł. Okropnie bolała go pierś, a kaftan miał w strzępach, ale macające palce nie znalazły rany.

I nagle wszystko sobie przypomniał. Rzeczy, które jego oczy widziały, kiedy dusza przebywała za zasłoną cienia. Atak Mouw Awy. Zamię rzucającą się na człeka-szakala. Orszada dźgającego następcę. Tron sunący pod sufit.

Adulla z trudem wstał i spróbował zebrać myśli. Żyję - Co musi oznaczać, że Mouw Awa został zniszczony. Ale co z jego panem?" Nigdzie nie widział śladu Orszada.

Znajdował się w bardzo małym, kamiennym pomieszczeniu bez okien i drzwi. Podwyższenie tronowe w jakiś sposób wjechało do tej komory i ją wypełniło. Nieruchome ciało następcy leżało przewieszane przez Tron Półksiężyca zbryzgany krwią chłopca. Faraad Az Hammaz stał nachylony nad martwym dzieckiem.

A z jego ust kapiała krew.

Adulla runął na kolana, zaś jego radość z powodu uniknięcia ponurej śmierci zniknęła. Krzyknął, widząc ohydny czyn, którego był świadkiem.

Mistrz złodziei spojrzał na niego, a wina na jego twarzy była równie widoczna jak krew.

- Chłopiec mnie o to poprosił, wuju. Wiedział, że umiera. - Głos miał ochrypły, bez śladu zwykłej brawury. - Przekazanie mocy Tronu Kobry przez uścisk dłoni było kłamstwem. Jego karmiąca i uzdrawiająca moc jest legendą. Ale czar wypicia krwi... Wojenne moce. To jest prawdziwe. Czuję, jak krążą w moich żyłach.



Adulla czuł, że zwymiotuje. Chciał udusić Księcia na miejscu, ale sił starczyło mu ledwie na to, by wstać.

- To był mały chłopiec, ty podstępny kurwi synu! - warknął. - Nie miał jeszcze dziesięciu lat!

I nagle maska pewności siebie na twarzy szaleńca opadła.

- Myślisz, że nie wiem, wuju? Naprawdę myślisz, że moje serce nie jest rozdarte na dwoje?

- Lepiej, żeby twoje serce rozszarpały ghule, niż żeby to dziecko umarło. Jesteś podłym człowiekiem, Faraadzie Az Hammazie, i Bóg cię za to przeklnie.

Bandyta otarł rękawem krew z ust.

- Być może. Nie ja zabiłem chłopca, wuju. Ale on nie żyje. Jego ojciec nie żyje. Wybuchnie walka o tę przeklętą bryłę marmuru i będę potrzebował wszystkich sił, jakie mogę zgromadzić, żeby nie wpadła znów w ręce jakiegoś spasionego mordercy, żywiącego się krwią naszego miasta. Co miałem zrobić?

Pyszałkowaty uśmiezek powrócił. Rzeczowy ton Księcia Sokołów rozwścieczył Adullę. Bez zastanowienia doktor skoczył na bandytę i wyprowadził prawy sierpowy, który wyćwiczył, kiedy był najbardziej krewkim łobuzem na ulicy Zdechłego Osła. Książę był pochłonięty swoją nową mocą, bo inaczej Adulla nigdy nie zdołałby go tknąć. Cios trafił z chrzęstem w cel.

W oczach mistrza złodziei błysnęła nienawiść, a jego dłoń skoczyła do rękojeści szabli. Adulla wydal na siebie wyrok.

Ale potem po twarzy Księcia rozpełzł się powoli smutny uśmiech.

- Chyba na to zasłużyłem, wuju. Na to i na jeszcze więcej.

Faraad Az Hammaz skrzywił się, dotykając kącika ust, z którego ciekła teraz jego własna krew. Adulla spuścił wzrok, czując wstręt do Księcia Sokołów, do samego siebie - do wszystkiego na wielkim Bożym świecie.

- Popatrz na mnie, wuju, proszę - powiedział Książę. Brzmiał teraz inaczej, jak wystraszone dziecko. Adulla podniósł wzrok i wbił spojrzenie w jego oczy. - Nawet... nawet bez dobrej magii, którą miałem nadzieję zdobyć - ciągnął złodziej - mamy tu szansę stworzyć coś nowego. Dlatego właśnie, zanim umarł, chłopiec poprosił mnie, żebym zrobił to, co zrobiłem. Kalif twierdził, że to Bóg posadził jego ród na tronie. Teraz też wiem, że mówiłeś prawdę, że tego Orszada po Tron Kobry przysłał Zdradziecki Anioł. Ale ja? Ja jestem zwykłym człowiekiem, wuju. Człowiekiem, który chce postąpić słusznie. Kiedy zobaczyłem, jak Orszado dźga chłopca, zrozumiałem, co muszę zrobić. A dzięki sztuczce dawnych kamieniarzy mogłem zrobić to, co musiałem, na osobności. Teraz powstaje pytanie, co będzie, kiedy opuszczę tron z powrotem na miejsce i spróbuję zaprowadzić jakiś porządek w tym chaosie. Wciąż mam poparcie niektórych ministrów, a moi dyplomaci i znawcy praw pomogą mi zdobyć uznanie innych krajów. Cały czas mamy niewielką szansę, by nie dopuścić do utopienia ulic we krwi. Z czasem moi uczeni może nawet znajdą sposób, żeby użyć mocy Tronu Kobry do pomocy ludziom. Ale jeśli wieść o tym...

Wskazał martwego Następcę i umilkł. Przełknął ślinę i podjął:

- Jeśli wieść o tym epizodzie się rozejdzie, nawet ta niewielka szansa przepadnie. Wybuchnie następna wojna domowa, tego możemy być pewni. Ty i ja nie jesteśmy tu razem przez czysty zbieg okoliczności, wuju.

Ty nazwałbyś to wolą Boga. Ja powiem po prostu, że „Wielcy żeglarze żeglują po tych samych morzach”. Ale tak czy inaczej potrzebuję twojej pomocy. Twojego milczenia na temat tego, co widziałeś.

„Wiesz, co się dzieje na wojnie z ładacznicami?”

- w uszach Adulli rozbrzmiało echem pytanie Miri sprzed dwóch dni. Doktor popatrzył na bezwładną postać następcy na Tronie Półksiężyca. Gdyby zachował ten wstrętny, zły sekret dla siebie, byłaby szansa

- zaledwie szansa - że wszystko to przebiegnie gładko, bez dziesięciu tysięcy trupów na ulicach. Popatrzył, jak mała kropla krwi - Księcia Sokołów albo następcy, nie umiał powiedzieć - spływa magicznie z jego kaftana. Znowu przypomniał sobie zesłany przez Boga sen

- brudny kaftan i rzekę krwi. Czy to przed Orszadem przestrzegał go Bóg? Czy przed nim samym?

„Co za przekłety bałagan”. Nie zdradzi tajemnicy Księcia. Było to złe, podłe i bez wątpienia odpowie za to, kiedy stanie przed Bogiem. Ale zarazem była to jedyna droga. W ten sposób mógł, tu i teraz, uratować swoje miasto, przyjaciół i kobietę, którą kochał. Spojrzał w górę, ku łaskawemu Bogu, Który Zsyła Wszelką Pomyślność, i bezgłośnie poprosił o przebaczenie.

Odwrócił się do Księcia.

- Jeśli okażesz się kłamcą, Faraadzie Az Hammazie

- powiedział najsurowszym głosem, jaki potrafił przywołać - jeśli nie zrobisz wszystkiego, co w twojej mocy, żeby zadbać o bezpieczeństwo tego miasta i nakarmić jego mieszkańców, zapłacisz za to. Bardzo słono. Nie myśl, że ochronią cię pałace i magia śmierci. Jeśli zdradzisz to miasto, przysięgam na Boga Wszchemmogącego, że ja napiję się twojej krwi.

Książę uklonił się z powagą i nic nie powiedział.

## ROZDZIAŁ 4

Zamia stała wraz z towarzyszami w porannym słońcu i patrzyła na zgliszcza, które były kiedyś pracownią Dawuda, syna Wadžida i Litaz, córki Likamiego. Smród spalonego drewna i osmolonego kamienia kłuł jej czułe nozdrza i musiała odsunąć się dalej niż pozostali.

Litaz w końcu przestała krzyczeć. Gniew w jej głosie był teraz zimny, ale przez to nie mniej potężny.

- Pokorni Uczniowie. Niech ich Bóg skaże na Jezioro Płomieni. Kiedy my ratowaliśmy to przeklęte miasto przed Zdradzieckim Aniołem, oni zrobili... oni zrobili to.

Rasid, z zabandażowaną ręką i posiniaczoną twarzą, zmarszczył brwi, patrząc na spalony budynek.

- To... to nie jest dzieło Boże, ciociu. Przykro mi.

- To dzieło niegodziwych ludzi - powiedział słabo doktor, obejmując jednym ramieniem Litaz, a drugim jej męża. Zamia zauważyła, że zanim jeszcze odkryli to zniszczenie, był dziwnie przygaszony.

Kiedy uzdrowiciele Faraada Az Hammaza opatrzyli ich rany, cała grupa cicho i pod eskortą opuściła pogrążony w chaosie Pałac Półksiężyca. Książę Sokołów odprowadził ich do bramy, gdzie podziękował im i pobłogosławił.

Nawet Rasid milczał, kiedy wychodzili, choć oczy miał jak miecze wymierzone w mistrza złodziei. A teraz to.

- Mogę tylko powiedzieć - na wpół szepnął doktor  
- to samo, co powiedziałaś mi kilka dni temu: za parę tygodni wasz dom będzie odbudowany. Będziecie...

Dawud uciszył go uniesieniem dłoni o smukłych palcach. Przez długą chwilę tylko stali i patrzyli.

Kilka godzin później całą piątką siedzieli w herbaciarni Mohsabiego, popijając nektar i herbatę kardamonową i ponuro skubiąc ciastka. Właściciel herbaciarni, uprzejmy niewysoki człowieczek z bródką, za kilka monet ekstra wyprosił pozostałych klientów i zostawił towarzyszy samych, żeby mogli na osobności przedyskutować skutki bitwy w pałacu.

- Czyli dalej jest Księciem Sokołów - pytał Dawud  
- czy już „Obrońcą Cnót, kalifem Faraadem Az Hammazem”? Jakkolwiek każe się nazywać, ten szaleniec będzie miał pełne ręce roboty. Wciąż stawiam dinary przeciwko dirhemom, że zanim to wszystko się skończy, będziemy mieli wojnę na ulicach. Choć Dhamsawaat jest wielki, to wciąż tylko miasto. Namiestnicy innych miast Abasenu, Tripaszarat Su, Najwyższy Sułtan Rughal-ba - jak oni na to zareagują? Królestwa Półksiężycy zawsze były pozszywane cienkimi nićmi. Po ostatniej nocy... - Stary mag pokręcił głową. Wygląda! jeszcze starzej niż przed bitwą. - Przy okazji, co z gwardzistami? Czar Orszada musiał pochwycić dusze pół tysiąca ludzi. Czy gwardziści przeżyli śmierć ghula ghuli? - spytał doktora.

Adulla wzruszył ramionami.

- Według starych ksiąg to zależy od człowieka. Niektórzy umarli. Inni będą żyli, ale nie tacy, jak przedtem,

niektórzy oszaleją. Nieliczni - najsilniejsi, najbliżsi Bogu, przeżyją cali i zdrowi, odchorują jedynie kilka dni i będą mieli parogodzinną dziurę w pamięci. Ale mamy ważniejsze rzeczy do omówienia. Kiedy tu szliśmy, ty i Litaz wściekle o czymś do siebie szeptaliście. Do tego już dwa razy mnie uciszyłeś, kiedy poruszyłem temat odbudowy waszej pracowni. Planujecie to, co myślę?

Mag przeciągnął się i spojrzął na żonę, która uśmiechnęła się smutno, a potem kiwnęła głową.

- Za dobrze nas znasz, bracie mój - powiedział w końcu Dawud. - Pora, żebyśmy opuścili Dhamsawaat. Litaz od lat powtarza, że chciałaby znów zobaczyć Republikę, a ja teraz czuję to samo. Zawsze zamierzaliśmy pojechać tam jeszcze raz, tylko cały czas coś nam wypadało. Poza tym... ta ostatnia walka, Adullo... Dużo mnie kosztowała. Tygodnie, miesiące życia. Niedługo będę za stary na taką podróż.

Litaz położyła drobną dłoń na ramieniu męża.

- Ta sprawa z Pokornymi Uczniami, niepokoje w mieście - może to wszystko znaki od Boga? Może pora, żebyśmy wrócili do domu.

- Ja... wy... będzie mi was brakowało, przyjaciele - powiedział doktor, a oczy załśniły mu od niewyłanych łez. - Na Boga, naprawdę będzie mi was brakowało.

Oczy Litaz też zwilgotniały.

- Mógłbyś oczywiście pojechać z nami, Adullo. Ale podejrzewam, że masz własne sprawy do załatwienia, skoro nasz udział w tym wstrętnym szaleństwie dobiegł końca. Być może niedługo zaprosisz nas na błogosławione wydarzenie, jeszcze zanim wyjedziemy?

Zamia nie wiedziała, co alkemiczka miała na myśli, ale doktor nagle się zawstydził. Litaz ciągnęła, już mniej zasmucona:

- Tak czy inaczej, muszę przyznać, że po drodze tutaj próbowaliśmy ukraść ci asystenta i pytaliśmy, czy pojedzie z nami. Miody człowiek musi zobaczyć trochę świata. - Uśmiechnęła się do Rasida, który spuścił wzrok. - Oczywiście uprzejmie odmówił.

Odwróciła się do Zamii.

- A co z tobą, Zamio Banu Laith Badawi? Mogłabyś pojechać z nami, gdybyś zechciała. Otwarty szlak to nie pustynia, ale może nie byłby dla ciebie tak duszny jak miasto. Dawud i ja jesteśmy gromadą zaledwie dwuosobową, ale wciąż byłibyśmy zaszczytzeni, mając cię za naszego Obrońcę.

Zamia nie wiedziała, co ma myśleć, a co dopiero co odpowiedzieć. Nowa gromada, z którą mogłaby wędrować - i to tak daleko... Była to dziwna myśl, do tego zupełnie niemająca nic wspólnego z tradycjami Badawich.

A jeszcze Rasid bas Rasid. Chciała, żeby mogli razem opuścić to przerażające miasto. „Z nim - pomyślała - któregoś dnia mogłabym zapomnieć, że jestem Obrońcą Gromady, i znaleźć jakieś miejsce, w którym takie rzeczy nie mają znaczenia". Miejsce, w którym nigdy nie zagrażają wrogowie. Przecież musiało ono istnieć gdzieś na wielkim Bożym świecie. Wstydziła się, że brzmi to dla niej tak bardzo kusząco.

Wiedziała jednak, że to mrzonki. Nie mogła pozwolić sobie zapomnieć, że jest Obrońcą Gromady. Ani że świat jest pełen wrogów ludzkości. Opiekuncze Anioły nie po to obdarzyły ją mocą lwa, żeby teraz uchylała się od swoich obowiązków. A derwisza kochała właśnie za jego wierność obowiązkowi. „Tak - powiedziała sobie - kochasz go!"

- Ja... będę musiała się zastanowić, ciociu - tylko tyle zdołała powiedzieć.

Spojrzała na Rasida. Mimo strasznie wyglądających ran siedział ze skrzyżowanymi nogami na dywanie, z rozwidlonym mieczem położonym w poprzek smukłych ud. Prawie podskoczyła, kiedy wstał, krzywiąc się boleśnie, i podszedł do niej.

- Zamio... - powiedział i umilkł z miną, jakby ktoś go dźgnął nożem. Zamia pochlebiała sobie, że nie był to tylko skutek jego ran. - Chciałbym... chciałbym porozmawiać z tobą na osobności, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Wskazał nieużywaną, boczną salę z dala od starców. „Pamiętaj o swoich obowiązkach” - upomniła się Zamia. Zacisnęła dłonie, wbijając paznokcie w ciało, i poszła za nim.

Rasid bas Rasid z trudem zmuszał się, by myśleć o swoim obowiązku. Zaprowadził Zamię do odosobnionej części herbaciarni Mohsabiego - małej salki poza zasięgiem słuchu doktora i jego przyjaciół. W lokalu nie było innych klientów nie tylko dzięki staraniom właściciela, ale też dlatego, że wieści o wydarzeniach w pałacu - wyolbrzymione i ubarwione - już zaczynały krążyć po ulicach. Ludzie biegali w tę i z powrotem, kupowali jedzenie i pałki, a potem zamykali się w swoich domach i przygotowywali na nieznane.

Rasid odwrócił się do Zamii. Ośmielił się popatrzeć na nią dłużej niż zazwyczaj, a potem spuścił wzrok - tylko po to, by znów go podnieść i napotkać jasne spojrzenie dziewczyny. Całe ciało bolało go, a dusza nigdy nie była mniej skupiona. Mimo to musiał to powiedzieć.



- Dzielnie wczoraj walczyłaś, Zamio Banu Laith Badawi - rzekł i od razu zrobiło mu się głupio.

- Ty też, Rasidzie bas Rasidzie.

- Zamio... ja... chciałybym, żebyś wiedziała, że ze wszystkich kobiet na wielkim Bożym świecie jesteś jedyną, którą kiedykolwiek pragnąłbym poślubić.

Poczuł, że policzki płoną mu ze wstydu i nie mógł uwierzyć, że wykrztusił te słowa. Zielone oczy Zamii - najpiękniejsze oczy, jakie Rasid widział - otworzyły się szeroko. Ale nic nie powiedziała.

- Ale... - ciągnął, pragnąc umrzeć - ..ale Zakon nie pozwala szejkom się żenić. Gdybym poprosił cię o rękę, odwróciłbym się od szansy wywyższenia w oczach Boga. Na zawsze już zostałbym derwiszem i nigdy nie mógłbym nauczać w Loży Boga. Dopóki cię nie spotkałem, byłem pewien, że wyniesienie z derwisza na szejka - aby stać się jeszcze lepszą bronią w dłoni Boga - to najlepszy los, o jaki mogę się modlić.

Oczy Zamii zwilgotniały, ale nie uroniła ani jednej łzy. Z trudem przełknęła ślinę i Rasid musiał zmobilizować całą siłę woli, żeby jej nie dotknąć.

- A teraz? - spytała w końcu.

- Teraz... teraz sam nie wiem. Może wrócę do Loży Boga. Zamierzam opuścić to nikczemne miasto. Tyle wiem na pewno. Potem...

Ucichł, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Rasidzie?

- Tak?

- Co tam się stało? W sali tronowej?

Rasid chciał odpowiedzieć, ale słowa więzły mu w gardle. Przez chwilę jego słabe ciało omal nie zdradziło go i nie zapłakał.

W końcu usłyszał swój własny głos:

- Miałem wizję wywołaną czarami tego okrutnika. Nie będę o tym mówił, Zamio. Ale... kazało mi to pomyśleć o... wielu rzeczach. Niech mi Bóg Wszechmogący wybaczy, ale po tych kilku ostatnich dniach nie wiem już, jakie jest moje miejsce w Jego planie. Myślę jednak, że muszę poświęcić trochę czasu, żeby się tego dowiedzieć. W samotności.

Zamia przetarła dłonią oczy i kiwnęła głową.

- W takim razie musisz tak postąpić - powiedziała. Potem uśmiechnęła się do niego smutno, pocałowała go w policzek i odwróciła się.

Policzek palił Rasida jak Jezioro Płomieni. Gdyby jego szejkwowie dowiedzieli się o tym pocałunku, nie posiadaliby się z oburzenia. Ale on nie potrafił oburzać się na Zamię Banu Laith Badawi. Mógł jedynie zdusić łzy, które stanęły mu w oczach, a potem wrócić za nią do pozostałych.

Adulla popijał herbatę i patrzy! na swoich najstarszych przyjaciół na świetle. Widok Dawuda sprawia!, że pękało mu serce. Przywykł już do jego wyczerpania i spuchniętych oczu po każdej walce, ale to było coś innego. Minął dzień, a Dawud wciąż się garbił. Miał nowe zmarszczki wokół oczu i utykał.

„Oni naprawdę wyjeżdżają” - pomyślał Adulla i poczuł niemal fizyczny ból. Wszystko się pozmieniało i to niekoniecznie na lepsze. Rozejrzał się po szykownie urządzonej herbaciarni Mohsabiego. Była elegancka - na pewno elegantsza niż herbaciarnia Jehjeha - sam Mohsabi był miłym gospodarzem, ale herbata smakowała trochę nijako i...

Och, Jehjehu. Przyjacielu mój, zasłużyłeś na spokojniejszy koniec niż ten, który zesłał ci Bóg. Ale oby twoja dusza znalazła schronienie w Jego objęciach.

Adulla bezgłośnie wyrecytował wersy z ostatniego akapitu *Palmowych liści* Ismiego Szihaba:

*A więc to jest starość! Pomarli druhowie, A ja się za nich modłę, na Izy zbyt znuzony.*

Rasid i Zamia, oboje ponurzy, wyszli z bocznej sali i wrócili do stolika, skończywszy swoją rozmowę na osobności. Adulla popatrzył na dwójkę młodych wojowników i westchnął. Przerażali go i kazali mu się zastanawiać nad przyszłością - fanatyczne dzieci, które tęskniły do zabijania. Które uważały zabijanie za swoje powołanie i ścieżkę honoru. „Szkoda, że nie żyjemy w świecie, w którym niepotrzebne są miecze czy srebrne szpony”. Ale nie żył w takim świecie. Pomyślał o rzeczywistości i mimowolnie jęknął.

Wiedział, że Dawud ma rację, mówiąc o chaosie, który nadejdzie. Ale niezależnie od tego, co niosła przyszłość, niezależnie od tego, w którym budynku Adulla mieszkał czy gdzie pijał herbatę, Dhamsawaat był jego domem. I tak naprawdę nic nie mogło tego zmienić. Poza tym doktor nie sądził, by Faraad Az Hammaz mógł być gorszym kalifem niż poprzedni. Ośmielał się nawet mieć nadzieję, że ten człowiek, ten pijący krew uzurpator, może być nawet lepszy.

Kiedy jęknął, jego towarzysze - nie tylko starzy przyjaciele, ale też dwójka młodych - spojrzeli na niego. W każdej parze oczu - skośnych, jasnozielonych, załzawionych i rozsądnych - Adulla zobaczył troskę

o niego. Więcej - ujrzał miłość. Zamaskowaną przez udawaną szorstkość i ponury honor, ale jednak miłość. Każde z nich patrzyło na niego z milczącym darem własnej siły. Czworo dobrych ludzi, którzy chcieli oszczędzić mu cierpienia.

„Może jednak ten świat wcale nie jest w takich złych rękach”.

Adulla i jego przyjaciele stawili czoła najstraszniejszemu wrogowi w swoim życiu i pokonali go. Zmieniło się wszystko i nic. Niebo nie rozwarło się, by ukazać Opiekuńcze Anioły ogłaszające śpiewem koniec stwórców ghuli. Nie było deszczu kwiatów od bezpiecznych już na wieki mieszkańców. Jutro czy pojutrze, czy za miesiąc, jakiś rybak czy gospodyni znów przyjdą do Adulli z przerażającymi opowieściami. Bóg nie nagroził go odpoczynkiem w błogim pałacu pełnym jedzenia i przyjaciół. Władzę nad Dhamsawaatem dzierżył niepewnie na wpół szalony Książę Sokołów uzbrojony w nieczyste moce Tronu Kobry. A ludzie, którzy byli Adulli najdrożsi na świecie, wyjeżdżali z miasta albo nie żyli.

Ale nie Miri.

Nie Miri, która była ważniejsza niż wszystko inne. Złożył jej świętą przysięgę. Wiele razy w życiu Adulla żałował złożenia przysięgi, ale nigdy żadnej nie złamał.

Zobowiązanie wobec Boga nigdy nie było mu miłsze niż teraz.

I tak, mimo grozy, której doświadczył, mimo wszystkich tych strasznych rzeczy, które miały jeszcze nadejść, poczuł, że na usta wychodzi mu uśmiech. „Ludziom można pomagać inaczej, niż tylko polując na ghule” - powiedział sobie. Kiedyś ludziom udawało

się przetrwać bez niego i uda się im to znów. Zapłacił już swoją „cenę za wstęp na festiwal doczesności”. Teraz przyszła jego kolej, by zatańczyć.

Tego samego wieczora Adulla znów stanął na progu schludnego przybytku Miri Almusy. Okute spiżem drzwi były zamknięte - rzadki widok. Bez wątpienia któreś ze stu Uszu przyniosło wieści o walkach w pałacu. Jeśli tak, zapobiegliwa Miri z pewnością przygotowywała się najlepiej, jak mogła, na nadchodzący chaos.

Załomota! do drzwi, a kiedy się otworzyły, nie stanął w nich Siekiera, ale sama Miri. Adulli oddech uwiązł w gardle; nie mógł wykrztusić ani słowa.

Miri nic nie powiedziała, tylko popatrzyła na niego, a w jej oczach jaśniało niezadane pytanie.

Adulla przełknął z trudem ślinę, ścisnął w dłoniach swój kaftan i kiwnął głową. Kiedy Miri dała krok w jego stronę, pozwolił sobie na niewielki uśmiech.

A potem doktor Adulla Machslud ukląkł, dotknął czołem ziemi i zapłakał przed kobietą, którą zamierzał poślubić.